



LEE
C H I L D

JACK REACHER
Poszukiwany

C H I L D **LEE**

JACK REACHER
Poszukiwany

Z angielskiego przetoczył
ŁUKASZ PRASKI



LEE CHILD

Pisarz brytyjski, od 1998 mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 wybrany prezesem stowarzyszenia Mystery Writers of America. Kształcił się na prawnika, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach z pracy w wyniku restrukturyzacji, zainwestował we własną karierę literacką. W 1997 ukazała się jego pierwsza powieść - Poziom śmierci. Książka zdobyła nagrodę Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m in.: Echo w płomieniach, Siła perswazji, Jednym strzałem, Elita zabójców, Nic do stracenia, Jutro możesz zniknąć, 61 godzin, Czasami warto umrzeć, Ostatnia sprawa, Poszukiwany i Ne ver Go Back. Książki Childa publikowane są w 43 krajach. W grudniu 2012 miała miejsce premiera filmu Jack Reacher z Tomem Cruise'em w roli głównej, opartego na powieści Jednym strzałem.

Dla Jane stojącej pod wielkim dębem

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:

Jack Reacher

(drugiego imienia nie ma)

Odznaczenia służbowe:

Wysokie:

Srebrna Gwiazda,

za wzorową służbę Service Medal,

Legia Zasługi

Ze środkowej półki:

Soldier's Medal,

Brązowa Gwiazda,

Purpurowe Serce

Z dolnej półki:

„Junk awards”

Narodowość:

Amerykańska

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg;

127 cm w klatce piersiowej

Matka:

Josephine Moutier Reacher,

ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ubranie:

Kurtka 3XLT,

długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Ojciec:

Żołnierz zawodowy,

korpus piechoty morskiej,

służył w Korei i Wietnamie...

zm. 1988

Wykształcenie:

Szkoły na terenie

amerykańskich baz wojskowych w Europie

i na Dalekim Wschodzie;

Akademia Wojskowa West Point

Brat:

Joe, ur. 1958,

zm. 1997;

5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych;

Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych;

w 1990 zdegradowany z majora do kapitana,

zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego;

zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem;

osób na utrzymaniu

1

Świadek powiedział, że właściwie nie widział, jak to się stało. Ale jak inaczej mogło się to rozegrać? Krótco po północy do niewielkiego betonowego bunkra przez jedyne drzwi wszedł mężczyzna w zielonej zimowej kurtce, a za nim dwaj mężczyźni w czarnych garniturach. Minęła krótka chwila. Mężczyźni w czarnych garniturach wyszli.

Mężczyzna w zielonej kurtce nie.

Mężczyźni w czarnych garniturach szybkim krokiem pokonali dziesięć metrów i wsiedli do czerwonego samochodu. Według słów świadka, samochodu w kolorze strażackiej czerwieni.

Jaskrawoczerwonego. Raczej nowego. Świadek przypuszczał, że był to zwykły czterodrzwiowy sedan. A może pięciodrzwiowy. Albo trzydrzwiowy. Ale na pewno nie dwudrzwiowe coupe.

Świadek przypuszczał, że to była toyota. A może honda. Albo hyundai. Może kia.

Obojętnie, jaki to był wóz, odjechali nim dwaj mężczyźni w czarnych garniturach.

Ale po mężczyźnie w zielonej kurtce nie było śladu.

Potem spod drzwi betonowego bunkra wypłynęła krew, tworząc kałużę.

Świadek zadzwonił pod dziewięćset jedenaście.

Na miejscu zjawił się szeryf i wysłuchał jego relacji. Potrafił ponaglać ludzi, sprawiając przy tym wrażenie cierpliwego. Był to jeden z jego licznych talentów. Wreszcie świadek skończył. Szeryf namyślał się przez dłuższą chwilę. Był w części kraju, gdzie we wszystkich kierunkach za ciemnym horyzontem rozciągały się setki kilometrów kwadratowych pustkowiec, a drogi były długimi, samotnymi wstążeczkami.

Był w krainie blokad drogowych.

Skontaktował się więc z drogówką, a potem wezwał helikopter ze stolicy stanu. Nadał pilny komunikat o poszukiwaniu jaskrawoczerwonego zagranicznego samochodu, którym poruszają się dwaj mężczyźni w czarnych garniturach.

Jack Reacher przejechał sto pięćdziesiąt kilometrów w dziewięćdziesiąt minut brudnoszarym vanem prowadzonym przez kobietę. W końcu zobaczył przed sobą jasne lampy sodowe na węźle drogowym oraz duże zielone tablice wskazujące wschód i zachód. Kobieta zwolniła i zatrzymała samochód, Reacher wysiadł, podziękował i pomachał. Van skręcił w pierwszy zjazd prowadzący na zachód w kierunku Denver i Salt Lake City, a on przeszedł

pod estakadą i stanął przy zjeździe wschodnim. Jedną stopę postawił na poboczu, drugą na jezdni, wyciągnął rękę i uśmiechnął się, próbując nadać twarzy przyjazny wygląd.

Co nie było łatwym zadaniem. Reacher był potężnym mężczyzną, miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i mocną budowę ciała, poza tym tego wieczoru wyglądał jak zawsze nieco niechlujnie.

Samotni kierowcy wolą miłe i niegroźne towarzystwo, a Reacher wiedział z doświadczenia, że pod względem wizualnym nie nadaje się na wymarzonego towarzysza podróży. Wyglądał zbyt groźnie.

W tym momencie jego szanse dodatkowo pogarszał niedawno złamany nos.

Zalepił go kawałkiem srebrnej taśmy izolacyjnej, wiedząc, że wygląda przez to jeszcze bardziej groteskowo. Wiedział, że taśma na pewno błyszczy i połyskuje w żółtym blasku lamp. Czuł jednak, że działa leczniczo, postanowił więc nie odklejać jej przez pierwszą godzinę. Jeśli w ciągu sześćdziesięciu minut nikt się nie zatrzyma, zacznie się zasta nawiać, czy ją zdjąć.

W ciągu sześćdziesięciu minut nikt się nie zatrzymał. Ruch był niewielki. Noc, Nebraska, zima.

Skrzyżowanie było jedynym dużym rozjazdem na odcinku wielu kilometrów, a mimo to upływały całe minuty i nie pojawiał się ani jeden pojazd. Na estakadzie był ruch, lecz niewiele osób miało ochotę się do niego włączyć. W ciągu pierwszej godziny na wschód skręciło zaledwie czterdzieści pojazdów: samochody osobowe, dostawcze, terenowe, różnych marek, modeli i kolorów.

Trzydzieści przejechało, nawet nie zwalniając. Dziesięciu kierowców przyjrzało się uważnie Reacherowi, a potem odwróciło wzrok i popędziło dalej.

Nie było w tym niczego niezwykłego. Od lat coraz trudniej podróżowało się autostopem.

Czas zwiększyć szanse.

Odwrócił się i nadłamanym paznokciem kciuka podważył taśmę na nosie. Odkleił centymetrowy odcinek i chwycił go kciukiem i palcem wskazującym. Były dwie szkoły. Jedna radziła odlepić taśmę jednym mocnym szarpnięciem, druga sugerowała, by robić to powoli. Reacher uznał, że to pozorny wybór. Ból w każdym przypadku jest taki sam. Poszedł więc na kompromis, wybierając szybki sposób. Z policzkiem poszło nieźle. Gorzej z nosem. Rany się otworzyły, opuchlizna przemieściła się w górę, a złamany nos chrupnął i zachrzęścił.

Z drugim policzkiem też poszło nieźle.

Zwinął zakrwawioną taśmę i wsunął do kieszeni. Splunął na dłonie i przetarł twarz.

Trzysta metrów nad sobą usłyszał helikopter i zobaczył potężny snop światła szperacza, który przebijał mrok, zatrzymując się tu i ówdzie. Reacher odwrócił się, znów postawił jedną stopę na jezdni i wyciągnął rękę. Helikopter zawisł na chwilę, ale stracił zainteresowanie, po czym z hukiem wirników pomknął na zachód. Wkrótce silniki ucichły w oddali.

Ruch na estakadzie nadal był niewielki, ale stały. Na drodze dojazdowej w kierunku północnym i wschodnim zmałał, ale prawie wszystkie samochody skręcały na autostradę w jedną albo drugą stronę. Prawie żaden nie jechał prosto. Reacher wciąż był dobrej myśli.

Pomagał mu nocny chłód. Zdrętwiała twarz bolała mniej. Z południa nadjechała półciężarówka z tablicami z Kansas i skręciła na wschód, zwalniając. Za kierownicą siedział szczupły czarnoskóry mężczyzna w grubej kurtce. Długo i dokładnie przypatrywał się Reacherowi. Prawie się zatrzymał. Prawie. Wreszcie odwrócił wzrok i pojechał dalej.

Reacher miał w kieszeni pieniądze. Gdyby dostał się do Lincoln albo Omaha, dalej pojechałby autobusem. Ale nie mógł się dostać do Lincoln ani Omaha. Ktoś musiał go podwieźć. W przerwach między jednym a drugim samochodem chował prawą dłoń pod lewe ramię, żeby nie zamarzła.

Przytupywał w miejscu. Oddech spowijał mu głowę jak gęsty obłok. Minął go radiowóz drogówki z włączonym kogutem, ale bez syreny. Siedziało w nim dwóch gliniarzy. Nawet nie spojrzeli na Reachera. Wpatrywali się przed siebie. Może coś się wydarzyło.

W ciągu kilku minut o mało nie zatrzymały się przy nim dwa samochody. Jeden nadjechał z południa, drugi z północy. Kierowcy obydwu zwolnili, przyhamowali, zawahali się i przyjrzeni, a potem przyspieszyli. Coraz bliżej, pomyślał Reacher. Już niedługo. Może to z powodu późnej pory? Ludzie mają więcej współczucia o północy niż w południe. Sama nocna jazda wydawała się czymś osobliwym. Dlatego mniej dziwiła decyzja, by zabrać przypadkowo spotkanego nieznajomego.

Miał nadzieję.

Kolejny kierowca przypatrzył mu się i się oddalił.

I jeszcze jeden.

Reacher splunął na dłonie i przygładził włosy.

Cały czas się uśmiechał.

Nadal był dobrej myśli.

I w końcu, po dziewięćdziesięciu trzech minutach spędzonych na wjeździe na autostradę, zatrzymał się przy nim samochód.

Samochód zatrzymał się dziesięć metrów przed nim. Amerykański, sporych rozmiarów, miał miejscowe numery rejestracyjne i ciemny kolor. Reacher przypuszczał, że to chevrolet, prawdopodobnie granatowy, szary lub czarny. Trudno było odgadnąć barwę lakieru w świetle lamp sodowych. W nocy wszystkie ciemne metaliki są anonimowe.

W środku siedziały trzy osoby. Z przodu dwaj mężczyźni, z tyłu kobieta. Mężczyźni byli odwróceny do tyłu, jakby w samochodzie toczyła się ożywiona trójstronna dyskusja.

Demokratyczna. Zabrać tego faceta czy nie? Reacher domyślił się, że ta trójka za dobrze się nie zna. Bliscy znajomi zazwyczaj podejmują takie decyzje instynktownie. Tych troje może łączyć związki służbowe, może razem pracują i musieli spędzić ze sobą pewien czas, każdy przesadnie licząc się ze zdaniem innych, zwłaszcza kobiety, która pozostawała w wyraźnej mniejszości.

Reacher zobaczył, że kobieta kiwa głową, a z ruchu warg wyczytał „tak”. Mężczyźni odwrócili się i samochód podjechał do przodu. Zatrzymał się z oknem drzwi pasażera na wysokości biodra Reachera. Zjechała szyba. Reacher pochylił się i poczuł na twarzy powiew ciepła. Ogrzewanie w samochodzie działało bez zarzutu. To było więcej niż pewne.

Człowiek siedzący obok kierowcy zapytał:

- Dokąd się pan wybiera?

Reacher przez trzynaście lat był wojskowym gliną, a potem prawie tyle samo lat zarabiał na życie dzięki sprytowi. Nie zginął tylko dlatego, że był ostrożny i zachowywał czujność. Wszystkie pięć zmysłów zawsze w pełnej gotowości. Decyzja o tym, czy przyjąć propozycję podwiezienia, zależała głównie od zapachu. Czy czuć piwo? Trawkę? Bourbona? W tym momencie nie mógł jednak niczego wyczuć. Jego nos niedawno został złamany. Opuchlizna i krew zatykały przewody nosowe. Być może miał trwale skrzywioną przegrodę. Niewykluczone, że już nigdy nie poczuje żadnego zapachu.

W tej sytuacji dotyk nie wchodził w grę. Ani smak. Liżąc czy badając po omacku wnętrze samochodu jak ślepiec, niczego się nie dowie. Pozostawał zatem wzrok i słuch. Pasażer z przodu mówił neutralnym tonem, bez żadnego zauważalnego akcentu regionalnego ani intonacji świadczącej o starannym wykształceniu i poczucia wyższości wynikającego z doświadczeń z pracy na wysokim stanowisku. U wszystkich trojga zobaczył gładkie, pozbawione stwardnień dłonie, słabo umięśnione sylwetki, starannie uczesane włosy, brak opalenizny. Ludzie spędzający czas w zamkniętych pomieszczeniach. Za biurkiem. Nie z samego szczytu hierarchii, ale daleko od najniższych szczebli. Wszyscy wyglądali na czterdzieści kilka lat, może byli właśnie w połowie życia, ale na pewno dalej niż w połowie kariery zawodowej. W kategoriach wojskowych byli kimś w rodzaju podpułkowników. Coś

osiągnęli, lecz trudno ich nazwać gwiazdami.

Każde z nich było ubrane w czarne spodnie i niebieską dżinsową koszulę - jak w mundur.

Koszule były tanie i nowe, wciąż miały zagniecenia po wyjęciu z opakowania. Reacher domyślał się, że pewnie byli na jakichś zajęciach integracyjnych. Korporacyjne bzdety. Zwieziono grupę pracowników średniego szczebla z biur regionalnych, zebrano na pustkowiu, a potem rozdano im koszule i rozdzielono zadania. Może przez to zamieszanie bardziej się rozzuchwalili i dlatego postanowili go zabrać. A może potem będą się nawzajem poddawali otwartej krytyce i dlatego prowadzili tę męczącą trójstronną demokratyczną naradę. Zespoły potrzebują pracy zespołowej, a praca zespołowa wymaga dojścia do zgody. Konsensus nie mógł być w żaden sposób wymuszony, a kwestie płci zawsze były delikatne. Reacher zdziwił się nawet, że kobieta nie siedzi z przodu czy za kierownicą. Choć jeżeli jest jedyną kobietą w trzyosobowej grupie, prowadzenie samochodu można by było uznać za za chowanie zbyt służalcze. Jak podawanie kawy.

Istne pole minowe.

- Jadę na wschód - odpowiedział Reacher.

- Do Iowa? - spytał pasażer siedzący z przodu.

- Przez Iowa - sprecyzował Reacher. - Aż do Wirginii.

- Wskakuj pan - powiedział mężczyzna. - Kawalek możemy pana podrzucić.

Kobieta siedziała za fotelem pasażera, więc Reacher obszedł bagażnik i wsiadł z tyłu od strony kierowcy. Usadowił się i zatrzasnął drzwi. Kobieta nieśmiało skinęła mu głową. Może nieco ostrożnie. Niewykluczone, że to z powodu nosa. Może jego widok wytrącił ją z równowagi.

Mężczyzna za kierownicą zerknął w lusterko wsteczne i ruszył wjazdem na autostradę.

3

Szeryf okręgu nazywał się Victor Goodman i zdaniem większości mieszkańców nie mógł nosić lepszego imienia i nazwiska. Naprawdę był dobrym człowiekiem i zwycięzcą, bo do czegokolwiek się zabrał, zawsze odnosił sukcesy. Nie było jednak związku między jego imieniem i nazwiskiem.

Wygrywał nie dlatego, że był dobry, ale dlatego, że był inteligentny. Na tyle inteligentny, by przed wykonaniem kolejnego ruchu weryfikować i korygować swoje poprzednie decyzje. Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Tak działał. Ten system dobrze mu

służył. Zawsze. I właśnie dochodził do wniosku, że trochę się pospieszył z nadaniem komunikatu o poszukiwaniu samochodu.

Miejsce zdarzenia w betonowym bunkrze wyglądało bowiem cholernie poważnie. Dokonano tam egzekucji mężczyzny w zielonej zimowej kurtce. Został po prostu zamordowany. Z zimną krwią zadano mu kilka skutecznych ciosów nożem. To nie była sprzeczka, która doprowadziła do szamotaniny. To była robota zawodowców z pierwszej ligi. Rzadko spotykana w Nebrasce. Ściśle mówiąc, nigdy.

Najpierw Goodman zadzwonił do FBI w Omaha, żeby ich uprzedzić. Był zbyt inteligentny, aby przejmować się wojną terytorialną. Potem zastanowił się jeszcze raz nad dwoma mężczyznami w czerwonym samochodzie. W kolorze strażackiej czerwieni, jak powiedział świadek.

Jaskrawoczerwonym. Wydawało się to bez sensu. Wóz był zbyt widoczny jak na profesjonalistów.

Zbyt charakterystyczny. Zbyt zauważalny. Dlatego prawdopodobnie ci dwaj ukryli gdzieś w pobliżu drugi samochód. Prawdopodobnie podjechali tam i się przesiedli.

Poza tym mężczyźni w sekundę mogli zdjąć czarne marynarki. Świadek nie był pewny, jakie mieli koszule. Przypuszczał, że białe. Zasadniczo. Albo kremowe. Może w prążki. Albo w kratkę.

Czy jeszcze jakieś inne. W każdym razie nie mieli krawatów. A może jeden z nich miał.

Tak więc Goodman jeszcze raz skontaktował się z drogówką oraz załogą helikoptera i uprościł komunikat: poszukiwał teraz dwóch mężczyzn poruszających się jakimkolwiek pojazdem.

Mężczyzna siedzący obok kierowcy odwrócił się i powiedział dość życzliwie:

- Jeżeli wolno zapytać, co się panu stało w twarz?
- Zderzyłem się z drzwiami - odrzekł Reacher.
- Naprawdę?
- Nie, tak naprawdę to potknąłem się i przewróciłem. Nic ciekawego. Zdarza się.
- Kiedy?
- Wczoraj wieczorem.
- Boli?
- Trochę, ale wystarczy aspiryna.

Facet odwrócił się jeszcze trochę i spojrzał na kobietę. A potem na kierowcę.

- Mamy jakąś aspirynę? Żeby mu pomóc?

Reacher się uśmiechnął. Zespół był gotowy rozwiązać każdy problem, mały czy duży.

- Proszę się nie przejmować - powiedział.

- Ja mam - odezwała się kobieta. Pochyliła się i podniosła torebkę stojącą na podłodze.

Poszperała w niej. Mężczyzna siedzący z przodu przyglądał się temu w napięciu. Wyglądał na bardzo przejętego. Za chwilę mieli osiągnąć wyznaczony cel. Kobieta wydobyła opakowanie aspiryny Bayera i wytrząsnęła z niego jedną tabletkę.

- Daj mu dwie - poradził ten siedzący z przodu. - Chyba mu się przydadzą. A zresztą, co tam, daj mu trzy.

Jego ton, zdaniem Reachera, był zbyt rozkazujący. Mógł nie pasować do analizy prowadzonej po zakończeniu zajęć grupowych. Pasażer z przodu stawiał kobietę w trudnej sytuacji. Może sama potrzebowała aspiryny. Może na coś cierpiała. Może krępowała się o tym mówić. Albo na przykład człowiek z przodu zastosował jakiś podwójny blef. Może był tak nieskazitelny pod każdym innym względem, że demonstrowanie władzy pod pozorem niewinnego entuzjazmu uchodziło mu na sucho.

- Jedna wystarczy, dzięki - powiedział Reacher.

Kobieta przechyliła dłoń, upuszczając mu na rękę pastylkę.

Mężczyzna z przodu podał mu butelkę wody. Zamkniętą i wciąż zimną, jakby przed chwilą wyjęto ją z lodówki. Reacher połknął tabletkę, odkręcił butelkę i upił duży łyk.

- Bardzo dziękuję - rzekł.

Oddał butelkę. Mężczyzna z przodu wziął ją i podsunął kierowcy, lecz ten bez słowa pokręcił głową. Patrzył na drogę i sunął naprzód, utrzymując prędkość w granicach sto - sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Reacher ocenił, że ma prawie metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ale był wąski w ramionach i odrobinę się garbił. Miał chudą szyję bez żadnego meszku. Musiał się niedawno ostrzyć, a strzygł się konserwatywnie. Na palcach nie nosił żadnych obrączek. Rękawy taniej niebieskiej koszuli były za krótkie. Na przegubie miał zegarek z cyferblatem pełnym małych skomplikowanych tarcz.

Mężczyzna siedzący obok niego był niższy, lecz lepiej zbudowany. Trudno było go nazwać grubym, ale mógłby przekroczyć tę granicę, gdyby jadał hamburgery częściej niż raz w tygodniu.

Miał gładką i różową twarz. Włosy jaśniejsze niż włosy kierowcy, ale tak samo krótko i niedawno ostrzyżone, poza tym zaczesane na bok jak u grzecznego ucznia. Jego koszula, niedawno wyjęta z opakowania, miała długie rękawy, była ciasna w pasie i luźna w ramionach. Skrzydełka kołnierzyka, wciąż idealnie trójkątne, wpijały się lekko w szyję.

Kobieta, gdy popatrzeć na nią z bliska, wyglądała na młodszą o rok czy dwa od mężczyzn.

Raczej bliżej czterdziestu niż czterdziestu pięciu lat. Kruczoczarne włosy nosiła upięte na czubku głowy w kok. Francuski albo rzymski. Reacher nie znał się na terminologii fryzjerskiej. Szczupła i chyba średniego wzrostu. Jej koszula była w mniejszym rozmiarze niż mężczyzn, lecz mimo to wydawała się luźna. Kobieta była ładna, choć jej uroda sprawiała wrażenie surowej i zasadniczej.

Wyglądała na zmęczoną i trochę zakłopotaną. Być może nie uległa czarowi korporacyjnych głupot.

Dlatego zdaniem Reachera była najlepsza z całej trójki.

Mężczyzna siedzący z przodu znów się odwrócił, wyciągając gładką, pulchną dłoń.

- A tak w ogóle jestem Alan King - przedstawił się.

Reacher uściśnął mu rękę, mówiąc:

- Jack Reacher.

- Miło mi pana poznać, panie Reacher.

- Wzajemnie, panie King.

- Don McQueen - przedstawił się kierowca, ale nie próbował podawać Reacherowi ręki.

- King i McQueen, co za przypadek - zauważył Reacher. - Król i królowa w jednym samochodzie.

- Się wie - mruknął King.

Kobieta wyciągnęła do Reachera rękę, drobniejszą, bledszą i bardziej kościstą od dłoni Kinga.

- Karen Delfuenso - powiedziała.

- Miło panią poznać, Karen - rzekł Reacher i podał jej rękę. Przytrzymała ją dłużej, niż się spodziewał. Nagle McQueen zdjął nogę z gazu i wszystkich lekko szarpnęło do przodu. Przed nimi jarzyły się światła stopu. Jak czerwony mur.

A w oddali błyskały czerwone i niebieskie światła mnóstwa radiowozów.

4

Dwa kroki do przodu, krok do tyłu. Weryfikacja i korekta. Szeryf Victor Goodman analizował kwestię zastępczego pojazdu, do którego, jak przypuszczał, przesiedli się dwaj mężczyźni. Starał się być na bieżąco w sprawach zawodowych, co nie zawsze było łatwe w tej zapadłej dziurze, ale mniej więcej rok temu przeczytał w pewnym artykule w biuletynie

Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, że w nocy kamerom monitoringu najtrudniej jest wychwycić kolor granatowy.

Granatowe płaszcze, czapki, samochody w ciemnościach nocy przypominały niewyraźne plamy.

Trudno było je zobaczyć, trudno było dostrzec ich zarys. Wprawdzie w okręgu Goodmana nie było żadnych kamer monitoringu, ale szeryf doszedł do wniosku, że z ludzkim okiem jest tak samo jak z obiektywem elektronicznego urządzenia. Doszedł też jednak do wniosku, że dwaj mężczyźni również mogą to wiedzieć. Wszystko wskazywało na to, że to profesjonaliści. Dlatego mogli ukryć w pobliżu granatowy samochód.

Albo i nie.

Co więc powinien zrobić?

Ostatecznie nie zrobił nic. Uznał, że to najrozsądniejsze wyjście. Jeżeli się mylił, nie było sensu prosić, żeby na blokadach zwracano szczególną uwagę na granatowe samochody. Pozostawił więc swój komunikat w niezmienionej formie: nadal poszukiwał dwóch mężczyzn poruszających się jakimkolwiek pojazdem.

W tym miejscu międzystanowa autostrada miała sześć pasów, a trzy pasy w kierunku wschodnim były zatłoczone samochodami sunącymi w żółtym tempie. Auta osobowe, terenowe, dostawcze toczyły się naprzód, hamowały, stawały, by znów powoli ruszyć. Zdenerwowany McQueen bębnił palcami w kierownicę. King cierpliwie i z rezygnacją patrzył przed siebie. Delfuenso także patrzyła na drogę, ale z niepokojem, jakby czuła, że się dokądś spóźni.

Ciszę przerwał Reacher, pytając:

- Dokąd państwo jedziecie?

- Do Chicago - odpowiedział King.

Reacher w głębi duszy się ucieszył. Z Chicago jeździło dużo autobusów. Sporo z nich odchodziło rano. Na południe przez Illinois, na wschód przez Kentucky, a niedaleko już Wirginia. Dobra wiadomość. Jednak nie powiedział tego głośno. Była noc i czuł, że należy się im słowo współczucia.

- To daleko - rzekł.

- Prawie tysiąc kilometrów - odparł King.

- A skąd jedziecie?

Samochód się zatrzymał, podjechał kawałeczek i znów stanął.

- Byliśmy w Kansas - powiedział King. - Wcześniej jechało się całkiem dobrze.

Żadnych opóźnień, mały ruch. Dopiero teraz. Zatrzymujemy się pierwszy raz od ponad trzech godzin.

- Nieźle.

- Mnie pan to mówi? Cały czas nie schodziliśmy poniżej setki. Don chyba pierwszy raz nadepnął na hamulec. Mam rację, Don?

- Wcześniej stanęliśmy tylko, żeby zabrać pana Reachera - potwierdził McQueen.

- No tak - zgodził się King. - Może wtedy czar prysnął.

- To służbowy wyjazd? - zainteresował się Reacher.

- Zawsze jeździmy służbowo.

- Jaka branża?

- Oprogramowanie.

- Naprawdę? - Reacher starał się być uprzejmy.

- Nie piszemy programów - wyjaśnił King. - Informatycy to amatorzy deskorolek i pizzy. My jesteśmy od sprzedaży.

- Ciężko pracujecie.

- Zawsze.

- Wyjazd na razie udany?

- Niezły.

- Myślałem, że to jakieś zajęcia integracyjne. Ćwiczenia czy coś w tym guście. Albo wypad na własną rękę.

- Nie, normalna praca.

- A te koszule?

King się uśmiechnął.

- Nowa moda korporacyjna. Piątkowy luz przez cały tydzień. Ale z wyraźnym logo firmy. Coś w rodzaju barw klubowych. Tak właśnie wygląda teraz rynek programów. Spora konkurencja.

- Mieszkacie w Nebrasce?

King skinął głową.

- Nawet całkiem niedaleko stąd. W Omaha jest teraz sporo firm komputerowych. O wiele więcej, niż można przypuszczać. Dobre środowisko biznesowe.

Samochód potoczył się naprzód, przyhamował, zatrzymał się i znowu ruszył. Reacher domyślał się, że to wóz McQueena. Nie z wypożyczalni. Ani nie firmowy. Za dużo śladów zużycia, za duży bałagan. W losowaniu musiało paść na McQueena. Facet został wyznaczony na kierowcę. A może podczas takich wyjazdów zawsze wyznaczano go na kierowcę? Może

stał nisko w hierarchii firmy.

A może po prostu lubił prowadzić. Wojownik dróg. Wojownik dróg, który odpoczywa od rodziny. Bo na pewno ma rodzinę. Bo to samochód rodzinny. Ale wskazywały na to nieliczne ślady. Były w nim rzeczy dziecka, lecz niewiele. Na podłodze leżała błyszcząca różowa gumka do włosów. Zdaniem Reachera dorosłe kobiety raczej takich nie nosiły. Na półeczce w środkowej konsoli tkwił mały pluszowy zwierzak. Większa część wypełnienia zabawki była spłaszczona, a futerko zlepione, jakby ktoś często gryzł zwierzaka. Reacher doszedł do wniosku, że to córka, która ma od ośmiu do dwunastu lat. Nie potrafił dokładniej określić jej wieku. Niewiele wiedział o dzieciach.

Dziecko miało też matkę albo macochę, a McQueen żonę albo dziewczynę. To nie ulegało wątpliwości. W całym samochodzie można było znaleźć ślady kobiety. We wnętrzu w środkowej konsoli, tuż obok pluszowego zwierzaka, leżało pudełko chusteczek w kwiatki i zużyta szminka. Na kluczyku kołysał się nawet kryształowy wisiołek. Reacher był niemal pewny, że gdyby miał węch, wyczułby na tapicerce woń perfum.

Zastanawiał się, czy McQueen tęskni za rodziną. Może był bardzo zadowolony. Może nie przepadał za rodziną. Nagle zza kierownicy padło pytanie:

- A pan? W jakiej branży pan działa, panie Reacher?
- Właściwie w żadnej.
- A więc pracuje pan dorywczo? Robi pan, co się trafi?
- Nawet nie.
- Jest więc pan bezrobotny?
- Ale wyłącznie z wyboru.
- Od kiedy?
- Odkąd wyszedłem z wojska.

McQueen nie odpowiedział, ponieważ co innego pochłonęło jego uwagę. Sznur samochodów przed nimi walczył o miejsce na prawym pasie, na który wszyscy zaczęli się wpychać.

Właśnie te manewry spowalniały i tamowały ruch. Pewnie kraksa, pomyślał Reacher. Może ktoś wpadł w poślizg, uderzył w barierę i odbijając się, zahaczył o kilka innych aut. Ale nie zauważył wozów strażackich. Ani karettek. Ani pomocy drogowej. Wszystkie migające światła znajdowały się na tej samej wysokości, na dachach samochodów. Było ich tyle i migotały tak szybko, że wyglądały jak wielka niebieskoczerwona świetlna fala.

Samochód znów posunął się naprzód. Jazda, stop, jazda, stop. Pięćdziesiąt metrów przed światłami McQueen włączył kierunkowskaz i wcisnął się na prawy pas. Reacher mógł

wreszcie zobaczyć powód zatoru.

To nie była kraksa.

To była blokada.

Najbliższy radiowóz stał zaparkowany pod kątem w poprzek lewego pasa, a drugi trochę dalej, pod takim samym kątem, w poprzek środkowego pasa. Obydwa przypominały strzałki wskazujące prawy pas, nie pozostawiając kierowcom wyboru, jak tylko zjechać na tę stronę. Na środkowym pasie równoległe do osi jezdni stały dwa wozy policyjne, naprzeciwko dwóch następnych zaparkowanych równoległe na poboczu drogi, a dalej jeszcze dwa, też ustawione pod kątem w taki sposób, aby zmusić kierowców do wykonania gwałtownego skrętu przez całą szerokość jezdni na lewy pas, skąd mogli się już swobodnie rozjechać i kontynuować podróż.

Dobrze zorganizowana akcja, pomyślał Reacher. Wszyscy musieli zwolnić z powodu korka, a potem wolno przejechać przez blokadę, bo na jej końcu był ostry zakręt w lewo. Przejazd przez wąski szpaler utworzony przez ustawione równoległe dwa radiowozy na środkowym pasie i dwa na poboczu umożliwił szczegółową i dokładną kontrolę każdego pojazdu. Tej blokady nie przygotował nowicjusz.

Tylko po co? Osiem radiowozów to nie było co. Reacher zauważył też strzelby w rękach policjantów. To nie była rutynowa kontrola. Nie sprawdzali numerów rejestracyjnych ani pasów bezpieczeństwa.

- Słuchaliście radia? - zapytał. - Coś się stało?

- Spokojnie - odparł King. - Coś takiego zdarza się od czasu do czasu. Pewnie ktoś uciekł z pudła. Mamy tu parę dużych więzień. Ciągle ktoś daje nogę. Bez sensu, nie? No bo to w końcu nic trudnego. Przecież mają tam zamki w drzwiach.

McQueen spojrział w jego odbicie w lusterku i powiedział:

- Mam nadzieję, że to nie pan.

- Co, nie ja? - zdziwił się Reacher.

- Nie uciekł pan chyba z więzienia?

W jego głosie można było wyczuć uśmiech.

- Nie. Na pewno nie ja.

- To dobrze - orzekł McQueen. - Bo wszyscy mielibyśmy kłopoty.

Niecierpliwa kolejka posunęła się odrobinę naprzód. Przez długi tunel tylnych i przednich szyb samochodów Reacher widział funkcjonariuszy. Mieli na głowach kapelusze, strzelby trzymali nisko, a latarki nad głowami. Oświetlali wnętrze każdego samochodu, omiatając światłem latarki przód, tył, górę i dół, licząc głowy pasażerów, patrząc na podłogę,

czasem zaglądną do bagażników. Potem usatysfakcjonowani odprawiali wóz machnięciem ręki i zabierali się do następnego.

- Nie martw się, Karen - odezwał się King, nie odwracając głowy. - Niedługo będziesz w domu.

Delfuenco nie odpowiedziała.

King zerknął na Reachera i wyjaśnił:

- Bardzo nie lubi wyjeżdżać.

Reacher milczał.

Wolno podjechali do przodu. Kontrola przed nimi przebiegała w taki sam sposób. W końcu Reacher zorientował się, na czym polega metoda. Policjanci zaglądali do bagażnika tylko wtedy, gdy w samochodzie siedział samotny mężczyzna. Co wykluczało teorię Kinga o uciekinierze z więzienia. Nie było powodu, dla którego zbiegły więzień nie mógłby się ukryć w bagażniku samochodu, którym podróżowały dwie osoby albo trzy czy cztery. Albo pięć, sześć czy jeszcze więcej. Bardziej prawdopodobne było to, że policja dostała sygnał o samotnym mężczyźnie przewożącym coś dużego i nielegalnego. Narkotyki, broń, bomby, kradzione rzeczy czy coś w tym rodzaju.

Znow podjechali do przodu. Ich samochód był już trzeci w kolejce. W dwóch autach przed nimi siedzieli tylko kierowcy - mężczyźni. W obydwu sprawdzono bagażniki. Obydwo pozwolono odjechać.

McQueen podjechał naprzód i zatrzymał się w miejscu wskazanym przez funkcjonariusza. Jeden z policjantów stanął przed maską i oświetlił latarką tablicę rejestracyjną. Podeszło czterech, po dwóch z każdej strony, i poświeciło do środka przez przednie i tylne okna, licząc pasażerów.

Następnie policjant przed maską odsunął się na bok, a ten stojący najbliżej McQueena dał mu znak, by odjechał, niecierpliwie machając mu ręką tuż przed nosem.

McQueen ruszył, mocno skręcając kierownicę w lewo, potem w prawo, a po chwili miał już przed sobą tysiąc kilometrów pustki. Odetchnął i usadowił się wygodnie, King obok niego odetchnął i usadowił się wygodnie, a McQueen wcisnął gaz i samochód ruszył z kopyta i pomknął na wschód, jakby nie było czasu do stracenia.

Minutę później Reacher dostrzegł po drugiej stronie bariery samochód zmierzający równie szybko w przeciwnym kierunku. Ciemny ford crown victoria z błyskającymi niebieskimi światłami za osłoną chłodnicy. Najwyraźniej wóz służb rządowych, który mknął na miejsce jakiegoś nagłego zdarzenia.

5

Ciemny ford crown victoria należał do biura terenowego FBI w Omaha. Agent dyżurny odebrał telefon od szeryfa Goodmana i natychmiast zareagował. Usłyszał od Goodmana słowo „zawodowcy”, co w terminologii FBI oznaczało przestępczość zorganizowaną, a przestępczość zorganizowana była dla FBI najsmaczniejszym kąskiem, ponieważ dzięki niej zyskiwało się renomę, zdobywało uznanie i awansowało. Tak więc niezwłocznie wysłano na miejsce dyżurującą pod telefonem agentkę, odznaczoną weterankę z dwudziestoletnim stażem w Biurze, o dużych umiejętnościach, dużym doświadczeniu i cieszącą się dużym szacunkiem.

Agentka nazywała się Julia Sorenson, miała prawie czterdzieści siedem lat i spędziła w Omaha prawie czterdzieści siedem szczęśliwych miesięcy. Omaha nie było Nowym Jorkiem ani Waszyngtonem, nie był też jednak zaściankiem. I nie Syberią. Bynajmniej. Z jakiegoś niewiadomego historycznego powodu zbrodnia szła szlakiem linii kolejowych, a w granicach Nebraski znajdowały się duże stacje rozrządowe, jedne z największych na świecie. Dlatego talent Sorenson się tu nie marnował. Nie dręczyły ją frustracje ani poczucie niespełnienia.

Siedząc za kierownicą, zadzwoniła na numer komórki szeryfa Goodmana, aby poinformować go, że już jedzie. Umówiła się z nim za godzinę na miejscu zdarzenia.

Goodman odebrał telefon w samochodzie. Zostawił na miejscu zdarzenia jednego zastępcę, żeby je zabezpieczył i pilnował świadka, a wszyscy pozostali funkcjonariusze pojechali ustawić blokady na lokalnych drogach okręgu. Sam szeryf pozostał jedynym patroliem bez przydzielonego zadania.

Krażył więc po okolicy, wypatrując jaskrawoczerwonego auta.

Jego okręg był duży, choć niezbyt skomplikowany pod względem geograficznym. Przed stu laty ktoś narysował na mapie kwadrat i taki kształt pozostał. Kwadrat był podzielony dwiema liniami: w poprzek dwupasmową drogą z lewa na prawo, z zachodu na wschód, oraz drugą dwupasmową drogą biegnącą prostopadle do pierwszej, z dołu do góry, z południa na północ. Drogi przecinały się w pobliżu środka kwadratu, tworząc skrzyżowanie, wokół którego wyrosło ośmiotysięczne miasteczko. Ruch lokalny w granicach okręgu z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód był niewielki, ponieważ osiemdziesiąt kilometrów na północ biegła równolegle autostrada międzystanowa, która przejmowała większą jego część. Ale z północy na południe i z południa na północ przemieszczało się

znacznie więcej pojazdów, bo autostrada międzystanowa przyciągała je i wypływała, generując duży ruch w obu kierunkach. Miejscowi przedsiębiorcy błyskawicznie zorientowali się w sytuacji i pięć kilometrów na północ od miasteczka powstał długi i nierówny ciąg usługowy ze stacjami benzynowymi, restauracjami, motelami, bistrami, sklepami całodobowymi i barami. Beztroscy obywatele uważali to miejsce za zwykłą dzielnicę handlową, a sztywniacy nazywali je Miastem Grzechu. Obowiązywały tam dokładnie te same normy, prawa i przepisy, co w pozostałej części okręgu, lecz od pięćdziesięciu lat panowała niepisana zasada, zgodnie z którą egzekwowano te normy, prawa i przepisy bardzo łagodnie. W rezultacie w bistrach można było znaleźć automaty do keno i jednoręki bandytów, w nocnych barach występowały striptizerki, krążyły plotki o prostytutce w motelach, a do okręgowej kasy płynęła szeroka rzeka podatków.

To był ruch dwukierunkowy, tak jak na dwupasmowej drodze.

Właśnie tam zmierzał Goodman. Nie z powodów natury moralnej, lecz po prostu dlatego, że dzielnica usługowa była ostatnim przystankiem przed odległą autostradą, gęsto przetykanym pustymi działkami, nieczynnymi od dawna firmami i pozbawionymi okien szarymi murami z pustaków. Gdyby ktoś chciał ukryć samochód i bez przeszkód się do niego przesiąść, w całym okręgu nie znalazłby lepszego miejsca.

Minął skrzyżowanie, zostawiając za sobą szacowne dzielnice. Za nim rozciągało się pole soi, a dalej, na odcinku pobocza długości czterystu metrów stały maszyny rolnicze z czwartej ręki.

Wszystkie były na sprzedaż, ale większość z nich czekała na kupca tak długo, że przeżarła je rdza.

Dalej znów rosła soja, a potem w oddali pojawiły się światła Miasta Grzechu. Przy wjeździe i wyjeździe znajdowały się stacje benzynowe, jedna po zachodniej, druga po wschodniej stronie drogi, ogromne jak parkingi dla osiemnastokółowców przy stadionach. Każda była oświetlona latarniami na wysokich słupach i oznaczona firmowym logo umieszczonym tak wysoko, aby można je było dojrzeć z odległości paru kilometrów. Między stacjami ciągnął się rząd restauracji, moteli, sklepów, bistr i barów, stojących po obu stronach drogi pod przypadkowym kątem. Niektóre były oświetlone, inne nie, a każdy budynek otaczał parking wysypany tłuczonymi kamieniami. Niektóre przetrwały pięćdziesiąt lat, inne już dawno zostały zamknięte i porosły chwastami.

Goodman zaczął od wschodniej strony drogi. Skręcił za restaurację, do której od czasu do czasu chodził, jadąc powoli i prowadząc jedną ręką, a drugą trzymając wewnętrzny uchwyt szperacza umieszczonego na słupku przy przedniej szybie radiowozu i sprawdzając

zaparkowane samochody. Objechał budynek z tyłu, mijając pojemniki na śmieci, a potem ruszył dalej, zrobił pętlę wokół bistra, sprawdził motel i niczego nie znalazł. Na stacji benzynowej w pobliżu stanowisk wymiany oleju stało kilka sedanów z pogiętymi błotnikami, ale żaden nie był jaskrawoczerwony, a sądząc po warstwie brudu na szybach, były tam od dłuższego czasu.

Goodman przepuścił jadące z przeciwka samochody, po czym zawrócił i ruszył zachodnią stroną drogi, zaczynając od północnego końca, gdzie pierwsze stało bistro zbudowane przed mniej więcej dwudziestu laty z pustaków, dziś pomalowanych na kremowo. Budynek nie miał okien. Tylko wywietrzniki na dachu przypominające grzyby. W pobliżu nie znalazł żadnych czerwonych aut.

Następny w kolejności był bar, dość czysty i cieszący się opinią najbardziej porządnego lokalu w Mieście Grzechu. Goodman zrobił ósemkę wokół frontu. Szperacz nieco się spóźnił, ale po chwili odnalazł to, czego szukał szeryf.

Za budynkiem stał równiutko zaparkowany zagraniczny jaskrawoczerwony samochód.

6

Reacher przechylił się odrobinę w prawo, aby zza głowy Dona McQueena spojrzeć przez przednią szybę na drogę. Niemal wbił się przy tym ramieniem w Karen Delfuenso, która się odsunęła i oparła o drzwi po swojej stronie, aby zachować bezpieczną odległość. Reacher zobaczył szeroki łańcuch świateł reflektorów, a dalej nic, tylko ciemność, w której hen przed nimi majaczyła samotna para czerwonych świateł. Według prędkościomierza jechali sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Wskaźnik paliwa pokazywał, że bak jest w trzech czwartych pełny, a wskaźnik temperatury - prawidłowy poziom.

Pokrywą poduszki powietrznej zdobiło logo z charakterystyczną muszką, co oznaczało, że jadą chevroletem. Samochód miał na liczniku trochę ponad sto tysięcy. Nie był nowy, ale i niezbyt stary. Sunął autostradą całkiem gładko.

Reacher się wyprostował, Delfuenso zrobiła to samo. Alan King wykonał półobrót na fotelu i powiedział:

- Mój brat służył w wojsku. Peter King. Może go pan znał?

- To bardzo duża instytucja - odparł Reacher.

King uśmiechnął się, nieco zmieszany.

- Jasne - rzekł. - Głupia uwaga.

- Ale często się ją słyszy. Każdy zakłada, że wszyscy się znamy. Nie wiem dlaczego.

Ilu ludzi na przykład mieszka tam, gdzie pan?

- Chyba z półtora miliona.
- Zna pan ich wszystkich?
- Nie znam nawet swoich sąsiadów.
- No właśnie. W jakiej formacji służył pana brat?
- W artylerii. Pojechał na pierwszą wojnę w Zatoce.
- Ja też.
- No więc może jednak go pan znał.
- Pojechało nas tam pół miliona. Tłum. Nigdy nie widziałem tak wielkiej akcji.
- Jak tam było?
- Brat panu nie mówił?
- Nie rozmawiamy ze sobą.
- Gorąco. To zapamiętałem najlepiej.
- A pan w jakiej formacji służył?
- Byłem gliną. W żandarmerii. W sekcji dochodzeń kryminalnych, całe życie.

King ni to wzruszył ramionami, ni to skinął głową i nie odpowiedział. Odwrócił się i spojrzał przez szybę w ciemność.

Za oknami mignęła tablica stojąca przy drodze: Witamy w Iowa.

Szeryf Goodman skierował samochód na parking za budynkiem baru i włączył długie światła.

Zagraniczne auto nie było toyotą ani hondą, ani kia, ani hyundaiem. To była mazda. Dokładnie mówiąc, mazda 6. Pięciodrzwiowy hatchback, lecz z elegancko wyprofilowanym tyłem, przez co samochód do złudzenia przypominał czterodrzwiowego sedana. Nowy model. W kolorze strażackiej czerwieni. Pusty, ale jeszcze nie było na nim widać śladów rosy. Zostawiono go tu niedawno.

Po obu stronach mazdy było dużo wolnych miejsc. Za nią rozciągał się pięćdziesięciometrowy kawałek porośniętego chwastami żwiru, a dalej prawie nic, aż do przedmieść Denver ponad tysiąc kilometrów na zachód. Samochód stał zwrócony maską do tylnych drzwi baru - stalowego prostokąta w burym otynkowanym murze.

Dobre miejsce. Mało widoczne. Żadnych świadków. Goodman wyobraził sobie, jak dwaj mężczyźni wysiadają z mazdy, zrzucają marynarki, podchodzą do drugiego wozu, wsiadają i odjeżdżają.

Do jakiego wozu?

Nie miał pojęcia.

Dokąd odjeżdżają?

Nie na wschód ani na zachód, bo nie mogliby się wydostać z okręgu, nie jadąc najpierw na południe, do skrzyżowania, a żaden uciekinier nie jechałby w stronę miejsca zbrodni. Nie było więc wątpliwości, że ruszyli dalej na północ. Bo tam, za ciemnym horyzontem, czekała na nich autostrada międzystanowa, przyciągając ich jak wielki magnes.

Dlatego już dawno zniknęli. Albo zdążyli przekroczyć granice okręgu kilka minut przed ustawieniem północnej blokady, albo przedostali się przez nią niezauważeni kilka minut później, gdy zastępcy szeryfa nadal szukali jaskrawoczerwonego samochodu.

Z winy Goodmana, który doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Szeryf połączył się przez radio ze swoimi ludźmi i polecił im zlikwidować blokady na lokalnych drogach. Wyjaśnił dlaczego. Kazał dwóm funkcjonariuszom zabezpieczyć teren za barem, a pozostałym wracać do swoich obowiązków. Skontaktował się z dyżurnym drogówki, ale nie usłyszał dobrych wiadomości. Spojrzał na zegarek, obliczając czas, odległość i prędkość, a potem nabrał powietrza i je wypuścił, wrzucił bieg i ruszył na miejsce zdarzenia, gotowy na spotkanie z agentką specjalną Julią Sorenson.

To jego wina.

Dwaj mężczyźni opuścili stan. Teraz to problem FBI.

7

Julia Sorenson bez trudu odnalazła skrzyżowanie, lecz nie było w tym nic dziwnego, ponieważ GPS wskazywał, że to jedyny tego typu element kartograficzny w promieniu wielu kilometrów.

Zgodnie z instrukcją skręciła w prawo i pojechała sto metrów na zachód w kierunku kręgu światła, gdzie zobaczyła betonowy bunkier, obok którego stał samochód szeryfa i radio wóz zastępcy.

Miejsce zdarzenia wyglądało dokładnie tak, jak je opisano.

Bardziej rozumiała obecność samochodów niż bunkra. Były to fordys crown victoria, takie same jak jej wóz, ale w barwach policji okręgowej, wyposażone w osłony zderzaków z przodu i z tyłu oraz belki ze światłami na dachu. Trudniej było wytłumaczyć, skąd wziął się bunkier. Prostokątny, długości może sześciu metrów, szerokości czterech i pół i wysokości trzech. Miał płaski betonowy dach i żadnych okien. Drzwi były metalowe, wygięte, porysowane i odrapane. Cały budynek wyglądał na wysłużony i zapadający się ze starości. Beton został zniszczony przez wiatr i deszcz, był pełen odprysków i dziur, czasem wielkości pięści. Prześwitywały spod niego brązowe kamienie, niektóre gładkie, inne popękane i wy

szczerbione.

Agentka zaparkowała za radiowozem zastępcy szeryfa i wysiadła. Była wysoką kobietą w wyraźnie skandynawskim typie, raczej przystojną niż ładną, o popielatoblond włosach, których kolor był prawie naturalny. Miała na sobie czarne spodnie, niebieską bluzkę i czarną kurtkę, na nogach solidne czarne buty, a na ramieniu torebkę w kształcie gruszki, w której nosiła różne potrzebne rzeczy, z wyjątkiem pistoletu, tkwiącego w kaburze na lewym biodrze, oraz portfela z odznaką w kieszeni.

Wyjęła portfel, otworzyła go i podeszła do szeryfa. Według jej oceny mógł być starszy od niej około dwudziestu lat. Mocno zbudowany, ale niewysoki, wyglądał jak trzy czwarte futbolisty.

Nieźle jak na jego wiek. Miał na sobie zimową kurtkę narzuconą na koszulę mundurową. Nie nosił rękawiczek, mimo że noc była chłodna. Podali sobie ręce i przez chwilę stali w milczeniu przed bunkrem, jakby zastanawiali się, od czego zacząć.

- Pierwsze pytanie - odezwała się Sorenson. - Co to za budynek?

- Stara pompownia - wyjaśnił Goodman. - Wydobywała wodę z warstwy wodonośnej.

- Już nie działa?

Goodman skinął głową.

- Zwierciadło wody się obniżyło. Trzeba było wykopać głębszą dziurę. Nowa pompa jest półtora kilometra stąd.

- Denat ciągle tam jest?

Goodman znów skinął głową.

- Czekaliśmy na panią.

- Kto tam wchodził?

- Tylko ja i lekarz.

- Jest dużo krwi.

- Dużo - zgodził się Goodman.

- Wszedł pan w tę kałużę?

- Musieliśmy. Trzeba było sprawdzić, czy ten człowiek rzeczywiście nie żyje.

- Czego dotykaliście?

- Tylko szyi i nadgarstka, żeby zbadać puls.

Sorenson ukucnęła i otworzyła swoją gruszkowatą torbę.

Wyjęła z niej plastikowe ochraniacze na buty, lateksowe rękawiczki i aparat fotograficzny.

Postawiła jedną stopę w lepkiej kałuży i otworzyła drzwi bunkra. Jeden zawias wydał

przerażliwy pisk, drugi jęk. Obydwa dźwięki zabrzmiały jak zawodzenie upiora. Sorenson postawiła drugą stopę w kałuży krwi.

- W środku jest światło - powiedział Goodman.

Namaciała wyłącznik. Zapaliła się naga żarówka w drucianej kratce. Stara kratka, stara żarówka. Chyba dwustuwatowa. Z przezroczystego szkła. Dawła ostre, jasne, prostopadłe światło. Sorenson zobaczyła kikuty dwóch starych grubych rur wychodzących z podłogi, w odległości mniej więcej trzech metrów od siebie. Obie miały średnicę około trzydziestu centymetrów i kiedyś były pomalowane szarozieloną farbą, która teraz łuszczyła się płatami, ukazując plamy rdzy. Obie rury były otwarte u góry i kończyły się szerokimi kołnierzami w miejscach, gdzie kiedyś łączyły je śruby. Dawno zdemontowana część sieci wodociągowej.

Sorenson przypuszczała, że przez wiele lat woda gruntowa płynęła jedną rurą i była pompowana dalej przez drugą, leżącą poziomo pod ziemią, do wieży ciśnień, która musiała się znajdować gdzieś w pobliżu. Ale pewnego dnia pompy zaczęły wysysać osuszone skały i przyszła pora na nowy odwiert. Potrzeby ludności, nawadnianie, instalacje wodociągowe. Sorenson czytała materiały informacyjne. Ponad jedenaście bilionów litrów wody podziemnej rocznie, największe zasoby zaraz po Teksasie i Kalifornii.

Rozglądała się dalej.

Podłogę wokół rur pokrywał stary pył, na jednej ścianie była zamontowana przemysłowa tablica rozdzielcza sprzed kilku pokoleń, a na drugiej wyblakły schemat pokazujący charakter i przeznaczenie urządzeń hydraulicznych, które kiedyś łączyły jeden zielony kikut z drugim. I to tyle, jeśli chodzi o elementy stałej instalacji.

Do stałej instalacji nie należał denat i jego krew. Leżał na wznak z łokciami i kolanami zgiętymi tak, że wyglądał jak karykatura człowieka wykonującego jakiś staromodny taniec. Jego twarz była zalana krwią, jego brzuch był zalany krwią, leżał w jeziorze krwi. Miał około czterdziestu lat, choć trudno to było ocenić. Był ubrany w zimową kurtkę z grubej zielonej bawełny, watowaną i impregnowaną, niezbyt starą, ale i nie nową. Kurtka nie była zapięta na zamek ani guziki. Była rozchylona, ukazując szary sweter i kremową koszulę w kratkę. Sweter i koszula wyglądały na wytarte i brudne. I sweter, i koszulę wyciągnięto mu ze spodni, a potem podciągnięto na klatkę piersiową.

Mężczyzna miał dwie rany zadane nożem. Pierwszą było poprzeczne cięcie na czole dwa centymetry nad brwiami. Drugą poszarpana rana kłuta z prawej strony brzucha, mniej więcej na wysokości pępka. Krew pochodziła przede wszystkim z drugiej rany. Chlusnęła jak z fontanny.

Pępek wyglądał niczym napaśtek pełen schnącej farby.

- Co pan o tym myśli, szeryfie? - spytała Sorenson.

- Zacięli go w czoło, żeby go oślepić - odrzekł Goodman zza drzwi. - Strumień krwi zalał mu oczy. Stara sztuczka nożowników. Dlatego uznałem, że to robota zawodowców. Potem już poszło łatwo. Podciągnęli mu koszulę, wbili nóż pod żebra i obrócili go w ranie. Ale za mało skutecznie.

Umierał przez kilka minut.

Sorenson pokiwała głową. Stąd tyle krwi. Jego serce wciąż biło, bohatersko, ale nada remnie.

- Wie pan, kto to jest? - zapytała.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem.

- Dlaczego podciągnęli mu koszulę?

- Bo to zawodowcy. Nie chcieli, żeby ostrze zahaczyło o ubranie.

- Racja - przytaknęła Sorenson. - To musiał być długi nóż, nie sądzi pan? Żeby stąd sięgnął aż do klatki piersiowej.

- Jakież dwadzieścia centymetrów.

- Świadek widział nóż?

- Nie mówił. Ale może go pani sama zapytać. Czeka w radiowozie. Żeby nie zmarł.

- Dlaczego go nie zastrzelili? - zastanawiała się Sorenson. - Jeżeli to robota profesjonalistów, można by się raczej spodziewać dwudziestkidwójki z tłumikiem.

- W zamkniętej przestrzeni to i tak dużo hałasu.

- W okolicy przecież nic nie ma.

- No więc nie wiem, dlaczego nie strzelali - powiedział Goodman.

Sorenson zaczęła robić zdjęcia, najpierw ciała, na szerszym tle, potem zbliżenia szczegółów.

- Zgodzi się pan, że bym poruszyła zwłoki? - spytała. - Chcę sprawdzić, czy ma dokumenty.

- To teraz pani sprawa - odrzekł Goodman.

- Moja?

- Sprawcy są już poza granicami stanu.

- Jeżeli pojechali na wschód.

- Nawet jeżeli pojechali na zachód, to tylko kwestia czasu. Wszystko wskazuje na to, że przedostali się przez blokady.

Sorenson nie odpowiedziała.

- Przesiedli się do innego samochodu - dodał Goodman.

- Albo samochodów - poprawiła go Sorenson. - Mogli się rozdzielić i wyjechać osobno.

Goodman pomyślał o dwóch pustych miejscach po obu stronach zaparkowanej za barem mazdy.

Pomyślał o ostatecznej wersji swojego komunikatu: Poszukiwani są dwaj mężczyźni poruszający się jakimkolwiek pojazdem.

- Nie wziąłem pod uwagę takiej możliwości - przyznał. - Schraniłem sprawę.

Sorenson nie próbowała dodawać mu otuchy. Obeszła ogromną kałużę krwi i kucnęła w najsuchszym miejscu, jakie udało jej się znaleźć. Wyciągnęła do tyłu lewą rękę, żeby nie stracić równowagi, a prawą zaczęła dotykać i obszukiwać zwłoki. W kieszeni koszuli nic nie było. Nic w kurtce, ani w zewnętrznych, ani w wewnętrznych kieszeniach. Palce gumowych rękawiczek zrobiły się czerwone. Poklepała kieszenie spodni. Też nic.

- Szeryfie! Będzie mi pan musiał pomóc! - zawołała. Goodman wszedł na palcach do bunkra, ostrożnie stawiając nogi bokiem, jakby balansował na gzymsie kilkaset metrów nad ziemią.

- Niech pan wsunie palec w szlufkę i spróbuje go odwrócić - poprosiła Sorenson. - Muszę sprawdzić tylne kieszenie. Goodman kucnął naprzeciwko niej, w odległości wyciągniętej ręki od ciała, i zaczepił palec o szlufkę w spodniach ofiary. Odwrócił twarz i pociągnął. Martwy mężczyzna przekręcił się na bok. Krew zachlupotała i pociekła, ale powoli, ponieważ już krzepła i mieszała się z pyłem na posadzce, tworząc gęstą papkę. Ręka Sorenson w lateksowej rękawiczce wystrzeliła jak dłoń kieszonkowca, grzebiąc, klepiąc i myszkując.

Tam też nic nie było.

- Nie ma dokumentów - stwierdziła. - A więc na razie mamy niezidentyfikowaną ofiarę. Czyż życie nie jest wspaniałe?

Goodman puścił szlufkę i zwłoki opadły na wznak.

8

Jack Reacher nie miał wykształcenia prawniczego, ale jak wszyscy czynni gliniarze nauczył się tego i owego o prawie, głównie o jego stosowaniu w praktyce, o różnych sztuczkach i kruczkach.

Poznał też obszary, o których prawo milczy.

Na przykład: nie istnieje prawo, zgodnie z którym ludzie zabierający autostopowiczów muszą mówić prawdę.

Reacher nauczył się też, że czasem ludziom trudno jest się oprzeć niewinnym fantazjom. Był to chyba jeden z najważniejszych powodów, dla których w ogóle kierowcy się zatrzymywali.

Podróżował już z biurowymi gryzipiórkami twierdzącymi, że są menedżerami, z menedżerami, którzy podawali się za przedsiębiorców, i z przedsiębiorcami twierdzącymi, że znakomicie prosperują; z pracownikami podającymi się za właścicieli firm, z pielęgniarkami podającymi się za lekarki i z lekarzami podającymi się za doświadczonych chirurgów. Ludzie lubili czasem rozwinąć skrzydła. Mieli ochotę na godzinę czy dwie wejść w życie kogoś innego, skosztować go, wypróbować jak tekst nowej roli, przez chwilę pławić się w jej blasku.

Nie popełniali żadnego przestępstwa, nikomu nie robili krzywdy.

Chcieli się tylko rozerwać.

Kłamstwa Alana Kinga były jednak inne.

W tym, co mówił, nie próbował przedstawić się w lepszym świetle. Nie chciał uchodzić za kogoś ważniejszego, lepszego, bardziej inteligentnego czy atrakcyjnego. Używał głupich, banalnych wykrętów bez żadnego uzasadnionego powodu.

Na przykład: niebieskie dżinsowe koszule nie były firmowe. Nie były atrakcyjnym, odprasowanym strojem z logo wyhaftowanym nad kieszenią. Nikt ich wcześniej nie nosił ani nie prał. Pochodziły ze sklepu z tandetą, wzięto je prosto z półki i wyciągnięto z opakowań. Reacher dobrze o tym wiedział, bo sam nosił takie koszule.

Na przykład: King twierdził, że nie zatrzymywali się od trzech godzin, ale wskaźnik poziomu paliwa pokazywał trzy czwarte. To by oznaczało, że chevrolet może jechać przez dwanaście godzin na jednym baku. A więc przy prędkościach na autostradzie mogłoby pokonać tysiąc sześćset kilometrów. Co było niemożliwe.

I jeszcze jedno: woda, którą King mu dał, żeby popił aspirynę od Karen Delfuenso, była zimna, jak właśnie wyjęta z lodówki. Po trzech godzinach w samochodzie, w którym ogrzewanie hulało na cały regulator, byłoby to niemożliwe.

Kłamstwa.

Na przykład: King twierdził, że mieszka gdzieś w Nebrasce, ale potem powiedział, że jego miasto ma półtora miliona mieszkańców. To niemożliwe. Cała populacja Nebraski liczy około półtora miliona. Omaha ma czterysta tysięcy mieszkańców, a Lincoln dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

W całych Stanach Zjednoczonych jest tylko dziewięć miast z liczbą ludności przekraczającą milion, a osiem z nich zamieszkuje zdecydowanie mniej lub zdecydowanie

więcej niż półtora miliona. Najbliżej tej liczby jest Filadelfia.

Czyżby ta trójka pochodziła właśnie z Filadelfii? A może King miał na myśli obszar metropolitalny? W takim przypadku Filadelfia byłaby za duża, ale pojawiłoby się znacznie więcej miast kandydatów. W grę mogłyby wchodzić Las Vegas albo Columbus, albo Milwaukee, albo San Antonio lub aglomeracja Norfolk Virginia Beach Newport News.

Na pewno jednak żadne miasto w Nebrasce.

Absolutnie żadne.

I dlaczego Karen Delfuenso nic nie mówi? Powiedziała tylko „ja mam”, kiedy padło pytanie o aspirynę, i wymieniła swoje imię i nazwisko, gdy wszyscy się przedstawiali. Potem już się nie odezwała. Reacher potrafił milczeć przez długie godziny, ale nawet on próbował nawiązać uprzejmą rozmowę. Delfuenso sprawiała wrażenie osoby, która chętnie przyłączyłaby się do takich towarzyskich konwenansów, jednak tego nie zrobiła.

Dlaczego?

To nie mój problem, pomyślał Reacher. Jego problem to znaleźć autobus jadący do Wirginii.

Zbliżał się do tego celu z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę, ponad trzy metry na sekundę. Opadł na oparcie i przymknął oczy.

Julia Sorenson podskakiwała przed bunkrem, zdejmując z butów plastikowe ochraniacze, które następnie schowała do szczelnej torebki razem z rękawiczkami. Niewykluczone, że są na nich dowody, zresztą na pewno niebezpieczne dla środowiska. Następnie wyszperała telefon i wezwała armię ekspertów medycyny sądowej i kryminalistyki FBI.

Jej sprawa.

Wsiadła do radiowozu zastępcy szeryfa, gdzie na tylnym siedzeniu czekał świadek zdarzenia. Nie było sensu wyciągać biedaka na ziąb. Goodman usiadł z przodu, a zastępca odwrócił się do nich zza kierownicy. Była to normalna narada dwóch par rozdzielonych kulo odporną przegrodą.

Świadek miał około pięćdziesięciu lat i gęsty zarost, nie wyglądał na szczególnie zadbanego i był ubrany w zimowy strój roboczy. W jego relacji pojawiło się wiele nieścisłości, których Sorenson się spodziewała. Doskonale zdawała sobie sprawę z wad zeznań naocznych świadków. Kiedy była na szkoleniu w Quantico, wysłano ją na przesłuchanie lekarza podejrzanego o oszustwa ubezpieczeniowe. Czekala na swoją kolej w zatłoczonej poczekalni. W pewnej chwili wpadł tam uzbrojony złodziej, który chciał ukraść

leki z gabinetu. Wbiegł, strzelił, przemknął przez salę i wybiegł. Potem oczywiście dowiedziała się, że napad od początku do końca był zainscenizowany.

Lekarz był aktorem, bandyta był aktorem, pistolet załadowano ślepakami, a w poczekalni siedzieli wyłącznie agenci odbywający szkolenie. Nie potrafili uzgodnić rysopisu złodzieja. Nie wiedzieli, jak wyglądał. Niski czy wysoki, gruby czy chudy, czarny czy biały - nikt nie pamiętał. Od tamtego ranka Sorenson zaczęła traktować zeznania naocznych świadków z pewną rezerwą.

- Widział pan, jak ten człowiek w zielonej kurtce się tu zjawił? - zapytała.

- Nie - odrzekł świadek. - Widziałem go tylko na chodniku, jak szedł w stronę starej pompowni, tam.

- Widział pan, jak przyjechał czerwony samochód?

- Nie. Kiedy patrzyłem, już tam stał.

- Siedzieli w nim mężczyźni w czarnych garniturach?

- Nie, oni też byli na chodniku.

- Szli za tamtym?

Mężczyzna skinął głową.

- Jakież cztery metry za nim. Może pięć.

- Potrafi ich pan opisać?

- Po prostu dwóch ludzi. W garniturach.

- Starzy? Młodzi?

- Ani starzy, ani młodzi. Po prostu faceci.

- Niscy? Wysocy?

- Średni.

- Czarni czy biali?

- Biali.

- Grubi czy chudzi?

- Średni.

- Przypomina pan sobie jakieś znaki szczególne? - dopytywała się Sorenson.

- Nie wiem, co to znaczy - odparł mężczyzna.

- Mieli coś charakterystycznego na twarzy? Brody, blizny, kolczyki? Tatuże? Tego typu cechy.

- Nie, normalni faceci.

- Pamięta pan kolor włosów? Jasny czy ciemny?

- Włosów? - powtórzył mężczyzna. - Nie wiem. Mieli chyba włosy w normalnym kolo

rze.

- Widział pan u nich nóż, kiedy tam weszli?

- Nie.

- Widział pan nóż, kiedy wyszli?

- Nie.

- Mieli na sobie ślady krwi?

- Chyba jeden miał na marynarce mokre ślady w paru miejscach. Ale były czarne, nie czerwone.

Jakby od wody. Na czarnym garniturze tak to wyglądało.

- Światła na ulicy są żółte - stwierdziła Sorenson. Mężczyzna spojrział przez okno, jakby chciał to potwierdzić, i powiedział:

- Tak.

- A więc krew w żółtym świetle mogła się wydawać czarna.

- Chyba tak.

- Czerwony samochód należał do tych dwóch mężczyzn?

- Wsiedli do niego, proszę pani.

- Ale jakie sprawiali wrażenie, kiedy wsiadali? Zachowywali się w nim pewnie i swobodnie? Czy może nie bardzo się orientowali, gdzie co jest?

Goodman spojrział na nią pytająco z przedniego siedzenia. Sorenson wyjaśniła:

- Denat nie miał nic w kieszeniach. Nie miał też kluczyków do samochodu. Jak się tu dostał?

Może czerwony samochód należał do niego.

- A jak tamci dwaj się tu dostali? - spytał Goodman. - Przecież nie przyszli pieszo. Jest zimno, a oni nie mieli kurtek.

- Może przyjechali wszyscy razem?

- Nie wiem, proszę pani - powiedział świadek. - Wsiedli do wozu i odjechali. Tylko tyle widziałem.

Goodman puścił świadka do domu, a potem zawiózł Sorenson na północ, żeby obejrzała porzucony czerwony samochód.

9

Oczy Reachera były zamknięte, jego nos nie działał, a niedobór sensoryczny rekom pensowały mu smak, słuch i dotyk. Czuł w ustach smak żelaza i miedzi w miejscu, gdzie do gardła spływała mu krew. Pod opuszkami palców prawej dłoni czuł mikroskopijną szorstkość

gęstej, syntetycznej tapicerki na tylnej kanapie samochodu, przypominającej mysia sierść. Lewa ręka spoczywająca na kolanach dotykała włóknistej faktury grubej bawełny spodni, wciąż śliskich od środków chemicznych, którymi producent potraktował tkaninę. Słyszał głośny wizg opon na betonowych płytach, warkot silnika, szum pasków klinowych i świst powietrza opływającego przednie słupki i boczne lusterka. Słyszał odgłos uginających się sprężyn foteli, kiedy pasażerowie w czasie jazdy unosili się na nich o kilka milimetrów. Słyszał równy i opanowany oddech skupionego Dona McQueena. Karen Delfuenso oddychała trochę niespokojnie, a oddech Alana Kinga stał się krótszy i szybszy. Facet musiał się nad czymś zastanawiać. Był bliski podjęcia jakiejś decyzji. Reacher usłyszał tarcie tkaniny o nadgarstek. King patrzył na zegarek.

Po chwili się odwrócił, a Reacher otworzył oczy.

- Naprawdę zależy mi, żeby dotrzeć do Chicago przed świtem - powiedział King.

Mnie pasuje, pomyślał Reacher. Rano z Chicago odchodzi dużo autobusów. Na południe przez Illinois, na wschód przez Kentucky, a dalej już jest Wirginia.

- Powinno się udać - odrzekł. - Jedziemy dość szybko. Jest zima. Świt będzie późno.

- Plan był taki, żeby Don prowadził przez pierwszą połowę drogi, a ja przez drugą. Myślę sobie teraz, że powinniśmy we trzech. Pan mógłby jako drugi.

- Nie Karen? - zdziwił się Reacher.

Delfuenso nie odpowiedziała.

- Karen nie prowadzi - wyjaśnił King.

- W porządku - zgodził się Reacher. - Zawsze chętnie pomagam.

- Tak będzie bezpieczniej.

- Jeszcze nie widział mnie pan za kierownicą.

- Droga jest pusta, prosta i szeroka.

- W porządku - powtórzył Reacher.

- Zmienimy się na najbliższym postoju na stacji benzynowej.

- Czyli kiedy?

- Niedługo.

- Jak to? Jedziecie już trzy godziny, ale bak jest jeszcze w trzech czwartych pełny.

Przy takim zużyciu trzeba by zatankować gdzieś w połowie drogi do Nowego Jorku. Może na wet i dalej.

King milczał przez chwilę. Zaskoczony mrugał energicznie. Wreszcie powiedział:

- Spostrzegawczy z pana człowiek, panie Reacher.

- Staram się.

- To mój samochód - ciągnął King. - Może mi pan wierzyć, że dobrze znam jego dziwactwa i kaprysy. Wskaźnik poziomu paliwa jest popsuty. Źle działa. Wskazuje prawidłowo tylko na początku, zaraz po zatankowaniu do pełna.

Reacher nie odpowiedział.

- Niech mi pan wierzy, niedługo będziemy musieli się zatrzymać - dodał King.

Dwaj zastępcy szeryfa zabezpieczający teren za barem zaparkowali radiowozy ukosem do siebie, pod podobnym kątem, dość daleko od czerwonej mazdy, jakby samochód stanowił zagrożenie. Jakby był radioaktywny albo miał zaraz eksplodować. Goodman skierował swojego forda crown victoria przodem do wyznaczonego przez radiowozy zamkniętego trójkąta i zatrzymał się ponad pięć metrów od celu.

- Zakładam, że tu nie zgłosili się żadni świadkowie? - powiedziała Sorenson.

- Nie mam dzisiaj urodzin - odparł Goodman. - Ani nie zbiegły mi się wszystkie moje Boże Narodzenia.

- Ten bar też jest opuszczony?

- Nie, ale zamykają o północy. To przyzwoity lokal.

- W porównaniu z czym?

- Z innymi barami w okolicy.

- O której zaparkowano ten czerwony wóz?

- Najwcześniej? Na pewno nie przed dwudziestą czwartą dwadzieścia. Za późno na świadków.

- Przypuszczam, że nigdy nie pracował pan w żadnym barze, prawda?

- Nie, nigdy. Dlaczego pani pyta?

- Nawet jeżeli klienci o północy wracają do domu, to nie znaczy, że personel też wychodzi. Może pan być pewny, że jakaś biedna naiwna kelnerka zostaje trochę dłużej. Zna pan właściciela?

- Oczywiście.

- No to niech pan do niego zadzwoni.

- Do niej - sprostował Goodman. - Missy Smith. Jest tu od zawsze. Znana postać. Nie będzie zadowolona, jeżeli ją obudzę.

- A ja nie będę zadowolona, jeżeli jej pan nie obudzi - powiedziała Sorenson.

Goodman wystukał numer i ciężkim krokiem zbliżył się do swojego samochodu, podczas gdy Sorenson poszła przyjrzeć się mazdzie. Miała numery rejestracyjne z Karoliny Północnej, a na tylnej szybie pasek z kodem kreskowym, wewnątrz wyglądało na czyste i

zadbane. Sorenson przekazała numer rejestracyjny i numer nadwozia do swojego biura w Omaha, widząc, jak szeryf Goodman zapisuje coś na ręce długopisem, przytrzymując ramieniem telefon przy uchu. Po chwili schował długopis, zakończył rozmowę i powiedział do niej:

- Missy Smith wyszła stąd dokładnie o północy razem z ostatnimi klientami.

W jego głosie nie brzmiała jednak nuta triumfu. Żadnego: „a nie mówiłem?”.

- No i?

- Jedna z kelnerek została, żeby posprzątać. Zdaje się, że robią to na zmianę. Codziennie którejś płaci się ekstra, żeby pracowała do wpół do pierwszej.

- I na ręce zapisał pan jej numer?

- Zgadza się. Numer jej komórki.

- Mazda jest z wypożyczalni - stwierdziła Sorenson. - Numery z innego stanu, kod kreskowy do odczytania przy zwrocie, myta i czyszczona dwa razy w tygodniu.

- Najbliższa wypożyczalnia samochodów jest chyba przy lotnisku w Omaha. Mógłbym to zgłosić.

- Już to zrobiłam. Pan niech lepiej zadzwoni do kelnerki. Goodman oświetlił sobie latarką lewą dłoń i wstukał numer kciukiem prawej.

10

Niedaleko za granicą Iowa międzystanowa zwążyła się w dwupasmową drogę, robiła się długa i pusta. Zjazdy były oddalone od siebie o wiele kilometrów. Każdy z nich był swoistym wydarzeniem. Każdy z nich poprzedzały trzy niebieskie tablice rozstawione w ponadstumetrowych odstępach, informujące najpierw o stacji benzynowej, potem o jedzeniu oraz noclegu, w stylu, który stanowił skrzyżowanie informacji z reklamą. Niektóre tablice były puste. W niektórych miejscach była restauracja, ale nie było stacji benzynowej, gdzie indziej można było zatankować, ale nie było się gdzie przespać, albo był motel, ale nie można było niczego zjeść. Reacher znał ogólne zasady. Przemierzył większość dróg międzystanowych. Niektóre tablice zwodziły kierowców, prowadząc ich dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kilometrów w głąb ciemnych wiejskich dróg, a kiedy docierali na miejsce, okazywało się, że lokal jest zamknięty. Inne tablice stały przed wielkimi skupiskami punktów usługowych i moteli, gdzie kierowca miał aż za duży wybór. Exxon albo Texaco, Sunoco albo Subway, McDonald albo Cracker Barrel, Marriott, Red Roof albo Comfort Inn. Ważne były światła widoczne z oddali. Lewe zjazdy były na ogół ciemne, a obiecujące wskazywał czerwony nożółty blask na horyzoncie.

Jechali dalej w milczeniu, cierpliwi i obojętni, aż wreszcie Alan King wybrał nieoznakowany skręt niedaleko za Des Moines.

- Tu będzie dobrze, Don - powiedział.

Każda niebieska tablica przed zjazdem wymieniała jedną markę, ale każda inną. Reacher nie rozpoznał żadnej z nich, ale wiedział, czego się spodziewać. Znał ogólne zasady. Będzie tam stacja benzynowa bez nazwy, jedzenie z mikrofalówki, termos parzonej za długo kawy w ponurej budzie po drugiej stronie ulicy, a półtora kilometra dalej jakiś podupadający rodzinny motelik. Przez nocną mgłę zobaczył już białe i niebieskie światła stacji benzynowej w odległości około kilometra.

Prawdopodobnie dużej, przeznaczonej dla ciężarówek i aut osobowych.

Don McQueen zwolnił dość daleko przed skrętem jak podchodzący do lądowania jumbo jet.

Spojrzał w lusterko i włączył kierunkowskaz, choć musiał wiedzieć, że jeżeli ktoś za nim jedzie, to w odległości co najmniej półtora kilometra. Koła głośno zaszumiały na szorstkim asfalcie zjazdu.

Zjazd prowadził na jednopasmową drogę okręgową, a stacja benzynowa znajdowała się trzydzieści metrów dalej po prawej, od strony południowej, za poboczem po wschodniej stronie.

Była duża, ale uboga pod względem wyposażenia. Sześć dystrybutorów, kompresor i odkurzacz dla pojazdów osobowych i oddzielna część z dystrybutorami dla ciężarówek, poznaczona kałużami rozlanego oleju napędowego. Żadnego zadaszania. Mała budka, w której płaciło się za paliwo, i osobny barak z toaletami na samym końcu stacji. Żadnego baru zjedzeniem.

Jednak jak się można było spodziewać, po drugiej stronie drogi, dokładnie naprzeciwko stacji benzynowej, przycupnął zrujnowany, przypominający stodołę długi i niski budynek z napisem na pochyłym dachu POSIŁKI I NAPOJE PRZEZ CAŁĄ DOBĘ, wymalowanym ręcznie koślawymi, prawie dwumetrowymi literami. Za stodołą stała mniejsza wersja niebieskiej tablicy z informacją o noclegu oraz dyskretną strzałką wskazującą motel ukryty gdzieś w ciemnościach. Nad drogą ścieliła się wysoka do kolan mgła, w której połyskiwały kryształki lodu.

McQueen pokonał trzydzieści metrów wiejskiej drogi, wjechał na stację benzynową i zatrzymał się obok dystrybutora, zwrócony przodem do kierunku, z którego przyjechali. Zgasił silnik, oderwał ręce od kierownicy i znieruchomiał w ciszy, jaka nagle zapadła w samo chodzie.

- Panie Reacher - odezwał się Alan King - niech pan pójdzie po kawę, a my zatankujemy.

- Nie, ja zatankuję - odrzekł Reacher. - Tak by wypadało.

King się uśmiechnął.

- Wyskakuj z kaski na paliwo, z trawki albo z majtek, tak? Cena autostopu?

- Chętnie zapłacę za podróż.

- Aja bym chętnie pozwolił - powiedział King. - Ale nie ja płacę za benzynę. W każdym razie nie za taką podróż. Jedziemy w sprawach firmy, więc wydajemy firmowe pieniądze. Nie pozwolę, żeby dotował pan korporację, w której pracuję.

- No to przynajmniej nalej do baku. Nie powinniście robić wszystkiego sami.

- Za chwilę czeka pana pięćset kilometrów za kierownicą. To chyba wystarczająco dużo roboty.

- Na dworze jest zimno.

- Zdaje się, że chce pan zobaczyć, ile benzyny wejdzie do baku, mam rację? - spytał King. - Nie wierzy pan, że wskaźnik jest zepsuty?

Reacher nie odpowiedział.

- Mam wrażenie, że elementarna uprzejmość nakazywałaby uwierzyć w proste stwierdzenie faktu przez faceta, który zaproponował, że pomoże panu pokonać znaczącą część drogi do celu podróży.

Reacher nie odpowiedział.

- Kawa - oznajmił King. - Dwie ze śmietanką i łyżeczką cukru, a dla Karen taką, jaką sobie życzy.

Delfuenso nie odezwała się ani słowem. Upłynęła chwila ciszy, wreszcie King powiedział:

- Czyli dla Karen nic.

Reacher wysiadł z samochodu i ruszył na drugą stronę drogi.

Szeryf Goodman połączył się od razu z pocztą głosową.

- Kelnerka ma wyłączony telefon - powiedział.

- Nic dziwnego - odparła Sorenson. - Już głęboko śpi. Jest zmęczona po pracy do późnej nocy.

Nie ma numeru stacjonarnego?

- Missy Smith dała mi tylko numer komórki.

- No więc proszę jeszcze raz zadzwonić do tej Smith i zdobyć adres. Będziemy

musieli pojechać i zapukać do jej domu.

- Nie mogę już więcej dzwonić do Missy Smith.

- Chyba pan może. - W tym momencie zaczęła dzwonić komórka Sorenson. Odebrał się zwykły elektroniczny sygnał. Żadna melodia. Żaden ściągnięty z sieci utwór. Odebrała i słuchała przez chwilę. - W porządku - powiedziała i się rozłączyła. - Mazdę wypożyczono na lotnisku w Denver - poinformowała szeryfa. - Jakiemuś mężczyźnie. Był sam. Moi ludzie twierdzą, że miał sfalszowane prawo jazdy i kartę kredytową.

- Dlaczego w Denver? - zdziwił się Goodman. - Gdyby ktoś chciał tu przyjechać, nie lepiej było polecieć do Omaha i tam wynająć samochód?

- Denver jest większe i daje większą anonimowość. Wypożyczają pewnie ze dwadzieścia razy więcej aut niż w Omaha.

Znów zadzwonił jej telefon. Ten sam elektroniczny sygnał. Sorenson odebrała, lecz tym razem Goodman zauważył, jak się prostuje. Rozmawiała z przełożonym. To był powszechnie zrozumiały język ciała.

- Proszę powtórzyć - powiedziała. Znów przez chwilę słuchała, a potem odrzekła: - Tak jest.

I zakończyła rozmowę.

- Sprawa robi się dziwna - mruknęła.

- Dlaczego? - spytał Goodman.

- Moi ludzie przy tej waszej pompowni przesłali do sprawdzenia odciski palców denata. I dostali już odpowiedź. Zidentyfikował je jakiś komputer Departamentu Stanu.

- Departamentu Stanu? Przecież to nie pani ludzie. To sprawy zagraniczne. Pani należy do Departamentu Sprawiedliwości.

- Do nikogo nie należę.

- Ale dlaczego Departament Stanu?

- Jeszcze nie wiemy. Denat może być od nich. Albo go znają.

- Jakiś dyplomata?

- Albo dyplomata kogoś innego.

- W Nebrasce?

- Nie są przykuci do biurka.

- Nie wyglądał na obcokrajowca.

- W ogóle na nikogo nie wyglądał. Był zalany krwią.

- To co mamy robić?

- Maksymalna mobilizacja - zarządziła Sorenson. - Tego od nas wymagają. Gdzie są

teraz ci dwaj?

- Teraz? Mogą być w tysiącu różnych miejsc.

- No to trzeba zaryzykować. Zanim odsuną mnie od sprawy. Albo zanim postawią nade mną kogoś, żeby patrzył mi na ręce. Jedno albo drugie na pewno stanie się jutro z samego rana. To właśnie oznacza „maksymalna mobilizacja”. A więc zakładamy, że ci dwaj są ciągle w drodze?

- Ale którą jadą? Są tysiące dróg.

- Przypuścimy, że trzymają się międzystanówki.

- To możliwe?

- Prawdopodobnie nie są miejscowi. Pewnie uciekają do domu, który może być daleko stąd.

- W którą stronę?

- W jedną albo w drugą.

- Sama pani mówiła, że mogli wyjechać oddzielnie.

- Jest taka możliwość, ale niewielka. Statystyka pokazuje, że większość współsprawców popełniających poważne przestępstwo trzyma się później razem. Taka jest ludzka natura. Jeden niekoniecznie wierzy, że ten drugi poradzi sobie z następstwami.

- Statystyka?

- Często daje pozytywne wskazówki.

- No dobrze, jeżeli ciągle są razem i ciągle jadą międzystanową, i jeżeli pojechali na zachód, to pewnie mają już za sobą ćwierć drogi do Denver. A jeżeli pojechali na wschód, są już daleko za granicą Iowa.

- Prędkość?

- Pewnie około stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Patrole drogówki zwykle nie reagują poniżej tej granicy. W każdym razie nie tutaj. Chyba że jest kiepska pogoda. Ale dzisiaj jest dość ładnie.

Maksymalna mobilizacja. Ryzyko. Sorenson zastanawiała się intensywnie przez trzydzieści sekund, po czym znów wzięła telefon i poleciła ustawić na drodze międzystanowej dwie blokady ostatniej szansy. Obydwie miały stanąć za niecałą godzinę, pierwsza za zachodzie, w jednej czwartej odległości do Denver plus sto trzydzieści kilometrów, a druga na wschodzie, daleko za granicą Iowa plus sto trzydzieści kilometrów. Należało szukać dwóch mężczyzn w bliżej nieokreślonym wieku, o przeciętnym wyglądzie, bez znaków szczególnych, być może ze śladami krwi na ubraniach, być może mających białą broń, która była niedawno użyta.

Reacher wyszedł z barowej szopy, niosąc cztery kubki kawy na tacy z prasowanej tektury.

Liczył się z tym, że trzy z nich się zmarnują. Liczył się z tym, że nie zobaczy już samochodu. Ale auto wciąż stało na stacji, odjechało od dystrybutora, ale czekało na niego przy kompresorze i odkurzaczu, z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem. Alan King siedział na przednim siedzeniu pasażera, a za nim Karen Delfuenso. Don McQueen stał przy drzwiach kierowcy i wyglądał na zziębniętego i zmęczonego. Reacher miał rację, oceniając jego wzrost i budowę ciała. Facet miał około metra osiemdziesięciu i był szczupły, sylwetką przypominał pająka.

Reacher przeszedł z tacą przez jezdnię, po czym podał kawę z cukrem i śmietanką McQueenowi. Następnie okrążył maskę samochodu i drugą podał Alanowi Kingowi. Potem otworzył drzwi z tyłu i wyciągnął do Delfuenso trzeci kubek.

- Czarna bez cukru - powiedział.

Kobieta zawahała się przez sekundę, po czym wzięła kawę.

- Dziękuję - powiedziała. - Taką właśnie lubię. Skąd pan wiedział?

Siedem słów. O trzy więcej, niż od niej usłyszał, odkąd się poznali. Każdy wie, że szczupłe kobiety po czterdziestce nie używają cukru ani śmietanki, pomyślał.

- Po prostu zgadłem - odrzekł.

- Dziękuję - powtórzyła.

Podszedł do kubła na śmieci przy odkurzaczu i wyrzucił tekturową tacę. Don McQueen otworzył mu drzwi od strony kierowcy, trochę ceremonialnie. Reacher usiadł za kierownicą i umieścił kubek w uchwycie obok siebie. McQueen zajął miejsce za nim.

Reacher znalazł dźwignię i przesunął fotel do tyłu, żeby mieć więcej miejsca na nogi. Uderzył przy tym McQueena w kolana. Spojrzał na Alana Kinga i zaproponował:

- Może zamieni się pan miejscami z panem McQueenem? Dwaj najwyżsi ludzie siedzą teraz jeden za drugim.

- Zawsze jeżdżę z przodu - odparł King.

- Zawsze?

- Bez wyjątku.

Reacher wzruszył ramionami, ustawił lusterko, zapiął pasy i usadowił się wygodnie. Potem przestawił dźwignię automatycznej skrzyni, lekko wcisnął gaz i wyjechał na jednopasmówkę.

Pokonał trzydzieści metrów, skręcił na wjazd i wrócił na autostradę.

Jeszcze jeden dowód, że na pewno nie jechali od trzech godzin.

Żadne z nich nie skorzystało z toalety.

Szeryf Goodman wcisnął przycisk na komórce i oznajmił:

- Missy Smith ma już wyłączony telefon.

Sorenson skinęła głową.

- Późno. Cywile śpią. Wie pan, gdzie ona mieszka?

Goodman nie odpowiedział. W jego milczeniu wyczuwało się ostrożność.

- Oczywiście, że pan wie - stwierdziła Sorenson.

- Przecież jest tu od zawsze. To znana postać. Będziemy musieli zapukać do jej domu, zanim pojedziemy zapukać do kelnerki.

- Nie możemy pukać do domu Missy Smith - zaprotestował Goodman. - Nie w środku nocy.

Sorenson nic na to nie odpowiedziała. Odeszła od czerwonej mazdy, odsuwając się na lewo od drzwi po stronie kierowcy, i patrzyła pod kątem przez lukę między budynkiem baru a ścianą z pustaków, z których zbudowany był sąsiedni lokal.

- Widzę stąd stację benzynową - powiedziała. - Po drugiej stronie drogi.

- No i co? - spytał Goodman.

- Każdy może mnie stamtąd zobaczyć.

- Myśli pani o świadkach? Mielibyśmy wielkie szczęście, gdyby jakiś kierowca ciężarówki tankował tam dokładnie w chwili, gdy nasi dwaj przyjechali i odjechali. I gdyby patrzył we właściwą stronę i przyglądał się uważnie, zamiast na przykład drapać się po tyłku. Zresztą jak mielibyśmy go teraz znaleźć?

- Nie, myślę, że na stacji benzynowej są kamery. Może szerokokątne. Na przykład z rybim okiem. Możliwe, że coś zarejestrowały.

Goodman nie odpowiedział.

- Na stacji są kamery?

- Nie wiem.

- Niewykluczone. Bak dużej ciężarówki może zmieścić nawet pięćset litrów. Mamy ciężkie czasy. Być może niektórych kierowców korci, żeby uciec przed płaceniem. Firmom naftowym raczej się to nie podoba i mogą się przed tym bronić.

- Powinniśmy to sprawdzić - rzekł Goodman.

- Sprawdzimy - powiedziała Sorenson. - I zapukamy do domu Missy Smith. Niech pan

nie myśli, że tam nie pojedziemy. Damy starszycie jeszcze chwilę spokoju, ale nie będzie spała wiecznie.

Reacher był dość dobrym kierowcą, ale niewiele więcej ponad to. Jego ciało mogło funkcjonować tylko na dwa sposoby: albo na niezwykle wolnych, albo niezwykle szybkich obrotach. Na ogół Reacher poruszał się z typową dla rośliwych osób ociężałością, często sprawiając wrażenie spokojnego i leniwego, czasem wręcz otępiatego. W razie konieczności potrafił eksplodować energią i działać w zawrotnym tempie, tak długo, jak to było konieczne, by potem znów popaść w apatię. Nie potrafił przestawić się na średnie obroty, a tego wymagało sprawne prowadzenie samochodu. Reakcje musiały być szybkie, ale spokojne, zdecydowane, ale wyważone, natychmiastowe, ale przemyślane. Reacherowi trudno było odnaleźć kompromis tego rodzaju.

Zwykle albo drżał przed niebezpieczeństwem czającym się w odległości dwustu metrów, albo je ignorował, wychodząc z założenia, że samo może zniknąć. Nigdy nikogo nie zabił ani nie zranił samochodem, chyba że umyślnie, był jednak realistą i nie zamierzał się oszukiwać: prowadził samochód znacznie gorzej niż średnio.

Ale zgodnie z zapowiedzią międzystanowa okazała się szeroka i prosta, znów miała trzy pasy, a duży, wrażliwy chevrolet bardzo dobrze trzymał się drogi. Ruch w nocy był bardzo niewielki i nie wymagał szczególnych reakcji. Właściwie najtrudniejsze zadanie polegało na tym, by nie zasnąć, ale to akurat Reacher potrafił. Umiał czuć, zachowując elementarny poziom przytomności właściwie przez cały czas. Trzymał obie ręce na kierownicy, w pozycji za dziesiątą drugą, i regularnie, mniej więcej co dwadzieścia sekund, patrzył w lusterka - najpierw boczne od strony pasażera, potem wsteczne, potem boczne po stronie kierowcy i jeszcze raz we wsteczne. Siedząca za jego prawym ramieniem Karen Delfuenso nie spała, ale milczała spięta i zdenerwowana.

Reacher słyszał wolny oddech siedzącego obok niej Dona McQueena, który też właściwie nie spał, ale i nie był całkiem przytomny. Alan King czuwał na siedzeniu z przodu, nie odzywając się, pogrążony w jakichś ponurych rozmyślaniach. Miał lekko odwróconą głowę, by patrzeć na drogę i kierowcę jednocześnie, a także na prędkościomierz, jak przypuszczał Reacher.

Jechał więc, utrzymując mniej więcej dopuszczalną prędkość, a breloczek z kryształem na kluczyku od czasu do czasu stukał go w kolano, gdy samochód kołysał się i przechylał.

Okazało się, że na stacji benzynowej były cztery kamery, wszystkie monochromatyczne, ani jednej kolorowej. Zapisywały obraz na twardym dysku nagrywarki stojącej na półce za kasą, tuż obok papierosów. Widok z czterech kamer wyświetlał się równocześnie na podzielonym na cztery części monitorze LCD, znajdującym się na lewo od szuflady przy kasie.

Trzy kamery nie interesowały Sorenson. Pierwszą i drugą zamontowano przy wjeździe i wyjeździe na poziomie numerów rejestracyjnych samochodów. Obiektywy za bardzo skupiały się na szczegółach, aby pokazywać jakikolwiek dalszy plan. Trzecia kamera była umieszczona na suficie w samej budce, wysoko ponad ramieniem kasjera, żeby pilnować, czy nie okrada interesu.

Standardowa praktyka w miejscach, gdzie operowało się gotówką. Ufać, ale sprawdzać.

Czwarta kamera okazała się jednak lepsza. Nieznacznie. Była to czarna szklana półkula zamontowana wysoko na wsporniku, w połowie wysokości słupa z tablicą. Kasjer wyjaśnił, że to do celów ubezpieczeniowych. Gdyby na przykład na stacji cofały dwie ciężarówki i zderzyły się naczepami, dobrze było wiedzieć, która ruszyła pierwsza. Gdyby ktoś ukradł benzynę czy olej napędowy, dobrze było pokazać w sądzie całą relację: tablicę rejestracyjną przy wjeździe, tankującego faceta, odjeżdżającego faceta, tablicę rejestracyjną przy wyjeździe.

Pole widzenia czwartej kamery było na tyle szerokie, że pokazywała okręgową dwupasmówkę biegnącą z północy na południe oraz zwirowy pas za przeciwległym poboczem przed budynkiem z pustaków, a także samo bistro i część baru Missy Smith oraz przestrzeń między nimi. Kuliste oko kamery zniekształcało obraz w taki sposób, że odnosiło się wrażenie, iż obiektyw spogląda niemal poziomo w lukę między budynkami. W obrazie na żywo, na samym brzegu ekranu, widać było jasne plamy światła reflektorów w miejscu, gdzie stały radiowozy zastępców szeryfa.

Jakość obrazu nie była najlepsza. Nocny krajobraz miał wiele odcieni szarości. Reflektory przejeżdżających samochodów rysowały jasne fluoryzujące smugi, pozostawiając ślad po ruchu źródeł światła.

Ale lepsze to niż nic.

Maksymalna mobilizacja. Ryzyko.

- No dobrze, niech mi pan pokaże, jak się to cofa - poprosiła Sorenson.

Nocny kasjer na stacji benzynowej był dość rozgarniętym, chętnym do pomocy chłopakiem, na tyle młodym, żeby mieć technikę w małym palcu. Wcisnął jakiś przycisk i obraz z czwartej kamery wypełnił cały ekran monitora. Po wciśnięciu innego klawisza obok licznika czasu pojawiły się znaki plus i minus. Kasjer pokazał Sorenson, które strzałki na klawiaturze odpowiadają symbolom na ekranie. Poinstruował ją, aby przytrzymała klawisze, jeżeli chce przewijać zapis do tyłu albo do przodu w piętnastominutowych odstępach, lub wciskała je raz, żeby przesuwać obraz w normalnym tempie.

Sorenson na początku przewinęła zapis do tyłu i zaczęła odtwarzać, gdy zegar pokazywał prawie północ. Razem z Goodmanem siedzieli ramię przy ramieniu przed monitorem, próbując zobaczyć coś na obrzeżu kadru. Obraz był zamglony i niewyraźny, jak w tanim noktowizorze, ale nie zielony, tylko szary. Co jakiś czas rozbłyskiwały reflektory samochodów. Przed budynkiem bistra nie parkowały żadne auta, ale przed barem Missy Smith co najmniej trzy.

W luce między budynkami nie było nic widać.

- Da się to odtworzyć szybciej? - zapytała Sorenson.

- Niech pani przytrzyma klawisz „shift” - poradził chłopak.

Sorenson obejrzała następne pięć minut w przyspieszonym tempie. Kiedy zegar pokazał za pół minuty północ, włączyła normalną prędkość. Przed bistro nic się nie działo, ale z baru zaczęli wychodzić klienci - niewyraźne, ciemnoszare sylwetki na szarym tle, poruszające się na cyfrowym wideo, jakby pływały w oleju. Wsiadali do samochodów, zapalały się światła, auta cofały, a potem ruszały z kopyta. Kierowały się przede wszystkim na południe. Jako ostatnia w drzwiach baru pojawiła się korpulentna postać wyglądająca na kobietę. Wsiadła do samochodu, w którym Sorenson rozpoznała cadillaca, i odjechała.

Dwie minuty po północy.

- To była Missy Smith - poinformował Goodman.

Neon w oknach zgasł za jej plecami.

Przez kolejne szesnaście minut na skraju kadru nic się nie działo.

Dopiero osiemnaście po dwunastej w szparze między barem a bistro pojawił się jasny blask.

Długie światła zbliżającego się po nierównościach samochodu, nadjeżdżającego z lewej strony ekranu, od południa, i podskakującego na tłuczonych kamieniach, którymi wysypano teren za budynkami. Światła zwolniły, zatrzymały się, a potem wykonały skręt o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku ciepłego oka kamery, na chwilę wypełniając bielą cały ekran, gdy zaświeciły prosto w obiektyw. Kontynuowały poprzeczny ruch, aż zniknęły za bu

dynkiem baru.

- To oni - mruknął Goodman. - Na pewno.

Sorenson dwoma palcami zaczęła manipulować klawiszami, odnajdując krótką sekwencję, w której między budynkami widać było część pojazdu. Niewiele dało się zobaczyć: tylko światła i nieostry widok trzech czwartych maski samochodu. Potem reflektory zaświeciły prosto w kamerę, następnie mignął zarys chyba prawego boku samochodu, a potem już nic, gdy auto zaparkowało za murem i światła zgasły.

Samochód na ekranie był lśniący i jasnoszary, co oznaczało, że w rzeczywistości mógł być czerwony.

- No dobrze, z miejsca zbrodni pojechali na północ, skręcili na tyły południowej części dzielnicy i przejechali za budynkami aż do baru, gdzie zaparkowali przy tylnym wyjściu i przesiedli się do innego samochodu - podsumowała Sorenson. - Trzeba się dowiedzieć, jaki pojazd tam czekał.

Dlatego naprawdę musimy porozmawiać z tą kelnerką.

- Za wcześnie - odrzekł Goodman. - Kelnerka nie wychodziła z baru jeszcze przez dwanaście minut. Wtedy już ich dawno nie było.

- Nigdy nie pracował pan w barze, zgadza się? To już uzgodniliśmy, prawda? Właścicielka poszła już do domu. Kota nie ma, więc myszy mogą harcować. Personelowi płaci się za dodatkowe pół godziny pracy, ale ludzie niekoniecznie pracują przez całe trzydzieści minut. Jak najszybciej robią, co trzeba, żeby czym prędzej dać nogę. Możliwe, że właśnie w tym momencie wychodziła.

A jeżeli nie, mogła pójść wyrzucić śmieci albo puste butelki.

- No tak - zgodził się Goodman.

- Zobaczmy, jaki mamy przedział czasu między przyjazdem a odjazdem - powiedziała Sorenson.

Wcisnęła klawisz odtwarzania zapisu i licznik czasu znów ruszył. Liczyła w myślach: pięć sekund wysiadanie z mazdy, pięć sekund na otwarcie nowego samochodu, pięć sekund, aby wsiąść, pięć sekund, aby się usadowić, pięć sekund, żeby uruchomić silnik.

Pochyliła się nad ekranem, wpatrzona w lukę między budynkami, spodziewając się, że za chwilę zobaczy drugi pojazd przejeżdżający z lewa na prawo i szykujący się do skrętu na północ, by wrócić na drogę. Jego światła powinny być styczne do pola widzenia kulistego oka kamery. Nie będzie żadnego błysku. Reflektory nie powinny zaświecić prosto w obiektyw. Mogli liczyć przynajmniej na jedną klatkę, w której będzie wyraźnie widoczna prawie cała sylwetka samochodu. Być może uda się ustalić markę i model. Być może nawet domyślą się,

jakiego był koloru.

Sorenson patrzyła.

I nic.

Przez lukę nie przemknął na północ żaden pojazd. Ani w pierwszej minucie, ani w drugiej, ani w trzeciej, ani w czwartej, ani w piątej. Wcisnęła przewijanie do przodu i znów wbiła wzrok w monitor. Nic się nie działo. Scena na ekranie pozostawała nieruchoma, jak żywy obraz, jak martwa natura, przez niemal piętnaście minut nie działo się zupełnie nic, a potem jednopasmówką przemknęła półciężarówka zmierzająca na południe, wymijając jadącego w przeciwną stronę sedana. Po tej krótkiej chwili poruszenia wszystko na ekranie znieruchomiało.

- Cholera, dokąd więc pojechali? - zastanawiała się Sorenson. - Na południe? Za budynkami, z powrotem na drugi koniec dzielnicy?

- To by było bez sensu - uznał Goodman.

- Oby miał pan rację. - Sorenson pomyślała o blokadach ostatniej szansy na międzystanowej, oddalonych od siebie o kilkaset kilometrów, drogich, skomplikowanych i szkodliwych, bo każda mogła zagrozić sprawie albo jej karierze, w zależności od rezultatów lub ich braku.

Ryzyko.

13

Droga międzystanowa biegła przez Iowa płasko i równo jak strzelił przez wiele kilometrów.

Ruch był niewielki, lecz utrzymywał się na stałym poziomie. Podobno zawsze, w każdym momencie dnia i nocy około miliona Amerykanów jest w drodze. Iowa najwyraźniej też miała część tego miliona podróżników, ale skromną, proporcjonalną do populacji stanu. Reacher prowadził chevroleta, utrzymując prędkość poniżej stu trzydziestu kilometrów na godzinę, sunął przez bezkresne pustkowia spokojny i zrelaksowany, przy stłumionym warkocie silnika, pędzie powietrza i szumie opon, czasem kogoś wyprzedzając, czasem dając się wyprzedzić, wciąż odliczając w głowie każdy przejechany kilometr i każdą minutę, wciąż widząc w wyobraźni dworzec Greyhounda w Chicago. Był tam wiele razy, na West Harrison Street niedaleko South Side, w sympatycznym miejscu wypełnionym terkotem ciężkich diesli, skąd co chwila odjeżdżał jakiś autobus. A może trafi się jakiś pociąg na Union Station? Kiedyś jechał pociągiem osiemnaście godzin z Chicago do Nowego Jorku. To była przyjemna podróż. Na pewno są trasy prowadzące dalej, do Waszyngtonu, skąd miał już całkiem niedale

ko do celu.

Jechał, życząc sobie w duchu, żeby wszystko poszło po jego myśli.

I nagle, jak czerwona ściana, rozbłyły przed nimi światła stopu, a w oddali pojawiły się migające czerwone i niebieskie koguty sporej grupki radiowozów. Siedzący obok Reachera Alan King mruknął z niesmakiem i zamknął oczy. Karen Delfuenso nie zareagowała w żaden słyszalny sposób. Don McQueen drzemał. Reacher zdjął nogę z gazu i chevrolet zwolnił. Zjechał na prawy pas, zanim kierowcy zaczęli gorączkowo wciskać się między jadące nim auta. Mocno wcisnął hamulec i zatrzymał się za białym dodge'em pickupem. Szeroka tylna kłapa wozu wyrosła przed nim niczym klif. Zobaczył na niej nalepkę z napisem: Nie podoba ci się, jak jadę? Zadzwoń pod 1- 800-SPA DAJ. Reacher spojrzął w lusterko wsteczne i zobaczył hamującą za nimi ciężarówkę z naczepą. Niemał czuł wibracje jej silnika pracującego na wolnych obrotach. Środkowy pas obok niego wkrótce się zakorkował. Dalej na lewo sekundę później zakorkował się lewy pas.

Blask reflektorów chevroleta odbijał się od białej kłapy pickupa, oświetlając wnętrze samochodu. Alan King odwrócił twarz w stronę okna i wcisnął podbródek w ramię. Reacher usłyszał, jak Don McQueen kaszle, pochrapuje i się porusza. Jeszcze raz zerknął w lusterko i zobaczył, że zasłonił oczy przedramieniem.

Karen Delfuenso nadal nie spała i siedziała wyprostowana jak świeca. Jej twarz wydawała się blada i wymizerowana. Patrzyła prosto w oczy jego odbiciu w lusterku.

I mrugała.

Mrugała szybko, rozmyślnie i wiele razy, potem gwałtownie obracała głowę na boki, czasem w lewo, czasem w prawo, a później znów zaczynała mrugać, czasem raz albo pięć lub więcej razy więcej, nawet siedem, a w pewnym momencie zatrzepotała powiekami trzynaście razy z rzędu.

Reacher przypatrywał się temu zdziwiony.

Nagle ciężarówka z tyłu zatrąbiła przeciągle. Reacher spojrzął przed siebie i zorientował się, że dodge ruszył. Wcisnął gaz i podjechał do pickupa. Najwyraźniej policja z Iowa urządziła blokadę w taki sam sposób jak policja w Nebrasce. Wszyscy wpychali się na prawy pas. Mogło to doprowadzić do wielkiego bałaganu, ale wśród aut uwijali się pieszo dwaj funkcjonariusze uzbrojeni w latarki rzucające czerwone światło. Kierowali ruchem. Do głosu doszedł też pewien środkowozachodni zdrowy rozsądek i życzliwość typu „pan przodem, sąsiedzie”. Reacher wywnioskował, że przerwa w podróży potrwa najwyżej dzie sięć minut. Tylko tyle. Nic wielkiego.

Zerknął w lusterko.

Karen Delfuenso znów zaczęła mrugać.

Sorenson jeszcze dwa razy odtworzyła decydujący kwadrans zapisu, najpierw do tyłu, a potem do przodu, w przyspieszonym tempie. Tak jak poprzednio zobaczyła nadjeżdżającą mazdę, a następnie tak jak poprzednio nic, dopóki piętnaście minut później jednopasmówką nie przejechały dwa pojazdy: pickup zmierzający na południe i samochód osobowy zmierzający na północ.

Ryzyko.

- A więc pana zdaniem jazda na południe nie ma sensu? - spytała.

- Żadnego - przytaknął Goodman.

- Na pewno?

- Nic tam nie ma.

- Postawiłby pan na to swoją emeryturę?

- I dom.

- Ostatnią koszulę?

- Mojego pierwszego wnuka, jeżeli sobie pani życzy.

- W porządku. Więc pojechali na północ. I wie pan co?

Widzieliśmy ich.

- Gdzie?

- Tutaj. - Sorenson zatrzymała obraz na kadrze, w którym było widać dwa pojazdy na drodze: sedana przejeżdżającego przed półciężarówką. - Jadą tym sedanem - stwierdziła. - Nie ma innej możliwości. To jedyny pojazd kierujący się na północ. Robili coś przez piętnaście minut, a potem wyjechali na drogę, objeżdżając budynek baru od południa, nie od północy. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Co robili przez te piętnaście minut?

- Nie wiem.

- Nikt bez powodu nie odwleka ucieczki o piętnaście minut.

- No to musieli mieć jakiś powód.

- Jakies dwadzieścia po dwunastej słyszałem alarm samochodowy - odezwał się chłopak za kasą.

Sorenson spojrzała na niego.

- I nie pomyślał pan, żeby nam o tym powiedzieć?

- Po co miałem o tym mówić? Nie pytaliście. Nie powiedzieli państwo, o co chodzi.

Ciągle nie wiem, o co chodzi. Zresztą właśnie sobie przypomniałem.

- Dwadzieścia po dwunastej?

- Mniej więcej.

- To na pewno był alarm?

- Na sto procent. Bardzo głośny. Nic więcej nie zdarzyło się dzisiaj w nocy. Nie licząc waszego przyjazdu.

- Gdzie włączył się ten alarm?

Chłopak machnął ręką.

- Gdzieś tam. Całkiem możliwe, że za barem Missy Smith.

- No dobrze - mruknęła Sorenson. - Dziękuję.

- To co, przez piętnaście minut kradli samochód? - spytał Goodman.

- Może kradli, może nie. Ale alarm to jeszcze jeden powód, dla którego kelnerka mogła wyrzucić z baru. Żeby przynajmniej sprawdzić, czy to nie jej samochód. Musimy ją natychmiast znaleźć. Najwyższy czas do kogoś zapukać.

Goodman spojrział na zegarek.

- Lepiej się pospieszmy - poradził. - Ci dwaj pewnie zbliżają się już do blokad. Powinna je pani ustawić w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów, nie stu trzydziestu.

Sorenson nie odpowiedziała.

14

Dziewięć minut, pomyślał Reacher. Nie, dziesięć. Pomylił się w swoich przypuszczeniach, ale nieznacznie. Gliniarze z latarkami doskonale poradzili sobie z okiełznaniem nadciągającego strumienia aut, a gliniarze na samej blokadzie musieli działać szybko i sprawnie. Samochody posuwały się w całkiem znośnym tempie. Reacher nie widział, jak dokładnie przebiega procedura, ponieważ widok zasłaniało mu cielsko dodge'a, ale najwyraźniej przeszukanie było krótkie i pobieżne. Podjeżdżał kawałek, zatrzymywał się, podjeżdżał, zatrzymywał, a z każdym odcinkiem czerwononiebieski blask był coraz jaśniejszy. Alan King siedzący obok niego wyglądał, jakby zasnął. Wciąż z odwróconą twarzą i podbródkiem wciśniętym w ramię. Don McQueen nadal zasłaniał oczy przedramieniem. Karen Delfuenso wciąż nie spała, ale przestała mrugać.

Jeszcze sto metrów, pomyślał Reacher. Dziewięćdziesiąt. W kolejce przed nimi czekało może piętnaście samochodów. Osiem minut. Może siedem.

Missy Smith mieszkała w tym, co zostaje, gdy rodzinną farmę kupuje firma rolnicza. Podjazd, dom, stodoła pełniąca funkcję garażu, mały kwadratowy ogródek przed domem i

mały kwadratowy ogródek z tyłu, otoczone nowym ogrodzeniem z żerdzi, za którym rozciągało się dziesięć tysięcy akrów soi należących do kogoś innego. Szeryf Goodman wjechał na podjazd i zaparkował pięć metrów przed domem. Włączył światła na dachu. Kiedy ktoś w nocy puka do drzwi, ludzie w pierwszym odruchu wyglądają przez okno sypialni. Lepiej wyjaśnić powody wizyty migającymi światłami niż narażać się na wrzaski i wyzwiska.

Sorenson została w samochodzie, pozwalając Goodmanowi zasięgnąć informacji. To jego okrąg, jego ludzie, jego zadanie. Zobaczyła, jak szeryf puka do drzwi, jak porusza się zasłona w oknie na piętrze, a cztery minuty później otwierają się drzwi i na progu staje staruszka w szlafroku. Miała starannie uczesane włosy. Stąd cztery minuty zwłoki.

Sorenson zobaczyła, jak Goodman gniewa się w ukłonach i zadaje pytanie, a Missy Smith odpowiada. Zobaczyła, jak Goodman coś zapisuje, a potem odczytuje to głośno dla potwierdzenia.

Staruszka skinęła głową. Drzwi się zamknęły, w korytarzu zgasło światło, a Goodman truchtem wrócił do samochodu.

- Parę kilometrów stąd - powiedział. - Może nam się poszczęści.

Zawrócił i ruszył w kierunku drogi.

Biały dodge pickup bez problemu przejechał przez blokadę. Gliniarze zajrzeli do niego ze wszystkich stron, sprawdzili skrzynię ładunkową i dali znak kierowcy, że może jechać. Reacher otworzył okno, oparł łokieć o drzwi, zmrużył oczy, patrząc na migające czerwono-niebieskie światła, i ruszył. Podszedł do niego starszy siwowłosy policjant z paskami na rękawie. Pochylił się i zajrzał do wnętrza samochodu.

Czegoś szukał.

Ale nie znalazł.

Zaczął się prostować, zamierzając odprawić chevroleta i myśląc o następnym samochodzie w kolejce, gdy jego wzrok spoczął na twarzy Reachera. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, współczucia albo uznania i aż syknął.

- Chodzi o nos? - spytał Reacher.

- Musiało boleć.

- Szkoda, że nie widział pan tamtego.

- Gdzie teraz jest?

- Nie w waszym stanie.

- Dobrze wiedzieć. Niech pan jedzie bezpiecznie.

- Kogo szukacie, kapitanie? - zapytał Reacher.

- Bardzo pan miły, ale jestem tylko sierżantem.

- No więc kto jest poszukiwany, sierżancie?

Gliniarz milczał przez chwilę.

A potem się uśmiechnął.

- Nie pan - powiedział. - Na pewno nie pan.

I zrobił krok w kierunku tyłu samochodu, aby zająć się następnym autem w kolejce, a Reacher zamknął okno, przejechał przez prowizoryczną barierę, a potem usadowił się wygodnie w fotelu i znów wcisnął gaz, przyspieszając do siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu i stu kilometrów na godzinę, mając przed sobą tylko ciemność i tylne światła białego dodge'a, który oddalił się już prawie o kilometr.

15

Pod adresem, który Missy Smith dała szeryfowi Goodmanowi, znaleźli to, co zostaje, gdy rodzinną farmę kupuje firma budowlana. Ziemia została włączona do parceli jakiegoś gigantycznego odległego holdingu, ale ocalało skromne poletko przy drodze, na którym zbudowano cztery niewielkie parterowe szeregowce. Pochodziły sprzed mniej więcej dwudziestu lat.

W świetle księżycy wszystkie wyglądały na dobrze utrzymane i w nie najgorszym stanie. Były identyczne: biały siding, szare dachy, trawniki od frontu, krótkie i proste podjazdy oraz skrzynki na listy na grubych drewnianych słupkach stojące przy krawężniku.

Była jednak między nimi wyraźna różnica.

Na podjazdach przed trzema domami stały samochody.

Przed czwartym samochodu nie było.

I to adres czwartego domu Missy Smith podała szeryfowi Goodmanowi.

- Niedobrze - orzekła Sorenson.

- Niedobrze - zgodził się Goodman.

W żadnym z czterech domów nie paliło się światło, i nic dziwnego, skoro był środek nocy. Dom, przed którym nie stał samochód, wydawał się jednak ciemniejszy od pozostałych.

Wyglądał na cichy, spokojny i pusty.

Sorenson wysiadła z samochodu. Zatrzymali się na starej wiejskiej drodze, na której po prostu położono asfalt. Była źle odwadniana. Deszczówka i woda spływająca z pól sprawiły, że w kanale ściekowym przy krawężniku zebrało się błoto. Sorenson przekroczyła je i zaczęła u wylotu pustego podjazdu. Goodman także przeskoczył przez błoto i stanął obok niej. Detektyw zajrzała do skrzynki na listy. Z nawyku. Pusta, jak można się było

spodziewać. Człowiek pracujący wieczorami odbiera pocztę przed wyjściem do pracy, nie po przyjściu do domu.

Skrzynka była biała, tak jak pozostałe. Widniało na niej nazwisko ułożone z małych samoprzylepnych liter: Delfuenso.

- Jak ma na imię? - spytała Sorenson.

- Karen - odparł Goodman.

- Niech pan zapuka, dla pewności - poleciła Sorenson.

Goodman podszedł do drzwi.

Zapukał.

Nikt nie otworzył.

Zapukał jeszcze raz, dłużej i głośniejsze.

Nikt nie otworzył.

Sorenson przecięła trawnik i zbliżyła się do sąsiedniego domu. Zadzwoiła do drzwi raz, drugi i trzeci. Wyjęła z portfela legitymację i trzymała ją w pogotowiu. Czekala. Po dwóch minutach drzwi się otworzyły i zobaczyła mężczyznę w piżamie. Siwego faceta w średnim wieku. Zapytała go, czy widział, jak jego sąsiadka wróciła tej nocy do domu.

Facet w piżamie odparł, że nie widział.

Sorenson spytała, czy sąsiadka mieszka sama.

Facet powiedział, że tak. Jest rozwiedziona.

Spytała go, czy sąsiadka ma samochód.

Facet odrzekł, że ma. Całkiem porządny wóz. Najwyżej kilkuletni. Kupiony za pieniądze uzyskane po rozwodzie. Tak tylko dodał.

Zapytała go, czy sąsiadka zawsze jeździ do pracy samochodem.

Powiedział, że tak. Można się tu dostać tylko samochodem albo pieszo.

Zapytała go, czy samochód sąsiadki zwykle stoi zaparkowany na podjeździe.

Facet odrzekł, że tak, przez cały dzień, zanim wyjedzie do pracy, a potem całą noc, kiedy wróci z pracy. Stał zaparkowany w miejscu, gdzie jest plama oleju, którą mogą zobaczyć, jeżeli podejda bliżej i przyjrzą się uważniej, bo jedyną usterką w jej wozie jest przeciekająca skrzynia biegów.

Sąsiadka powinna już dawno się tym zająć, bo przekładnia może się zatrzeć. Tak tylko mówił.

Sorenson spytała, czy sąsiadka kiedykolwiek nocuje poza domem.

Facet powiedział, że nie. Pracuje w barze i codziennie wraca do domu dziesięć po północy, regularnie jak w zegarku, chyba że musi zostać dłużej i posprzątać - wtedy zjawia

się może pięć po wpół do pierwszej. Pani Delfuenso to miła kobieta i dobra sąsiadka. Facet wyraził nadzieję, że nie stało jej się nic złego.

Sorenson podziękowała mu i powiedziała, że może wracać do łóżka. Facet powiedział, że ma nadzieję, że jej pomógł. Sorenson zapewniła go, że tak. Facet zasugerował, że jeżeli chce dowiedzieć się czegoś więcej, powinna porozmawiać z sąsiadką z drugiej strony. Lepiej się znają.

Można powiedzieć, że się przyjaźnią. Wyświadczają sobie nawzajem różne przysługi. Na przykład dziecko pani Delfuenso nocuje u sąsiadki, kiedy pani Delfuenso pracuje.

- Karen ma dziecko? - zdziwiła się Sorenson.

- Córkę. Dziesięcioletnią. W tym samym wieku co dziecko sąsiadki. Nocują tam razem, a potem pani Delfuenso zabiera dzieci do siebie, daje im śniadanie i rano odwozi na autobus.

16

Reacher nigdy nie poddał się hipnozie, ale jego zdaniem nocna jazda po pustych autostradach była jej bardzo bliska. Metabolizm i obciążenia poznawcze schodziły na tak niski poziom, że wystarczał im maleńki kawałek mózgu. Reszta pracowała na zwolnionych obrotach. Przednia połowa nie ma nic do roboty, tylna połowa nie ma z czym walczyć. Stan doskonałego odprężenia.

Reacher miał wrażenie, jakby czas i odległość zostały zawieszony. Jakby tylne światła dodge'a na zawsze pozostały w oddali i gdyby nawet jechał przez tysiąc godzin, nigdy by ich nie dogonił.

Pustkę w głowie zwykle wypełniały mu liczby. Nie był wprawdzie szczególnie biegły w matematyce, ale liczby po prostu do niego przemawiały, wirując i odsłaniając swoje ukryte aspekty. Gdyby na przykład w momencie, kiedy na chwilę zwolnił, zerknął na prędkościomierz i zobaczył, że jedzie siedemdziesiąt sześć kilometrów na godzinę, mógłby pomyśleć, że 76 podniesione do kwadratu daje 5776, czyli wynik kończy się liczbą 76, tą samą, od której zaczęło się działanie, co oznaczało, że 76 jest liczbą automorficzną, jedną z dwóch dwucyfrowych liczb automorficznych poniżej 100. Drugą było 25, które podniesione do kwadratu daje 625, które z kolei podniesione do kwadratu daje 390 625. Ciekawe.

A po chwili, kiedy wskazówka prędkościomierza przekroczyłaby osiemdziesiąt jeden kilometrów, przyszłoby mu na myśl, że jeden podzielone przez osiemdziesiąt jeden daje wynik 0,012345679, ułamek okresowy, w którym grupa cyfr powtarza się w nieskończoność, dłużej, niż trwałyby jego próby dogonienia białego dodge'a.

Ale tej nocy pierwsze przysły mu na myśl słowa.

Dokładnie mówiąc, siedem słów wypowiedzianych przez Alana Kinga: „A dla Karen taką, jaką sobie życzy”. Przy okazji zamawiania kawy. Dwie z cukrem i śmietanką, „a dla Karen taką, jaką sobie życzy”. Kłóciło się to z wrażeniem Reachera, że stanowią zespół. Członkowie jednego zespołu znają swoje upodobania kawowe. Setki razy stali razem w kolejce w bufetach przy parkingach, na lotniskach, w Starbucksie, w pozbawionych nazw nędznych budach. Razem składali zamówienia w barach i restauracjach. Nawzajem przynosili sobie kawę.

King nie wiedział jednak, jaką kawę lubi Karen.

Karen nie należy więc do zespołu albo nie jest stałym jego członkiem, albo jest nowym członkiem. Niedawno dopisanym do listy. Może właśnie dlatego nic nie mówi. Nie wie, jakie jest jej miejsce. A może po prostu nie lubi swoich nowych współpracowników. Albo oni jej. Alan King wyraźnie mówił o niej ze zniecierpliwieniem, a nawet pogardą, jakby Karen w ogóle nie było.

Powiedział: „Karen nie prowadzi”. Kiedy nie zamówiła kawy, podsumował: „Czyli dla Karen nic”.

Nie stanowili tria. King i McQueen byli duetem, który ledwie tolerował obecność in truza.

Sorenson wróciła do Goodmana stojącego na pustym podjeździe z płamą oleju i powiedziała mu o dziecku Karen Delfuenso.

- Jezu - jęknął Goodman. Spojrzał w stronę domu drugiego sąsiada. - I tam teraz jest jej córka?

- Chyba że lunatykuje. A rano spodziewa się zobaczyć mamę.

- Nie powinniśmy jej nic mówić. Jeszcze nie teraz. Dopóki nie będziemy pewni.

- Nie powiemy jej. Na razie. Ale musimy porozmawiać z sąsiadką. Możliwe, że nie stało się nic złego. Mogło jej coś wypaść i Karen zostawiła jakąś wiadomość.

- Myśli pani?

- Nie. Ale trzeba sprawdzić.

Przecięli więc razem drugi trawnik i Sorenson starała się zapukać w taki sposób, żeby usłyszał ją śpiący dorosły, ale nie śpiące dziecko. Trudne zadanie. Pierwsza próba nikogo nie obudziła. Druga mogła postawić na nogi cały dom. Na pewno postawiła zmęczoną trzydziestokilkuletnią kobietę, która stanęła w drzwiach.

Nie było żadnej wiadomości od Karen Delfuenso.

Następne słowa, jakie pojawiły się w pustce panującej w głowie Reachera, zostały wypowiedziane przez siwowłosego sierżanta policji stanowej: „Nie pan”. Ostatecznie dołączyły do nich liczby, najpierw sześć, potem trzy, a potem jeden. Sześć, ponieważ składały się z sześciu liter, trzy, bo każde słowo miało trzy litery, a razem składały się z trzech samogłosek i trzech spółgłosek.

Trzy i sześć.

Dobre liczby.

Przez każde trzy punkty, które nie leżą na jednej prostej, można poprowadzić okrąg.

Można wziąć trzy kolejne liczby, z których największa jest podzielna przez trzy, i dodać je do siebie, a następnie dodać cyfry otrzymanej sumy, w razie konieczności kilka razy, aż zostanie jednocyfrowa liczba.

Tą liczbą będzie sześć.

Ostatecznie jednak słowa „Nie pan” nie skierowały jego myśli na liczbę sześć ani na liczbę trzy, ale naprowadziły na liczbę jeden - ze względu na ich treść. Reacher zapytał: „Kto jest poszukiwany, sierzancie?”. Sierżant odpowiedział: „Nie pan”. Zamiast „Nie wy” albo „Nie państwo”.

„Nie pan”.

Szukali kogoś podróżującego samotnie.

Co było zgodne z tym, co zdarzyło się przy poprzedniej blokadzie. Reacher miał tam lepszy widok i zauważył, że uważniej przyglądano się jadącym samotnie mężczyznom.

Ale: „Nie pan”.

Oznaczało to, że gliniarze dysponują przynajmniej ogólnym rysopisem poszukiwanego i że Reacher zdecydowanie do niego nie pasuje. Dlaczego nie? Mógł być milion powodów. Na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że Reacher jest wysoki, biały, starszy i mocno zbudowany. I tak dalej, i tak dalej. Poszukiwany może więc być niski, czarny, młody i chudy. I tak dalej, i tak dalej.

Ale sierżant milczał przez chwilę, zastanawiał się, a potem się uśmiechnął. „Nie pan” wypowiedział stanowczo i z dozą goryczy. Może nawet z odrobiną żalu. Jakby między Reacherem a rysopisem poszukiwanego zachodził rażący kontrast. Albo drastyczna różnica. Nikt nie mógł jednak być drastycznie wysoki, chyba że poszukiwano karła albo liliputa, a wówczas wystarczyłoby tylko raz zajrzeć do samochodu. Nikt nie mógł być drastycznie biały. Różnice między białymi a czarnymi należą do codzienności. Nikt nie zastanawia się nad

stopniami czerni czy bieli. Już nie. Reacher nie był też drastycznie stary, chyba że poszukiwano płodu. Reacher nie był też wyjątkowo potężnie zbudowany, chyba że poszukiwano kogoś skrajnie wychudzonego.

„Nie pan”. Słowa padły, kiedy Reacher celowo pomylił stopień policjanta, co można było zrozumieć jako komplement pro forma, jak w rozmowie dwóch normalnych facetów, prawdopodobnie doświadczonych. Umiejących znaleźć wspólny język.

„Nie pan”. Stanowcze, drwiące, z nutą goryczy i żalu, życzliwe. Normalny facet mówił do drugiego normalnego faceta, doświadczony gość do drugiego doświadczonego gościa, odpowiadał w podobny sposób. Takim samym tonem, jakim wspominał o rozbitym nosie. W pewnym sensie nawiązywał do tamtej uwagi. Kontynuował pogawędkę. Potwierdzając, że mówią wspólnym językiem.

Wynikało z tego, że poszukiwany nie ma rozbitego nosa.

Ale ludzie na ogół nie mają rozbitych nosów.

Co oznaczało, że sierżant dokonał pewnego uogólnienia. Jakby chciał powiedzieć: „Jestem prawie pewny, że w naszym rysopisie znalazłaby się na przykład informacja o takim nosie jak pański”.

A więc powiedziano im, że poszukiwany nie ma żadnych zauważalnych cech tego rodzaju.

Żadnych osobliwości. Żadnych rzucających się w oczy szczegółów: blizn, tatuaży, brakujących uszu, szklanych oczu, brody do pasa ani dziwacznej fryzury.

Reacher przez trzynaście lat był gliną i doskonale pamiętał wyuczoną formułę: „znaków szczególnych brak”.

Sorenson i Goodman znów przekroczyli błotnisty ściek i wsiedli do samochodu szeryfa.

- Powinien pan skontaktować się ze swoim funkcjonariuszem dyżurnym i sprawdzić, czy nie było zgłoszeń o błąkającej się samotnie kobiecie, która wyglądała na zagubioną czy zdezorientowaną - odezwała się Sorenson. - Na razie przyjmijmy hipotezę, że ci dwaj skradli samochód Delfuenso.

I podczas kradzieży mogli ją uderzyć w głowę.

- Mogli ją też zabić.

- Miejmy nadzieję, że nie doszło do najgorszego. Niech pan poleci swoim zastępcom sprawdzić też teren za barem. Bardzo dokładnie. Może leżeć nieprzytomna w jakimś ciemnym miejscu.

- Jeżeli do tej pory nie zamarzyła na śmierć.

- Dlatego powinien pan działać szybko.

Goodman zaczął więc rozmawiać przez radio, a Sorenson przez komórkę, aby się dowiedzieć, jakie wiadomości mają dla niej funkcjonariusze policji w dwóch stanach. Na żadnej z dwóch blokad nie zatrzymano podróżujących razem dwóch mężczyzn o przeciętnym wyglądzie i bez znaków szczególnych, u nikogo nie znaleziono też ubrań ze śladami krwi ani białej broni. Sorenson dokonała szybkich obliczeń. Ci dwaj prawie na pewno już przejechali przez wyznaczone punkty.

Tak wynikało z czasu i odległości. Mimo to poprosiła policjantów, żeby zostali na miejscu jeszcze przez godzinę. Dwaj poszukiwani mogli złapać gumę albo trafili na inną niespodziewaną przeszkodę. Nie chciała zdejmować blokad i ryzykować, że pięć minut później dwaj mężczyźni spokojnie przejadą otwartą już drogą.

Rozłączyła się, a Goodman poinformował ją, że dyżurny nie odebrał żadnych zgłoszeń, a jego zastępcy prowadzą intensywne poszukiwania za barem w Mieście Grzechu i w całej miejscowości.

18

Reacher prowadził samochód, mając obok siebie śpiącego Alana Kinga, a za sobą śpiącego Dona McQueena. Karen Delfuenso wciąż nie poddawała się senności i siedziała wyprostowana i spięta.

Reacher czuł na sobie jej spojrzenie w lusterku wstecznym. Podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy.

Wpatrywała się w niego. Intensywnie, jakby starała się zmusić go siłą woli, aby coś zrozumiał.

Co miał zrozumieć? Nagle znów przyszyły mu do głowy liczby, tym razem trzynaście, dwanaście, dziesięć, pięć, jeden, sześć, siedem i dwanaście. Delfuenso mrugała tyle razy w ośmiu oddzielnych sekwencjach, a między nimi energicznie kręciła głową.

Po co?

Czy to miała być jakaś wiadomość?

Prosty kod alfabetyczny? Trzynastą literą w alfabecie jest M. Dwunastą L. Dziesiątą J. Piątą E.

Pierwszą A. Szóstą F. Siódmą G.MLJEAFGL.

To nie słowo. Ani rzymski liczebnik. Skrót nazwy jakiejś firmy? Organizacji? Akronim w rodzaju SNAFU czy FUBAR1?

Reacher spojrział w mrok, aby utrwalić sobie w pamięci najbliższy kilometr we wszystkich czterech wymiarach, a potem napotkał wzrok Delfuenso w lusterku i bezgłośnie wymówił osiem liter, artykułując je z przesadną starannością i angażując wargi, zęby i język:

- M, L, J, E, A, F, G, L?

Delfuenso wbiła w niego roziskrzone oczy, na wpół uszczęśliwiona, że stara się ją zrozumieć, na wpół wściekła, że nie kojarzy, jak człowiek dręczony pragnieniem, któremu ktoś podsunął szklankę wody, a po chwili ją zabrał.

Pokręciła głową. Nie. Gwałtownie obróciła podbródek w lewo, a następnie w prawo. Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy, jakby chciała powiedzieć: „Rozumiesz?”.

Reacher nie rozumiał. Nie od razu. Pojął tylko, że ruch głowy w lewo oznacza jedno, a ruch w prawo - drugie. Dwie różne kategorie. Może mrugnięcia poprzedzone ruchem głowy w lewo oznaczały litery, a poprzedzone ruchem w prawo liczby. Albo na odwrót.

M-12-JEA-6-7-12?

13-L-10-5-1-FGL?

Nagle Alan King drgnął, ocknął się i poruszył, a Reacher zobaczył, jak Delfuenso odwraca twarz i patrzy w okno.

King spojrział na Reachera i spytał:

- Wszystko w porządku?

Reacher bez słowa skinął głową.

- Potrzebuje pan jeszcze jednej aspiryny? - zapytał King.

Reacher pokręcił głową.

- Karen, daj mu jeszcze aspirynę.

Delfuenso nie odpowiedziała.

- Karen? - powtórzył King.

- Nie potrzebuję już aspiryny - powiedział Reacher.

- Mam wrażenie, że jednak by się przydała. Karen, daj mu dwie pastylki.

- Może Karen sama potrzebuje aspiryny?

- Niech się podzieli.

- Proszę się o mnie nie martwić.

- Ale wygląda pan, jakby pan odpływał.

- Po prostu skupiam się na drodze.

- Nie, wygląda pan, jakby pan o czymś myślał.

- Zawsze o czymś myślę.

- Na przykład?

- W tym momencie o pewnym wyzwaniu.

- Jakim?

- Czy potrafi pan mówić składnie w zwykłym tempie przez całą minutę?

- Co?

- Słyszał pan.

King milczał przez chwilę.

- Tak - odparł. - Oczywiście, że potrafię.

- Czy potrafi pan mówić składnie w zwykłym tempie przez całą minutę, nie używając ani jednego słowa, które zawiera literę A?

- To by było trudniejsze - mruknął King. - Prawdopodobnie niemożliwe. Wiele słów zawiera literę A.

Reacher skinął głową.

- Właśnie użył pan dwóch. A odkąd się pan obudził dziesięć sekund temu, użył pan w sumie dwudziestu dziewięciu.

- To głupie zadanie.

- Nie, łatwe.

- Jak to?

- Później panu wyjaśnię - rzekł Reacher. - Może pan spać dalej.

- Nie, niech mi pan wyjaśni teraz.

- Wyjaśnię później - powtórzył Reacher. - Niech pan cierpliwie zaczeka, dowie się pan.

King wzruszył ramionami, a potem przez minutę patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, niezadowolony, może nawet trochę zły, w końcu jednak odwrócił się i zamknął oczy.

Reacher zaczął myśleć o dwóch blokadach, które minęli.

Na każdej z nich było osiem samochodów i ośmiu funkcjonariuszy z latarkami, którzy mieli mnóstwo czasu na dokładne skontrolowanie pojazdów. Wyobraził sobie, że sam jest poszukiwanym o przeciętnym wyglądzie, podróżującym w pojedynkę, że zdaje sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa i być może spodziewa się blokad. Jak taki człowiek ma się do tego przygotować?

Mógłby w jakiś sposób ukryć jeden z dwóch zgubnych dla niego faktów.

Mógłby zmienić swój przeciętny wygląd makijażem, odrobiną wosku, peruką albo kolczykami, namalowanymi tatuażami czy bliznami.

Nie byłoby to jednak łatwe dla osoby bez odpowiednich umiejętności i praktyki.

Trudno to zrobić szybko.

Tak więc spróbowałby zmienić drugi z niekorzystnych dla siebie faktów.

Postarałby się nie podróżować samotnie.

To byłoby łatwiejsze nawet dla kogoś bez umiejętności i praktyki. I udałoby się nawet w tak krótkim czasie.

Mógłby wziąć autostopowicza.

19

Sorenson podała centrali nazwisko i adres Delfuenso, a niecałą minutę później wiedziała, że samochód Delfuenso to czteroletni granatowy chevrolet impala, знаła też jego numer rejestracyjny. Przekazała tę informację zespołom na blokadach. Od obydwu dowiedziała się, że numer rejestracyjny nie figuruje na sporządzonych przez nich listach pojazdów, którymi poruszali się dwaj mężczyźni. Jedni i drudzy powiedzieli, że dla potwierdzenia obejrzą zapis wideo z kamery umieszczonej w radiowozie. Jedni i drudzy powiedzieli, że to może trochę potrwać.

Tak więc szeryf Goodman zawiózł Sorenson pod bar, gdzie poszukiwania martwej lub nieprzytomnej kobiety nie przyniosły żadnych rezultatów. Zastępcy szeryfa przeczesywali teren w coraz większym promieniu od tylnego wyjścia z baru, ale nie znaleźli niczego godnego uwagi.

Sprawdzili wszystkie ciemne miejsca, puste bramy, zarośla przy ogrodzeniach, kubły na śmieci oraz wszystkie kałuże i jamy.

- Mogła się bardziej oddalić - uznał Goodman. - Wstała, odeszła jeszcze dalej i znowu upadła.

To się czasem zdarza przy uderzeniach w głowę.

- Albo wpakowali ją do samochodu i wysadzili później - podsunął jeden z zastępców szeryfa. - Gdzieś w szczerym polu. Dla własnego bezpieczeństwa. Może teraz być gdziekolwiek. Nawet sto kilometrów stąd.

- Niech pan to powtórzy - poprosiła Sorenson.

- Nawet sto kilometrów stąd.

- Nie, pierwsze zdanie.

- Wpakowali ją do samochodu.

„Numer rejestracyjny nie figuruje na sporządzonych przez nich listach pojazdów, którymi poruszali się dwaj mężczyźni”.

- Wiecie co, chyba rzeczywiście to zrobili - powiedziała Sorenson. - I kobieta ciągle

jest w samochodzie. Myślę, że jest zakładniczką. I zasłoną dymną. Samochodem jadą trzy osoby. Nie dwie. I spokojnie minęły blokady.

Nikt się nie odzywał.

- W co była ubrana?

Odpowiedziała jej cisza.

- Śmiało, przecież któryś z was musiał zajrzeć do tego baru w wolny wieczór. Nie udawajcie, że nie.

- Czarne spodnie - powiedział Goodman.

- Co jeszcze?

- Czarnosrebrną bluzkę - dodał. - Taką połyskującą. Nic szczególnego. Z bardzo dużym dekoltem.

- Rzucającym się w oczy?

- Chyba że ktoś jest niewidomy. To była bardziej wystawa niż bluzka.

- Wystawa czego?

- No, wie pani...

- Nie wiem.

- To znaczy, że prawie się w niej nie mieściła.

- I to ma być porządny bar? Co noszą kelnerki w innych lokalach?

- Stringi.

- Nic więcej?

- Buty na wysokich obcasach.

Sorenson znów wzięła komórkę. Środek nocy, środek zimy, podróżni jadący drogą międzystanową przez Nebraskę i Iowa. Kierowcy ciężarówek, farmerzy, przyzwoci, wierzący obywatele Środkowego Zachodu. Błyszcząca, wydekoltowana bluzka kelnerki z nocnego baru musiała się wyróżniać na tym tle jak latarnia morska. Znużeni policjanci z pewnością zwróciliby uwagę na ten samochód.

Ale żaden policjant w Nebrasce nie widział błyszczącej, wydekoltowanej bluzki kelnerki z nocnego baru.

Żaden policjant w Iowa też nie widział błyszczącej, wydekoltowanej bluzki kelnerki z nocnego baru.

Reacher opierał jedną rękę na dolnej krawędzi kierownicy, a drugą na dźwigni zmiany biegów - dla urozmaicenia, po to, żeby nie zdrętwiały i nie rozboleły go ramiona. Dźwignia lekko wibrowała.

Prawą ręką wyraźnie wyczuwał delikatne drgania. Mechanizm przekazywał jakieś wewnętrzne zakłócenia. Reacher odrobinę popchnął dźwignię w jedną i drugą stronę, aby się upewnić, czy jest we właściwym miejscu. Zerknął w dół. Była równo ustawiona w położeniu D. Mimo to nadal czuł słabą wibrację. Pewnie nic wielkiego. Taką miał nadzieję. Nie bardzo znał się na samochodach. Ale wojskowe pojazdy wibrowały jak szalone i nikt się tym nie przejmował.

Obok dźwigni mała lampka oświetlała sekwencję przełożeń: PRNDL: przełącznik parkowanie/bieg wsteczny/luz/jazda szosowa/jazda terenowa². Szesnasta litera alfabetu, potem osiemnasta, czternasta, czwarta i dwunasta. Niefortunna i trudna sekwencja, gdyby ktoś na przykład próbował ją przekazać, mrugając. Trzy z pięciu liter znajdowały się w drugiej połowie alfabetu. Lepiej niż w przypadku takich słów jak „życie”, „tyżwy” czy „wyżły”, choć niewiele łatwiej. Mruganie, wystukiwanie albo błyskanie światłem w sposób liniowy nie było zbyt skuteczną metodą nadawania komunikatów za pomocą alfabetu złożonego z dwudziestu sześciu liter. Było czasochłonne, a nadawca lub odbiorca łatwo mogli pomylić się w rachubie. Albo jeden i drugi naraz. Stary Samuel Morse już dawno temu doszedł do takiego wniosku.

Reacher znów zerknął w dół.

Wsteczny.

Karen Delfuenso mrugała nie więcej niż trzynastą razą z rzędu. Co oznaczało, że wszystkie litery znajdowały się w pierwszej połowie alfabetu. Możliwe, ale statystycznie mało prawdopodobne.

Amator, który nie znał alfabetu Morse'a, potrafił jednak zrozumieć te same podstawowe wady przekazu, które przewidział Morse. Szczególnie amator, który z jakiegoś powodu jest spięty i zdenerwowany i ma niewiele czasu na nadanie wiadomości. Taki amator mógłby improwizować i znaleźć jakąś własną szybszą metodę.

Jazda i wsteczny.

Do przodu i do tyłu.

Może ruch głowy w lewo oznaczał liczenie od A, ponieważ ludzie Zachodu czytają z lewej do prawej, a ruch głowy w prawo mógł oznaczać liczenie wstecz od Z.

Może.

Niewykluczone.

Trzynastą w prawo, dwanaście w lewo, dziesięć w prawo, pięć w prawo, jeden w prawo, sześć w lewo, siedem w lewo i dwanaście w lewo.

NLQVZFGL.

Nie miało to sensu. Może krył się tu jakiś skrót, ale co to mogło razem oznaczać?

Jakieś brednie i tyle.

Reacher zerknął w lusterko.

Delfuenso znów na niego patrzyła, chcąc zmusić go siłą woli, żeby zrozumiał.

W lusterko.

Widział jej odbicie - odwróconą twarz.

Może wzięła to pod uwagę? Może prawo oznaczało lewo, a lewo - prawo.

Trzynasta od początku, dwunasta od końca, dziesiąta od początku, piąta od początku, pierwsza od początku, szósta od końca, siódma od końca i dwunasta od końca.

MOJEAUTO.

Moje auto.

Reacher znów spojrział w lusterko i zapytał bezgłośnie:

- To twoje auto?

Delfuenso energicznie pokiwała głową, z rozpaczą i ogromną ulgą.

20

Sorenson cofnęła się, odwróciła, rozejrzała i powiedziała:

- Najpierw pojechali na południe, potem wrócili na drogę i pojechali na północ. Dla czego?

- Bo tamtędy przyjechali - odrzekł Goodman. - Może nie wiedzieli, że można dostać się na drogę inaczej.

- Bzdura. Popatrzyli na północ, zobaczyli stary bar i kawałek ziemi wysypanej żwirem i już wiedzieli, że mogą się tamtędy wydostać.

- No to może najpierw pojechali zatankować na drugiej stacji?

- Po co? Mieli stację pod nosem, na tym końcu dzielnicy. Myśli pan, że zależało im na niższej cenie?

- Może zobaczyli kamery?

- Jeżeli na jednej stacji są kamery, to na drugiej też. Co do tego nie można mieć wątpliwości.

- Zresztą na obu stacjach cena jest taka sama. Zawsze.

- No więc dlaczego zrobili pętlę i najpierw pojechali na południe?

- Pewnie z jakiegoś innego powodu - odparł Goodman. Sorenson ruszyła na południe, idąc szybkim krokiem po zamarzniętym żwirze, mijając zaplecze nieczynnej restauracji, zaplecze jakiejś knajpy bez nazwy, zaplecze walącego się motelu oraz zaplecze oświetlonego

i otwartego całodobowego sklepu.

Tu się zatrzymała.

Przed sobą zobaczyła szeroką lukę, a dalej następną knajpę, następny nocny bar, potem nic aż do stacji benzynowej.

- Założmy, że nie chcieli nic zjeść ani wypić. Założmy, że nie interesowało ich wynajęcie pokoju na noc. A jeżeli chcieli zatankować, skorzystaliby z bliższej stacji. Dlaczego więc pojechali tędy?

- Sklep - podsunął Goodman. - Musieli coś kupić.

Szybko okrążyli budynek i weszli do wnętrza oświetlonego zimnym blaskiem jarzeniówek, gdzie unosił się zapach fusów po kawie, jedzenia z mikrofalówki i antyseptycznego środka do mycia podłóg. Znudzony sprzedawca za kasą nawet nie podniósł głowy. Sorenson zlustrowała sufit. Ani śladu kamer.

Regały szczelnie wypełniały chrupki, batoniki, puszki zjedzeniem, pieczywo, ciastka, podstawowe przybory toaletowe oraz akcesoria samochodowe takie jak olej, pięciolitrowe butle płynu do chłodnic i spryskiwaczy, przypinane uchwyty na kubki, samogaszące popielniczki i składane łopaty do śniegu. Były tu gumowe nieprzemakalne ochraniacze na buty, podkolanówki i biała bielizna za dolara, tanie podkoszulki, tanie dżinsowe koszule, tanie bluzy i płócienne spodnie robocze.

Sorenson przyjrzała się uważnie regałom z ubraniami, po czym podeszła do kasy, trzymając w pogotowiu legitymację. Sprzedawca podniósł wzrok.

- Słucham? - powiedział.

- Kto tu był między dwunastą dwadzieścia a wpół do pierwszej w nocy?

- Ja - odparł facet.

- Żadnych klientów?

- Może jeden.

- Kto?

- Wysoki chudy facet w koszuli i krawacie.

- Bez kurtki?

- Wpadł chyba prosto z samochodu. Nie miał czasu zmarznąć. Nikt tu nie przychodzi pieszo. To szczerze pole.

- Widział pan samochód?

Sprzedawca pokręcił głową.

- Chyba zaparkował za sklepem. Wyszedł jakby zza rogu. Tak mi się w każdym razie wydawało.

- Co kupił? - chciała wiedzieć Sorenson.

Facet wyprostował długą spiralę taśmy wystającą ze szczeliny kasy. Przejechał kciukiem po rzędach bładoniebieskich liter i cyfr, co jakiś czas przeskakując od jednej wydrukowanej godziny do drugiej. W końcu zatrzymał palec na pozycji zawierającej jedną ście linii.

- Sześć rzeczy - powiedział. - Plus podsuma, podatek, suma łączna, sposób płatności i reszta.

- Zapłacił gotówką?

- Pewnie tak, skoro wydałem resztę.

- Nie pamięta pan?

- Nie zwracam na to uwagi. To nie jest moja wymarzona robota, proszę pani.

- Co kupił?

Facet przyjrzał się taśmie.

- Trzy sztuki czegoś i trzy sztuki czegoś innego.

- Trzy sztuki czego i czego innego? Przecież to było dzisiaj. Nie rozmawiamy o zdarzeniach z historii starożytnej. Nie prosimy pana o niezwykły popis pamięci.

- Wodę. Już sobie przypominam. Trzy butelki wody z lodówki.

- Co jeszcze?

Facet znów spojrział na taśmę.

- Trzy inne rzeczy w tej samej cenie.

- Co to były za rzeczy?

- Nie pamiętam.

- Palił pan dzisiaj wieczorem? - spytała Sorenson.

W sprzedawcy nagle obudziła się czujność.

- Co miałem palić?

- To raczej pytanie do szeryfa Goodmana. Może przeprowadzi dzisiaj u pana rewizję, jeżeli jest pan w stanie się jej poddać?

Facet nie odpowiedział. Poruszał ręką w górę i w dół, przygotowując się do triumfalnego pstryknięcia palcami. Czekał, aż sobie przypomni. Próbował sobie przypomnieć. Wreszcie się uśmiechnął.

- Koszule. Trzy dzinsowe koszule w promocji. Niebieskie. Po jednej z każdego rozmiaru. Małą, średnią i dużą.

Sorenson i Goodman wyszli ze sklepu i wrócili na parking za budynkiem.

- Karen Delfuenso była ich zakładniczką - uznała Sorenson - i zamierzali ją wykorzystać jako zasłonę dymną, więc nie mogła zostać w swojej kusej bluzce. Za bardzo rzucałyby się w oczy.

Wiedzieli, że mogą trafić na blokady. Dlatego kazali jej się przebrać.

- Wszyscy się przebrali - dodał Goodman. - Trzy osoby, trzy koszule.

Sorenson skinęła głową.

- Ślady krwi - powiedziała. - Tak jak mówił świadek. Przynajmniej jeden z nich miał krew na marynarce.

- Schrzaniliśmy sprawę - stwierdził Goodman. - Oboje. Przekazałem na blokadę informację o dwóch mężczyznach w czarnych garniturach. Potem o jakichkolwiek dwóch mężczyznach. Pani przekazała im, że szukamy jakichkolwiek dwóch mężczyzn. Ale to nie byli dwaj mężczyźni. To były trzy osoby, dwaj mężczyźni i kobieta, wszyscy w dżinsowych koszulach.

Sorenson milczała. Nagle zadzwoniła jej komórka i funkcjonariusz policji stanowej z Iowa poinformował ją, że obejrzeni zapis z kamery w radiowozie i znaleźli samochód Karen Delfuenso.

Przejechał przez blokadę ponad godzinę temu. Nie zwrócili na niego uwagi, ponieważ siedziały w nim cztery osoby.

21

Sorenson pochyliła się, odeszła parę kroków od Goodmana i przełożyła telefon do drugiej ręki.

- Cztery osoby?

- Obraz jest trochę ciemny, ale widać ich wyraźnie.

- Odrzekł kapitan policji stanowej z Iowa. - Dwie osoby z przodu i dwie z tyłu. Mój sierżant pamięta kierowcę.

- Mogę porozmawiać z pana sierżantem?

- A możemy zdjąć blokadę?

- Najpierw porozmawiam z sierżantem.

- W porządku, chwileczkę.

Sorenson usłyszała jakieś zgrzytliwe dźwięki, a w tle stłumione dudnienie silnika ciężarówki pracującego na wolnych obrotach. Odwróciła się do Goodmana i powiedziała:

- Myliliśmy się jeszcze bardziej. Tym samochodem jadą cztery osoby. - Po chwili usłyszała, jak telefon przechodzi do innych rąk i w słuchawce odezwał się schrypnięty głos:

- Słucham?

- Kto jechał tym samochodem? - zapytała.

- Pamiętam przede wszystkim kierowcę - odparł sierżant.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna. Potężny facet z rozbitym nosem. Bardzo rozbitym. Zresztą chyba niedawno.

Trochę przypominał goryla z rozkwaszonym pyskiem.

- Obrażenia wyglądały jak po bójce?

- Właściwie sam się przyznał. Ale powiedział, że to nie stało się w Iowa.

- Rozmawiał pan z nim?

- Krótko. Był dość uprzejmy. Niewiele mogę o nim powiedzieć poza tym, że miał rozbity nos.

Powinien jechać do szpitala.

- Co miał na sobie?

- Zimową kurtkę.

- A pasażerowie?

- Niezbyt dobrze ich pamiętam.

- Nie złożył pan przysięgi i nie zeznaje pan przed sądem, sierzancie. Wszystko, co pan pamięta, może mi pomóc.

- Mówię tylko o swoich wrażeniach. Nie chcę wprowadzić pani w błąd.

- Każdy szczegół może się przydać.

- Pomyślałem sobie, że wyglądają jak Peter, Paul i Mary.

- Kto?

- Taka grupa folkowa. Z dawnych czasów. Może ich pani nie pamiętać. Byli tak samo ubrani. Jak zespół muzyczny. Dwaj mężczyźni i kobieta.

- Dżinsowe koszule?

- Właśnie. Jak trio country. Przypuszczałem, że w bagażniku mają gitary akustyczne i właśnie jadą z jednego koncertu na drugi. Czasem takich spotykamy. Kobieta miała pełny makijaż, jakby właśnie zeszła ze sceny.

- A kierowca wyglądał inaczej?

- Pomyślałem, że to menedżer. Albo techniczny. Wie pani, duży i brutalny. Powtarzam, to tylko moje wrażenia.

- Pamięta pan coś jeszcze?

- Tylko niech pani się na mnie nie powołuje.

- Obiecuję.

- W samochodzie panowała nieprzyjemna atmosfera. Kobieta była wyraźnie zdenerwowana.

Albo obrażona. Pomyślałem, że może koncerty nie poszły za dobrze i chce się wycofać z trasy, ale ma dwóch przeciwko sobie. Albo trzech, jeżeli menedżer też miał głos. Było późno, ale kobieta nie spała, jakby coś nie dawało jej spokoju. W każdym razie takie odniosłem wrażenie.

Sorenson milczała.

- To byli ci poszukiwani, zgadza się? - spytał sierżant.

- Tak, ci dwaj w koszulach - odrzekła Sorenson.

- Przykro mi.

- To nie pańska wina.

Po chwili w słuchawce rozległ się głos kapitana:

- Mówiła nam pani, że mamy szukać dwóch uciekinierów, a nie samochodu z rewiową grupą odgrywającą jakąś rodzinną psychodramę.

- To nie pańska wina - powtórzyła Sorenson.

- Czy mogę już zdjąć blokadę?

- Tak. I proszę nadać komunikat o poszukiwaniu samochodu z tym numerem do wszystkich jednostek na wschód od was.

- Na wschód od nas nie mam żadnych jednostek, droga pani. Musiałem ściągnąć wszystkich ludzi tutaj. Niech pani przyjmie do wiadomości, że ci ludzie już dawno odjechali w siną dal.

Reacher mógł mrugać, ale tylko lewym okiem. Pozostałość z dzieciństwa. Kiedy był mały, sypiał głównie na lewym boku, a budząc się, otwierał tylko prawe oko, aby rozejrzeć się po ciemnej sypialni, w której akurat się znajdował, podczas gdy lewe pozostawało wciśnięte w poduszkę. Nie wiedział też, czy Delfuenso przy takim ustawieniu lusterka widzi z tylnego siedzenia jego lewe oko.

Zresztą przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę eksperymentowanie ze wzrokiem nie jest dobrym pomysłem. Oderwał więc prawą rękę od dźwigni zmiany biegów i uniósł, żeby ją widziała, po czym opuścił.

Wskazał kciukiem w prawo. Lusterko nie było potrzebne. Oboje patrzyli w tym samym kierunku. Prawa była z prawej. Palcem wskazującym stuknął w dźwignię sześć razy. Potem wskazał w lewo i stuknął jedenaście razy. Jego jasny palec był wyraźnie widoczny w

słabym świetle. Znów w prawo dziewięć razy, w lewo raz, w lewo cztery, w lewo dwanaście i na koniec w lewo dziewięć.

Spojrzał w lusterko i unióś brwi, stawiając w ten sposób znak zapytania.

„Ukradli?”.

Delfuenso energicznie pokiwała głową.

Zdecydowane „tak”.

Co wiele wyjaśniało.

Z wyjątkiem identycznych strojów.

Reacher oderwał rękę od dźwigni, kciukiem i palcem wskazującym skubnął swoją kurtkę, spojrzał pytająco w lusterko i spytał bezgłośnie:

- Koszule?

Delfuenso zerknęła zdenerwowana na boki, jakby nie wiedziała, jak to szybko wytłumaczyć.

Wreszcie skierowała wzrok w lewo, sprawdzając, czy McQueen nie patrzy, po czym zaczęła rozpinać koszulę. Reacher jednym okiem patrzył na drogę, a drugim w lusterko. Trzy guziki, cztery, pięć. Po chwili Delfuenso rozchyliła poły koszuli i Reacher zobaczył pod nią kusą czarno-srebrną bluzkę przypominającą fantazyjną bieliznę, gorset mocno ściśnięty na brzuchu. Jej biust spoczywał dumnie i wysoko na tekstylnym postumencie zrobionym z dwóch szczątkowych miseczek.

Reacher skinął głową, patrząc w lusterko. Widział już podobne stroje. Jak większość mężczyzn.

Jak każdy żołnierz. Była kelnerką w przydrożnym barze, może barmanką. Kończyła pracę i może wsiadała do samochodu albo stała na światłach, gdy nagle ci dwaj ją zaatakowali. Potem zatrzymali się gdzieś i kupili jej koszulę, aby uchronić się przed główną informacją, jaka musiała się pojawić w komunikacie o poszukiwaniu uciekinierów: „Ciemnowłosa, prawie do połowy rozebrana kobieta”.

Delfuenso zaczęła zapinać koszulę. Reacher wycelował palec wskazujący w Alana Kinga, kciuk w stronę Dona McQueena, a potem unióś otwartą dłoń w uniwersalnym pytającym geście: „a oni?”.

Delfuenso otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła i znów zaczęła mrugać, pracowicie nadając kolejną długą sekwencję.

Jedenasta od początku, dziewiąta od końca, piąta od początku, czwarta od końca.

KREW, „krew”.

Trzynasta od końca, pierwsza od początku.

NA, „na”.

- Mieli krew na ubraniach? - zapytał bezgłośnie Reacher.

Delfuenso skinęła głową.

Reacher jechał przez ciemność, nadal widząc daleko przed sobą czerwone światła białego dodge'a, mijając puste zjazdy oddalone od siebie o parę kilometrów, a myśli krążyły mu w głowie jak talerze wirujące na patykach.

22

Szeryf Goodman skulił się, szczelniej otulił się kurtką i obszedł plac za sklepem, robiąc koło.

- Przypuszczam, że zaparkowali tutaj. I pewnie tu się przebrali. Może wyrzucili gdzieś marynarki. Może i nóż. Powinniśmy sprawdzić okoliczne pojemniki na śmieci.

- Chce się pan tego podjąć, szeryfie? - zapytała Sorenson.

- Moi zastępcy nie mają nic lepszego do roboty.

- Zgoda. Ale to prawdopodobnie strata czasu. Stawiam dziesięć dolarów przeciwko jednemu, że wrzucili marynarki do bagażnika samochodu Delfuenso. A nóż pewnie do jednej z rur w bunkrze.

- Zamierza pani postawić trzecią blokadę?

- W Iowa nie mają ludzi.

- No to w Illinois. Jeżeli zostaną na międzystanówce, najprawdopodobniej dojadą aż do Chicago.

Policja z Illinois może na nich czekać na granicy stanu.

- Na pewno już wiedzą, że kuszą los. Dwa razy im się udało. Trzeciego razu nie zaryzykują.

Będą się teraz poruszali bocznymi drogami. Albo gdzieś się zaszyją.

- A więc koniec z blokadami?

- Wydaje mi się, że niczego w ten sposób nie osiągniemy.

- Czy ci dwaj będą myśleli tak samo jak pani?

- Staram się myśleć tak samo jak oni.

- W takim razie to zła wiadomość dla Karen Delfuenso - zauważył Goodman. - Nie będą już potrzebowali zasłony dymnej. Wyrzucą ją z samochodu w szczerym polu.

- Nie wyrzucą. Widziała ich twarze. Zabiją ją - sprostowała Sorenson.

Pierwsze pytanie, jakie zadał sobie Reacher, brzmiało: czy ktoś wydałby rozkaz

ustawienia blokad na drodze w dwóch stanach, gdyby chodziło o kradzież auta? I odpowiedział: prawdopodobnie tak. Prawie na pewno. Bo kradzież samochodu, którego właściciel został siłą zatrzymany w środku, oznacza porwanie, a porwanie to bardzo poważna sprawa. Sprawa dla FBI, jedynej instytucji, która mogła koordynować akcję prowadzoną w kilku stanach jednocześnie.

Ta kraina jest ogromna i pusta. W tej części kraju chyba jedynym narzędziem wszystkich stróżów prawa są blokady dróg.

Oczywiście oprócz helikopterów.

A Reacher zauważył wcześniej helikopter na wysokości trzech tysięcy metrów, wyposażony w szperacz.

Drugie pytanie brzmiało: jakie jest prawdopodobieństwo, że tej samej zimowej nocy na tym samym pustkowiu znajdą się dwie grupy uciekinierów, z powodu których zablokuje się drogi, postawi na nogi FBI i wyśle helikoptery? Odpowiedź: naprawdę niewielkie. Nikłe. Zdarzają się zbiegi okoliczności, ale jeśli człowiek staje się świadkiem jednego z nich, to też jest zbieg okoliczności, a dwa zbiegi okoliczności równocześnie to o jeden za dużo.

Wniosek: blokady ustawiono z powodu Kinga i McQueena.

Dwóch ludzi, nie jednego.

Prawie na pewno.

Z początku wydawało się to bez sensu.

Ponieważ na pierwszej blokadzie w Nebrasce szczególnie uważnie przyglądano się samotnym kierowcom. Co w pewnym sensie dawało się wytłumaczyć. Samotny facet mógł się zamaskować, zabierając do samochodu drugiego faceta, dwóch mogło się zamaskować, biorąc trzeciego, i tak dalej, bez końca. Metodą dodawania. Ale podobny skutek mogło też odnieść odejmowanie. Na przykład: dwaj ludzie mogli się zamaskować w ten sposób, że jeden z nich się ukrył. Policjanci w Nebrasce okazali się na tyle rozgarnięci, by to przewidzieć. Samotnym kierowcom zaglądano do bagażników, nie szukając tam narkotyków ani materiałów wybuchowych, ale skulonego i ukrywającego się pasażera.

Ale: policjanci w Nebrasce nie powinni szukać dwóch osób, tylko trzech. Dwóch sprawców i ofiary, półnagiej barmanki z przydrożnej knajpy.

Tu pojawiała się sprzeczność.

Na przykład: King i McQueen spodziewali się, że w komunikacie o poszukiwanych będzie mowa o trzech osobach. O nich i Delfuenso. Przecież dlatego dali jej koszulę. Żeby zmienić jej wygląd.

Metoda kamuflażu. A potem, żeby dodatkowo się ochronić, zabrali autostopowicza.

Reachera. Jako czwartego. Użyli metody dodawania.

Cztery osoby, nie trzy. Zasłona dymna. Podstęp, który zaczął się od nijakich koszul, a skończył na tym, że przed drugą blokadą posadzili Reachera za kierownicą. Zasłona dymna, podstęp, a przede wszystkim próba odwrócenia uwagi. Rozbity nos zwróci uwagę każdego policjanta.

Wtedy na rozjeździe w samochodzie nie toczyła się żadna demokratyczna dyskusja. Odbyła się rozmowa zupełnie innego rodzaju. King i McQueen odwrócili się i ostrzegli Delfuenso, że jeżeli ich zdradzi, zrobią jej coś złego. Rozkazali jej: „Nie puszczaj pary z ust”. A potem przycisnęli:

„Jasne? Rozumiemy się?”. Reacher, zanim wsiadł do samochodu, widział, jak kobieta kiwa głową, milcząca, blada i wystraszona.

Scena z aspiryną nie wynikała z troski o zdrowie nieznanego. Alan King już wtedy postanowił, że Reacher później usiądzie za kierownicą. I patrzył Delfuenso na ręce, kiedy szperała w torebce, nie z powodu niewinnego zapału czy zaangażowania. Upewniał się po prostu, czy kobieta nie znajdzie sposobu, aby dać mu znak, że potrzebuje pomocy.

Rzeczywistość.

Reacher nie jest wymarzonym towarzyszem nocnych podróży.

King i McQueen zaproponowali mu podwiezienie tylko z jednego powodu.

Żeby się zabezpieczyć przed komunikatem o poszukiwaniu trzech osób.

Ale poszukiwano tylko dwóch.

Dlaczego?

Mogła być tylko jedna odpowiedź: FBI wiedziało, że uciekinierów jest dwóch, ale nie wiedziało, że ukradli samochód i wzięli zakładniczkę.

A jeżeli tak, to czy FBI już o tym wie?

Wniosek: blokad nie ustawiono, żeby zatrzymać złodziei samochodu. Nie z powodu samej kradzieży. Na pewno nie, jeżeli FBI w ogóle nawet nie wiedziało o kradzieży.

Blokady ustawiono z powodu przestępstwa popełnionego wcześniej.

Prawdopodobnie bardzo poważnego.

Krew na ubraniach.

Reacher jechał przez ciemny stan Iowa z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, oddychając równo i spokojnie.

Goodman i Sorenson wrócili do czerwonej mazdy. Ekipa kryminalistyczna FBI przeniosła się ze stacji benzynowej i zabrała się do zabezpieczania śladów w samochodzie.

Znaleźli już krew, odciski palców, włosy i włókna. Było jasne, że dwaj mężczyźni nie zachowali żadnych środków ostrożności.

- Byli bardzo źle zorganizowani - stwierdziła Sorenson.

- Jak większość przestępców - odrzekł Goodman.

- Ale ci dwaj nie przypominali większości przestępców. To nie było przypadkowe zabójstwo podczas napadu czy rabunku. Mieli na sobie garnitury. W sprawę zaangażował się Departament Stanu. A jednak byli zupełnie nieprzygotowani. Nie mieli żadnego planu. Cały czas improwizowali.

Na litość boską, musieli nawet ukraść samochód, żeby uciec.

- Może nie mieli planu, bo nie wiedzieli, że będzie im potrzebny?

- Kiedy ktoś przyjeżdża aż do Nebraski, żeby zabić człowieka, wie, że musi mieć plan.

- Może wcale nie przyjechali zabić tego człowieka. A przynajmniej jeszcze nie zamierzali. Może nagle coś wymknęło się spod kontroli. Większość zabójstw popełnia się pod wpływem impulsu.

- Zgadzam się - odparła Sorenson. - Ale nic innego w tej sprawie nie sprawia wrażenia, jakby działa się pod wpływem impulsu.

Goodman wysłał jednego ze swoich zastępców, aby sprawdził pojemniki na śmieci za sklepem. Po chwili szef zespołu kryminalistycznego wysunął się z mazdy i podszedł do Sorenson z dwiema fotografiami w rękę. Pierwsza była polaroidowym zdjęciem twarzy denata, oczyszczonej z krwi, z otwartymi oczami, ułożonej w taki sposób, by jak najbardziej przypominała żywego człowieka.

Miał ciemne, migdałowe oczy o lekko uniesionych kąciakach. Na prawym policzku u dołu widać było pieprzyk, na południowy wschód od ust. Kobięcie takie znamię mogłoby dodawać uroku.

U mężczyzny było to tylko znamię.

Drugie zdjęcie przedstawiało czarnobiałe powiększenie tej samej twarzy. Zrobiono je z kadru wideo. Najprawdopodobniej z zapisu kamery monitoringu. Było marnej jakości, bardzo ziarniste, odrobinę rozmazane z powodu ruchu, klasy kamery, oświetlenia jarzeniowego i niskiej rozdzielczości zapisu cyfrowego. Oczy można jednak było bez trudu rozpoznać, a na policzku w tym samym miejscu widniał pieprzyk, unikalny jak odcisk palca czy kod kreskowy, który potwierdzał tożsamość równie definitywnie jak próbka DNA.

- Skąd to? - zapytała Sorenson.

- Z kamery w wypożyczalni samochodów przy lotnisku w Denver - odrzekł technik. - Ofiara wypożyczyła mazdę osobiście, tuż po dziewiątej dzisiaj rano. To znaczy wczoraj. Stan

licznika wskazuje, że przyjechał prosto tutaj, prawie w ogóle nie zbacząc z drogi.

- To daleko.

- Trochę ponad tysiąc sto kilometrów. Prawdopodobnie dziesięć, jedenaście godzin. Z jednym postojem na tankowanie. W baku jest niewiele.

- Cały czas prowadził sam?

- Nie wiem - odparł technik. - Nie było mnie przy tym.

Powściągliwy facet, starej daty, polegający tylko na danych, prawdopodobnie trochę rozdrażniony. Praca w nocy, w środku zimy, w szczerym polu.

- Co pan o tym myśli? - zapytała Sorenson.

- Jestem naukowcem, nie snuję domysłów.

- Jaką więc ma pan teorię?

- Na tylnym siedzeniu nie ma żadnych śladów - rzekł. - Ale są oznaki, że były zajęte obydwie przednie fotele. Mógł więc wieźć pasażera z Denver. Albo przyjechał sam, a wtedy ślady na miejscu pasażera pochodzą od dwóch sprawców, którzy przyjechali tym samochodem z miejsca zdarzenia.

- Tak czy nie?

- Moim zdaniem prawdopodobnie przyjechał sam. Na fotelu kierowcy jest więcej śladów niż po stronie pasażera.

- Czy ta różnica odpowiadałaby różnicy między przejechaniem tysiąca kilometrów a przejechaniem trzech?

- Nie potrafię określić takiego współczynnika. To tak nie wygląda. Większość śladów przenosi się w ciągu pierwszej minuty czy dwóch.

- A jak to wygląda w rzeczywistości? Tak czy nie?

- Raczej tak. Stan fotela kierowcy wskazuje na intensywne używanie, fotel pasażera nie.

- Jak więc ci dwaj się tu dostali? W garniturach, bez zimowych okryć?

- Nie mam pojęcia, proszę pani - odparł technik i wrócił do samochodu.

- Ja też nie mam pojęcia - powiedział Goodman. - Moi ludzie nie widzieli żadnych porzuconych samochodów. Między innymi tego kazałem im szukać.

- Najwyraźniej nie porzucili żadnego samochodu - stwierdziła Sorenson. - Gdyby mieli swój, nie musieliby porywać kelnerki. Musimy się też dowiedzieć, skąd wziął się ten czwarty. Trzeba też ustalić, gdzie był, kiedy jego kumple wykonywali swoją robotę w bun krze.

- Z opisu wynika, że wyglądał charakterystycznie.

Sorenson pokiwała głową.

- Goryl z rozkwaszonym nosem. Każdy powinien kogoś takiego zapamiętać.

Zadzwoił jej telefon i odebrała. Goodman zobaczył, jak się prostuje i zmienia na twarzy.

Słuchała przez trzydzieści sekund, a potem powiedziała:

- W porządku. - Po chwili powtórzyła to i dodała: - Dopilnuję tego. - I się rozłączyła.

Wyprostowała się, ale nie powiedziała „tak jest”, tylko „w porządku”.

Nie rozmawiała więc z przełożonym z biura terenowego FBI ani z Waszyngtonu.

- Kto to? - spytał Goodman.

- Oficer dyżurny z Langley w Wirginii - odrzekła Sorenson.

- Z Langley?

Skinęła głową.

- Do sprawy wchodziło się jeszcze CIA. Mam im przez całą noc składać raporty z postępów śledztwa.

23

Unieszkodliwienie faceta siedzącego na miejscu pasażera stanowi spore wyzwanie techniczne, kiedy jedzie się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Wymaga ruchu i spokoju równocześnie. Stopa kierowcy musi pozostać na pedale, czyli nogi muszą być nieruchome. Tułów też nie powinien się poruszać. Przede wszystkim nie może się poruszać lewe ramię. Pozostaje tylko prawa ręka, a więc Reacher musiałby wyprowadzić sierp z bekhendu i uderzyć mężczyznę w głowę.

Byłby to jednak stosunkowo słaby cios. Reacher mógłby udać, że chce się podrapać w lewe ramię, a potem błyskawicznie wykonać półkolisty ruch, coś w rodzaju sierpowego do tyłu, ale górna krawędź deski rozdzielczej chevroleta była umieszczona dość wysoko, a dolna krawędź lusterka wstecznego dość nisko, musiałby więc dobrze obliczyć trajektorię, by zmieścić się w tej luce, a w ostatniej fazie ruchu pociągnąć pięść w górę.

Reacher miał długie ręce, co oznaczało, że musiałby lekko ugiąć łokieć, żeby nie zahaczyć knykiami o przednią szybę. Wymagałoby to od niego poderwania ręki w górę z równoczesnym wyprostowaniem łokcia w ostatniej fazie ruchu, co bardzo trudno byłoby zrobić, jeżeli chciał uniknąć reakcji lewego ramienia. W tym momencie jakiegokolwiek drgnienie lewego ramienia nie powinno wchodzić w grę. Wyprowadzenie samochodu z lekkiego slalomu przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę na prostej i szerokiej drodze teoretycznie byłoby proste, nie było jednak sensu odkrywać przed nimi swoich

zamiarów, a potem oburącz łapać kierownicę, żeby przez pięć sekund opanowywać poślizg. W ten sposób oddałby inicjatywę pasażerowi, bez dwóch zdań.

W sumie lepiej więc było zamiast silnego ciosu zadać lekkie uderzenie w starannie wybrane miejsce, a na liście pierwsza figurowała krtań. Wystarczy lekko stuknąć w gardło krawędzią otwartej dłoni, jak w karate. W ten sposób mógłby go unieszkodliwić, ale nie zabić. Tyle że Alan King spał z odwróconą głową i brodą przyciśniętą do piersi. Miał zasłonięte gardło. Najpierw trzeba go obudzić. Na przykład trącić go w ramię. Wyprostuje się, odwróci, ziewnie, zmruży oczy i popatrzy.

Całkiem łatwe. Trącić, podrapać się, wziąć zamach i walnąć. Techniczne wyzwanie, ale wykonalne. Z Alanem Kingiem może sobie poradzi.

Ale nie z Donem McQueenem. Nauka nie znalazła sposobu, jak kierowca mógłby zaatakować człowieka siedzącego bezpośrednio za nim. Przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę było to niemożliwe. Po prostu niewykonalne. Żadne czterowymiarowe planowanie nie pozwoliłoby mu tego osiągnąć.

Reacher nadal jechał z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Zerknął w lusterko.

Nikt za nimi nie jechał. McQueen spał. Minutę później zerknął jeszcze raz. Delfuenso patrzyła na niego. Zapamiętał drogę przed sobą i znów spojrzął w lusterko. Skinął głową, jakby mówił:

„Śmiało, zaczynaj nadawać”.

Zaczęła.

Trzynasta od początku.

M.

Pierwsza od początku i znów trzynasta.

AM. „Mam”.

Czwarta od początku, pierwsza od końca, dziewiąta, piąta i trzecia od początku, potem jedenasta od początku i dwunasta od końca.

DZIECKO.

„Mam dziecko”.

Reacher skinął głową i wziął ze środkowej konsoli pluszowego zwierzaka, jakby chciał powiedzieć: „Rozumiem”. Futerko było sztywne od zaschniętej śliny, a zabawka zdeformowana przez małe ząbki. Odłożył ją. W oczach Delfuenso wezbrały łzy, odwróciła głowę.

Reacher wyciągnął rękę i trącił Alana Kinga w ramię.

Ten drgnął, ocknął się i wyprostował, odwrócił się, ziewnął i popatrzył.

- Co?

- Wskaźnik poziomu paliwa minął pierwszą kreskę - poinformował go Reacher. -
Musi mi pan powiedzieć, kiedy się zatrzymać.

Zastępca szeryfa wrócił ze sklepu i powiedział Goodmanowi, że w pojemnikach na śmieci nie znalazł zakrwawionych marynarek ani noży. Sorenson wezwała szefa techników z czerwonej mazdy i powiedziała:

- Muszę coś wiedzieć o ofierze.

- Nie umiem pani pomóc - odparł technik. - Nie miał dokumentów, a sekcja będzie do
piero jutro.

- Pytam o pańskie wrażenia.

- Jestem naukowcem. Kiedy prowadzili kurs podstaw jasnowidzenia, byłem akurat na
zwolnieniu lekarskim.

- Mógłby pan wysnuć jakąś hipotezę na podstawie swojego doświadczenia.

- Skąd taki pośpiech?

- Naciskają mnie nieoficjalnie z dwóch różnych stron.

- Kto?

- Najpierw Departament Stanu, a teraz CIA.

- Nie z dwóch różnych stron, bo Departament Stanu to polityczne skrzydło CIA.

- A my jesteśmy z FBI. Jako pozytywni bohaterowie tej historii nie możemy sobie
pozwolić na lenistwo ani opieszałość. Ani na brak polotu. Dlatego pytam o pańskie wrażenia.
Albo o specjalistyczną opinię, czy jak to nazywano na kursie podstaw krycia własnego tyłka.

- Co pani chce wiedzieć?

- Wiek?

- Około czterdziestu kilku lat - odrzekł technik.

- Narodowość?

- Prawdopodobnie Amerykanin.

- Dlaczego?

- Świadczy o tym stan uzębienia. Ubranie też głównie amerykańskie.

- Głównie?

- Wydaje mi się, że koszula pochodzi z zagranicy. Ale bielizna z Ameryki. Większość
ludzi woli bieliznę ze swojego rodzinnego kraju.

- Naprawdę?

- Z reguły. To kwestia komfortu, fizycznego i psychicznego. I kwestia intymności. Gdy ktoś wkłada zagraniczną bieliznę, dokonuje ważnego aktu. Jakby postanowił wyemigrować albo zdradzić.

- To ma być nauka?

- Psychologia jest nauką.

- Skąd pochodzi ta koszula?

- Trudno powiedzieć. Nie ma na niej metki.

- Ale wygląda na zagraniczną?

- Dzisiaj właściwie wszystkie rzeczy z bawełny są z zagranicy. Prawie wszystkie pochodzą z Azji. Ale jakość, krój, wzór i kolor mogą wskazywać na konkretny rynek.

- Jaki rynek?

- Tkanina jest cienka, kolor bardziej kremowy niż biały, skrzydełka kołnierzyka długie i wąskie, kratka raczej geometryczna niż naśladująca tradycyjny splot. Moim zdaniem koszula została kupiona w Pakistanie albo prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie.

24

Alan King usiadł prosto i spojrzał w lewo, wyciągając szyję. Długo przyglądał się wskaźnikowi poziomu paliwa.

- Chyba na jakiś czas wystarczy - powiedział. - Niech mi pan da znać, kiedy wskaże trzy czwarte.

- To już niedługo - odparł Reacher. - Bardzo szybko leci w dół.

- Bo bardzo szybko pan jedzie.

- Nie szybciej niż pan McQueen.

- No to może samo się naprawiło i od czasu do czasu działa dobrze.

- Lepiej, żeby nie zabrakło nam benzyny. Nie na tym odludziu. Nikt by nam nie pomógł. Cała policja jest przy tamtej blokadzie.

- Poczekajmy jeszcze pół godziny - zaproponował King. - A potem zaczniemy się za stanawiać.

- W porządku - rzekł Reacher.

- Niech mi pan powie, o co chodzi z tą literą A?

- Później.

- Nie, teraz.

- Powiedziałem: później. Czego konkretnie pan nie rozumie?

- Nie lubi pan, gdy ktoś panem dyryguje, co, panie Reacher?

- Nie wiem. Nie mam takich doświadczeń. Jeżeli ktoś będzie mną dyrygował, pierwszy się pan dowie, czy to lubię, czy nie.

King odwrócił głowę i przez całą minutę w milczeniu wpatrywał się w ciemność, po czym znów zsunął się na siedzeniu, pochylił głowę i zamknął oczy. Reacher zerknął w lusterko. McQueen nadal był pogrążony we śnie. Delfuenso wciąż czuwała.

I znów zaczęła mrugać.

Trzynasta od początku, pierwsza, dziesiąta i pierwsza od początku.

MAJĄ.

Druga od początku, potem dziewiąta, dwunasta i trzynasta od końca.

BRONĆ.

„Mają broń”.

Patrzac w lusterko, Reacher skinął głową i jechał dalej.

Na parkingu za nocnym barem jeszcze przez pięć minut panował spokój. Zespół kryminalistyczny wykonał długie serie zdjęć we wnętrzu mazdy, używając stroboskopów.

Zamglone szyby auta rozjaśniały nieregularne błyski, przypominające burzę oglądaną z dużej odległości albo bitwę toczącą się po drugiej stronie wzgórza. Zastępcy Goodmana przeszukali teren, ale bez rezultatu. Sorenson sprawdziła telefonicznie federalne i stanowe bazy danych, szukając w nich potężnie zbudowanego mężczyzny z odniesionymi niedawno obrażeniami twarzy.

Niczego nie znalazła.

Nagle rozległ się cichy pomruk silnika V-8 i chrzęst opon na tłuczonych kamieniach, po czym we mgle pojawiły się podskakujące snopy światła i ciemny samochód, który powoli nadjechał z południa. Był to granatowy ford crown victoria, taki sam jak wóz Sorenson, tak samo wyposażony, z identyczną anteną na tylnej klapie, ale na numerach rejestracyjnych z Missouri.

Zatrzymał się w stosownej odległości i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Mieli na sobie ciemne garnitury. Stojąc pod osłoną otwartych drzwi, z trudem wbijali się w puchowe kurtki. Wreszcie zatrzasnęli drzwi i ruszyli w ich stronę, rozglądając się po parkingu, zauważając i lekceważąc obecność zastępców szeryfa, zauważając i lekceważąc obecność szeryfa Goodmana, zauważając i lekceważąc obecność techników, aż wreszcie skupili uwagę na Sorenson. Przystanęli dwa metry przed nią i wyciągnęli z kieszeni legitymacje.

Takie same jak jej.

FBI.

Agent z prawej powiedział:

- Jesteśmy z wydziału do walki z terroryzmem, region centralny, z Kansas City.
- Nie wzywałam was - odrzekła Sorenson.
- Zapis w dzienniku służby w twoim biurze terenowym wywołał alarm automatycznie.
- Dlaczego?
- Bo miejsce zdarzenia to newralgiczny punkt.
- Naprawdę? To tylko stara pompownia.
- Nie, to otwarte i niezabezpieczone źródło z bezpośrednim dostępem do największych rezerw wód podziemnych w Stanach Zjednoczonych.

- Studnia wyschła.

Agent pokiwał głową.

- Ale tylko dlatego, że zwierciadło wody spadło poniżej poziomu odwiertu. Może i wyschła, gdyby jednak czegoś tam nalać, przedostałoby się do warstwy wodonośnej. Prędzej czy później.

Wystarczyłyby tylko siła grawitacji. Jakby kropla atramentu spadła na gąbkę.

- Co miałyby się tam dostać?

- Jest wiele rzeczy, których nie powinno się tam wlewać.

- Ale to by była kropla w morzu. Dosłownie. Maleńka kropelka w ogromnym morzu. Przecież to wielki zapas wody. Zużywa się ponad jedenaście bilionów litrów rocznie. A ile zmieści się w dużej cysternie, ponad dwadzieścia tysięcy litrów? To nic w porównaniu z taką ilością.

Agent znów pokiwał głową.

- Ale terroryzm jest asymetryczny. W gruncie rzeczy ma pani rację. Ponad dwadzieścia tysięcy litrów trujących chemikaliów, wirusów, bakterii czy czegoś takiego nie wyrządziłoby wielkiej szkody. W każdym razie z naukowego punktu widzenia. Ale zna pani sposób, jak przekonać o tym ludzi? Mielibyśmy masową panikę. Ludzie uciekaliby stąd w popłochu. W dużej części kraju zapanowałby totalny chaos. Czyli coś, co terroryści bardzo lubią. Poza tym poważnie ucierpiałoby rolnictwo, skutki byłyby wieloletnie. Są tu też obiekty wojskowe.

- Mówi pan poważnie? Przecież to wojna chemiczna i biologiczna.

- Tak, mówimy poważnie.

- Dlaczego więc nie zabezpieczono tej rury?

- Jest dziesięć tysięcy takich odwiertów. Staramy się działać szybko.

- To było zabójstwo - zauważyła Sorenson. - Nic nie wskazuje na udział terrorystów.

- Naprawdę? Nie dzwonili do pani z Departamentu Stanu? W sprawie ofiary?
- Dzwonili.
- A z CIA?
- Też.
- Więc sprawa ma jakiś wymiar międzynarodowy, nie sądzi pani?

Sorenson przypomniała sobie głos technika: „Koszula została kupiona w Pakistanie albo prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie”.

- A więc przejmujecie moją sprawę? - zapytała.

Facet z prawej pokręcił głową i rzekł:

- Nie, to nadal pani sprawa. Będziemy jednak patrzyli pani na ręce. Dzień i noc. Dopóki się nie upewnimy. Bez urazy. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

Reacher usłyszał, jak budzi się siedzący za nim McQueen. Spojrzał w lusterko i zobaczył, jak facet patrzy przez okno na puste pasy ruchu za szybą, a potem odwraca się w stronę Delfuenso i zerka na pobocze drogi.

Minęli znak informujący o zjeździe. Minęli trzy niebieskie tablice, z których jedna była pusta.

Stacja i motel, ale żadnego baru. Horyzontu nie rozjaśniały żadne światła. Nie widząc obiecującego blasku, Reacher uznał, że to jeden z lewych zjazdów. Piętnaście czy dwadzieścia kilometrów ciemnych wiejskich dróg, a kiedy wreszcie dotarliby na miejsce, lokale okazałyby się zamknięte.

- Proszę tu zjechać - odezwał się McQueen.

- Co? - spytał Reacher.

- Niech pan skręci w ten zjazd.

- Na pewno? Ciemno tam jak w grobie.

- Skręć pan.

Reacher zerknął na Alana Kinga. McQueen to zauważył i powiedział:

- Niech pan na niego nie patrzy. Nie on tu dowodzi, ale ja. I mówię, żeby pan zjechał.

25

Dwaj agenci z wydziału do walki z terroryzmem z Kansas City nie patrzyli Sorenson na ręce. Nie dosłownie. Po prostu stali obok niej, czasem z boku, czasem bardzo blisko, jakby byli jej współpracownikami. Przedstawili się jako Robert Dawson i Andrew Mitchell. Mieli taki sam stopień i obaj pracowali w Biurze od ponad piętnastu lat. Dawson był odrobinę

wyższy od Mitchella, a Mitchell odrobinę cięższy od Dawsona, ale poza tym byli do siebie bardzo podobni.

Jasnowłosi, o różowych twarzach, ubrani w granatowe garnitury, białe koszule i granatowe krawaty. Mieli niewiele ponad czterdzieści lat. Żaden z nich nie wyglądał na szczególnie zmęczonego czy zestresowanego, mimo późnej pory i trudnego zadania, co zaimponowało Sorenson.

Jeżeli chodziło o samo zadanie, żaden z nich nie podsunął prawie żadnych pomysłów. Śledztwo w zasadzie utknęło, a Sorenson doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Sprawcy są gdzieś na wschód od Des Moines, a zakładniczka już nie żyje albo zostało jej niewiele czasu, w związku z czym jej dziesięcioletnia córeczka jest już sierotą albo wkrótce nią zostanie.

Postępy dochodzenia zależały od szczęścia i ustaleń zespołu kryminalistycznego, a do zakończenia będzie prowadziła długa, żmudna i niepewna droga.

Która nikomu nie przyniesie chwały.

Której nikt nie wpisze sobie z dumą do życiorysu.

- Chyba powinniśmy zawiadomić Chicago - powiedziała Sorenson.

- Albo Milwaukee, Madison, Indianapolis, Cincinnati czy Louisville - odparł Dawson.

- Albo Interpol - dorzucił Mitchell. - A może i NASA. Mogą już być w każdym miejscu wszechświata.

- Jestem otwarta na wszelkie sugestie, agencie Mitchell.

- Bez urazy - mruknął Dawson.

Nagle rozległy się te same odgłosy co poprzednio: pomruk silnika V-8, chrzęst tłuczonych kamieni pod oponami. A po chwili ich oczom ukazał się ten sam widok: błyski reflektorów we mgle i następny samochód powoli nadjeżdżający z południa. Też ford crown victoria, jak samochody Sorenson oraz Dawsona i Mitchella, też wóz służb rządowych, choć nie identyczny. Miał takie same parametry, ale na pokrywie bagażnika była zamontowana inna antena, był jasny i miał federalne tablice rejestracyjne.

Kierowca zatrzymał wóz w odległości dziesięciu metrów od nich i wysiadł. Był ubrany w spodnie khaki, sweter i płaszcz. Podszedł bliżej, rozglądając się po parkingu, nie zwracając uwagi na zastępców szeryfa, nie zwracając uwagi na Goodmana, nie zwracając uwagi na techników z ekipy kryminalistycznej, zmierzając prosto do Sorenson, Dawsona i Mitchella. Z bliska wyglądał na faceta, który lepiej by się czuł w trzyczęściowym szarym garniturze, ale który nagle został pilnie wezwany w środku nocy i chwycił to, co miał pod ręką, jak bankowiec obudzony skomleniem swojego starego psa pod drzwiami sypialni.

Przystanął dwa metry przed nimi i wyjął z kieszeni legitymację.

Inną.

Departamentu Stanu.

Na dokumencie widniało imię i nazwisko: Lester L. Lester junior. Z fotografii spoglądała twarz właściciela legitymacji, starannie uczesanego, w koszuli z kołnierzykiem na guziki. Sorenson była gotowa założyć się o duże pieniądze, że koszula pochodzi z Brooks Brothers.

- Czym mogę panu służyć, panie Lester? - odezwała się.

- Czy pańskie drugie imię też brzmi Lester? - zainteresował się Mitchell.

Człowiek o nazwisku Lester spojrzał na niego.

- Tak właśnie brzmi - odparł.

- Niebawem - mruknął Mitchell.

- Czym mogę panu służyć? - powtórzyła Sorenson.

- Przyjechałem, żeby obserwować dochodzenie - oznajmił Lester.

- Dlatego, że znał pan ofiarę?

- Osobiście nie.

- Ale znał ją Departament Stanu?

- Trafiła pani w sedno.

- Kim był ten człowiek?

- Nie wolno mi powiedzieć.

- W takim razie proszę się stąd zabierać i wracać tam, skąd pan przyjechał. Bo w niczym pan tu nie pomoże.

- Muszę zostać - powiedział Lester.

- Ma pan telefon komórkowy? - zapytała Sorenson.

- Mam.

- Niech go pan wyciągnie, zadzwoni do swoich i uzyska zgodę na ujawnienie informacji, która jest mi potrzebna.

Nic nie wskazywało na to, że Lester zamierza to zrobić.

- Są tu też pańscy kumple z CIA? - chciał wiedzieć Mitchell.

Lester rozejrzał się teatralnie, z wielką uwagą.

- Nikogo nie widzę - rzekł. - A pan?

- Może kryją się w ciemnościach - powiedział Mitchell. - Przecież to ich specjalność, prawda?

Lester nie odpowiedział. Nagle zadzwoniła komórka Sorenson. Zwykły elektroniczny sygnał.

Odebrała i słuchała przez chwilę.

- W porządku - rzuciła. - Zrozumiałam, dziękuję. - Rozłączyła się i spojrzała z uśmiechem na Lestera. - Musiał pan tu szybko jechać.

- Musiałem? - zdziwił się Lester.

Sorenson skinęła głową.

- Dzwonił naczelnik, szef mojego biura. Powiedział mi, że jest pan w drodze. Widocznie ciągle działa poczta pantoflowa. Powiedział mi, że mogę się pana spodziewać w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

- Na drogach był mały ruch.

- Szef powiedział mi, kim była ofiara.

Lester nie odpowiedział.

- No to kim była? - zainteresował się Dawson.

- Podobno pracownikiem jakiejś ambasady.

- Naszej?

- Tak.

- Dyplomatą?

- Jakimś attache.

- Specjalnym?

- Nie odniosłam takiego wrażenia. Ale prawdopodobnie też nie szeregowym. Sądząc po tonie głosu.

- Wiek?

- Czterdzieści dwa lata.

- Ważny?

- Tego mój szef nie sprecyzował.

- Jeżeli naczelnik nie śpi w środku nocy i siedzi przy telefonie, to facet musiał być ważny - uznał Mitchell. - Nie uważa pani?

- Gdzie służył? - zapytał Dawson. - W jakim regionie?

Jakie miał obowiązki?

- Tego mój szef też nie sprecyzował. Przypuszczam, że mu nie powiedziano. Co może znaczyć, że to poufne.

„Koszula została kupiona w Pakistanie albo prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie”.

- Po co tu przyjechał? - zapytał Dawson.

- Nie wiem.

Dawson spojrzał na Lestera i zadał mu to samo pytanie.

- Nie wiem, po co tu przyjechał - odrzekł Lester.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Właśnie dlatego tu jestem. Bo nie wiemy.

Zadzwoił telefon szeryfa Goodmana stojącego pięć metrów od nich. Mimo że aparat spoczywał w jego kieszeni, stłumiony dźwięk był dobrze słyszalny w nocnej ciszy. Czworo ludzi odbywających zaimprovizowaną naradę odwróciło się w jego stronę. Goodman odebrał i słuchając, pochwycił wzrok Sorenson. Ruszył w jej stronę jakby instynktownie, jakby popchnięty niewidzialną ręką. Dwa metry dalej zakończył rozmowę i zamknął telefon, a gdy był metr przed nią, powiedział:

- Dzwonił mój dyżurny. Świadek zniknął. Facet, z którym dzisiaj pani rozmawiała. Nie dotarł do domu.

Krótką rozmową z McQueenem kosztowała go trochę czasu i odległości, Reacher musiał więc dość szybko skrócić w stronę zjazdu, a potem dość gwałtownie zahamować przed ostrym łukiem.

Przemknęło mu przez myśl, że może jednak uderzy Alana Kinga w krtań. Siedział, opierając się mocno, prawą stopą wciskając hamulec i mocno trzymając kierownicę lewą ręką. Nagły skręt i utrata prędkości właśnie obudziły Kinga. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jego szyja we właściwym momencie znajdzie się we właściwym miejscu.

Ale problemem pozostawał McQueen, nawet przy prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę.

Teoretycznie Reacher mógłby namacać dźwignię i z impetem przesunąć fotel do tyłu, a potem na przykład zadać cios łokciem, ale przeszkadzał mu w tym zagłówek, musiał się też liczyć z ubocznymi stratami, do jakich mogłoby dojść na tylnym siedzeniu.

Matka oddzielona od dziecka.

Siedząca pół metra od McQueena, na prawo od niego. A facet jest prawdopodobnie praworęczny. Jak większość ludzi.

Mają broń.

Reacher sunął więc dalej łukiem w stronę skrętu na końcu zjazdu. Na poboczu wąskiej jednopasmowej drogi stały kolejne tablice z informacją o stacji benzynowej i motelu. Strzałki na obydwu wskazywały w prawo.

Alan King ziewnął i zapytał:

- Zjeżdżamy tu?

- Miejsce dobre jak każde inne - odpowiedział McQueen.

- Dobre do czego? - spytał Reacher.

- Żeby zatankować - odparł McQueen. - A co pan myślał? Niech pan skręci w prawo.

Tam, gdzie wskazuje tablica.

26

Reacher skręcił w prawo, tak jak wskazywała tablica. Droga była wąska i ciemna. I zupełnie prosta, jak wiele dróg w Iowa. Nie było widać krajobrazu, ale czuło się, że jest płasko. Z lewej i prawej rozciągały się puste pola. Przed nimi nie było nic. Tylko ciemność. A za nią Missouri, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów dalej. Może jednak wcześniej rzeka. Des Moines, pomyślał Reacher. W szkole uczył się geografii. Rzeka Des Moines wpada do potężnej Missisipi trzysta dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od miasta Des Moines.

- To strata czasu - powiedział. - Przejedziemy trzydzieści kilometrów i znajdziemy stację, którą zamknięto jeszcze przed wynalezieniem benzyny bezołowiowej.

- Była tablica - odrzekł McQueen. - Musi coś znaczyć.

- Znaczy tylko tyle, że można tam było zatankować, kiedy chodził pan do podstawówki. Siedem centów za litr. Paczka lucky strike'ów kosztowała wtedy trzydzieści centów.

- Na pewno aktualizują te znaki.

- Naiwny z pana człowiek.

- Niekoniecznie - mruknął McQueen.

Reacher jechał dalej. Droga była wyboista i dziurawa, więc samochód kołysał się i podskakiwał.

Poruszał się w obcym dla siebie środowisku. Podobnie jak Reacher. Jeden i drugi lepiej czuli się na autostradzie.

- Jak głowa? - spytał McQueen.

- Z głową wszystko w porządku - odparł Reacher. - Mam rozbity nos, nie czaszkę.

- Chce pan jeszcze jedną aspirynę?

- Rozmawiałem już o tym z panem Kingiem. Kiedy pan spał.

- Postanowił poradzić sobie bez niej - odezwał się King. - Chyba nie chce, żeby Karen zabrakło.

- Aspiryna nie jest na receptę - zauważył McQueen. - Może sobie kupić na stacji. Albo paracetamol czy ibuprofen.

- Albo pijawki - dodał Reacher. - Może znajdziemy parę pod stertą zakurzonych dętek i batów.

Tylko najpierw trzeba będzie ukręcić kłódkę, którą trzydzieści lat temu powiesił tam bank.

- Niech pan jedzie - rzucił McQueen. - Cierpliwości. Jechali więc, tocząc się wolno na południe nierówną drogą, i po trzech kilometrach okazało się, że rację miał McQueen, nie Reacher.

W nocnej mgle daleko na horyzoncie wszyscy zobaczyli niewyraźny żółtawy blask. Wyglądał jak światło latarni morskiej, jaśniał coraz bardziej, w miarę jak się zbliżali, aż w końcu zamienił się w jaskrawy neon nowiutkiej stacji Shella. Czysta, białozółtopomarańczowa budowla wyglądała jak miraż albo UFO, które wylądowało na powierzchni dziesięciu arów leżącego odłogiem pola kukurydzy. Były tu nowoczesne dystrybutory na dwóch wysepkach, stanowiska wymiany oleju i przeszklony sklep oświetlony tak rzęsiście, że musiał być widoczny z kosmosu.

Stacja była czynna.

- Powinien mi pan zaufać - powiedział McQueen. Reacher zwolnił i wjechał na stację. Wybrał dystrybutor bliżej drogi, dalej od sklepu, i zatrzymał chevroleta. Przesunął dźwignię na pozycję parkowania i zgasił silnik. Spokojnie wyciągnął kluczyk ze stacyjki, jakby z przyzwyczajenia, odruchowo, po czym wsunął go do kieszeni.

Alan King zobaczył to, ale nic nie powiedział.

- To co, taki sam układ? - zapytał Reacher. - Ja idę po kawę, wy tankujecie?

- Mnie pasuje - odrzekł McQueen.

Reacher otworzył drzwi i wysiadł. Przeciągnął się, wygiął w łuk i rozprostował plecy, po czym obszedł dystrybutory i skierował się w stronę jasnych świateł. Zobaczył chłopaka siedzącego na taborecie za kasą, który przyglądał mu się, patrząc na jego twarz. Na rozbity nos. Widocznie była to atrakcja dla każdego. Chłopak miał nie więcej niż dwadzieścia lat i wyglądał na zaspanego i niezbyt rozgarniętego.

Reacher przystanął przed drzwiami i obejrzał się przez ramię. Alan King wsunął kartę kredytową do automatu i szykował się do tankowania. McQueen wciąż siedział w aucie, a Del fuenso obok niego.

Reacher wszedł do sklepu. Chłopak za ladą podniósł wzrok i przywitał go niepewnym skinieniem głowy. Reacher zczekał, aż zasuną się drzwi, a potem zapytał:

- Jest tu telefon?

Chłopak zamrugał, otworzył usta i zaraz je zamknął, jak ryba.

- To nie jest trudne pytanie - rzekł Reacher. - Wystarczy odpowiedzieć „tak” albo „nie”.

- Tak, mamy telefon.

- Gdzie?

- Przy toaletach - odrzekł chłopak.

- To znaczy?

Pokazał.

- Z tyłu.

Reacher spojrział w drugą stronę, przez szybę.

Drzwi po stronie McQueena były otwarte.

Ale on sam został w środku. Siedział, patrząc przed siebie.

Reacher odwrócił się i dostrzegł drzwi na drugim końcu sklepu. Wisiały na nich dwie tabliczki z ludzkimi sylwetkami, jedną w spódniczce, drugą w spodniach. Podeszedł i je otworzył. Zobaczył mały korytarz, w którym było dwoje kolejnych drzwi - z sylwetką w spódniczce i sylwetką w spodniach. Na ścianie między nimi wisiał automat telefoniczny pod kulistym daszkiem, nowy i błyszczący.

Reacher znów wyjrzał na zewnątrz. King tankował. McQueen siedział odwrócony bokiem, ze stopami na ziemi. Ale to wszystko. Chciał rozprostować zdrętwiałe nogi. Nie wysiadł.

Przynajmniej na razie.

Reacher zajrzał do damskiej toalety. Żadnych okien ani drugiego wyjścia.

Zajrzał do męskiej toalety. Żadnych okien ani drugiego wyjścia. Wyciągnął z dozownika garść papierowych ręczników, wrócił na korytarz, dwa razy złożył ręczniki i wcisnął w szczelinę między drzwiami na korytarz a framugą od strony zawiasów, aby drzwi pozostały uchylone na dziesięć centymetrów. Właściwie niecałe. Reacher cofnął się i sprawdził, co widać z miejsca przy telefonie.

Zobaczył niewielki fragment sklepu. I skrawek drzwi wejściowych. Niewiele, ale jeśli się otworzą, zauważy to.

Taką miał nadzieję.

Podniósł słuchawkę i wstukał dziewięćset jedenaście.

Prawie natychmiast odezwał się dyżurny:

- Skąd państwo dzwonią?

- Proszę mnie połączyć z FBI - powiedział Reacher.

- Gdzie się pan w tej chwili znajduje?

- Proszę nie tracić czasu.
- Potrzebna jest straż pożarna, policja czy karetka?
- Potrzebne jest FBI.
- Proszę pana, to numer alarmowy.
- A mniej więcej od dwunastego września dwa tysiące pierwszego roku macie bezpośredni guzik do FBI.

- Skąd pan o tym wie?
- Po prostu zgadłem. Proszę wcisnąć ten guzik, w tej chwili.
Reacher patrzył przez szparę na skrawek drzwi wejściowych.
Nic się nie działo. Na razie. Dźwięk w słuchawce się zmienił. Najpierw cisza, potem nowy sygnał.

Po chwili nowy głos:
- FBI. Jaki jest rodzaj zgłoszenia?
- Mam informacje, prawdopodobnie dla waszego biura terenowego w Omaha w Nebrascie.

- Jaki to rodzaj zgłoszenia?
- Proszę mnie po prostu połączyć, szybko.
- Jak się pan nazywa?
Reacher dobrze znał dyżurnych pracujących w nocy. Podczas służby rozmawiał z tysiącami takich jak on. Zawsze był to albo ktoś, komu groziła degradacja, więc niepewny swojej pozycji, albo ktoś z nadzieją na awans, więc ambitny. Reacher wiedział, co na nich działa, a co nie. Nauczył się odpowiedniego podejścia psychologicznego.

- Proszę mnie połączyć albo straci pan pracę - powiedział.
Głos umilkł.
Potem cisza.
I nowy sygnał.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły. Reacher usłyszał szelest gumowej uszczelki i dojrzał kawałek białej ramy drzwi. Potem mignęło mu niebieskie ramię. Usłyszał szybki stukot obcasów na wyłożonej płytkami podłodze.

Odwiesił słuchawkę.
Podszedł do drzwi korytarza, jedną ręką wyciągnął złożone ręczniki, drugą pchnął drzwi i rzucając ręczniki za siebie, stanął twarzą w twarz z Donem McQueenem.

Reacher i McQueen wyminieli się bez słowa, przodem do siebie, jak zwykle mijają się faceci w drzwiach toalety. McQueen wszedł, a Reacher zbliżył się do ekspresu do kawy, skomplikowanej maszyny z przyciskami, która napełniała kubki pojedynczo. Szeroki na metr ekspres, lśniący od chromu i aluminium, był nowiuteńki i prawdopodobnie pochodził z Włoch. Albo z Francji.

W każdym razie na pewno z Europy. Wyglądało na to, że przy każdym naciśnięciu guzika maszyna miele oddzielną porcję ziaren i trwało to tak długo, że zanim Reacher nalał kawę do ostatniego kubka, McQueen zdążył wyjść z toalety. I dobrze, bo McQueen był zmuszony zanieść dwa kubki do samochodu, co oznaczało, że miał zajęte ręce, a w przekonaniu Reachera uzbrojeni ludzie z zajętymi rękami są lepsi od uzbrojonych ludzi z pustymi rękami.

Reacher wziął dwa kubki z czarną kawą bez cukru, dla siebie i Karen Delfuenso. Alan King nie wszedł jeszcze do samochodu, który wciąż stał przy dystrybutorze. Licznik wskazywał, że do baku weszło niecałe dwadzieścia litrów.

- Teraz ja poprowadzę, panie Reacher - oznajmił King.

- Naprawdę? - spytał Reacher. - Nie przejechałem jeszcze swoich pięciuset kilometrów.

- Zmiana planów. Pojedziemy do motelu i zatrzymamy się tam na noc.

- Myślałem, że chcecie jechać do Chicago.

- Powiedziałem właśnie, że plany się zmieniły. Czego pan nie rozumie?

- Pańskiej decyzji.

- Będzie mi potrzebny kluczyk.

Czterowymiarowe planowanie. Reacher stał po jednej stronie samochodu, King i McQueen po drugiej. Delfuenso nadal siedziała z tyłu. Drzwi z jej strony były szeroko otwarte. Głowa kobiety znajdowała się tuż obok prawej ręki Kinga. King i McQueen potrzebowaliby ułamka sekundy, żeby odrzucić kubki z kawą. Kolejnego ułamka sekundy, żeby chwycić broń. Reacher mógłby cisnąć kubkiem, niczym parzącym granatem, w twarz jednego albo drugiego, ale nie obu naraz. Mógłby obiec samochód z tyłu albo przeskoczyć ba gażnik, ale nie zdążyłby.

Był bez szans.

Geometria i czas.

Postawił kubek na dachu chevroleta i wysupłał z kieszeni kluczyk.

Wyciągnął go w stronę Kinga.

Sam go sobie weź.

Ale King był nie w ciemną bity.

- Niech pan rzuci na siedzenie - powiedział. - Zaraz go wezmę.

Don McQueen usiadł z przodu. Odwrócił się w lewo jak życzliwy gość, który chce tylko sprawdzić, czy wszyscy kumple wygodnie i bezpiecznie spędzą podróż. Ale w tej pozycji miał wolną prawą rękę, która znalazła się blisko prawej kieszeni spodni, blisko prawej strony paska.

King nadal stał przy korku wlewu paliwa i też miał wolną prawą rękę, która wciąż znajdowała się tuż przy głowie Karen Delfuenso.

Geometria i czas.

Reacher usiadł z tyłu za kierowcą, pochylił się i rzucił kluczyk na fotel.

McQueen uśmiechnął się do niego.

King zamknął od zewnątrz drzwi od strony Delfuenso, po czym okrążył samochód od tyłu i zatrzasnął drzwi Reachera. Wziął kluczyk, wsiadł i przesunął siedzenie piętnaście centymetrów do przodu. Uruchomił silnik, wyjechał na drogę i ruszył w ciemność na południe w kierunku obiecane motelu, oddalając się od międzystanówki.

Dyżurny przy telefonie zgłoszeniowym FBI nie rozłączył się i podsłuchał przerwana rozmowę z Omaha. Usłyszał sygnał. Usłyszał odkładaną słuchawkę. Był nowy i dlatego zwykle pełnił nocne dyżury. Ale szybko piął się po szczeblach kariery, dlatego dostał przydział do Waszyngtonu i powierzono mu ważne zadanie. Szybko awansował, ponieważ był bystry.

Na tyle bystry, by nie zostawić tej historii.

Zadzwoił do biura terenowego w Omaha.

- Coś się u was dzisiaj dzieje? - zapytał agenta dyżurnego.

Agent z Nebraski ziewnął i powiedział:

- Tak jakby. Mamy zabójstwo na jakimś odludziu, jedna ofiara zadźgana nożem. Nic wielkiego, wydawałoby się, ale z jakiegoś powodu interesuje się tym szef, węszy przy tym CIA i Departament Stanu i było parę blokad na międzystanówce.

- To chyba powinniście wiedzieć, że przełączyłem do was telefon, ale facet odłożył słuchawkę, zanim pan odebrał.

- Skąd dzwonił?

- Operator i identyfikator telefonu wskazują stację benzynową w szczerym polu, na południowy wschód od Des Moines w Iowa.

- Podał nazwisko?

- Nie podał, ale wyraźnie się spieszył. Mówił, jakby miał katar. Takim nosowym głosem

sem.

- Powiedział, czego chce?

- Konkretnie nie. Powiedział, że ma informacje, prawdopodobnie dla Omaha w Nebrasce.

sce.

- Prawdopodobnie?

- Takiego słowa użył.

- Dobra, w porządku - rzekł agent z Nebraski i odłożył słuchawkę.

Ciemna droga typowa dla Iowa biegła prosto jeszcze przez trzynaście kilometrów do skrzyżowania, niewyróżniającego się niczym szczególnym. Po lewej i prawej rozciągały się ogromne pola, a przed nimi dwa razy większe. Dlatego musieli skręcić. Strzałka na następnej tablicy informującej o motelu wskazywała w lewo. Trzynaście kilometrów dalej było następne skrzyżowanie, niewyróżniające się niczym szczególnym, a strzałka wskazywała w prawo. Alan King jechał dalej, klucząc po gigantycznej szachownicy pól stanu Iowa. Don McQueen siedział obok niego na wpół odwrócony i oparty o szybę. Nie spał i miał wszystko na oku. Siedząca za McQueenem Karen Delfuenso patrzyła nieruchomo przed siebie. Nawet nie spojrzała na Reachera. Chyba była nim rozczarowana.

Sam Reacher siedział spokojnie, oddychał powoli i równo. Czekał.

Agent dyżurny w Nebrasce napisał na kartce: telefon od mężczyzny, katar, nosowy głos, pośpiech, stacja benzynowa, południowy wschód od Des Moines, Iowa. Następnie przewinął listę numerów zapisanych w pamięci telefonu. Zatrzymał się na J. Sorenson, komórka.

Zastanowił się przez sekundę.

Po czym wcisnął „zadzwoń”.

Na wypadek gdyby to było ważne.

W tym momencie Julia Sorenson rozmawiała z szeryfem Goodmanem o zaginionym świadku.

Facet mieszkał z kobietą, która nie była jego żoną, w wynajętym domu na farmie osiemnaście kilometrów na zachód od miejsca zdarzenia i mógł tam dotrzeć właściwie tylko jedną drogą. Nie dotarł, a przy drodze nie znaleziono ani jego, ani samochodu. Nie było go w żadnej knajpie ani nocnym barze w Mieście Grzechu, zastępcy Goodmana nie natrafili na niego również w miasteczku.

Zadzwoniła komórka Sorenson, która przeprosiła, odwróciła się i odebrała. Telefonował agent dyżurny z biura terenowego. Niezbyt uważnie słuchała wstępu. Organa ścigania dostają mnóstwo zgłoszeń, podczas których ktoś przerywa połączenie. Telefony od dzieciaków, dowcipnisiów, pijanych, pomyłki - to nieodłączny element służby. Ale nastawiła uszu, gdy agent zaczął mówić, skąd dzwoniło. Ponieważ wcześniej zrezygnowana doszła do ponurego wniosku: sprawcy są już na wschód od Des Moines.

- Możesz powtórzyć? - poprosiła.

- Automat telefoniczny na stacji benzynowej gdzieś w szczerym polu, na południowy wschód od Des Moines w Iowa.

- To pewna informacja?

- Potwierdza to identyfikator telefonu i operator telekomunikacyjny.

- Kto dzwonił?

- Nazwiska nie znamy, ale odbierający zgłoszenie mówił, że to był męski głos.

- Coś jeszcze?

- Wyraźnie się spieszył i mówił przez nos.

- Przez nos?

- Jakby miał katar.

- Jest nagranie?

- Pierwszej rozmowy? Na pewno.

- Niech mi je ktoś przyśle emailem. Zadzwońcie na tę stację benzynową. Sprawdźcie, czy mają zapis wideo, a jeżeli nie, trzeba zdobyć szczegółowy opis wszystkiego i wszystkich.

- Musisz zadzwonić do CIA - powiedział agent dyżurny.

- Nie mów mi, co muszę zrobić - warknęła Sorenson.

- Ciągłe do mnie wydzwaniania. Chcą znać najnowsze informacje.

- Nic im nie mów - poradziła Sorenson. - Jeszcze nie. Rozłączyła się, odwróciła, spojrzała Goodmanowi w oczy i powiedziała:

- Przykro mi, szeryfie, ale muszę jechać do Iowa.

28

Gdy Sorenson streściła Goodmanowi przebieg rozmowy, ten zapytał:

- A co z moim zaginionym świadkiem?

- Do rana może pan się tym zająć sam - odrzekła Sorenson. - Ale niech się pan nie martwi, nie zostanie pan bez pomocy. Kiedy jutro w biurze wszyscy przyjdą do pracy, ktoś mnie zastąpi, a pan będzie miał agentów w bród. Zwali się ich tylu, że będzie pan mógł

wystawić paru do kierowania ruchem. Dowie się pan nawet, kto rzuca gumę do zucia na chodnik.

- W sprawę włączył się już naczelnik pani biura. I nikt pani jeszcze nie zastąpił.

- Bo nie oddał sprawy wyżej. W środku nocy to niemożliwe. Ale zrobi to. I będzie krył swój tyłek. Teraz pewnie pisze raport, który jeszcze przed świtem znajdzie się we wszystkich skrzynkach emailowych, a w ostatnim akapicie będzie zalecenie, żeby odsunąć mnie od sprawy i przekazać ją grubym rybom z Waszyngtonu. Ma to pan jak w banku.

- Szef pani nie ufa?

- Ufa, ale sprawa wygląda na toksyczną. Będzie chciał trzymać ją jak najdalej od swojego gabinetu. Chce się dobrze prezentować.

- Po co w takim razie jedzie pani do Iowa?

- Bo na razie to ciągle moja sprawa.

- Naprawdę myśli pani, że to oni?

- Miejsce się zgadza. Mogą być już w tej okolicy.

- Przecież to strzał w ciemno.

- Kto inny miałby dzwonić do Omaha z jakiejś dziury na wschód od Des Moines?

- Dlaczego w ogóle mieliby dzwonić? I to z automatu, który łatwo namierzyć?

- Może atak wyrzutów sumienia. U kierowcy. Dowiedziałam się, że mówił nosowym głosem.

Możliwe, że to z powodu rozbitego nosa, nie grypy. A dzwonił z automatu, bo nie mógł znaleźć innego telefonu.

- Ale odłożył słuchawkę.

- Zmienił zdanie. Zdarza się.

- Co z córką Karen Delfuenso?

- Będzie pan jej musiał powiedzieć. I tak by pan musiał. To pański okręg i pana ludzie.

- Kiedy powinienem to zrobić?

- Kiedy się obudzi.

- Będzie ciężko.

- Zawsze jest.

- Zanim dojedzie pani na południowy wschód Iowa, ich już dawno tam nie będzie. To daleko.

- Mogę jechać szybciej od nich. Nie ma już blokad, poza tym nie muszę się przejmować mandatami.

- Mimo to.

- Wszystko jedno, lepsze to, niż siedzieć tu i nic nie robić - skwitowała Sorenson.

Sorenson poinformowała Dawsona i Mitchella o swoich zamiarach. Nie proponowała, że weźmie ich ze sobą.

Spodziewała się, że takich ważnych agentów z wydziału do walki z terroryzmem ucieszy perspektywa pościgu i pojedą za nią swoim samochodem. Powiedzieli jednak, że zostaną na miejscu, na pustkowiu Nebraski. Blisko newralgicznego punktu. Oświadczyli, że w Iowa nie ma nic, co mogłoby budzić ich obawy. Przy całym szacunku dla tego znamienitego stanu, nie jest to główny cel ataków terrorystycznych.

- Mogą tam mieć jakąś bazę czy kryjówkę - zasugerowała Sorenson.

- Mówi pani poważnie? - spytał Mitchell.

- Nie bardzo.

Dawson skinął głową.

- Zadzwonimy do St Louis. Formalnie rzecz biorąc, to im podlega południowy wschód Iowa.

Zaangażują się w razie potrzeby.

Sorenson nie rozmawiała z Lesterem L. Lesterem z Departamentu Stanu. Zignorowała go.

Pojechała z Goodmanem do starej pompowni, tam przesiadła się do swojego samochodu i kierując się wskazówkami GPS, wróciła na autostradę międzystanową. Włączyła koguta, podłączyła telefon do ładowarki i pomknęła na wschód, nie schodząc poniżej stu kilo metrów na godzinę.

Lewy zjazd, pomyślał znowu Reacher. Ciemne wiejskie drogi i lokale, które okazują się zamknięte. Pomylił się co do stacji benzynowej, ale to nie zwiększało prawdopodobieństwa istnienia motelu. Oceniając stopień prawdy w reklamie, lepiej było przyjąć pięćdziesiąt procent szans. Reacher podczas swoich podróży widział sporo opuszczonych moteli. Ameryka jest ich pełna. Przypominają małe kapsuły czasu zastygłe w którejś z poprzednich epok, czasem proste i zwyczajne, czasem zaprojektowane śmiało i z rozmachem, ale zawsze świadczące o smutnym i powolnym upadku swoich właścicieli, którzy tracili energię i ambicje. Zawsze były dowodem zmian powszechnych gustów. Tydzień w domku nad pełnym robactwa jeziorem już nie wystarczał.

Nadszedł czas rejsów, Las Vegas i Wysp Dziewiczych. Reacher widział witryny biur podróży.

Wiedział, dokąd jeżdżą urlopowicze. Wiedział, dokąd nie jeżdżą. Nie znał powodu, dla którego odludny motel w Iowa miałyby funkcjonować przez ostatnie trzydzieści lat.

Szkoda, bo postój na nocleg otwierałby masę nowych możliwości.

King skręcał w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, jadąc bez końca na południe i wschód przez ciemną szachownicę pól. Od wyjazdu ze stacji Shella pokonali już pięćdziesiąt kilometrów. Przy każdym skręcie kopia tablicy informacyjnej wabiła ich dalej, wskazując drogę nijakimi strzałkami, stanowczo i zarazem niepewnie, wyglądając obiecująco i zarazem beznadziejnie. McQueen nie zdradzał oznak niepokoju. Miał czujnie otwarte oczy i wydawał się pewny siebie. Ufał tablicom.

I okazało się, że słusznie. Półtora kilometra dalej po raz drugi tej nocy Reacher przekonał się, że nie miał racji. We mgle daleko po lewej zobaczył przyćmiony blask i patrzył, jak krystalizuje się w pojedyncze beżowe światełka, które okazały się słabymi żarówkami w szklanych oprawkach zamontowanych na wysokości kolan na ścianie niskiego i długiego budynku motelu. Standardowy układ. Ciemnobrązowy siding. Na północnym końcu portyk z automatem z colą, przy holu i recepcji, a w przeciwną stronę regularny ciąg okno, drzwi, okno, drzwi - w sumie dwanaście pokoi. Przy każdych drzwiach stały dwa krzesła ogrodowe z białego plastiku. Niskie lampy miały oświetlać chodnik biegnący wzdłuż całego budynku. Przed dwoma pokojami stały samochody, stary sedan, podziurawiony rdzą jak rzeszoto, oraz ogromna półciężarówka pomalowana w barwy pewnego producenta motocykli. Tuż przy ścianie recepcji stał zaparkowany trzeci samochód, trzydrzwiowe zagraniczne autko, niewiele większe od wózka golfowego.

Prawdopodobnie należało do recepcjonisty.

Alan King zwolnił i zatrzymał chevroleta na drodze pięć metrów od wjazdu do motelu. Nie wyłączając silnika, zlustrował budynek od końca do końca.

- Może być? - zapytał.

- Mnie pasuje - odrzekł Don McQueen.

King nie zapytał o zdanie Karen Delfuense. Nie odbyła się rzeczowa, trójstronna, demokratyczna dyskusja. Po prostu podjechał od przeciwległej strony portyku i zatrzymał się pod zadaszeniem. Samochód był zwrócony przodem na północ i tyłem do pokoi. Niedogodnie, ponieważ po zameldowaniu musieliby wycofać auto albo zawrócić, ale nie można było inaczej, bo w Ameryce obowiązywał ruch prawostronny i runda objeżdżało się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

W holu paliły się nocne lampki. Reacher widział ladę recepcji, a za nią zamknięte drzwi, które z pewnością prowadziły do biura. Prawdopodobnie był tam recepcjonista i

drzemał w fotelu. Na ladzie stał wazon z kwiatami, pewnie sztucznymi.

- Panie Reacher, mógłby pan iść spytać o pokoje? - zwrócił się do niego Alan King.

- Na pewno mają wolne - odparł Reacher. - Jest dwanaście pokoi i dwa samochody.

- W takim razie zechce nas pan zameldować?

- Nie bardzo się do tego nadaję - powiedział Reacher.

- Dlaczego?

Bo na razie nie chcę wysiadać z samochodu, pomyślał Reacher. Bo już nie mam kłuczyka.

- Bo nie mam karty kredytowej.

- Naprawdę?

- Ani żadnego dokumentu. Poza starym paszportem. Ale parę lat temu stracił ważność i niektórym się to nie podoba.

- Musi pan przecież mieć prawo jazdy.

- Nie mam.

- Ale prowadził pan samochód.

- Tylko nie mówcie policji.

- Prowadzenie samochodu bez prawa jazdy to przestępstwo.

- Pewnie tylko wykroczenie.

- Miał pan kiedykolwiek prawo jazdy?

- Cywilnego nie.

- Zdawał pan kiedyś egzamin?

- Zdaje się, że tak. Chyba. Możliwe, że w wojsku.

- Nie pamięta pan?

- Pamiętam, że się uczyłem. Egzaminu jako takiego nie pamiętam.

- Pójdę z panem - odezwał się McQueen. - Mam kartę kredytową.

Takie rozwiązanie pasowało Reacherowi. Nie chciał sam wysiadać z samochodu, nie zamierzał też jednak pozwalać, aby to King czy McQueen wybierali pokoje. Chciał mieć jakiś wpływ na to, gdzie kto trafi. Otworzył drzwi. McQueen zrobił to samo po swojej stronie. Wyszli razem.

McQueen miał trzy metry do holu, Reacher był po drugiej stronie samochodu. McQueen zaczekał na niego. Reacher obszedł samochód od tyłu. Przystanął, wykonał zapraszający gest ręką:

„proszę, pan przodem”. Z przezorności, nie z kurtuazji. Nie chciał mieć za plecami uzbrojonego człowieka. Chociaż nie sądził, by naprawdę groził mu postrzał. Nie w tym

momencie i nie w tym miejscu. Strzał mógłby usłyszeć recepcjonista i co najmniej dwoje gości motelu.

McQueen ruszył ścieżką z mozaiki ułożonej z odłamków płyt chodnikowych. Reacher za nim.

McQueen pociągnął drzwi do holu. Reacher go wyprzedził, przytrzymał je i znów wykonał gest:

„pan przodem”.

McQueen wszedł. Reacher za nim. Na winylowej wykładzinie w holu stał niski stolik, a wokół niego cztery tandetne fotele z wikliny. Obok znajdował się wyższy stół, na którym postawiono termosy z dozownikami i piramidy plastikowych kubków. Na ścianie wisiał wieszak z przegródkami przeznaczonymi na złożone broszury o lokalnych atrakcjach turystycznych. Większość przegródek była pusta.

Lada recepcji stykała się ze ścianą po prawej i kończyła niecałe dwa metry od ściany po lewej, niedaleko stołu z termosami z kawą. Zza drzwi biura sączyło się mdłe światło i przytłumiony dźwięk telewizora. McQueen podszedł do lady z prawej strony, a Reacher zatrzymał się obok niego po lewej.

- Halo! - zawołał McQueen.

Żadnej odpowiedzi.

McQueen zabębnił palcami o ladę.

- Halo! - zawołał jeszcze raz.

Żadnej odpowiedzi.

- Nie ma to jak usługi - mruknął McQueen. - Szkoda gadać.

Zabębnił jeszcze raz, trochę głośniej.

- Halo! - zawołał, też trochę głośniej.

Żadnej odpowiedzi.

Zerknął na Reachera i rzekł:

- Lepiej niech pan zapuka do drzwi.

Wtedy Reacher pierwszy raz znalazłby się przed lufą jego broni, ale nie było żadnego oczywistego powodu, żeby odmówić. Droga do drzwi biegła w lewo, a Reacher stał po lewej stronie. Po prostu. Choreografia. Geometria. Do przewidzenia.

Tak więc Reacher przeszedł między stołem z kawą a recepcją, okrążając ją, i stanął w wąskiej przestrzeni za ladą. Spojrzał przez okno. Chevrolet nadal stał pod zadaszeniem. Nie odjechał.

Czekał z pracującym silnikiem, a z tyłu unosiły się białe obłoki spalin.

Ale McQueen nie zamknął drzwi po swojej stronie.

To był pierwszy sygnał ostrzegawczy.

Drugim był odgłos kroków na wykładzinie.

Pospieszne szuranie, raz i dwa.

Brzmiało dokładnie tak, jakby ktoś się cofnął i odwrócił bokiem.

Trzecim sygnałem ostrzegawczym był złożony szelest wywołany przez ocieranie się ludzkiej skóry, bawełny, wełny i metalu.

Brzmiał dokładnie tak, jakby z kieszeni wysunęło się coś ciężkiego.

Reacher odwrócił się w stronę McQueena i zobaczył tylko wylot lufy pistoletu wycelowany w środek swojej twarzy.

29

To był pistolet Smith & Wesson 2213. Najmniejszy automat z szerokiej gamy produktów tej firmy. Trzycalowa lufa, pociski bocznego zapłonu Long Rifle kaliber dwadzieścia dwa, osiem w magazynku. Broń niepozorna, ale niebezpieczna. McQueen wyciągnął ją bardzo szybko.

Fenomenalnie szybko. Jak magik. Jak iluzjonista. Nie było jej i nagle się pojawiła.

Ot tak, po prostu.

Reacher stał nieruchomo.

Pistolet znajdował się niecałe dwa i pół metra od niego. Długa prawa ręka McQueena, w której trzymał broń, była wyprostowana i lekko uniesiona. McQueen stał bokiem, ale twarzą do Reachera. Miał przymknięte oko.

A na spuście trzymał zbieleły palec.

Niedobrze.

Amunicja Long Rifle kaliber dwadzieścia dwa należy do najstarszych na świecie i zdecydowanie najpopularniejszych. Roczna produkcja od 1887 roku przekraczała dwa miliardy sztuk. Nie bez powodu. Naboje są tanie, ciche i dają niewielki odrzut. Poza tym są skuteczne. Wystrzelone ze strzelby, zabijają szczury i wiewiórki z odległości stu czterdziestu metrów, psy i lisy z odległości osiemdziesięciu, a dorosłe kojoty z odległości pięćdziesięciu metrów.

Pocisk wystrzelony w głowę człowieka z odległości dwóch i pół metra mógł rozerwać ją na strzępy.

Nawet wystrzelony z pistoletu z krótką lufą.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Reacher nie widział już chevroleta. Zaslaniał go McQueen. Co nie było takie złe. Przynajmniej Delfuenso nie będzie musiała tego oglądać.

Na szczęście dla niej.

Ale przecież: patrz na jasną stronę życia.

To od zawsze było credo Reachera.

Na przykład: w przypadku użycia pistoletu z krótką lufą istnieją cztery podstawowe możliwości spudłowania. Nawet z odległości dwóch i pół metra, nawet przy celu wielkości ludzkiej głowy. Punkt trafienia może się znaleźć za wysoko, za nisko, za bardzo w lewo albo za bardzo w prawo.

Najbardziej prawdopodobne było trafienie za wysoko.

Każda broń w chwili strzału odskakuje do góry. Akcja, reakcja, podstawowe prawo fizyki.

Początkujący strzelcy uzbrojeni w pistolety maszynowe zawsze wypruwali nieskończenie długie pionowe linie. Klasyczny błąd. Dziewięćdziesiąt procent szkolenia poświęcone było nauce trzymania lufy nisko. Pomagały w tym tłumiki, które stanowiły dodatkowe obciążenie.

Nie było jednak powodu sądzić, że McQueen jest początkującym strzelcem.

Jeżeli jednak ma spudłować, strzeli za wysoko.

Prawa fizyki.

W jednej chwili zdarzyły się cztery rzeczy: Reacher wrzasnął przeraźliwie, McQueen drgnął i lekko odchylił się do tyłu, Reacher upadł, a McQueen nacisnął spust.

I spudłował.

Trafił za wysoko, między innymi dlatego, że głowy Reachera nie było już w tym miejscu co przed chwilą. Siła grawitacji zrobiła swoje. Reacher usłyszał huk wystrzału, cichszy niż zwykle, ale i tak ogłuszający w zamkniętej przestrzeni. Jednocześnie usłyszał, jak nad jego głowę z tyłu na ścianie eksploduje kartonowogipsowa płyta, po czym upadł na podłogę, najpierw na kolana, potem na biodro, a potem na bok, rozciągając się za ladą recepcji i znikając McQueenowi z oczu. Nie miał żadnego planu. W tym momencie przestawił się na tryb pojedynczych ruchów. Nie dać się zabić i zobaczyć, co przyniesie następny ułamek sekundy. Gdy runął na ziemię, wpadł na pomysł, żeby rzucić ladą w McQueena, jeżeli nie jest przykręcona do podłogi, albo przetoczyć się do tyłu przez drzwi do biura recepcjonisty, gdzie musi być okno, które prawdopodobnie okaże się zamknięte z powodu zimna, ale mógłby wyskoczyć przez szybę, łokciami naprzód, bo sińce i skaleczenia

są lepsze niż kula w głowie.

Walcz albo uciekaj.

Nie musiał jednak wprowadzać w życie żadnego z tych pomysłów.

Kiedy echo wystrzału zaczęło cichnąć, Reacher usłyszał skrzypienie butów na winylu. Złapał się końca lady na dole, przy samej podłodze, i jednym mocnym szarpnięciem podciągnął się w prawo, wsuwając głowę w lukę między ladą a stołem. Zobaczył, jak McQueen wypada z motelu, sprintem biegnie wąską ścieżką i wskakuje do samochodu, który z wyciem silnika ruszył sprzed wejścia tak gwałtownie, że spod opon uniósł się błękitny dym. Reacher dźwignął się na kolana i zdążył zobaczyć, jak McQueen zatrzaskuje drzwi, chevrolet z impetem zawraca, ustawiając się znowu przodem na południe, a potem rusza pełnym gazem w kierunku drogi, z uniesionym przodem i opuszczonym nisko tyłem, buksując kołami i próbując odzyskać przyczepność. Ostatnią rzeczą, jaką Reacher dojrzał przez dym, była niewyraźna biała plama w tylnej szybie chevroleta - pobladła twarz Karen Delfuenso, która odwróciła się z ustami otwartymi z przerażenia.

Reacher wciąż klęczał. Zapadła cisza. Na włosy i ramiona posypał mu się gips, spadając wolno jak nieważki talk. Unoszący się pod zadaszeniem obłoczek dymu spod opon chevroleta wypłynął powoli w mrok nocy, kreśląc drogę, którą pokonał samochód w trakcie zawracania, jakby dawał świadectwo, wyjaśnienie, dowód, a potem rozwiął się i zniknął.

Drzwi recepcji się uchyliły i wystawił głowę niski, korpulentny człowieczek. Rozejrzał się i oznajmił:

- Chciałem tylko powiedzieć, że już zadzwoniłem na policję w pana sprawie.

Julia Sorenson przez hałas silnika usłyszała dzwonek komórki. Odebrała email i znalazła tam załącznik audio od dyżurnego z centrali w Waszyngtonie. Komórka była podłączona do zestawu stereo w samochodzie, standardowego odtwarzacza Forda, czyli żadnego cudu techniki, który dawał jednak mocny i wyraźny dźwięk. Podkręciła głośność, włączyła przycisk odtwarzania i usłyszała piętnastosekundowe nagranie rozmowy telefonicznej między osobą z Budynku Hoovera a osobą, która podobno dzwoniła z Iowa.

„FBI. Jaki jest rodzaj zgłoszenia?”.

„Mam informacje, prawdopodobnie dla waszego biura terenowego w Omaha w Nebrascie”.

„Jaki to rodzaj zgłoszenia?”.

„Proszę mnie po prostu połączyć, szybko”.

„Jak się pan nazywa?”.

Nastąpiła pauza, bardzo krótka, a potem:

„Proszę mnie połączyć albo straci pan pracę”.

Znów na chwilę zapadła cisza, potem rozmowa się urwała i rozległ się nowy sygnał zgłoszenia.

A potem już nic.

Odtworzyła zapis jeszcze raz, słuchając wyłącznie mężczyzny, który dzwonił, nie dyżurnego.

„Mam informacje, prawdopodobnie dla waszego biura terenowego w Omaha w Nebrasce”.

„Proszę mnie po prostu połączyć, szybko”.

„Proszę mnie połączyć albo straci pan pracę”.

Sześć sekund. Dwadzieścia dwa słowa wypowiedziane w pośpiechu, ale równocześnie z dziwną cierpliwością. Bardzo nosowe brzmienie głosu, dużo objawów oddechowych świadczących o poważnym złamaniu nosa, głoska M przechodząca w B, słowo „informacje” brzmiało bardziej jak

„inforbacje”, „Omaha” bardziej jak „Obaha”.

Wysłuchiwała w skupieniu jeszcze raz.

„Prawdopodobnie dla waszego biura terenowego w Omaha w Nebrasce”.

„Albo straci pan pracę”.

Dziwaczna mieszanka pośpiechu i cierpliwości oznaczała, że facet jest przyzwyczajony do telefonowania w ważnych sprawach operacyjnych albo przekazywania instrukcji i wie, że nawet uważnym i inteligentnym słuchaczom trzeba dać szansę, aby nadążyli za jego rozumowaniem. Ale nie był biznesmenem. Nawet bardzo wpływowy człowiek, który codziennie rozmawia przez telefon o milionowych transakcjach, zdradzałby nieco większy lęk, dzwoniąc pod numer alarmowy FBI w środku nocy. Ten sprawiał wrażenie, jakby to była dla niego rutyna. „Wasze biuro terenowe” oznaczało, że nie pracuje w FBI, przynajmniej teraz, ale chyba się orientuje, jak funkcjonuje cały system, a słowa „wasze biuro” w pewnym sensie sugerowały, że uważa się za kolegę po fachu albo członka tego samego świata. „Wasze biuro terenowe”, „moje biuro terenowe”.

Intrygująco brzmiało słowo „prawdopodobnie”. Zostało użyte celowo, w przemyślany i inteligentny sposób. Jakby facet był niemal w stu procentach pewny, że chce rozmawiać z biurem w Omaha, ale nie zamierza niczego popsuć wstępnym założeniem, które później mogłoby się okazać błędne. Albo jakby chciał mieć w dyżurnym sojusznika, dać mu poczucie, że i on ma swój udział w podjęciu ostatecznej decyzji, że ułatwił i przyspieszył ak

cję.

Przecucie znów jej powiedziało, że ten człowiek jest przyzwyczajony do rozmów w ważnych sprawach operacyjnych. Ma doskonale rozeznanie w biurokracji.

Na przykład: „albo straci pan pracę”. Wcześniej umilkł na bardzo krótko, żeby się zastanowić.

Facet dokładnie wiedział, co powiedzieć. I miał już do czynienia z oficerami dyżurnymi. A może sam kiedyś był takim oficerem?

Dlaczego więc prowadził samochód, którym jechali dwaj mordercy i zakładniczka?

I dlaczego zadzwonił, a potem zaraz odłożył słuchawkę?

Przestała stawiać kolejne pytania, ponieważ w tym momencie zadzwoniła komórka, której elektroniczny sygnał rozbrzmiał donośnie i głęboko w głośnikach w bocznych słupkach samochodu i w głośnikach w drzwiach. Sorenson odrobinę ściszyła i dotknęła przycisk „odbierz”. Dzwonił jej agent dyżurny z biura terenowego w Omaha. Ten, który nie zdążył wtedy odebrać.

- Masz na linii naczelnika.

Sorenson zwolniła. Spojrzała na drogę przed sobą i zerknęła w lusterka.

- Połącz - powiedziała.

Rozległ się trzask, podkreślony przez głośniki. Potem odezwał się głos:

- Sorenson?

- Słucham.

Naczelnik biura. Jej przełożony. Jej szef. Nazywał się Perry, miał pięćdziesiąt cztery lata, całe życie spędził w FBI, był ambitny, miał na imię Anthony, wszyscy mówili mu Tony, a za jego plecami nazywali go Stony, ponieważ w miejscu, gdzie powinien mieć serce, miał twardą skałę³.

- Dzwoniłem na tę stację w Iowa.

- Pan dzwonił?

- Nie śpię, postanowiłem więc zrobić coś pożytecznego.

- No i co?

- Nie mają zapisu wideo.

- Ale?

- Nocny kasjer to chyba bystry chłopak. Opowiedział nam dość składną historię.

- Czyli?

- To był granatowy chevrolet impala. Chłopak nie pamięta numerów rejestracyjnych.

Przyjechały nim cztery osoby, trzech mężczyźni i kobieta. Początkowo jeden

mężczyzna i kobieta zostali w samochodzie. Drugi mężczyzna tankował. I tu pierwszy ciekawy fakt: użył karty kredytowej, która, jak właśnie ustaliliśmy, była lipna.

- Miała związek z kartą użytą na lotnisku w Denver?

- Chyba nie. Prawie na pewno pochodziły z różnych źródeł. Drugi ciekawy fakt jest taki, że samochód zatankował tylko niecałe czternaście litrów, co chłopakowi ze stacji wydało się dziwne.

W tym miejscu każdy nalewa około pięćdziesięciu litrów, chyba że bierze kanister do kosiarki.

- Więc albo nie nalali do pełna, co może znaczyć, że są blisko celu, albo dopełnili bak, co znaczy, że tankowali już wcześniej.

- Sprawdzamy, czy tą kartą płacono tej nocy gdzie indziej. Na razie nie ma żadnych rezultatów.

Ale tak czy inaczej, w czasie tankowania do sklepu wszedł trzeci mężczyzna, zaczekał, aż zamkną się drzwi, a potem zapytał o telefon.

- To był kierowca?

- Tak. Chłopak opisał go jako wielkoluda ze świeżo rozbitym nosem, ze skorupą zaschniętej krwi. Chłopak przyznał, że z początku trochę się przestraszył. Facet wyglądał jak postać z krwawego horroru. Jak dzikus. Miał bardzo brudne ubranie i potargane włosy. Ale mówił normalnie i okazał się uprzejmy. Chłopak pokazał mu automat, który był za drzwiami przy toaletach. Dlatego nie wie, czy facet zadzwonił, czy nie. Potem mężczyzna, który wcześniej siedział w samochodzie, wszedł, żeby skorzystać z toalety. Facet z horroru wyszedł zza drzwi, wziął kawę dla wszystkich, a potem wyszedł ten drugi i razem poszli do samochodu. Chevrolet spokojnie odjechał i skierował się na południe.

- Napięta atmosfera? Coś podejrzanego?

- Niczego takiego nie zauważył. Był środek nocy, więc wszyscy wyglądali na trochę zmęczonych i rozkojarzonych, ale nie padły żadne wulgarne słowa i o ile dobrze zrozumiałem, nie wyczuwało się napięcia ani nawet pośpiechu.

- Słuchał pan nagrania z telefonu alarmowego?

- Tak, dostałem kopię, oczywiście.

- Coś zwróciło pana uwagę?

- Słowo „prawdopodobnie”. Wydaje się bez sensu. Jeżeli jest jednym z nich, wie, gdzie popełniono zbrodnię. Powiedziałby wtedy, że ma informacje dla Omaha w Nebrasce, koniec kropka.

- Sądzi pan, że nie jest jednym z nich?

- Sądzę, że to prosty człowiek z obstawy. Jest ich kierowcą, przynosi kawę. Nie zna szczegółów.

Bzdura, Stony, pomyślała Sorenson. Na mnie nie sprawił wrażenia prostego człowieka. Wydał mi się bystrzejszy od, na przykład, ciebie.

- Dziękuję panu - powiedziała. - To cenne uwagi.

- Będziemy w kontakcie - odparł naczelnik i się rozłączył.

Sorenson zastanawiała się przez następny kilometr, po czym przyspieszyła do stu czterdziestu na godzinę i wróciła do emaila. Podkreśliła głośność i jeszcze raz odtworzyła na granie.

„Proszę mnie po prostu połączyć, szybko”.

Pierwsze zdanie było konkretne, wypowiedziane spokojnym i rzeczowym tonem. „Mam informacje, prawdopodobnie dla waszego biura terenowego w Omaha w Nebrasce”.

Wprowadzenie. Wstęp. Nie odniosło jednak pożądanego skutku. Dyżurny nie kwapił się, by natychmiast spełnić jego prośbę. Dlatego wielkolud z rozbitym nosem stracił cierpliwość. „Proszę mnie po prostu połączyć, szybko”. Sapanie, zdenerwowanie, zniecierpliwienie. W głosie dało się też słyszeć zaskoczenie i niedowierzanie. Lekki nacisk na ostatnie słowo: „szybko”. Nuta desperacji.

Jakby chciał powiedzieć: „Zrobiłem pierwszy krok rytualnego tańca, naprawdę nie mam czasu na drugi i naprawdę, ale to naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego tego nie rozumiesz”.

Facet z rozbitym nosem nie zmienił zamiaru. Odłożył słuchawkę, bo nie miał już czasu. Bo wszedł drugi facet, żeby skorzystać z toalety.

Facet z rozbitym nosem jest jednym z nich. Ale ich zdradził.

30

Reacher położył dłonie płasko na podłodze i podniósł się z kolan. Odwrócił się, spojrział na grubego człowieka w drzwiach recepcji i powiedział:

- Muszę pożyczyć pana samochód.

Grubas utkwiał wzrok w twarzy Reachera.

- Co?

- Pana samochód. Natychmiast.

- Nie ma mowy. - Facet miał około trzydziestu lat, mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu i tyle samo w pasie. Przedwcześnie łysiał. Był ubrany w biały podkoszulek i czerwoną kamizelkę z wycięciem w serek. - Już powiedziałem, zadzwoniłem po gliny. Już

jadą. Niech pan nie próbuje żadnych sztuczek.

- Kiedy przyjedzie policja? - spytał Reacher.

- Za dwie minuty. Są już w drodze.

- Skąd?

Facet nie odpowiedział.

- Okręgowa? - chciał wiedzieć Reacher.

- W nocy zwykle wzywamy stanową - wyjaśnił facet.

- Wszyscy byli przy blokadzie. Na międzystanówce. Na zachód stąd, daleko. Nagłe wezwanie. Za mało czasu na zorganizowanie zastępstwa. Moim zdaniem przyjadą najwcześniej za dwie godziny.

Nie za dwie minuty. Jeżeli w ogóle przyjadą. Nikt tu nie zginął.

- Ale ktoś strzelał.

- I to coś złego, tak?

- Oczywiście.

- A więc są źli. Bo strzelali. I strzelali do mnie. Wynika z tego, że ja jestem dobry.

- Albo jeszcze gorszy.

- Wszystko jedno - mruknął Reacher. - Jeżeli jestem dobry, to mi pan pomoże, bo jest pan po mojej stronie. Jeżeli jestem jeszcze gorszy, to pomoże mi pan, bo się pan mnie boi. Tak czy inaczej, pomoże mi pan. Dlatego niech pan lepiej nie traci czasu, tylko od razu da mi kluczyki.

- Nic panu z tego nie przyjdzie.

- Dlaczego?

- Bo jestem zabezpieczony.

- Przed czym?

- Przed ludźmi takimi jak pan.

- Jak?

- W moim wozie nie ma benzyny.

- Musi być. Do stacji jest pięćdziesiąt kilometrów.

- W baku jest niecałe pięć litrów. Wystarczy na jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

A sześćdziesiąt kilometrów stąd nie ma nic.

- Mówi pan serio?

- To najlepsza ochrona przed złodziejami. Lepsza niż alarm, lepsza niż lokalizator, lepsza niż skomplikowany zamek.

- Spryciarz z pana - uznał Reacher. - Albo skończony świr. Jedno albo drugie. A

goście w motelu? Kim są? Może dałoby się pożyczyć tego pickupa?

- Och, nie, proszę - jęknął grubas.

Ale Reacher nie naciskał. Stał pokonany. Przez liczby. Konkretnie przez cztery, trzy i dwa.

Minęły prawie cztery minuty. King i McQueen niebawem dotrą do następnego skrzyżowania.

Będzie to albo rozwidlenie dające im dwie możliwości do wyboru, albo skrzyżowanie dające trzy możliwości. Iowa. Szachownica. Siatka pól. Pozostanie więcej niż jednego pola za uciekinierem oznaczało, że prawdopodobieństwo skrętu w niewłaściwą drogę będzie się nieskończenie zwielokrotniać. Z tego, co Reacher dotąd widział, na dwa skrzyżowania w kształcie litery T przypadają trzy skrzyżowania czteroramienne, a każde z nich od następnego dzieli mniej więcej trzynaście kilometrów. Niecałe pięć litrów benzyny w samochodzie grubasa może wystarczyć na mniej więcej sześćdziesiąt minut. Po upływie tego czasu prawdopodobieństwo, że jedzie właściwą drogą, będzie wynosiło jeden do sześciuset pięćdzieści.

Beznadziejna sprawa.

Czas i geometria.

Sorenson znów usłyszała sygnał emaila i odebrała plik audio z centrali zgłoszeniowej dziewięćset jednaście w Iowa. Była to rozmowa, którą przełączono do dyżurnego FBI.

„Skąd państwo dzwonią?”

„Proszę mnie połączyć z FBI”

„Gdzie się pan w tej chwili znajduje?”

„Proszę nie tracić czasu”

„Potrzebna jest straż pożarna, policja czy karetka?”

„Potrzebne jest FBI”

„Proszę pana, to jest numer alarmowy”

„A mniej więcej od dwunastego września dwa tysiące pierwszego roku macie bezpośredni guzik do FBI”

„Skąd pan o tym wie?”

„Po prostu zgadłem. Proszę wcisnąć ten guzik, w tej chwili”

Ten sam nosowy głos. Ten sam opanowany pośpiech. Żadnej paniki, ale i mało cierpliwości. To samo rozeznanie. Jeśli chodzi o ścisłość, dyżurni nie mieli bezpośredniego połączenia z FBI od dwunastego września 2001 roku. Instalację rozpoczęto jakiś tydzień

później. Ale zasadniczo miał rację. Był dobrze poinformowany.

Tylko skąd wiedział?

Odtworzyła nagranie jeszcze raz i dotarła do „Potrzebne jest FBI”, gdy znów przerwał jej dzwonek telefonu. Następne połączenie na żywo. Elektroniczny sygnał przeraźliwie rozjazgotał się w głośnikach. Znowu dzwonił agent dyżurny z jej biura w Omaha.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie - powiedział - ale policja stanowa w Iowa właśnie dostała zgłoszenie na dziewięćset jedenaście o strzelaninie w holu motelu, jakieś pięćdziesiąt parę kilometrów na południowy wschód od tej stacji benzynowej.

Grubas kręcił się nerwowo za ladą recepcji, a Reacher przyjrzał się dziurze po kuli. Znajdowała się nad drzwiami biura, jakieś dwadzieścia centymetrów na lewo od środka, dość wysoko, może cztery centymetry poniżej krawędzi listwy przysufitowej. Wyglądało na to, że pocisk trafił blisko śruby czy kołka. Wyrwał duży płaski płat tynku, wielkości spodka od filizanki, a na ścianie pozostał krater o takiej samej średnicy. W samym środku krateru widniał równiutki otwór kaliber dwadzieścia dwa, trochę mniejszy od ołówka.

Reacher cofnął się i stanął w miejscu, w którym stał McQueen. Odwrócił się bokiem. Ugiął kolana i zniżył się o kilkanaście centymetrów, bo o tyle McQueen był od niego niższy. Uniósł wyprostowaną rękę i wycelował palec wskazujący w otwór.

Zamknął jedno oko.

Pokręcił głową.

Jego zdaniem strzał był bardzo niecelny. Bo Reacher nie zostałby trafiony, nawet gdyby nie padł na podłogę. Nawet gdyby stanął na palcach. Nie zostałby trafiony, nawet gdyby wysoko podskoczył. Kula mogłaby drasnąć gwiazdę NBA mierzącą ponad dwa dwadzieścia, ale Reacherowi, który miał metr dziewięćdziesiąt pięć, w żadnym wypadku nie mogłaby stać się krzywda.

Jeżeli ma spudłować, strzeli za wysoko.

Jak na społeczeństwo, które ma obsesję na punkcie broni, umiejętności strzeleckie cywilów pozostawiały wiele do życzenia.

Reacher wyprostował się, odwrócił do grubasa i powiedział:

- Muszę skorzystać z telefonu.

31

Przez kilka minut nic nie niepokoilo Julii Sorenson, a potem znów w głośnikach odezwał się jej telefon. Agent dyżurny z biura w Omaha.

- Masz chyba dzisiaj szczęście - powiedział.

- Jak to?

- Na linii jest ten sam facet.

- Ten z zatkanym nosem?

- Na żywo i we własnej osobie.

- Gdzie jest?

- Przy tym samym telefonie, z którego niedawno ktoś dzwonił pod dziewięćset jedenaście w Iowa.

- W sprawie strzelaniny w motelu?

- Tak jest.

- Jak daleko ma tam policja stanowa?

- Daleko. Blokady popsuły jej robotę.

- Dobra, połącz mnie z tym facetem.

- Na pewno? Stony będzie chciał z nim rozmawiać.

- To moja sprawa - odparła Sorenson. - Połącz. Stonym zajmę się później.

Usłyszała trzaski, syk, a potem dźwięk z inną akustyką. Pokój, niezbyt duży. Twarde powierzchnie. Prawdopodobnie biuro. Biurka z laminatu, metalowe szafki. Usłyszała znajomy nosowy głos:

- Halo?

- Mówi agentka specjalna FBI Julia Sorenson. Jak się pan nazywa?

Reacher oparł łokieć o laminatowy blat biurka grubasa i przycisnął ramieniem słuchawkę do ucha.

- Nie powiem pani. Przynajmniej na razie. Najpierw musimy porozmawiać.

Kobieta, która przedstawiła się jako Sorenson, zapytała:

- O czym?

Jest z Minnesoty, pomyślał Reacher. Stamtąd pochodzi. Mówi też z lekkim akcentem skandynawskim, zgodnie ze swoim nazwiskiem. I sprawia wrażenie konkretnej osoby. Nie szafuje słowami. Mówi rzeczowo i na temat.

- Muszę zrozumieć, jaka jest moja sytuacja - odrzekł.

- Czy Karen Delfuenso jeszcze żyje?

- O ile wiem, tak.

- W takim razie powinniśmy myśleć o jej sytuacji.

- Myślę. Właśnie o tym mówię. Chce mi pani przeszkadzać czy pomóc?

- W czym?
- W znalezieniu Karen Delfuenso.
- Nie jest już z panem?
- Nie. Strzelili do mnie i odjechali. Delfuenso ciągle jest w samochodzie.
- Kim pan jest?
- Nie zamierzam pani podawać nazwiska.
- Chcę zrozumieć, jaka jest pańska rola w tej sprawie.
- Nie mam żadnej roli.
- Widziano pana za kierownicą tego samochodu.
- Poprosili mnie, żebym prowadził.
- Jest pan ich kierowcą?
- Nigdy wcześniej ich nie widziałem.
- Co pan chce przez to powiedzieć? Kim pan jest, przypadkowo spotkanym nieznajomym?

Przechodniem? Zatrzymali się i ot tak, poprosili pana, żeby poprowadził pan ich samochód?

- Próbowałem złapać okazję. Zabrali mnie.
 - Gdzie?
 - W Nebrasce.
 - I poprosili, żeby pan prowadził? To normalne?
 - Z mojego doświadczenia wynika, że nie.
- Sorenson nie odpowiedziała.
- Chyba spodziewali się blokad i potrzebowali przykrywki - ciągnął Reacher. - Chyba się spodziewali, że policja będzie szukać trzech osób, więc chcieli mieć w samochodzie cztery. I woleli, żeby za kierownicą nie siedział żaden z nich, ale ktoś inny. Ktoś, kogo policja zobaczy jako pierwszego. Dodatkowe punkty nabił im mój rozbity nos. Pewnie poświęcono mu dziewięćdziesiąt procent rysopisu, który dostaliście. Facet z rozkwaszoną twarzą.
 - Goryl.
 - Co?
 - Goryl z rozkwaszonym pyskiem. Wiem, mało sympatyczny opis.
 - Mało sympatyczny dla goryla - odparł Reacher. - Tak czy inaczej, przydałem się im.
- Ale potem zjechali z międzystanówki i już nie byłem im potrzebny.
- I postrzelili pana? Jest pan ranny?
 - Powiedziałem, że strzelali. Nie trafili.

- Wie pan, dokąd jadą?
- Nie mam pojęcia.
- Jak więc chce pan znaleźć Delfuenso?
- Coś wymyślę.
- Jeżeli pan nie jest już im potrzebny, to ona też nie.

Tylko jej samochód.

- Dlatego trzeba się pośpieszyć.
- Mam jeszcze godzinę drogi.
- Jedzie tu policja?
- Wszyscy funkcjonariusze zostali w tyle.
- Tamtych i tak zgubiłem. Tutejsze drogi są fatalne. Będę musiał podejść do tego in-

czej.

- Co pan robił w Nebrasce?
- To nie pani sprawa.
- Jak złamano panu nos?
- Nie pamiętam.
- Sierżant z blokady twierdził, że przyznał się pan do udziału w bójce.
- Niezupełnie. Powiedziałem tylko, że szkoda, że nie widział tamtego. Nic więcej.

Konwencjonalne słowa.

- Dowiedzieliśmy się od niego, że mówił mu pan, że tamten był w innym stanie niż

Iowa.

- Nie mogę komentować czegoś, co wam powiedział. Nie było mnie przy tej rozmowie.

wie.

- Czy tamten człowiek był w Nebrasce?
- Traci pani czas.
- Nie tracę. Jadę najszybciej, jak się da. Co innego mam w tym momencie do roboty?
- Jechać jeszcze szybciej.
- Dokąd pan jechał? - zapytała Sorenson.
- Kiedy?
- Kiedy pana zabrali.
- Do Wirginii.
- Po co?
- To nie pani sprawa.
- Co jest w Wirginii?

- Dużo rzeczy. To ważny stan. Dwunasty pod względem ludności w całych Stanach. Trzynasty pod względem PKB. Zresztą sama może pani sprawdzić.

- Jakoś mnie pan nie przekonuje. I nie poprawia pan swojej sytuacji.

- Dlaczego więc do was dzwonię?

- Może liczy pan na jakiś układ?

- Nie. Nie liczę na żaden układ. Liczę tylko na to, że uda mi się pomóc Karen Delfuenso i że potem uda mi się dotrzeć do Wirginii.

- Dlaczego chce pan pomóc Delfuenso?

- A dlaczego nie? Jestem człowiekiem.

Sorenson nie odpowiedziała.

- Co właściwie zrobili ci ludzie? - spytał Reacher.

- Chyba nie będę o tym z panem rozmawiała. Na razie.

- Wiem, że ukradli samochód Delfuenso. Wiem, że mieli krew na ubraniach.

- Skąd? Kupili koszule i się przebrali.

- Od Delfuenso.

- Rozmawiał pan z nią?

- Wymruła mi tę informację. W tajemnicy przed tamtymi. Użyła prostego kodu literowego.

- Inteligentna kobieta. I odważna.

- Wiem. Ostrzegła mnie, że mają broń. Zawiodłem ją.

- Najwyraźniej.

- Wy też się nie popisaliście, szukając dwóch ludzi.

- Należałoby się spodziewać, że komunikat, w którym jest mowa o dwóch mężczyznach, będzie też dotyczył więcej niż dwóch. Na podstawie prostego wniosku.

- Policjanci nie wyciągają żadnych wniosków. Nie mają inicjatywy. Dlatego w dziewięciu na dziesięć przypadków pakują się w kłopoty.

- Jak się czuje Delfuenso? - spytała Sorenson.

- Raczej nie jest zachwycona - odparł Reacher.

- Zostawiła w domu dziecko.

- Wiem. Powiedziała mi.

- Ma pan dostęp do jakiegoś samochodu? - spytała Sorenson.

- Nie bardzo - odpowiedział Reacher. - Stoją tu dwa, które mógłbym pożyczyć, ale to i tak byłoby bez sensu. Nie wiadomo, gdzie tamci teraz są.

- Jak się pan nazywa?

- Jeszcze nie powiem.
- Dobrze, proszę zostać tam, gdzie pan jest. Zobaczymy się, kiedy przyjadę.
- Może tak, może nie.

„Jechać jeszcze szybciej”, brzmiała rada faceta z zatkanym nosem i Sorenson bardzo starała się do niej zastosować. Rozpędziła się do prawie stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę - prędkości, która zagrażała jej poczuciu równowagi. Droga była jednak prosta, szeroka i pusta.

„Nigdy wcześniej ich nie widziałem” powiedział. „Próbowałem złapać okazję”. Czy mu wierzyła?

Być może. A może nie. Było to bardzo zgrabne i jasne wytłumaczenie. Dlatego bardzo podejrzane.

Bo w rzeczywistości nic nie jest zgrabne ani jasne. Zazwyczaj. Zresztą kto jeszcze jeździ autostopem? Zwłaszcza zimą? Facet sprawiał wrażenie wykształconego. I nie najmłodszego. Nie pasował do danych demograficznych. Statystyka. FBI uznawało ją za pozyteczną wskazówkę.

Mówił jeszcze: „Strzelali do mnie”. Ale: „Nie trafili”. Albo wyjątkowe szczęście, albo wyjątkowo udana komedia. Kiedy strzela do kogoś osoba bezdyskusyjnie winna, to pomaga zyskać wiarygodność. Być może wszyscy zainteresowani doszli do tego wniosku o wiele wcześniej.

Nagle rozległ się sygnał ostrzegający, że kończy się paliwo, i zapaliła się żółta kontrolka rezerwy. Co za głupota. Nie pomyślała, żeby zatankować. Akurat teraz musi skończyć się benzyna. I akurat w takim miejscu. Iowa to bezludny stan. Zjazdy z autostrady należą do rzadkości i zdarzają się raz na wiele kilometrów. Sorenson skręciła w następny, nieoznakowany żadną tablicą, na wschód od Des Moines. We mgle zobaczyła niebieskobiałe światła stacji benzynowej. Zjazd prowadził na jednopasmową drogę lokalną i Sorenson ujrzała stację trzydzieści metrów na południe od niej. Była duża, przeznaczona dla ciężarówek i samochodów osobowych. W części dla aut osobowych zainstalowano sześć dystrybutorów. Stała tam budka, w której płaciło się za paliwo, a na skraju stacji barak z toaletami. Po drugiej stronie drogi znajdował się długi budynek przypominający stodołę z napisem POSIŁKI I NAPOJE PRZEZ CAŁĄ DOBĘ, wymalowanym białą farbą na pochyłym dachu.

Zatankowała, znów słysząc w głowie nosowy głos: „Tamtych i tak zgubiłem. Tutejsze drogi są fatalne. Będę musiał podejść do tego inaczej”. Czternaście słów. Rezygnacja,

frustracja, a potem nowe postanowienie. Pierwsza osoba liczby pojedynczej. Instyktownie zakładająca indywidualną odpowiedzialność jednostki za los drugiej. Determinacja. I duża wiedza. Sorenson powiedziała:

„Należałoby się spodziewać, że komunikat, w którym jest mowa o dwóch mężczyznach, będzie też dotyczył więcej niż dwóch”. Chodziło o KOP - komunikat o poszukiwaniu. Nie musiał pytać, co to oznacza. Wiedział. Potem powiedział: „Policjanci nie wyciągają żadnych wniosków. Nie mają inicjatywy. Dlatego w dziewięciu na dziesięć przypadków pakują się w kłopoty”. Trafna uwaga.

Podobnie jak: „Chyba spodziewali się blokad i potrzebowali przykrywki”. Ona pomyślała dokładnie to samo.

Był zdecydowany, odpowiedzialny, zdeterminowany, bystry i znał się na rzeczy.

Wiózł dwóch morderców ukradzionym samochodem.

I zakładniczkę.

„Dlaczego więc do was dzwonię?”.

Kim ten facet, do cholery, jest?

32

Reacher przeglądał broszury o atrakcjach turystycznych na stojaku w holu, aż znalazł coś, co przypominało mapę. Nie był to wybitny przykład sztuki kartograficznej, ale niczym lepszym motel nie dysponował. Właściwie był to ręcznie narysowany prostokąt z zaznaczonym na dole po lewej Kansas City, na dole po prawej St Louis, Des Moines na górze po lewej i Cedar Rapids na górze po prawej. Między tymi czterema punktami miast rozciągała się szeroka biała przestrzeń usiana ikonkami oznaczającymi rzeczy, które w ogóle Reachera nie interesowały.

Interesowała go biała przestrzeń, a szczególnie jej górna część. Ta należąca do stanu Iowa.

Trzydziestego spośród pięćdziesięciu pod względem liczby mieszkańców, dwudziestego szóstego pod względem powierzchni. Do Iowa należała jednak jedna czwarta najbardziej urodzajnych ziem Ameryki, stan figurował więc na czele listy największych producentów kukurydzy, soi oraz hodowców bydła i trzody chlewnej. Oznaczało to słabe zaludnienie, liczone w kilometrach odległości między najbliższymi sąsiadami, dużo odosobnionych budynków niewiadomego przeznaczenia i pewną obojętność mieszkańców żyjących każdy własnym życiem, których nie interesowało, co kto robi, gdzie, kiedy i po co.

Najgorzej prowadzić poszukiwania w gęsto zamieszkałych miastach i na otwartych

wiejskich przestrzeniach. Reacherowi wiele razy powiodło się na jednym i drugim terenie, ale ponosił też klęski. Wiele razy.

- Kto zapłaci za dziurę w mojej ścianie? - zapytał grubas stojący za jego plecami.
- Nie ja - mruknął Reacher.
- Ktoś w każdym razie będzie musiał.
- A pan co, socjalista? Niech pan sam zapłaci. Albo naprawi. To żadna filozofia.

Wystarczą dwie minuty i trochę szpachlówki.

- Tak nie może być, że ktoś wpada do holu i robi coś takiego.
- Jestem zajęty.
- Czym?
- Myślę.
- Patrzy pan na pustą kartkę.
- Ma pan lepszą mapę?
- Tak nie może być.
- Nieszczęścia chodzą po ludziach. Proszę się uspokoić.
- Ta kula mogła przebić ścianę i trafić we mnie.
- Żartuje pan? Niech pan patrzy, gdzie jest dziura.
- Ale ten, kto strzelał, nie wiedział, że jestem niski. Nie mógł tego wiedzieć, bo niby skąd? To było skrajnie niebezpieczne. I nieodpowiedzialne.
- Tak pan sądzi?
- Mogłem zostać ranny.
- Ale pan nie został, więc nie ma się czym martwić.
- Mogłem zginąć.
- Niech pan popatrzy, gdzie jest dziura - powtórzył Reacher. - Pocisk nie trafiłby w pana, nawet gdyby stanął pan sobie na ramionach.

Nagle w biurze zadzwonił telefon i recepcjonista wycofał się za drzwi, żeby odebrać. Po chwili wrócił i powiedział:

- FBI do mężczyzny ze złamanym nosem. Przypuszczam, że chodzi o pana.
- Zaraz nie będzie wiadomo, o którego z nas chodzi, jeżeli nie przestanie pan mleć językiem - ostrzegł Reacher.

Wziął mapę, usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę. Znowu ta Skandynawka. Pochodząca z Minnesoty. Julia Sorenson.

- Jeszcze pan tam jest - zauważyła.
- Wszystko na to wskazuje.

- Dlaczego?

- Mówiłem już pani dlaczego. Tutejsze drogi przypominają papier milimetrowy. Nie ma sensu próbować kogoś ścigać, jeżeli ma ponad dwie minuty przewagi.

- Czy to rzeczywiście ma znaczenie, którą drogą pojechali? Kierują się na południe. Powinniśmy zakładać, że zmierzają do jakiegoś celu. Że nie chcą zostać w Iowa.

- Nie zgadzam się.

- Dlaczego?

- Niedługo wszędzie słońce. O siódmej czy ósmej rano złączą służbę policjanci z miasta i z okręgowej - tłumaczył Reacher. - A tamci muszą zakładać, że wszyscy już mają ich numery rejestracyjne, rysopisy i dane samochodu. Nie będą więcej ryzykowali. Nie mogą. Dlatego zaszyją się gdzieś jeszcze przed świtem. Gdzieś tu, w Iowa.

- Jeszcze w nocy mogą się przedostać do Missouri.

- Ale się nie przedostaną. Przyjmą, że na granicy będzie na nich czekać policja stanowa Missouri. To całkiem możliwe. Witamy i ostrzegamy. Z nowymi komunikatami przyklejonymi na desce rozdzielczej.

- Ale w Iowa też nie mogą zostać - upierała się Sorenson. - Właściwie nie mogą zostać nigdzie.

Jeżeli zakładają, że wszyscy znają ich numery, muszą też zakładać, że powiadomiliśmy właścicieli moteli.

- Nie zatrzymają się w motelu. Myślę, że mają jakieś miejsce, znane tylko im. Bo nie wybrali na chybił trafił tego zjazdu z międzystanowej. Ja bym tam nie skręcił. Nikt przy zdrowych zmysłach by tam nie skręcił. To była jakaś boczna droga. Ale dobrze ją znali. Wiedzieli, dokąd jadą.

Wiedzieli, że będzie tam stacja i wiedzieli, że będzie motel. Nie mogliby tego wiedzieć, gdyby tu wcześniej nie byli.

- Może ma pan rację.

- Mogę się też mylić.

- Co jest bardziej prawdopodobne?

- Nie wiem.

- Będą się ukrywali przez cały dzień?

- Na ich miejscu tak bym zrobił.

- To ryzykowne. Będziemy ich mieli jak na talerzu.

- Na talerzu, może. Ale ryzykowne, niekoniecznie. Półtorej godziny po odjeździe stąd znajdą się gdzieś na ośmiu tysiącach kilometrów kwadratowych pustkowie. Zamierza pani

chodzić od drzwi do drzwi, licząc na szczęście?

- A pan co by zrobił?
- Zdecydowała już pani, jaka jest moja sytuacja?
- Jeszcze nie.
- W takim razie może się pani nigdy nie dowiedzieć, co bym zrobił.
- Kim pan jest?
- Po prostu facetem.
- Jakim facetem?
- Dlaczego pani do mnie zadzwoniła?
- Żeby spróbować się dowiedzieć, kim pan jest.
- I do jakich wniosków pani doszła?
- Nie wiem.
- Jestem niewinnym przechodniem. To wszystko. Nikim więcej.
- Wszyscy zawsze twierdzą, że są niewinni.
- I czasem mówią prawdę.
- Niech pan się stamtąd nie rusza. Będę za niecałą godzinę.

Sorenson pędziła dalej z prędkością między sto czterdzieści a sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, jednym okiem patrząc na drogę, a drugim na GPS. Zbliżała się do zjazdu bez nazwy.

I zrozumiała, o co chodziło facetowi z rozbitym nosem. „Nikt przy zdrowych zmysłach by tam nie skręcił”. Wydawało się, że dalej rozciąga się nieskończona ciemna pustka. Nie było widać żadnych świateł, żadnych charakterystycznych cech rzeźby terenu, nic godnego uwagi.

„Wiedzieli, dokąd jadą”.

Znów zadzwonił telefon. To był Perry, naczelnik biura terenowego. Stony, jej szef.

- Dowiedziałem się czegoś więcej o ofierze - poinformował ją.
- To dobrze, bo facet, którego przysłał Departament Stanu, nie pisał ani słowa.
- Lester? Pogadałem z kimś wyżej postawionym. Zresztą Departament miał niewiele do ukrycia. Okazuje się, że ofiara to attache handlowy. Czyli właściwie pośrednik. Negocjator transakcji. Pomagał zawierać umowy amerykańskim eksporterom.

- Gdzie pracował?

- Tego mi nie powiedziano. Ale wygadali się, że mówi po arabsku. Sama wyciągnij wnioski.

- Po co przyjechał do Nebraski?

- Nikt nie wie.

- Służbowo czy dla rozrywki?

- O ile wiem, na pewno nie służbowo. Był na urlopie przed przeniesieniem do nowej placówki.

- Wie pan, że z Kansas City przyjechali dwaj ludzie z wydziału do walki z terroryzmem?

- Tak, słyszałem. To może coś znaczyć, a może nie. Oni zawsze szukają powodów do wywołania paniki. Muszą jakoś wyjaśnić, po co im taki wielki budżet.

Sorenson tego nie skomentowała.

- My też musimy uzasadnić swój budżet - dodał Perry. - Podobno nawiązałaś kontakt z kierowcą.

- Twierdzi, że był autostopowiczem - powiedziała Sorenson. - I że go zostawili, grożąc mu bronią. Za niecałą godzinę mam się z nim spotkać.

- Dobrze. Od razu go aresztuj. Za zabójstwo, porwanie, kradzież samochodu, przekroczenie dozwolonej prędkości i co jeszcze przyjdzie ci do głowy. Natychmiast go przywieź, w kajdankach.

33

Szeryf Victor Goodman zrobił to, co należało zrobić: przejechał drogą prowadzącą ze starej pompowni do farmy, gdzie mieszkał świadek, osiemnaście kilometrów na północny zachód od miasteczka. Jechał powoli, uważnie przyglądając się prawemu poboczu. Gdziekolwiek pokrywał je lód. Cały teren był raczej płaski, ale na powierzchni można było napotkać garby, wyboje, wypukłości i nierówne krawędzie. Według słów zastępcy szeryfa, który znał tego człowieka, świadek jeździł zdezelowanym fordem rangerem pickupem. Wóz był za stary, by mieć ABS, a zakładając, że jechał pusty, musiał być lekki i tył niezbyt pewnie trzymał się drogi. Nie można wykluczyć, że wpadł w poślizg, a nawet należało się tego spodziewać, ponieważ było późno, a facet prawdopodobnie się spieszył. Poślizg przy dużej prędkości mógł wyrzucić samochód kilkanaście metrów w głąb pola, może nawet przewrócić, gdyby koła trafiły w koleinę czy bruzdę. Goodman omiatał więc szperaczem bliższe i dalsze miejsca, z tyłu i z przodu, zwalniając na zakrętach i sprawdzając jeszcze raz.

Niczego nie znalazł.

Świadek mieszkał w skromnym domu, który przed osiemdziesięciu laty mógł stać na samodzielnym dwudziestohektarowym ranczu należącym do jednego właściciela. Dziś był

pozostałością po dwóch czy trzech etapach łączenia farm i wynajmowano go albo oddawano w użytkowanie robotnikom rolnym. Kalenica wyraźnie się zapadała, w okna wstawiono mlecze szyby. Dom był ciemny i cichy. Goodman wysiadł z radiowozu, zaczął łomotać do drzwi i krzyżeć.

Po trzech minutach w drzwiach pojawiła się kobieta z potarganymi włosami w nocnej bieliźnie.

Konkubina. Nie, nie ma go jeszcze w domu. Nie miał zwyczaju nie wracać na noc. Tak, kiedy miał przyjechać później, zawsze dzwonił. Nie, nie ma pojęcia, gdzie może być.

Tak więc Goodman wsiadł do samochodu i tą samą drogą wrócił do pompowni, jadąc powoli i ostrożnie, przez całą drogę oświetlając szperaczem pobocze z drugiej strony i pas ścierniska szerokości kilkunastu metrów.

Niczego nie zobaczył.

Pojechał więc spenetrować inne drogi, w kolejności malejącego prawdopodobieństwa. Jego okręg nie był skomplikowany pod względem geograficznym. Krzyżujące się w centrum drogi dzieliły go na cztery kwadranty, północnozachodni, północnowschodni, południowowschodni i południowo-zachodni, a każdy z nich przecinały lokalne drogi bardziej lub mniej zabudowane. Nie można wykluczyć, że świadek postanowił wrócić do domu inną, okrężną trasą. Niewykluczone, choć mało możliwe. Benzyna była droga i nie istniał żaden powód, aby przejeżdżać kolejne kilometry. Nie było też powodu przypuszczać, że ma inną przyjaciółkę, którą ucieszyłyby jego nocne odwiedziny.

Goodman był jednak skrupulatny, więc sprawdził.

Nie znalazł jednak żadnego starego forda rangera pickupa zaparkowanego w żadnym miejscu północnozachodniej części okręgu. Ani północnowschodniej. Ani południowozachodniej.

Południowowschodnia część była najmniej prawdopodobna.

Aby tam trafić, świadek musiałby ruszyć w przeciwnym kierunku niż dom, a po co miałby to robić grubo po północy? Poza tym znajdowały się tam głównie lokale handlowe. Po obu stronach jednopasmowej drogi okręgowej prowadzącej na południe ciągnęły się sklepy i punkty usługowe.

Podobnie było przy drodze na wschód: sklepy z nasionami, sklepy tekstylne i spożywcze, sklepy z bronią i lombardy. Bank. Apteka i dealer Johna Deere'a. Wszystkie firmy zamykano o siedemnastej. Przed sklepami znajdował się skośny parking przylegający do ulicy, na którym w nocy zwykle nie było żadnych pojazdów, a na tyłach budynku większe parkingi, na ogół puste, oraz stare stodoły wykorzystywane jako magazyny i zamknięte na głu

cho.

Mimo to szeryf Goodman sprawdził wszystkie te miejsca. Był skrupulatnym człowiekiem.

Przejechał wolno na południe, zaglądając w zaułki między budynkami, potem zrobił pętlę, wracając na północ przez parkingi za budynkami po prawej stronie, następnie znów ruszył drogą na południe, sprawdzając drugą stronę, i znów wrócił przez parkingi z tyłu po lewej.

Niczego nie znalazł. W ten sposób zaczął przeszukiwać drogę prowadzącą na wschód aż do końca zabudowań, jadąc tam i z powrotem, sprawdzając zaułki, parkingi przed sklepami i z tyłu.

I tam go zobaczył.

Starego forda rangera pickupa zaparkowanego równiutko za sklepem żelaznym Gusa Bantry'ego.

Reacher złożył marną mapę i wsunął do tylnej kieszeni. Wyjrzał przez okno motelowego biura.

Wciąż ciemno. Ale zbliżał się świt. Spojrzał na grubasa i zapytał:

- Chce mi pan wynająć pokój?

Grubas nie odpowiedział.

- Mógłbym dać panu pieniądze, a pan mógłby dać mi klucz - wyjaśnił Reacher. - W ten sposób interes by się kręcił.

W odpowiedzi facet wyszedł do recepcji i odczepił informację wiszącą na ścianie. Była to laminowana kartka z wydrukowanym wyblakłą kursywą prostym zdaniem: Kie row nic two zastrzega sobie prawo odmowy świadczenia usługi. Plastik pokrywała cienka warstewka gipsu z dziury po kuli.

- Jestem po stronie stróżów prawa - zapewnił Reacher. - Słyszał pan, jak rozmawiałem z instytucją federalną. To była przyjazna rozmowa.

- Nie mogę się narażać na nowe kłopoty - odparł grubas.

- Dzisiaj z kłopotami chyba już koniec. Od tej chwili będzie toczyło się śledztwo. Możliwe, że dziesięciu agentów spędzi u pana tydzień. Albo więcej niż dziesięciu, albo więcej niż tydzień. Jakże zwykle ma pan obłożenie zimą?

Facet milczał.

- W porządku, wszyscy pojedziemy gdzie indziej - rzekł Reacher.

- Czterdzieści dolarów - mruknął grubas.

- Dwadzieścia.

- Trzydzieści.

- Niech pan nie przegina. Agenci mają swoje biuro odpowiedzialności budżetowej. Coś im się nie spodoba i dla zabawy ściągną panu na kark skarbówkę.

- Dwadzieścia pięć dolarów.

- Umowa stoi. - Reacher pogrzebał w drugiej tylnej kieszeni spodni i wyciągnął zwitek wymiętych banknotów. Odliczył dwadzieścia pięć dolarów - dziesięć, dwie piątki i pięć jednodolarówek.

- Za tydzień z góry - dodał grubas.

- Niech pan nie przegina - powtórzył Reacher.

- Dobra, dwa noclegi.

Reacher dorzucił jeszcze dwadzieścia i pięć.

- Wezmę pokój w środku - oznajmił. - Bez żadnych sąsiadów obok.

- Dlaczego?

- Bo jestem samotnikiem.

Grubas przetrząsnął zawartość szuflady i wyjął mosiężny klucz na skórzanym breloczku, na którym widniała wyblakła złocona cyfra pięć, a po drugiej stronie jakieś adresy.

- Musi się pan wpisać do księgi - powiedział.

- Dlaczego?

- Takie jest prawo w Iowa.

Reacher wpisał się jako Bill Skowron, baseballista Yankees, który w meczach World Series kilka tygodni przed narodzinami Reachera miał średnią uderzeń 0,375. Grubas wręczył mu klucz i Reacher poszedł do pokoju.

Szeryf Goodman zadzwonił na numer komórki Julii Sorenson. Poinformował ją, że odnalazł samochód świadka.

- Są jakieś ślady bójki? - spytała Sorenson.

- Nie. Był normalnie zaparkowany za sklepem żelaznym, równo i porządnie, tak samo jak mazda za budynkiem baru.

- Zamknięty?

- Tak, co, szczerze mówiąc, rzadko się u nas spotyka. Ludzie zwykle nie zamykają samochodów na klucz, zwłaszcza dwudziestoletnich gruchotów.

- Faceta ani śladu?

- Nic. Jakby się rozplynął.

- W pobliżu jest jakiś bar albo pensjonat?
- Nic, same sklepy.
- Wyślę tam paru techników, żeby się rozejrzeli.
- Już prawie świta - zauważył szeryf.
- Tym lepiej. Dzielne światło zawsze się przydaje.
- Nie, mówię o tym, że niedługo obudzi się dziecko Karen Delfuenso. Ma pani jakieś nowe wiadomości?

- Znów dzwonił do mnie ten kierowca. Wyrzucili go.
Kiedy ostatnio widział Delfuenso, jeszcze żyła.
- Kiedy ją widział?
- Na tyle dawno, że ta sytuacja mogła się niestety zmienić.
- A więc będę musiał powiedzieć dziecku.
- Niech pan się trzyma faktów. I nie mówi nic więcej poza tym, co wiemy na pewno. Proszę też zadzwonić do dyrektora szkoły. Mała nie będzie dzisiaj w stanie tam iść. Może powinien pan zatrzymać w domu dziecko sąsiadki, dla towarzystwa. Czy sąsiadka pracuje w dzień?

- Prawie na pewno.
- Niech pan spróbuje ją namówić, żeby została w domu. Dziecko Delfuenso będzie potrzebowało znajomej twarzy.
- Gdzie pani teraz jest?
- Prawie na miejscu. Mam się spotkać z kierowcą w motelu.
- Dlaczego się z panią umówił?
- Twierdzi, że jest niewinnym przechodniem.
- Wierzy mu pani?
- Sama nie wiem.

Sorenson minęła właśnie stację Shell. Skręcała w prawo, w lewo, w prawo, w lewo bez końca, jadąc na południowy wschód przez ciemne pustkowia i kierując się niebieskimi tabliczkami. GPS pokazywał, że motel znajduje się w odległości około pięćdziesięciu kilometrów. Przypuszczała, że ma przed sobą mniej więcej pół godziny jazdy. Ford crown victoria nieźle radził sobie na wertepach. Sorenson rozpędzała się na prostych, a przed skrętami ostro hamowała, zmieniając kurs, jakby jechała zagłozem. Wszystkie samochody Biura były wyposażone w zawieszanie z modelu Police Interceptor, lepsze od standardowego. Wóz może nie wygrałby żadnego wyścigu NASCAR, ale sprawował się dobrze. Z wyjątkiem

opon. Piszczwały, wyły i żałośnie jęczały. Będzie potrzebowała nowego kompletu. Stony się nie ucieszy.

Reacher otworzył drzwi pokoju numer pięć, wszedł do środka i zobaczył typowy motelowy układ.

Podwójne łóżko po lewej, naprzeciwko komoda, w głębi szafa i drzwi do łazienki obok łóżka.

Ściany były wyłożone drewnopodobnym laminatem, bardziej pomarańczowym niż jakiegokolwiek prawdziwe drewno, na podłodze leżała brązowa wykładzina, a narzuta na łóżku miała kolor pośredni między tymi dwiema barwami. Pokój nie był osiągnięciem designerskim. To więcej niż pewne. Ale Reachera to nie obchodziło. Nie zamierzał z niego korzystać.

Włączył światło w łazience, zostawiając uchylone drzwi. Zapalił lampkę na nocnym stoliku po drugiej stronie łóżka. Zaciągnął zasłony, pozostawiając niewielką szparę. Potem wyszedł na ziąb, zamykając pokój na klucz.

Przeszedł przez parking od frontu, przeciął drogę i ruszył na zachód, w kierunku zamrożonego pola. Sto metrów dalej szelniej otulił się kurtką, odwrócił i kucnął, patrząc w stronę motelu.

Pokój numer pięć wyglądał tak, jakby w środku ktoś był. Reacher w swoim długim i trudnym życiu wiele razy wychodził z opresji dzięki temu, że nie tracił czujności i zachowywał odpowiednią ostrożność. Nie zamierzał pozwolić, aby ta Skandynawka go zaskoczyła. Chciał pozostać w oddali, poza zasięgiem jej wzroku, dopóki nie będzie pewny, kim jest i kogo przywiozła. Jeżeli zobaczy jakiegokolwiek wsparcie czy oddział antyterrorystów, ucieknie i nigdy nie wróci. Jeżeli agentka przyjedzie sama, to może podej dzie do niej i się przedstawi.

A może nie.

Obserwował drogę i czekał.

34

Niecałe trzydzieści minut później przyczajony w chłodzie Reacher daleko po lewej dojrzał blask reflektorów i niebieskoczerwone migające światełka, zbliżające się szybko przez nieruchomą mgłę przed światem niczym statek kosmiczny. Jakies trzy kilometry stąd, pomyślał. Przy tej prędkości dwie minuty. Reflektory przeszywały mrok, podskakując, a niebieskie i czerwone światła przesuwaly się tuż za nimi. Samochód był długi i niski i pędził

jak do pożaru. Jechał sam. Bez żadnego wsparcia. Bez brygady antyterrorystycznej.

Na razie wszystko układało się dobrze.

W miarę jak samochód się zbliżał, światła stawały się coraz jaśniejsze. Reacher zorientował się, że to ford crown victoria. Służbowy. Gdy samochód był pół kilometra od niego, stwierdził, że jest granatowy. Dwieście metrów: to ten sam samochód, który widział przed kilkoma godzinami, jak pruł na zachód międzystanową z Omaha. Wydawało mu się, że potrafi rozpoznać konkretny wóz po sylwetce i sposobie jazdy jak po odciskach palców.

Reacher patrzył, jak ford ostro hamuje i robi pętlę przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, by wjechać pod zadaszenie portyku, tak jak zrobił to Alan King, zatrzymując się za ciągiem pokojów.

Zobaczył błysk świateł cofania, gdy kierowca ustawił dźwignię w pozycji parkowania. Z samochodu wysiadła kobieta.

Prawdopodobnie agentka specjalna FBI Julia Sorenson. Skandynawka. Z wyglądu zdecydowanie. Wysoka, z długimi blond włosami. Czarne buty i spodnie, czarna kurtka i niebieska koszula. Stała przez chwilę, prostując plecy. Potem wsunęła głowę do samochodu i zarzuciła sobie na ramię czarną torebkę w kształcie gruszki. Z kieszeni wyjęła mały portfel - prawdopodobnie z legitymacją. Okrążyła maskę samochodu i skierowała się w stronę drzwi biura.

Wyjęła z kabury pistolet.

Reacher spojrział w lewo. Nie widział nadjeżdżających samochodów. Można się było spodziewać taktyki podwójnego ciosu. A nawet należałoby. Przynęta, a potem atak. Ale nic się nie działo.

Na razie.

Kobieta ruszyła ścieżką z betonowych płyt. Szła szybkim krokiem, ale nie biegła. Pociągnęła drzwi do holu. Weszła do środka.

Sorenson zobaczyła typowy hol wiejskiego motelu z winylową wykładziną na podłodze, na której stały cztery okropne fotele z wikliny oraz stół śniadaniowy z termosami do kawy i plastikowymi kubkami. Sięgająca jej do pasa lada recepcji, przylegająca do ściany po prawej, miała przejście po lewej stronie. Za nią były drzwi biura, a na ścianie wysoko nad nimi świeża dziura po kuli.

Za drzwiami dobiegał dźwięk telewizora i sączyło się światło. Sorenson stanęła na środku holu i zawołała:

- Halo?!

Głośno, wyraźnie i zdecydowanie.

Drzwi za ladą otworzyły się i z biura wyszedł niski, otyły mężczyzna w czerwonym bezrękawniku. Rzadkie włosy miał przyklejone żelem do czaszki. Jego oczy biegały od legitymacji Sorenson do pistoletu i z powrotem.

- Gdzie jest ten człowiek ze złamanym nosem? - zapytała.

- Muszę najpierw wiedzieć, kto zapłaci za zniszczenie mojej ściany - odparł mężczyzna.

- Nie wiem kto. W każdym razie nie ja.

- Nie ma czasem jakiegoś systemu federalnego? Odszkodowania dla ofiar czy czegoś w tym stylu?

- Później o tym porozmawiamy - ucięła Sorenson. - Gdzie człowiek ze złamanym nosem?

- Pan Skowron? W pokoju numer pięć. Jest bardzo nieuprzejmy. Nazwał mnie socjali stą.

- Muszę pożyczyć od pana klucz uniwersalny.

- Mogłem zginąć.

- Widział pan, co się tu stało?

Facet pokręcił głową.

- Byłem u siebie i odpoczywałem. Usłyszałem strzał, więc zadzwoniłem na policję. Kiedy otworzyłem drzwi, było już po wszystkim.

- Muszę pożyczyć od pana klucz uniwersalny - powtórzyła Sorenson.

Facet poszperał w wypchanej kieszeni i wyciągnął mosiężny klucz na nieoznaczonym breloczku.

Sorenson schowała legitymację i wzięła go od niego.

- Kim są inni goście? - spytała.

- Przyjechali na ryby. Niedaleko są jeziora. Ale przede wszystkim piją. Kiedy padł strzał, nawet się nie obudzili.

- Proszę wracać do biura - poleciła mu Sorenson. - Powiem panu, kiedy będzie pan mógł bezpiecznie wyjść.

Po lewej wciąż panował spokój. Żadnych świateł, żadnych samochodów. Żadnych posiłków.

Reacher obserwował uważnie hol, potem drogę, hol, drogę, poruszając głową niczym sędzia tenisowy. Wreszcie zobaczył, jak kobieta wychodzi na betonową ścieżkę. Wciąż miała

w rękę pistolet. Nie zastrzeliła grubasa. Widocznie jest osobą o dużych zapasach cierpliwości. Przeszła między holem a swoim samochodem, mijając automat z colą, a potem ruszyła wzdłuż szeregu pokojów, idąc chodnikiem oświetlonym żarówkami w kulistych kloszach. Idąc, spoglądała na kolejne drzwi. Jeden, dwa, trzy, cztery...

Zatrzymała się przed pokojem z numerem pięć.

Zajrzała przez szparę w zasłonach - najpierw bardzo krótko, wysunęła głowę i zaraz schowała.

Potem jeszcze raz, znacznie dłużej i uważniej lustrując widoczny fragment pokoju. Nie dostrzegła stóp na końcu łóżka. Jest w łazience, pomyślała na pewno. Reacher znów spojrzał w lewo. Na północy nie pojawiły się żadne światła. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Dla pewności spojrzał w prawo. Posiłki mogły objechać jeden z kwadratów szachownicy. Byłby to zręczny manewr. Ale na południu też nie było żadnych światel. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Kobieta nie rozmawiała z nikim przez telefon. Nie ma łączności. Nie ma koordynacji. Nie narażaliby jej tak długo na niebezpieczeństwo.

Jest sama.

Żadnych posiłków, żadnej brygady antyterrorystów.

Reacher zobaczył, jak kobieta puka do drzwi z numerem pięć. Zaczekała, po czym zapukała jeszcze raz, głośniej. Przyłożyła ucho do drzwi.

Podniósł się i zaczął iść po zamrażanej ziemi w jej stronę. Zobaczył, jak kobieta wkłada do zamka klucz i go przekręca. Weszła do pokoju, trzymając broń w pogotowiu. Po dwudziestu sekundach ukazała się w drzwiach.

Stała na chodniku przy krzesłach ogrodowych, zerkając w prawo i w lewo, patrząc na wprost.

Wciąż trzymała pistolet, ale opuszczony. Reacher kroczył z chrzęstem po zmarzniętym ściernisku.

Wyszedł z pola na drogę.

Usłyszała go. Odwróciła się w jego stronę, próbując na oślep ustalić źródło dźwięku.

- Witam - powiedział.

Poderwała rękę z bronią. Trzymając pistolet oburącz, rozstawiła nogi. Reacher wyłaniał się z ciemności.

- Rozmawialiśmy przez telefon - rzekł. - Jestem nieuzbrojony.

Pistolet pozostał w tym samym położeniu.

Reacher przeciął drogę. Wszedł na parking przed motelem. Dosięgnął go mdły blask lamp.

- Ani kroku dalej - powiedziała kobieta.

Nie zrobił ani kroku dalej.

To był glock siedemnastka, czarny, kanciasty, z matowym połyskiem poliwęglanu. Głowa kobiety ponad lufą lekko przechylała się na bok, trochę pytająco. Jedno oko przysłaniało pasmo włosów. Wyglądała o wiele lepiej niż Don McQueen. To było więcej niż pewne.

- Na ziemię - poleciła.

Oderwał ręce od boków i uniół dłońmi w jej stronę.

- Nie ma się co denerwować - powiedział. - Jesteśmy po tej samej stronie.

- Strzelę.

- Nie, nie strzeli pani.

- Dlaczego?

Reacher spojrział w lewo. Jej samochód nadal stał rozświetlony pod zadaszeniem. Nie wyłączyła kogutów. Na półce za tylnym siedzeniem błyskały zamaskowane szarą tapicerką niebieskie i czerwone światełka. Dalej drogę spowijała ciemność. Po drugiej stronie na horyzoncie pojawiło się nowe światełko. Bardzo daleko. Nieruchome. Na pewno nie samochód. Nikły pomarańczowy blask jak z odległego ogniska.

- Nie strzeli pani, bo nie będzie się pani chciało wypełniać tych wszystkich papierów.

Nie odpowiedziała.

- To nie byłoby uzasadnione użycie broni. Jestem nieuzbrojony i nie stanowią bezpośredniego zagrożenia. Mogłaby pani stracić pracę. Poszłaby pani siedzieć.

Nadal milczała.

- No i chce pani znaleźć Karen Delfuenso. Nie ma pani rysopisów tamtych dwóch. Nie wie pani, jakimi nazwiskami się posługują. Nie wie pani, z czym się wygadali. A ja wiem. Muszę żyć przynajmniej po to, żeby mogła mi pani zadać pytania.

Pistolet pozostał w tym samym miejscu. Kobieta zrobiła krok w lewo, odwracając się do Reachera bokiem, ale nadal celując do niego z pistoletu. Cofnęła się o kilka metrów, przestając blokować mu drogę do pokoju numer pięć, choć wciąż miała go na muszce. Z początku sądził, że ma wejść do środka, ale powiedziała:

- Niech pan usiądzie na krześle.

Ruszył naprzód. Lufa glocka podążała za każdym jego krokiem w odległości sześciu metrów.

Kobieta wierzyła w swoje umiejętności strzeleckie. McQueen spudłował z dwóch i pół metra.

Reacher zatrzymał się obok krzesła po lewej. Odwrócił się i zrobił krok do tyłu. Usiadł.

- Niech się pan oprze - rozkazała. - Nogi przed siebie. Opuścić ręce za poręcze.

Wypełnił polecenie i po chwili był tak samo gotowy do błyskawicznego działania jak dziadek swojego dziadka, który obudził się z popołudniowej drzemki. Nie ulegało wątpliwości, że agentka jest kobietą inteligentną. Doskonale improwizowała. Poczuł na udach chłód krzesła. Biały plastik przemarzł na wylot.

Kobieta nie ruszała się z miejsca, ale opuściła broń.

Nie wyglądał tak, jak Sorenson go sobie wyobrażała. Niezupełnie. Nie był gorylem i nie przypominał postaci z krwawego horroru. Zrozumiała jednak, dlaczego tak go opisano. Przede wszystkim był potężny. Poza ligą NFL rzadko widywała tak rosnących mężczyzn. Był wyjątkowo wysoki i barczysty, miał długie ręce i długie nogi. Krzesło ogrodowe było normalnych rozmiarów, ale wydawało się maleńkie. Ugięło się pod nim i wypaczało. Knykciami prawie dotykał ziemi. Miał gruby kark i dłonie wielkości talerzy. Jego ubranie było wymięte i brudne, a włosy zlepione.

Obrażenia twarzy wyglądały okropnie. Nos był złamany i spuchnięty, a skóra pod oczami zsiniała.

Dzikus. Chociaż niezupełnie. Mimo powierzchowności sprawiał wrażenie człowieka kulturalnego - to było dziwne. Poruszał się z jakąś przemyślaną lekkością, spokojem i opanowaniem. W taki sam sposób mówił, w ułamkach sekund między zdaniem, układając całe akapity i strony tekstu. „Nie strzeli pani, bo nie będzie się pani chciało wypełniać tych wszystkich papierów”. Trafił w samo sedno. Znajomość rzeczy i pewność siebie. W spojrzeniu miał rozsądek, a jednocześnie błaganie; życzliwość, a jednocześnie posepność; szczerłość i jednocześnie zimny cynizm. Chwilami stawał się odrobinę nieuważny, unosząc i opuszczając brwi i ciągle zmieniając układ ust, jakby bez przerwy nad czymś rozmyślał. Jakby miał w głowie komputer, który pracował na najwyższych obrotach.

Sorenson znów uniosła broń.

- Przykro mi, ale mam rozkaz natychmiast pana aresztować i odstawić do Nebraski - powiedziała.

35

Słowa Sorenson zawisły w chłodzie nocy. „Mam rozkaz natychmiast pana aresztować i odstawić do Nebraski”. Potężny mężczyzna milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się

uprzejmie i wyrozumiale, jakby udawał, że rozbawił go żart, który słyszał już wiele razy.

- Wobec tego życzę powodzenia - powiedział.

Nie ruszył się z miejsca. Siedział na chybottliwym krzeselku odchylony do tyłu z wyprostowanymi nogami i zwisającymi bezwładnie rękami.

- Mówię poważnie - zapewniła go Sorenson.

- Byli bardzo źle zorganizowani, prawda? - powiedział.

- Kto?

- Tamci dwaj. Domyślam się, że technicy zebrali sporo śladów i macie mocne dowody.

- Kim pan jest?

- Napaść na kierowcę i kradzież samochodu zawsze świadczy o desperacji, zgadza się? Nigdy nie ma pewności. Może nic nie nadjechać. Można źle wybrać ofiarę i dostać kulkę w łeb.

- Do czego pan zmierza?

- Przedstawili mi się. Mam wrażenie, że podali prawdziwe nazwiska. Nie brzmiały jak fałszywe, przygotowane wcześniej. I chyba tak było. Bo w ogóle nie sprawiali wrażenia dobrze przygotowanych.

- Jakie nazwiska panu podali?

- Alan King i Don McQueen.

- King i McQueen? Wydaje mi się, że są zmyślane.

- Otóż to. Gdyby rzeczywiście je zmyślili, wybraliby lepiej. Poza tym uznali, że mogą je poznać.

Miałem nie przeżyć.

- Do czego pan zmierza? - powtórzyła Sorenson.

- Ten, który przedstawił się jako Alan King, powiedział, że miał brata w wojsku, który nazywał się Peter King. To może być dobry punkt wyjścia.

- Do czego?

- Do ich wytropienia.

- Kim pan jest?

- Proszę mi powiedzieć coś o swoim szefie.

- Dlaczego?

- Jest ambitny, prawda? Chce, żeby go chwalono. Myśli, że pokaże się w dobrym świetle, jeżeli aresztuje kogoś jeszcze przed wschodem słońca. Rzeczywiście to może dobrze wyglądać. Ale znacznie lepszą taktyką byłaby elastyczność.

- Próbuje pan ze mną negocjować?

- Mówię tylko, że nie ma sensu pędzić z powrotem do Nebraski, skoro Karen Delfuenso widziano ostatnio, jak jechała w przeciwnym kierunku. Pani szef w końcu to zrozumie. Odroczone gratyfikacja to dobra rzecz. Na tej obietnicy zbudowano klasę średnią.

- Formalnie rzecz biorąc, stawia pan opór podczas aresztowania. Gdybym teraz pana zastrzeliła, byłoby to uzasadnione.

- Śmiało. Myśli pani, że chcę żyć wiecznie?

Nie odpowiedziała.

- Powiem pani, jak się nazywam.

- Już wiem. Wpisał się pan do księgi gości. Nazywa się pan Skowron.

- Widzi pani, to właśnie przekonujące fałszywe nazwisko. Dała się pani nabrać. Moose Skowron grał w Yankees i w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku miał średnią uderzeń zero przecinek trzysta dziewięć, a w rozgrywce finałowej zero przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć.

- A więc nie nazywa się pan Skowron?

- Raczej nie. Nie potrafiłbym odbić rzutu w Major League. Powinna się jednak pani zainteresować sezonem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, zwłaszcza World Series.

Yankees dziesiąty raz w ciągu dwunastu lat wygrali American League, potem w siedmiu meczach zdobyli pięćdziesiąt pięć punktów a Pirates dwadzieścia siedem, pokonali ich w średniej uderzeń zero przecinek trzysta trzydzieści osiem do zero przecinek dwieście pięćdziesiąt sześć, w asach dziesięć do czterech. Whitey Ford przez całe dwa mecze zachował czyste konto, a mimo to przegrali mistrzostwo.

- Co baseball ma z tym wspólnego?

- Baseball to ilustracja. Metafora. Chcę powiedzieć, że zawsze można zniecka zamienić wygraną w porażkę. Właśnie to pani grozi, jeżeli odwiezie mnie pani do Nebraski.

Sorenson milczała przez chwilę, po czym opuściła broń.

Widząc, jak broń wędruje w dół, wolnym, choć zdecydowanym ruchem, Reacher pomyślał: Mam to w kieszeni. Prawie. Mówił przez dwie minuty i dwadzieścia sekund. Oczywiście opóźniało to sprawę i wywoływało frustrację, ale wszystko odbyło się znacznie szybciej, niż gdyby doszło do krzyków czy szarpaniny. O wiele szybciej i bezpieczniej. Pociski Long Rifle kaliber dwadzieścia dwa McQueena mogły być niebezpieczne, ale dziewięćmilimetrowe parabellum Sorenson byłyby gorsze. Znacznie gorsze.

- Nazywam się Reacher - powiedział. - Jack. Drugiego imienia nie mam. Kiedyś

byłem gliną w wojsku.

- A teraz kim pan jest? - chciała wiedzieć Sorenson.
- Bezrobotnym.
- Gdzie pan mieszka?
- Nigdzie.
- Co to znaczy?
- Właśnie to, co znaczy. Przenoszę się z miejsca na miejsce.
- Dlaczego?
- A dlaczego nie?
- I naprawdę jeździł pan autostopem?
- Naprawdę.
- Po co jedzie pan do Wirginii?
- Z powodów osobistych.
- To niewystarczająca odpowiedź.
- Więcej nie mogę pani powiedzieć.
- Muszę wiedzieć więcej. Dużo ryzykuję.
- Jadę do Wirginii znaleźć kobietę.
- Jakąkolwiek kobietę?
- Konkretną kobietę.
- Kogo?
- Rozmawiałem z nią przez telefon. Wydawała się miła. Pomyślałem, że pojedę się

przekonać.

- Rozmawiał z nią pan przez telefon? Nawet jej pan nie widział?
- Jeszcze nie.
- Jedzie pan przez pół kraju do kobiety, której pan nie zna?
- Dlaczego nie? Trzeba gdzieś być. A ponieważ nie muszę być nigdzie, równie dobrze

mogę pojechać do Wirginii.

- Sądzi pan, że ta kobieta będzie chciała poświęcić panu czas?
- Prawdopodobnie nie. Ale kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.
- To musi być niezwykła kobieta.
- Ma miły głos. Na razie wiem tylko tyle.

Minęło jeszcze trzydzieści pięć sekund. W sumie upłynęły dwie minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Już prawie. Poszło szybciej, niż gdyby doszło do starcia. I bezpieczniej.

- Chce pani wiedzieć coś jeszcze? - zapytał.

- Jak złamał pan nos?
- Ktoś uderzył mnie kolbą strzelby.
- W Nebrasce?
- Tak.
- Dlaczego?
- Któż to wie? Niektórzy są z natury agresywni.
- Jeżeli nie jest pan tym, za kogo się podaje, mogę stracić pracę. Mogę iść siedzieć.
- Wiem. Ale naprawdę jestem tym, za kogo się podaję. I wiem, kim jest pani. Myśli pani, że najważniejsza jest Karen Delfuenso. Inaczej niż pani szef.

Sorenson milczała.

Skinęła głową.

- To od czego zaczynamy? - spytała.

Bingo. Trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund. Ale w tym momencie zadzwonił telefon Sorenson i skończyło się, zanim zdążyło zacząć.

36

W pierwszej chwili dzwonek telefonu był zdaniem Sorenson niepożądanym zakłóceniem.

Sprawił, że czar prysł. Potężny facet był już na dobrej drodze, żeby wszystko wyjawić. Kim był, co robił, po co tu przyjechał. Każde przesłuchanie jest inne. Czasem warto rozegrać rzecz pojednawczo. Udawać, że się wierzy, udawać chęć współpracy, udawać, że zostało się przekonany. Potem przesłuchiwany traci czujność i prawda wychodzi na jaw. Wystarczyłoby jeszcze kilka minut.

Wyjęła z kieszeni komórkę, która lekko wibrowała jej w dłoni. Wiedziała, że to nie Stony. Stony stukał teraz w klawiaturę, wprowadzał poprawki i sprawdzał pisownię. To pewnie dyżurny agent z Omaha. Z informacjami najwyższej wagi. Może znalazł odpowiedzi na jej pytanie o obrażenia twarzy. Może potężny facet jest poszukiwany w kilkunastu stanach. Skowron, Reacher czy jak się naprawdę nazywa. W takim wypadku telefon nie byłby w żadnym razie niepożądanym zakłóceniem. Bardzo ułatwiłby jej zadanie.

Odebrała.

Rzeczywiście dzwonił agent dyżurny.

- Policja z Iowa zawiadomiła nas o jeszcze jednym zgłoszeniu pod dziewięćset jedenaście.

Zadzwonił jakiś farmer z informacją o płonącym pojeździe na skraju jego ziemi.

- Gdzie?
- Około ośmiu kilometrów na południe od ciebie.
- Co to za pojazd?
- Nie wie. Wóz stoi dość daleko. To duża farma. Przypuszcza, że samochód osobowy.
- Kto jedzie na wezwanie?
- Nikt. Najbliższy posterunek straży pożarnej jest osiemdziesiąt kilometrów od tamtego miejsca. Dadzą mu spłonąć. W Iowa jest zima. Co by się mogło od niego zająć?

Rozłączyła się. Spojrzała na potężnego mężczyznę i powiedziała:

- Osiem kilometrów stąd pali się samochód.

Facet zerwał się z krzesła szybkim i płynnym ruchem. Przeszedł przez parking motelu i stanął na środku drogi.

- Widzę - powiedział. - Widziałem już wcześniej. Sorenson, wciąż trzymając pistolet, wyszła za nim na asfalt.

Zobaczyła na horyzoncie światełko. W odległości kilku kilometrów. Słaby pomarańczowy blask, jak od ogniska.

- Niedobrze - mruknął.
- Myśli pan, że to ten chevrolet?
- Jeżeli nie, to byłby dziwny zbieg okoliczności.
- Jeżeli znowu zmienili samochód, to jesteśmy ugotowani. Skinął głową.
- Rzeczywiście to by nam skomplikowało sprawę.
- Mówi pan prawdę?
- O czym?
- Na przykład o swoim nazwisku.
- JackkreskaReacher - przedstawił się. - Bardzo mi miło panią poznać.
- Ma pan jakiś dokument?
- Stary paszport.
- Wystawiony na jakie nazwisko?
- JackkreskaReacher.
- Twarz na zdjęciu jest podobna do pana?
- Młodsza i bardziej tępa.
- Niech pan wsiada do samochodu.
- Z przodu czy z tyłu?
- Z przodu. Na razie.

Ford crown victoria był tylko środkiem transportu, niczym więcej. Nie mobilnym biurem ani centrum dowodzenia. Kiedy Reacher usiadł z przodu, nie zauważył żadnych laptopów, żadnej potężnej baterii odbiorników radiowych, żadnego arsenału broni w kaburach. Tylko stacja dokująca do komórki na desce rozdzielczej i jeden dodatkowy przycisk, który nie pasował do reszty. Prawdopodobnie włącznik kogutów.

Sorenson wrzuciła bieg i ruszyła spod zadaszania, robiąc pętlę w lewo i wyjeżdżając na drogę, tak samo jak Alan King, ale wolniej. Samochód podskoczył, na moment zбочzył nieco z toru jazdy, a potem Sorenson wcisnęła gaz. Droga była prosta jak strzeł. Ogień mieli przed sobą. Jechali prosto w jego stronę. Reacherowi przypomniał się fragment starej piosenki: Biorę kurs na sam środek słońca.

W połowie drogi było już jasne, że płonie między innymi benzyna. W pomarańczowych płomieniach przeblyskiwał błękit, a serce ognia wściekle buzowało. Nad autem unosił się zapewne czarny dym, ale na ciemnym tle nieba na południu nie było go widać. Na wschodzie nisko nad horyzontem ukazały się już pierwsze słabe promienie świtu. Reacher pomyślał przelotnie o Chicago, o dworcu Greyhounda na West Harrison i pierwszych porannych autobusach, ale szybko odsunął od siebie ten obraz. Inny czas, inne miejsce. Przyglądał się, jak Sorenson prowadzi.

Mocno wciskała pedał gazu. Na szczupłym udzie wyraźnie rysowały się mięśnie.

- Jak długo był pan w wojsku? - zapytała.

- Trzydzieści lat.

- W jakiej randze?

- Wyszedłem do cywila jako major.

- Nos boli?

- Tak.

- Przykro mi.

- Szkoda, że nie widziała pani tamtego.

- W wojsku był pan dobrym gliną?

- Dość dobrym.

- Czyli?

- Przypominałem chyba starego Moose'a Skowrona. Zwykle miałem średnią zero trzysta. Kiedy gra szła o dużą stawkę, udawało mi się wyciągnąć zero trzysta siedemdziesiąt pięć.

- Dostał pan medale?

- Wszyscy dostawaliśmy medale.

- Dlaczego nigdzie pan nie mieszka?
- A pani ma dom?
- Oczywiście.
- Czy to jest czysta niezmacona przyjemność?
- Niezupełnie.
- No więc ma pani odpowiedź.
- Jak znajdziemy tamtych, jeżeli znowu zmienili samochód?
- Jest wiele sposobów - odparł Reacher.

Z odległości półtora kilometra pożar nabrał kształtu - szeroki u podstawy i wąski u góry.

Z odległości ośmiuset metrów Reacher ujrzał dziwne strumienie, wiry i płaty ognia - bladoniebieskie huczące i prawie niewidzialne. Domyślił się, że puszcza przewód paliwowy, być może w miejscu spawu albo tam, gdzie wygięty albo skręcony metal został poddany naprężeniu.

Domyślił się, że bak wytrzymał, ale kipią opary wydostające się przez drobne pęknięcia i szczeliny - na boki, w górę i w dół, niczym potężne lampy lutownicze, strzelając prostymi jak metalowe pręty językami ognia, których długość dochodziła do dziesięciu metrów. Wewnątrz kuli ognia majaczył wiśniowy kształt samochodu, drgający i roztańczony we wrzącym powietrzu. Reacher otworzył okno i usłyszał dobiegający z oddali hałas. Wystawił rękę i poczuł na skórze lekki dotyk ciepła w strumieniu zimnego powietrza.

- Proszę nie podjeżdżać za blisko - ostrzegł.
- Sorenson zdjęła nogę z gazu i zwolniła.
- Myśli pan, że zbiornik wybuchnie? - zapytała.
 - Prawdopodobnie nie. Benzyna gotuje się i przecieka. Nie ma dużego wzrostu ciśnienia. Za mocno się pali, żeby mogło dojść do eksplozji. Przynajmniej na razie.
 - Jak pan sądzi, ile benzyny zostało?
 - Teraz? Sam nie wiem. Niecałe siedemdziesiąt kilometrów temu bak był pełny.
 - To co robimy?
 - Czekamy. Aż wybuchnie albo uspokoi się na tyle, że będziemy mogli zobaczyć, co to był za samochód.

Sorenson zatrzymała się trzysta metrów od pożaru i jak wszyscy porządni gliniarze zjechała metr w głąb pobocza, a potem cofnęła i zaparkowała tyłem, wjeżdżając jeszcze kawałek w zarośla. Przezorna kobieta. Nikt nie mógł uderzyć w samochód z tyłu, bo na

drodze nie było żadnego ruchu. Reacher patrzył przed siebie i czekał. Spodziewał się szybkiego rozstrzygnięcia.

Benzyny nie mogło wystarczyć na długo. Samochód zużył jej sporo w drodze do wytworzenia mocy paru marnych koni mechanicznych. Najwyżej stu, żeby silnik pociągnął średniej wielkości sedana przez zupełnie płaską autostradę. Teraz ten sam zbiornik podsycił ogień o sile bomby fosforowej.

Tysiąc razy potężniejszy. Niemal jak silnik odrzutowy.

- Gdzie w ogóle ukradli ten samochód? Na światłach? - spytał Reacher.

Siedząca obok niego Sorenson pokręciła głową.

- Za nocnym barem, w którym pracuje Karen Delfuenso. Chyba najpierw chcieli zabrać tylko wóz, ale Delfuenso wyszła na parking... albo z powodu alarmu, albo po prostu wracała do domu.

- Miała torebkę - zauważył Reacher.

- W takim razie wracała do domu. Zatrzymali się jeszcze, żeby kupić koszulę, a potem ruszyli w drogę.

- Kupili jeszcze wodę.

- Skąd pan to wie?

- Dali mi się napić. Była jeszcze zimna. Dlaczego uciekali?

- Zakłuli nożem człowieka.

- W nocnym barze?

- Nie, w opuszczonej pompowni pięć kilometrów od baru. Mieli tam jakieś dziwne spotkanie.

- A jak pokonali pięć kilometrów, żeby się dostać do baru? Pieszko?

- Pojechali samochodem ofiary.

- Dlaczego nim nie uciekli?

- Był jaskrawoczerwony i zagraniczny. Mieli świadka.

- Świadka zabójstwa?

- Mniej więcej. Na pewno widział, jak uciekają.

- Kim był ten świadek?

- Robotnikiem rolnym, koło pięćdziesiątki.

- Przydał się do czegoś?

- Jak zwykle. Nie był zabójczo inteligentny, że się tak wyrażę. Widział, jak ofiara wchodzi, a za nią dwaj sprawcy. Widział, jak wychodzą i odjeżdżają.

- Gdzie był ich samochód? Mieli w ogóle swój wóz?

- Nikt nie wie.

- Gdyby mieli swój wóz, na pewno by do niego wsiedli.

Musieli przyjechać z tym facetem, którego zadźgali.

- Mój technik twierdzi, że z nim nie przyjechali.

- Kim była ofiara?

- Attache handlowym. Facetem z dyplomacji. Pracował w naszych ambasadach.

Podobno znał arabski.

- Czym go zakłuli?

- Tego dokładnie nie wiem. Czymś dużym. Ostrze miało ze dwadzieścia centymetrów.

Prawdopodobnie nóż myśliwski.

- Co facet z dyplomacji robił w Nebrasce?

- Nie wiadomo. Ponoć wkrótce miał wyjechać na nową placówkę. Czerwony samochód został wypożyczony w Denver, na lotnisku. Przypuszczalnie facet tam przyleciał, a resztę drogi pokonał samochodem. Nikt nie wspomniał, dlaczego mógłby to zrobić. Ani skąd mógł przylecieć. Ale zaniepokoił się Departament Stanu. Przysłał nawet swojego człowieka.

- Tak szybko?

- Zabawa zaczęła się, kiedy mój zespół techników zdjął denatowi odciski palców. Bez zapowiedzi zjawili się agenci FBI z wydziału do walki z terroryzmem, potem przyjechał ten facet z Departamentu Stanu. Mój naczelnik nie spał całą noc, a świadek zniknął.

- Dziwne - przyznał Reacher.

Ogień szybko dogasał i ostatecznie zniknął o wschodzie słońca. Niebo zabarwiło się fioletem, różem i złotem. Skończyła się benzyna i zniknął mniejszy pożar, a nad horyzontem ukazał się większy. Dienne światło wydobyło z mroku miejsce akcji oraz kształt i sylwetkę poczerńiałej skorupy karoserii. Samochód stał zaparkowany na poboczu, przodem na południe, w takiej samej odległości od skraju jezdni jak ford Sorenson. Opony spłonęły. Nie było ani jednej szyby. Lakier wyparował. Ogień wypalił na blachach niezwykle szarofioletowe esyfloresy. Ściernisko w promieniu kilku metrów było spalone i poczerńiałe. Półkole asfaltu bulgotało i dymiło.

Gdzieniedzie pełzały ostatnie jęczyczki ognia, słabe i nieśmiałe w porównaniu z tym, co działo się wcześniej.

Sorenson wyjechała na drogę i zbliżyła się do wraku samochodu. Reacher uważnie mu się przyjrzał. Z prochu powstał, w proch się obrócił. W fabryce zaczął życie nagi i błyszczący, a kończył tak samo, wypatroszony i pusty.

Chevrolet impała. Nie było wątpliwości. Reacher poznał kształt bagażnika, płaskie boki, krzywiznę dachu, nachylenie maski. Miał widok trzech czwartych samochodu z tyłu, ale był pewny.

To był chevrolet Karen Delfuenso.

Wypatroszony i pusty.

„Moje auto”.

Reacher patrzył uważnie.

Wóz nie był pusty.

37

Reacher wysiadł pierwszy. Zamknął drzwi i stał obok maski forda, czując na plecach chłód, a na twarzy ciepło. Był półtora metra bliżej niż przed chwilą, więc miał o półtora metra lepszy kąt widzenia.

Znikło całe szkło. Guma, wszystkie elementy z plastiku, winylu i innych ultranowoczesnych materiałów też. Pozostał tylko metal - sprasowane i zaokrąglone części, które miały być widoczne, i ostre jak nóż, odsłonięte części, które miały być ukryte. Z półki za tylnym siedzeniem znikło obicie, głośniki, mata wytłumiająca i szorstkie pokrycie. Została tylko wytłoczona stalowa poprzeczna belka, gdzieniegdzie wygięta, aby była bardziej wytrzymała, z wywierconymi w kilku miejscach otworami, ale poza tym prosta i surowa jak ostrze noża. Jej przednia krawędź była zupełnie prosta.

Chociaż niezupełnie.

Reacher zrobił trzy kroki do przodu. Uderzyło go zaskakujące gorąco. Przedni brzeg półki za siedzeniem z prawej strony wyglądał inaczej niż z lewej. Prostą linię po prawej zakłócał dziwny garb, niezwiązany z wymogami konstrukcji. To był kształt organiczny, który tu nie pasował i kłócił się z wytłoczonym kanciastym elementem.

Spalona ludzka głowa, wygładzona i zmniejszona przez ogień.

Sorenson wysiadła z samochodu.

- Niech pani tam zostanie - nakazał Reacher.

Odwrócił się, nabrał powietrza po chłodnej stronie, potem jeszcze raz, dopóki nie napelnił płuc.

Ruszył naprzód. Okrążył wrak w pewnej odległości, aż znalazł się obok spalonego auta. Wtedy puścił się biegiem, dopóki nie poczuł pod podeszwami butów lepkiego i gorącego asfaltu.

Tylna kanapa chevroleta spaliła się do cna. Ale siedząca na niej osoba nie. Nie do

końca. Po prawej, tuż za poczerniałą ramą fotela pasażera, na zygzakowatych sprężynach pod nieistniejącym siedziskiem spoczywała postać przypominająca morskie zwierzę, fokę, morświna albo delfina, czarna, gładka, oślizgła i dymiąca, zmniejszona do połowy swoich pierwotnych rozmiarów. Miała cienkie, szczątkowe ramiona, z dłońmi zakrzywionymi jak gałązki. Jej twarz niczego nie wyrażała, bo twarzy nie było.

Ale zginęła z krzykiem na ustach.

To było więcej niż pewne.

Wycofali się pięćdziesiąt metrów na północ i stali w milczeniu, ciężko oddychając, wpatrzni w jakiś punkt tysiąc kilometrów za horyzontem. Trwali tak przez całą minutę, a potem jeszcze jedną, nieruchomi jak posągi.

- Gdzie teraz są? - spytała w końcu Sorenson.

- Nie wiem - odrzekł Reacher.

- I czym jadą?

- Na pewno nie jadą sami. Ktoś ich zabrał.

- Kto?

Reacher nie odpowiedział, ale wreszcie się ruszył. Spojrzał w niebo, oceniając światło. Wciąż było bardzo wcześnie, ale powinno wystarczyć. Bez większego trudu znalazł ślady kół chevroleta.

Zjechały na pobocze przez cienką warstwę błota na skraju drogi, szerokości mniej więcej metra.

Błoto nie było ani mokre, ani suche, więc wyraźnie odcisnął się w nim bieżnik opon. Manewr zjazdu na pobocze był długi i ostrożny. Chevrolet wykonał go niczym podchodzący do lądowania jumbo jet.

Wyglądało to bardziej na styl McQueena niż Kinga.

Reacher wyszedł na pogrążone w zimowym śnie pole. Sorenson ruszyła za nim. Razem obeszlili wrak, podchodząc na tyle blisko, na ile pozwalała wysoka temperatura. Gdy znaleźli się za samochodem, wyszli na drogę i znaleźli następne ślady kół.

Na pobocze zjechał drugi samochód, pod znacznie ostrzejszym kątem. Bieżnik opon odcisnął się na warstwie błota. Nic szczególnego, zwykłe, solidne, szosowe opony, prawdopodobnie dużego sedana. Skręciły na pobocze dość gwałtownie. Było to wyraźnie widać. A zaraz potem równie gwałtownie ruszyły i skierowały się na południe. W sumie ślady opon wyglądały jak ten sam fragment dużego koła.

- Nikt nie przejeżdżał drogą między wami a mną, prawda? - spytała Sorenson. - A

więc ten wóz musiał tu czekać od kilku godzin.

- Nie, przyjechał z południa - odrzekł Reacher. - Nie z północy. Nie mijał motelu. Zawrócił tu, zabrał ich i ruszył tam, skąd przyjechał.

- Jest pan pewny?

- Co innego mogło się stać? Nie ukradli drugiego samochodu. Na pewno. Nic tędy nie jeździ.

Mogliby się nie doczekać. I wątpię, żeby poszli pieszo. Tak więc ktoś ich zabrał. Był z nimi umówiony. Przyjechali tu i czekali. Znają to miejsce. Dlatego znają tę boczną drogę od międzystanowej.

- Kto ich zabrał?

- Nie wiem - powtórzył Reacher. - Ale to zaczyna wyglądać na poważną operację. Brały w niej udział przynajmniej trzy grupy, koordynując działania.

- Dlaczego trzy? Mamy tylko dwie. King i McQueen i ktoś, kto ich zabrał.

- I ktoś, kto równocześnie spowodował zniknięcie pani świadka w Nebrasce. Na tym właśnie polega koordynacja. Sprzątają. Zajmują się każdym, kto widział Kinga i McQueena.

Świt przyniósł chłodny wiatr z północy. Czuło się, że nadciąga deszcz. Reacher otulił się kurtką.

Nogawki spodni Sorenson łopotały jak żagle. Poszła dwadzieścia metrów w głąb pola. Reacher przypuszczał, że chciała uciec przed zapachem niesionym przez wiatr. Ruszył za nią, miażdżąc butami sztywne kikuty łądyg. Tylko po to, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Nie musiał iść. W tym momencie nie dolatywały do niego żadne zapachy. Ale od czasu do czasu czuł taką mieszaninę woni, kiedy jego nos jeszcze funkcjonował. Olej, benzyna, plastik, zwęglone mięso. Smród chemikaliów i zapomniana na grillu gnijąca potrawa. A nawet gorzej. Nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty tego wąchać.

Sorenson zadzwoniła do policji stanowej Iowa i zastrzegła, że miejscem zdarzenia zajmie się FBI. Zabroniła funkcjonariuszom zbliżyć się do niego, czegokolwiek dotykać i ruszać. Następnie zatelefonowała do swojego zespołu techników i kazała im przyjechać. Powiedziała, że zależy jej na najlepszej analizie śladów i najlepszej sekcji zwłok, jaką kiedykolwiek przeprowadzono.

- Strata czasu - uznał Reacher, kiedy się rozłączyła. - Po takim pożarze nie da się prawie niczego znaleźć.

- Muszę po prostu wiedzieć - odrzekła.

- Co?

- Że nie żyła, zanim wybuchł pożar. Jeśli się tego dowiem, będę mogła dalej działać.

Wrócili do samochodu Sorenson, omijając szerokim łukiem wrak, chroniąc się przed zapachem i gorącem, a kiedy oddalili się od niego o kilka metrów, Sorenson zrobiła to, co musiała zrobić: odchrząknęła, nabrała powietrza, wyjęła pistolet i aresztowała JackakreskaReachera pod zarzutem udziału w spisku, zabójstwa pierwszego stopnia i porwania.

38

Sorenson znów trzymała glocka w obu rękach, mocno i pewnie stojąc na odpowiednio rozstawionych nogach, należycie rozkładając ciężar ciała. Stała niecałe cztery metry od Reachera.

Znowu lekko przechyliła na bok głowę, w taki sam sposób jak poprzednio, jakby pytająco. To samo pasmo włosów przysłaniało to samo oko.

- Niech pan spojrzy z mojego punktu widzenia - odezwała się. - Jakie mam inne wyjście? Co innego mogę zrobić? Straciliśmy zakładniczkę, więc zasady gry się zmieniły. Przechodzimy na wyższy poziom. I musimy zacząć od aresztowania, bo inaczej nie zostawią na nas suchej nitki.

Rozumie pan?

- Pani mnie przeprasza? - zapytał Reacher.

- Tak, chyba tak. Bardzo mi przykro. Ale sam pan wie, jak to działa. To znaczy, jeżeli naprawdę jest pan tym, za kogo się podaje.

- Jestem tym, za kogo się podaję. Jest pani bardzo podejrzliwa. Może pani łatwo zranić czyjeś uczucia.

- Muszę być podejrzliwa. Ale bardzo mi przykro z tego powodu.

Reacher uśmiechnął się lekko.

- Przyznam, że to bardzo kulturalne aresztowanie. Chyba nikt nikogo nie zaaresztował tak uprzejmie. Oczywiście jeżeli nie liczyć pistoletu. Nie musiała go pani wyciągać. Dokąd miałbym uciec?

- Proszę mi wybaczyć, ale pistolet jest mi potrzebny. Jest pan słusznie podejrzany. I ma pan cenne informacje. Mój naczelnik na pewno wolałby wymazać każdy ślad tej sprawy z biura terenowego w Omaha, ale już na to za późno. Dlatego musi pokazać jakiś efekt tego, co udało się zrobić w ciągu nocy. Albo podejrzanego, albo ważnego świadka. A pan jest albo jednym, albo drugim. Może nawet jednym i drugim.

- A jeżeli nie będę chciał pojechać do Omaha?

- Ona zaczeka.

- Kto?

- Ta kobieta w Wirginii. A może nie zaczeka. Może już o panu zapomniała. W każdym razie trzeba to wszystko odłożyć.

- Nie miałem na myśli Wirginii. Zgadzam się, że trzeba to odłożyć. Miałem na myśli Iowa. Tu i teraz. Tu zaczyna się trop. Od śladów opon.

Ślady opon.

Reacher spojrzął za siebie na metrowej szerokości pas błota na skraju drogi, ale nie zobaczył tego, co chciał zobaczyć.

- Wydaje ci się, że to film? - natarła na niego Sorenson. - Jesteś cywilem. To nie twój trop. Mój zresztą też już nie. Straciliśmy zakładniczkę, pamiętasz? Zginęła niewinna kobieta. Niewinna postronna osoba. Ofiara kradzieży samochodu. Na litość boską, matka! Dociera to do ciebie?

Sprawę przejmie teraz wielka grupa specjalna. Dziesiątki ludzi. Może nawet setki. Jej szefem zostanie co najmniej zastępca naczelnika. Zaczną w tym grzebać media. Kablowe kanały informacyjne. Będę na to stanowczo za mała. Schowają mnie jak niedorozwinięte dziecko. Dlatego w Iowa nie mamy czego szukać. Nie teraz. Przyjmij to do wiadomości.

- Zanim ta grupa specjalna tu przyjedzie, trop zwietrzeje - zauważył Reacher.

- Nic na to nie poradzimy.

- Poradzimy. Przestańmy marnować czas. Możemy się zabrać do pracy.

- Masz ubezpieczenie od bezrobocia?

- Nie.

- Ja też nie, więc nie włączaj mnie do swoich idiotycznych planów.

- W porządku, więc ja mogę zabrać się do pracy.

- Jak? Jesteś cywilem. Jesteś sam. Nie masz nic i nikogo. Co mógłbyś zrobić?

- Mógłbym ich znaleźć.

- Bo?

- Już udawało mi się znajdować ludzi.

- I co potem?

- Mógłbym im uświadomić, że popełnili błąd.

- Oko za oko?

- Ich oczy mnie nie interesują.

- Nie mogę do tego dopuścić. Przecież to by było przestępstwo. Wszystko musi się

odbyć zgodnie z prawem. Niech się tym zajmie wymiar sprawiedliwości. To cena cywilizacji.

- Cywilizacja może się pieprzyć. Spodobała mi się Delfuenso. Była sympatyczna. Odważna.

Inteligentna. I twarda. Cały wieczór pracowała w zaplutej knajpie i do samego końca zachowała przytomność umysłu.

- Ja tego nie kwestionuję.

- Pomylili się w adresie, Julio. I dostaną to, na co zasłużyli.

- Od ciebie? Dlaczego? Za kogo ty się uważasz?

- Ktoś musi. Można liczyć, że wy to zrobicie?

Sorenson nie odpowiedziała.

- Mam to rozumieć jako „nie”, zgadza się? - upewnił się Reacher.

Sorenson wzruszyła ramionami, po czym niechętnie skinęła głową, jakby wbrew sobie.

- Muszę jeszcze gdzieś zadzwonić - powiedziała.

- Do kogo?

- Do szeryfa w Nebrasce. Córka Delfuenso niedługo się obudzi.

- Przykro mi.

- Muszę ci założyć kajdanki. I posadzić z tyłu w samochodzie.

- Nie ma mowy.

- To nie zabawa.

- Zbiera się na deszcz. Ślady opon zaraz znikną.

- Odwróć się - poleciała Sorenson. - Ręce do tyłu.

- Masz aparat?

- Co?

- Aparat fotograficzny. Masz?

- Po co?

- Trzeba zrobić zdjęcia śladów opon. Zanim zaczną padać.

- Odwróć się - powtórzyła Sorenson.

- Dogadajmy się.

- Jak?

- Pożyczysz mi aparat i zrobisz zdjęcia śladów, a ty zadzwonisz do szeryfa.

- Co potem?

- Potem jeszcze porozmawiamy.

- O czym?

- O mojej sytuacji.
 - Jaki mam wybór?
 - Nie masz wyboru.
 - To ja z nas dwojga mam broń.
 - Ale jej nie użyjesz. Oboje o tym wiemy. Masz moje słowo. Nie ucieknę. Możesz mi zaufać. Też składałem przysięgę. W wojsku. Bardziej rozbudowaną niż ty.
 - Muszę cię zabrać ze sobą, rozumiesz? Omaha musi dzisiaj coś zrobić jak należy.
 - Mogłabyś powiedzieć, że mnie nie znalazłaś.
 - Właściciel motelu wie, że znalazłam.
 - Mogłabyś mu strzelić w łeb.
 - Kusilo mnie.
 - Umowa stoi?
 - Potem musisz pojechać ze mną.
 - Tego nie było w umowie. Jeszcze nie. Formalnie rzecz biorąc. O tym mieliśmy zdecydować później. Powiedziałem, potem porozmawiamy.
 - Jeżeli mówisz prawdę, nie masz się czym martwić.
 - Ciągle wierzysz w takie rzeczy?
 - Owszem, wierzę - odparła Sorenson.
- Reacher milczał.
- Zastanów się. Przemyśl to. Sam wybierz. Nie masz samochodu, telefonu, kontaktów, wsparcia, nie możesz liczyć na niczyją pomoc, nie masz środków, nie masz zaplecza, laboratorium, komputerów i nie masz najmniejszego pojęcia, dokąd ci dwaj pojechali - tłumaczyła Sorenson.
 - Musisz coś zjeść i odpocząć. Z taką poharataną twarzą potrzebujesz opieki lekarskiej. Ale mogłabym cię tu zostawić. Tu i teraz, samego, w szczerym polu, tuż przed deszczem. Potem wywaliliby mnie z pracy i wiesz co? Tak czy inaczej ścigaliby cię jak psa.
 - Jaki mam wybór? - spytał Reacher.
 - Jechać ze mną do Omaha, pomóc nam, może nawet z czasem zdobyć jakieś informacje.
- Będziesz mógł z nimi zrobić, co zechcesz.
- Skąd miałyby pochodzić te informacje?
 - Nie skąd, ale od kogo.
 - No dobrze, od kogo?
 - Ode mnie.

- Po co miałybyś mi ich udzielać?

- Bo w tej sprawie improwizuję. Staram się znaleźć jakiś sposób, żeby wsadzić cię do samochodu.

- Teraz to ty proponujesz układ.

- To dobry układ. Powinieneś go przyjąć.

Kiedy Sorenson dzwoniła do szeryfa w Nebrasce, Reacher poszedł zrobić zdjęcia. To był aparat cyfrowy. Reacher przypominał sobie, że może raz fotografował coś telefonem komórkowym, ale poza tym ostatni raz miał w ręku aparat jeszcze w epoce filmu światłoczułego. Przypuszczał, że to niewiele się różni. W obu przypadkach jest obiektyw, mały guzik, który trzeba nacisnąć, i mały otwór do patrzenia. Tego ostatniego jednak nie było. Nie było wizjera. Operator musiał się posługiwać małym ekranem. Oznaczało to, że trzyma aparat w wyciągniętej ręce i chodzi tam i z powrotem. Jak człowiek w kombinezonie ochronnym uzbrojony w licznik Geigera.

Zrobił dwa zdjęcia, tak jak chciał, i wrócił do samochodu. Sorenson zakończyła rozmowę.

Sądząc po jej minie, niewesołą. Nie wyglądała jak po wyjściu z beczki śmiechu.

- Dobrze, jedziemy - powiedziała. - Możesz usiąść z przodu.

- Najpierw popatrz na zdjęcia.

Zaczął padać deszcz, duże i ciężkie krople. Spadały pionowo i ukośnie, miotane silnymi porywami wiatru. Reacher i Sorenson wsiedli do samochodu. Reacher podał jej aparat. Wiedziała, jak się nim posługiwać. Przewinęła do przodu, a po chwili do tyłu.

- Zrobiłeś tylko dwa zdjęcia? - zdziwiła się.

- Potrzebowałem tylko dwóch.

- Dwa zdjęcia tego samego?

- To nie jest to samo.

Deszcz bębnił w dach fordka. Sorenson bardzo uważnie przyjrzała się pierwszej fotografii, a potem, równie uważnie, drugiej. Obydwie przedstawiały zbliżenia śladów opony na błocie.

Najwyraźniej tej samej opony na tym samym błocie. Wróciła do pierwszego zdjęcia i jeszcze raz przerzuciła na drugie, drugi i trzeci raz.

- No dobrze, są identyczne - powiedziała. - Zostawił je samochód, który zawracał, zgadza się?

Co to jest, lewe koło i prawe? Przednie i tylne?

- Ani jedno, ani drugie - odparł Reacher.
- No więc co?
- Wóz, który zawracał, zostawił tylko jeden ślad.
- A drugi?
- Drugi zostawił twój samochód.

39

Sorenson jeszcze raz spojrzała na zdjęcia, najpierw na pierwsze, potem na drugie, znów na pierwsze i na drugie, kilka razy. Ten sam bieżnik, to samo błoto.

- To niekoniecznie musi coś znaczyć - powiedziała.
- Rzeczywiście - przyznał Reacher. - Niekoniecznie.
- Nigdy wcześniej tu nie byłam.
- Wierzę.
- Poza tym Biuro nie używa własnej marki opon. Pewnie po prostu je kupujemy, jak każdy.

Prawdopodobnie u Searsa. Szukamy czegoś taniego i solidnego. Zwykłego. Co akurat jest w promocji, jak wszyscy. A więc te opony pasują do dużych sedanów. Przypuszczam, że co najmniej do kilku marek i modeli. Auta firmowe, z wypożyczalni, duże wozy, którymi jeżdżą starsi ludzie. Założę się, że na świecie jest milion takich opon.

- Pewnie więcej - rzekł Reacher.
- Co z tego wynika?
- Że wiemy na pewno, jakie opony mieli tamci. Takie same jak ty. Co oznacza, że prawdopodobnie jadą dużym krajowym sedanem. Tyle wiemy na początek.
- Nic więcej?
- Reszta to byłyby spekulacje.
- Wolno nam spekulować.
- W takim razie powiedziałbym, że wóz pochodzi z miasta. A przynajmniej z przedmieścia. Na wsi rzadko spotyka się duże sedany. Tu wszyscy jeżdżą pickupami i autami z napędem na cztery koła.
- Z dużego miasta?
- Takiego, w którym są firmy taksówkowe i wypożyczalnie samochodów. Biura i może lotnisko.

Z odpowiednim rynkiem lokalnym. Takich opon na pewno nie można kupić na przykład tutaj. Po co ktoś w ogóle miałby je w sprzedaży?

- A więc nie twierdzisz, że mogło być w to zamieszane FBI?

- Na pewno nie.

- Ale?

- Nic.

- Ale?

- Ale lubię, kiedy białe jest białe, a czarne jest czarne, wolę, żeby wszystko było potwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

- Wobec tego od razu mówię, że nie. Masz potwierdzenie z pierwszej ręki. Z całą pewnością.

Ponad wszelką wątpliwość. Nie wyobrażam sobie, żeby Biuro mogło być zamieszane w tę sprawę.

Tylko jakiś skończony świr mógłby tak pomyśleć.

- W porządku - odparł Reacher. - Jedźmy. Powiedz, jeżeli będziesz chciała, żebym trochę poprowadził. Znam drogę.

Sorenson zawróciła szerokim łukiem, a potem wcisnęła gaz i popędziła przez deszcz na północ.

Minęli motel z prędkością około stu kilometrów na godzinę. Za dnia budynek wyglądał inaczej.

Zewnętrzne światła nad chodnikiem zgasły, a siding wydawał się jaśniejszy.

- Zapłaciłem tam za dwie noce - powiedział Reacher.

- Aw pokoju spędziłem jakieś pół minuty.

- Dlaczego zapłaciłeś? - zdziwiła się Sorenson.

- Czułem się winny z powodu ściany.

- To nie twoja wina.

- Takie miałem wtedy wrażenie.

- Nie powinieneś czuć się winny. W każdym razie na pewno nie wobec tamtego faceta. Nie spodobał mi się.

- Ciągle mam klucz do pokoju. W kieszeni. Może wyślę mu go pocztą. A może nie.

Dotarli do pierwszego skrzyżowania. Sorenson zahamowała za późno i skręciła w lewo z piskiem opon, tańcząc na śliskiej nawierzchni. Zdjęła nogę z gazu, wyprowadziła forda z poślizgu i znów przyspieszyła.

- Przepraszam - mruknęła.

Reacher nie odpowiedział. Nie miał prawa się skarżyć. Byli w drodze. Mógł zostać na

polu.

- Opony są zjechane - dodała. - Zauważyłam w czasie jazdy.

Reacher milczał.

- A więc opony tamtych też są zjechane - ciągnęła. - Jeżeli oczywiście zdjęcia są identyczne.

Czyli mamy punkt drugi. Wiemy, jakie mają opony i znamy w przybliżeniu ich wiek. Może starszy samochód. Może starszy kierowca. Niewykluczone, że to jakaś starsza osoba stąd jeżdżąca dużym starym samochodem.

- Wątpię. Nie sądzę, żeby starsi ludzie lubili wyjeżdżać z domu w środku nocy, żeby patrzeć na płonące żywcem kobiety. Bo zdajesz sobie sprawę, że pożar wybuchł, kiedy wszyscy jeszcze tam byli? Nie nastawili zapalnika. To nie był samozapłon. Podpalili samochód, a potem stanęli i czekali, aż ogień porządnie się rozpali.

- Zgoda. To nie był miejscowy staruszek, tylko ktoś z miasta.

- Gdzie są firmy taksówkowe, wypożyczalnie, biura i lotniska - przypomniał Reacher.

- I być może z półtoramilionowym obszarem metropolitalnym. Takie coś wymknęło się Alanowi Kingowi.

Powiedział, że tam, gdzie mieszka, żyje półtora miliona ludzi.

- To mogłoby być interesujące. Chyba że to zmyłka.

- Nie sądzę. Nie sądzę, żeby mieli ułożony cały scenariusz. Ogólnie rzecz biorąc, mówili składnie i inteligentnie, ale to pytanie padło z zaskoczenia i odpowiedzieli natychmiast. Bez chwili namysłu.

Za szybko, żeby to mogło być kłamstwo. Kłamali wolniej i bardziej nieporadnie.

- Coś jeszcze?

- W pewnym momencie McQueen użył dziwnego słowa. Miałem wątpliwości, czy tam, gdzie wskazywał znak, naprawdę jest stacja benzynowa, a kiedy dojechalismy na miejsce, McQueen powiedział: „Powinien mi pan zaufać”. Wydaje mi się, że większość ludzi użyłaby słowa

„uwierzyć”. Nie sądzisz? „Powinien mi pan uwierzyć”?

- Co to może znaczyć?

- Sam nie wiem. W wojsku szkolono nas, jak zwracać uwagę na dziwnie brzmiące słowa.

Rosjanie mieli szkoły językowe, gdzie uczono perfekcyjnych akcentów, slangu i tak dalej. Czasem jedynym sygnałem były właśnie słowa. Dlatego przez chwilę zastanawiałem się, czy McQueen jest cudzoziemcem.

Sorenson jechała dalej i milczała.

Myślała: Koszula została kupiona w Pakistanie albo prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie.

- McQueen mówił z obcym akcentem? - spytała.

- Zdecydowanie nie - odrzekł Reacher. - Z przeciętnym ogóln amerykańskim.

- Wyglądał na obcokrajowca?

- Raczej nie. Biały, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, waga około siedemdziesięciu pięciu, jasne włosy, jasnoniebieskie oczy, szczupły, długie ręce i nogi, trochę patykowaty, ale kiedy wyciągał pistolet z kieszeni, biegł ścieżką i wskakiwał do samochodu, okazał się całkiem wysportowany.

Jakby trenował gimnastykę.

- W porządku. A więc dobór słów był prawdopodobnie zupełnie niewinny.

- Trzeba pamiętać o ofierze. Pewnie miała kontakty z cudzoziemcami.

- Jako attache handlowy? Bo chyba o to ci chodzi.

- Poznałaś kiedyś jakiegoś attache handlowego?

- Nie.

- Ja też nie. Ale poznałem paru, którzy twierdzili, że są attache handlowymi.

- Co to znaczy? - chciała wiedzieć Sorenson.

- Jakiej pomocy potrzebuje CocaCola, żeby sprzedawać swój towar na całym świecie? Niewielkiej, prawda? Produkty amerykańskie na ogół mówią same za siebie. A jednak każda ambasada ma attache handlowego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widziałaś kiedyś gabinet attache handlowego? Ja byłem w dwóch. W jednym i drugim okna wychodziły na podwórze, nie na ulicę, obydwa były obłożone ołowiem i klatkami Faradaya i w obydwu cztery razy sprawdzano, czy nie ma podsłuchu.

- Jakaś przykrywka?

- Otóż to. Każdy szef CIA w każdej placówce przedstawia się jako attache handlowy.

Szeryf Goodman był wykończony. Nie sądził, czy rzeczywiście lepiej tego dnia nie puszcząć córki Delfuenso do szkoły. Albo nawet przez dwa dni, tydzień, miesiąc, czy ile agentka specjalna Sorenson zamierzała ją trzymać w domu.

Miał zupełnie inne zdanie. Uważał, że praca w znajomym otoczeniu i dobrze zorganizowany dzień to podpora w stresowych sytuacjach. Zachęcał swoich ludzi, żeby jak

zwykle przychodzili na posterunek, bez względu na to, co się stało. Wszystko jedno, czy stracili bliską osobę, rozwodzili się, czy mieli chorobę w rodzinie. Jego doświadczenie pokazywało, że codzienny porządek dnia pomaga ludziom radzić sobie z trudnościami życiowymi. Oczywiście musiał okazywać im stosowne współczucie, zapewniał, że zdaje sobie sprawę, iż potrzebują dużo czasu i tak dalej, ale zawsze dodawał, że nikt nie pomyśli o nich gorzej, jeśli będą wykonywali swoje obowiązki. Większość pracowała normalnie i na dłuższą metę chyba wychodziło im to na dobre.

Ale to byli dorośli, a dziecko Delfuenso było dzieckiem.

Wolno i niechętnie jechał w kierunku krótkiego szeregu domów. W ciągu lat służby cztery razy musiał informować rodziców o śmierci dziecka. Ale nigdy nie musiał zawiadamiać dziecka o śmierci rodzica. W każdym razie nie dziesięciolatkę. Naprawdę nie wiedział, jak to zrobić. „Niech pan się trzyma faktów”, poradziła mu Sorenson w jednej z wcześniejszych rozmów. „I nie mówi nic więcej poza tym, co wiemy na pewno”. Niezbyt przydatna rada. Fakty są bolesne. „Mała, wiesz, co się stało? Twoja mama spłonęła żywcem w samochodzie”. Nie ma prostego sposobu, żeby to powiedzieć. Bo dziecko nie potrafi przyjąć takiej wiadomości w prosty sposób. Kładzie się spać, gdy wszystko jest super, a naza jutrz budzi się w zupełnie innym świecie.

Chociaż: „Niech pan się trzyma faktów. I nie mówi nic więcej poza tym, co wiemy na pewno”.

A jakie są fakty? Co właściwie wiedzą na pewno? Szeryf widział już w życiu spalone ciała.

Ludzi, którzy zginęli w pożarach domów i stodół. Trzeba zrobić porównanie z kartoteką dentystyczną. Albo badanie DNA. Do aktu zgonu i ubezpieczenia. To trwa co najmniej dwa dni.

Trzeba sporządzić opinie lekarskie, potwierdzić i uwierzytelnić. Jeśli więc chodzi o Karen Delfuenso, właściwie nikt niczego nie wie na pewno. Na razie. Wiadomo tylko, że zaginęła, prawdopodobnie została uprowadzona we własnym samochodzie.

Może w przypadku rozmowy z dziesięciolatką lepszy będzie dwustopniowy proces. Najpierw:

„Przykro mi, ale twoja mama zaginęła”. A dwa dni później, kiedy wszystko już będzie wiadomo:

„Przykro mi, ale twoja mama nie żyje”. Kap, kap. Może to lepsze niż jeden potężny cios. A może to tylko tchórzostwo z jego strony?

Zaparkował przed domem sąsiadki i doszedł do wniosku, że tak, to tchórzostwo z jego

strony, bez dwóch zdań, ale to też prawdopodobnie najlepszy sposób zakomunikowania tej wiadomości dziesięcioletniemu dziecku. Dzieci były inne.

„Niech pan się trzyma faktów. I nie mówi nic więcej poza tym, co wiemy na pewno”.

Wolno i niechętnie wysiadł z samochodu. Zatrzęsnał drzwiami, stał przez sekundę, po czym okrążył maskę, przekroczył ściek pełen błota i ruszył krótkim podjazdem do domu sąsiadki.

40

Sorenson już bez żadnych incydentów pokonała szachownicę pól i wjechała na autostradę międzystanową. Samochód trzymał się drogi. Deszcz ciągle padał. Dzień był ponury. Chmury wisiały nisko, a niebo miało kolor żelaza. Ruch był większy niż w nocy, gdy Reacher jechał międzystanówką. Każdy samochód niczym szary sterowiec ciągnął za sobą obłok kropelek wody.

Sorenson włączyła najwyższy bieg wycieraczek. Nie zwalniała poniżej stu kilometrów na godzinę.

- Jak najszybciej można odszukać brata Alana Kinga, który służył wojsku? - zapytała.

- King twierdził, że był u czerwonołogich - odrzekł Reacher. - Prawdopodobnie był zwykłym zmarem. W pierwszej rundzie w Zatoce. Matka Sill powinna wiedzieć.

- Nie zrozumiałam z tego ani słowa.

- Czerwonołogich to artyleria, bo kiedyś nosili czerwone lampasy na galowych mundurach.

Czerwony to nadal kolor ich formacji. Zmar to SW trzynastob, czyli specjalność wojskowa, członek obsługi działa. Inaczej zmar. Zakuty muł armatni. Matka Sill to Fort Sill, kwatera główna artylerii. Ktoś tam powinien mieć jakieś dane. Pierwsza runda w Zatoce to tamta historia z Saddamem Husajnem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

- To akurat wiem.

- To świetnie.

- Brat ma na imię Peter, zgadza się?

- Tak.

- I nadal uważasz, że King to prawdziwe nazwisko?

- Całkiem prawdopodobne. W każdym razie warto spróbować.

- „Zakuty muł armatni” to niezbyt miła nazwa.

- Ale konieczna. Niestety, Fryderyk Wielki powiedział kiedyś, że artyleria polowa

nadaje godność temu, co bez niej byłoby prostacką bijatyką. Artylerzyści wbili to sobie do głowy. Zaczęli się nazywać królami wojny i uważać za najważniejszy element armii. A to oczywiście nieprawda.

- Dlaczego?
- Bo najważniejszym elementem armii jest żandarmeria.
- A ciebie jak nazywali?
- Zwykle nazywali mnie majorem.
- A żandarmów?
- Żółwiami. Żetonami. I papugami, ale to był skrót.
- Od czego?
- Parszywe palanty udające gliniarzy.
- Gdzie jest Fort Sill?
- W Lawton w Oklahomie.

Sorenson wcisnęła w komórce przycisk szybkiego wybierania. Reacher usłyszał donośny i wyraźny sygnał w głośnikach samochodu. Po chwili odezwał się męski głos. Mówił cicho i szybko, nie bawiąc się w żadne wstępny. Prawdopodobnie oficer dyżurny, który mając przed oczami numer Sorenson na wyświetlaczu, zgłosił się, gotowy do działania. Zapewne miał za sobą nocną służbę, którą właśnie kończył. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który dopiero co wstał z łóżka.

- Musisz zadzwonić do bazy wojskowej Fort Sill w Lawton w Oklahomie i znaleźć wszystko, co się da o artylerzyście Peterze Kingu, który pełnił czynną służbę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Szczególnie cenne będą informacje na temat jego rodziny i obecnego miejsca pobytu. Podaj im numer mojej komórki i poproś, żeby skontaktowali się bezpośrednio ze mną, dobra?

- Zrozumiałem - odpowiedział agent.
- Stony jest już w biurze?
- Właśnie przyszedł.
- Jakież wieści?
- Na razie nic się nie dzieje. Dziwne.
- Żadnych cyrków na kółkach?
- Telefony milczą. Nikt nawet nie zapytał o nocne zgłoszenia.
- Dziwne.
- Właśnie.

Świadek nie musiał czekać. W recepcji nie było kolejki. Dostał kawę i zjadł na śniadanie babeczkę. Kobieta za ladą spytała go, jak się nazywa i jakie woli łóżko. Była pulchną kobietą w macierzyńskim typie, sprawiającą wrażenie bardzo cierplivej i kompetentnej. Świadek nie do końca rozumiał jej pytanie.

- Łóżko? - zdziwił się.

- Mamy pokoje z pojedynczymi, podwójnymi i królewskimi łóżkami.

- Chyba wszystko jedno.

- Nie ma pan żadnych preferencji?

- A co pani by poleciła?

- Szczerze mówiąc, moim zdaniem idealne są pokoje z podwójnymi łóżkami. Wydają się trochę przestronniejsze.

Z fotelami i tak dalej? Podobają się większości naszych gości.

- Dobrze, wezmę taki pokój.

- Doskonale. - Kobieta się rozpromieniła. Zapisała to w książce i zdjęła z haczyka klucz. - Pokój numer czternaście - powiedziała. - Łatwo znaleźć.

Świadek z kluczem w ręku opuścił hol. Przez chwilę stał na chłodzie i patrzył w niebo. Zbierało się na deszcz. Na północy pewnie już padało. Ruszył wąską ścieżką i zobaczył tabliczkę ze strzałką pokazującą drogę do pokoi od numeru jedenastego do piętnastego. Skręcił we wskazanym kierunku. Ścieżka wiała się między smutnymi zimowymi klombami i wychodziła na niski długi budynek mieszczący pięć pokoi. Czternaście była przedostatnia. Budynek stał niedaleko pustego basenu zasypanego suchymi liśćmi. Świadek pomyślał, że latem byłoby tu bardzo przyjemnie, nad błękitną wodą, wśród kolorowych kwiatów. Nigdy nie pływał w basenie.

W jeziorach i rzekach tak, ale w basenie nigdy.

Za basenem biegł niewysoki ozdobny murek z otynkowanych betonowych bloczków. Trzy metry dalej znajdowało się właściwe ogrodzenie, wysokie, czarne i kanciaste, zwieńczone nachylonymi do wewnątrz zwojami drutu kolczastego. Świadek domyślał się, że to musiało sporo kosztować. Jako rolnik znał ceny ogrodzeń. Robota i koszt materiałów mogły człowieka zabić.

Otworzył drzwi z numerem czternaście. Wszedł do pokoju. Łóżko było trochę szersze od tego, które miał w domu. Leżały na nim starannie poskładane ubrania. Dwa identyczne zestawy. Dżinsy, niebieskie koszule, niebieskie swetry, białe podkoszulki, biała bielizna, niebieskie skarpety. Na poduszce piżama. W łazience znalazł przybory toaletowe. Mydło, szampon, krem do golenia. Jakiś balsam do skóry. Dezodorant. Maszynki do golenia. Pasta i

szczoteczka do zębów w celofanowym opakowaniu. Grzebień. Szlafrok. Mnóstwo ręczników.

Popatrzył na łóżko, ale usiadł w fotelu. Powiedziano mu, że lunch będzie wydawany od dwunastej. Do tej godziny nie miał nic do roboty. Uznał więc, że może zacząć dzień od drzemki.

Bardzo krótkiej. To była długa noc.

Reacher zaczekał, aż Sorenson wyprzedzi wyjąca ciężarówkę z naczepą, a potem po prosił:

- Opowiedz mi, jak wyglądało daktyloskopowanie denata.
- To standardowa procedura. Trzeba od razu zdjąć odciski, zanim utrudni to rozkład ciała.

Potem przesyłają je do bazy danych.

- Satelitą?
- Nie, normalnymi sieciami komórkowymi.
- Wygodne.

- Pewnie, że wygodne. Uwielbiamy komórki. Kochamy na zabój. Z różnych powodów. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby dwadzieścia lat temu Kongres chciał uchwalić ustawę nakazującą każdemu obywatelowi noszenie na szyi transpondera dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby rząd mógł go wszędzie wytropić? Wyobrażasz sobie, jakie byłoby oburzenie? A obywatele poszli dalej i sami to sobie zrobili. Noszą je w kieszeniach i torebkach, nie na szyjach, ale efekt jest taki sam.

- Znaleźliście odciski palców w czerwonym samochodzie? - chciał wiedzieć Reacher.

- Mnóstwo. Ci dwaj w ogóle nie uważali.

- Przesłaliście je do sprawdzenia?

- Oczywiście.

- Były wyniki?

- Jeszcze nie. Czyli prawie na pewno nie ma ich w bazie - odrzekła Sorenson. - Program potrafi szukać godzinami, dopóki nie ma stuprocentowej pewności, ale to nigdy nie trwa tak długo. Na pewno są dziewicami.

- Stąd wniosek, że to nie cudzoziemcy - uznał Reacher.

- Nie ma dziewic daktyloskopijnych z zagranicy, zgadza się? Każdemu zdejmują się odciski palców przy wjeździe do kraju. Albo przy wydawaniu wizy. Chyba że wjechali nielegalnie. Mogli na przykład przekroczyć granicę z Kanadą. Podobno jest dość dziurawa - zauważył Reacher.

- Tylko jak dostali się do Kanady? Do ich baz danych też mamy dostęp. Kanada nie ma innej granicy. Chyba że przywędrowali z bieguna północnego albo przepłynęli Cieśninę Beringa.

- Pozostaje Alaska.

- Żeby ktoś mógł dostać się na Alaskę z zagranicy, też muszą mu pobrać odciski palców.

- Nie ma możliwości jakiegoś błędu czy usterki?

- Przez ostatnie dziesięć lat nic takiego się nie zdarzyło.

- Zgoda, nie są obcokrajowcami.

Sorenson jechała w przeciwnym kierunku tą samą drogą co kilka godzin temu, ale prawie nie orientowała się w terenie. Autostrada wyglądała inaczej. Spowijało ją ciemnoszare światło, przysłaniając widok z lewej i prawej, a także horyzont z przodu i z tyłu. Zupełnie jakby przedzierali się przez nieskończenie wielką chmurę. Deszcz osłabł, ale jezdnia nadal spływała wodą. Wszędzie unosiła się gęsta wodna mgiełka.

- Skąd się wziął ten facet z Departamentu Stanu? - zapytał Reacher.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Po prostu przyjechał i wysiadł z samochodu. Ale widziałam papiery, były w porządku.

- Departament Stanu ma biura terenowe tak jak wy?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Więc skąd przyjechał? Na pewno nie z Waszyngtonu, bo tak szybko by się nie pojawił.

- Dobre pytanie. Zapytam naczelnika. To on dostał wiadomość o jego przyjeździe. I wiem, że w nocy rozmawiał z Departamentem. Od nich dowiedzieliśmy się, że denat był attache handlowym.

- Albo i nie. Wygląda mi na to, że Departament miał na coś oko. Był w pogotowiu, niedaleko.

Jeżeli oczywiście ten facet naprawdę pracował w Departamencie Stanu. Mógł też być z CIA.

Sorenson nie odpowiedziała. Nie było nic o koszuli w kratkę z Pakistanu albo Bliskiego Wschodu, nic o nocnych telefonach z CIA, nic o ciągłych prośbach, aby na bieżąco informowała o przebiegu śledztwa. Nie wiedziała dlaczego, ale jakiś prymitywny przesąd kazał jej myśleć, że o pewnych rzeczach nie powinno się mówić głośno. Na przykład o tym, że nocą w środku Ameryki włóczy się CIA.

Córka Delfuenso miała na imię Lucy. Szeryf Goodman zobaczył ją na werandzie domu sąsiadki.

Była chudą ciemnowłosą dziewczynką o ziemistej cerze. Stała w piżamie, pachnąc smem i poranną krzątanią w domu. Goodman posadził ją na betonowym schodku i usiadł obok, opierając łokcie na kolanach i zwieszając dłonie. Wyglądali jak para dobrych znajomych, którzy przycupnęli, żeby uciąć sobie pogawędkę. Tak jednak nie było. Na początek zapytał ją, jak się czuje. Milczała, nie rozumiejąc, co się dzieje. Ale słuchała. Powiedział, że jej mama nie wróciła z pracy. Powiedział, że nikt nie wie, gdzie jest. I że szuka jej wielu ludzi.

Dziewczynka właściwie nie zareagowała. Jakby przekazał jej niezrozumiałą i całkiem niepotrzebną informację z zupełnie innego świata, na przykład, jaka jest temperatura powierzchni Jowisza albo czym różni się zakres fal średnich od ultrakrótkich w radiu. Grzecznie skinęła głową, wierząc się i drżąc z zimna. Chciała wrócić do domu.

Potem Goodman rozmawiał z sąsiadką. Przekazał jej tę samą niepełną informację: Delfuenso zaginęła, nie wiadomo, gdzie teraz przebywa, poszukiwania trwają. Powiedział również, że poradzono mu, aby Lucy nie szła do szkoły. I może byłoby lepiej, gdyby jej dziecko także zostało w domu. Potem spytał ją, czy też mogłaby nie iść do pracy i przypilnować dziewczynek. Dodał, że ze względu na sytuację znajome twarze prawdopodobnie będą Lucy potrzebne.

Sąsiadka ociągała się przez chwilę, bąkając coś pod nosem, ale w końcu powiedziała, że spróbuje to wszystko załatwić. Postara się. Zaraz zadzwoni, gdzie trzeba. Goodman zostawił ją w drzwiach, widząc w półmroku dwoje ruchliwych dzieci za plecami nieruchomej, biernej kobiety, która wyglądała, jakby spadło na nią kilkanaście zmartwień naraz.

Przestało padać, trochę się przejaśniło i autostrada na odcinku szesnastu kilometrów z mokrej zrobiła się wilgotna, a potem sucha. Reacher zaczął rozpoznawać część drogi. Za dnia wyglądała inaczej. Nie była już tunelem biegnącym przez ciemność. Bardziej przypominała nieskończenie długą drogę na nasypie wzniesionym nad bezkresną, idealnie płaską równiną. Siedział nieruchomo i cierpliwie przyglądał się zjazdowi, widząc i te lewe, i te obiecujące. W pewnym momencie w odległości siedmiu czy ośmiu kilometrów zamajaczył naprawdę niezły. Z szarości wyłoniło się kilka budynków i las świetlistych tablic: Exxon, Texaco i Sunoco, Subway, McDonald i Cracker Barrel, Marriott, Red Roof i Comfort Inn. Plus duży billboard

reklamujący outlet, którego w nocy nie widział, ponieważ tablica nie była neonowa, ale z kar tonu.

- Zatrzymajmy się na śniadanie - przerwał ciszę.

Sorenson nie odpowiedziała. Reacher wyczuł, że agentka sztywnieje za kierownicą, jest nieufna.

- Jestem głodny - dodał. - Ty na pewno też. Poza tym na pewno trzeba zatankować.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Nie zamierzam ci zwiać - zapewnił. - Gdybym nie chciał, nie siedziałbym w tym samochodzie.

Mamy umowę.

Chyba pamiętasz?

- Biuro terenowe w Omaha musi pokazać, co udało się zrobić w ciągu nocy - odrzekła.

- Rozumiem. Jadę tam z tobą.

- Muszę być tego pewna. Dlatego zjemy, jeżeli będzie okienko dla zmotoryzowanych.

- Nie. Wejdziemy do środka i usiądziemy przy stoliku jak kulturalni ludzie, którzy sobie ufają.

Poza tym muszę wziąć prysznic. I kupić jakieś ubranie.

- Gdzie?

- W outlecie.

- Po co?

- Żeby się przebrać.

- Dlaczego chcesz się przebrać?

- Żeby zrobić dobre wrażenie.

- Twoje torby zostały w chevrolecie?

- Nie mam toreb.

- Dlaczego?

- Co bym do nich włożył?

- Na przykład czyste ubrania.

- A trzy dni później co?

Sorenson skinęła głową.

- Racja.

Nie odzywała się przez następny kilometr, a potem zwolniła i włączyła kierunkowskaz przed zjazdem.

- W porządku, ufam ci, Reacher - powiedziała. - Nie wystaw mnie do wiatru. Bardzo

dużo ryzykuję.

Nie odpowiedział. Na końcu zjazdu skręcili w lewo i wjechali na stację Texaco. Sorenson wysiadła z samochodu. Reacher też. Bardzo jej się to nie spodobało. Wzruszył ramionami. Uznał, że jeżeli jest gotowa mu zaufać, będzie lepiej, jeśli zaufa od początku. Wsunęła do czytnika zwykłą kartę American Express i zaczęła tankować.

- Idę do sklepu - poinformował ją. - Potrzebujesz czegoś?

Pokręciła głową. Niepokoiliła się. Nie bez powodu. Wąż dystrybutora działał jak kula na łańcuchu.

Reacher był wolny, ona uwiązana.

- Wrócę - zapewnił ją i odszedł. Sklep był brzydszą wersją sklepu na stacji Shella na południowy wschód od Des Moines. Takie same regały z takim samym towarem, ale wnętrze brudne i zaniedbane. Za kasą taki sam typek, który gapił się na nos Reachera. Reacher pokręcił się między regałami, aż znalazł rzeczy potrzebne w podróży. Kupił tubkę antyseptycznego kremu i małe pudełko plastrów. Małą tubkę pasty do zębów. I fiolkę aspiryny. Zapłacił gotówką. Kasjer wciąż gapił się na jego nos.

- Komar mnie ugryzł - wyjaśnił mu Reacher. - To wszystko. Nie ma się czym przejmować.

Zobaczył Sorenson, która czekała na niego w połowie drogi między sklepem a dystrybutorem.

Wciąż miała zaniepokojoną minę.

- Gdzie chcesz zjeść śniadanie? - zapytał ją.

- Może być McDonald?

Skinął głową. Potrzebował białka, tłuszczu i cukrów i nie bardzo go obchodziło ich źródło. Nie miał uprzedzeń do fast foodu. Dla człowieka w drodze szybkie jedzenie jest lepsze niż wolne.

Wsiadli do samochodu, podjechali sto metrów i znów zaparkowali. Weszli do oświetlonego jarzeniówkami chłodnego wnętrza z twardymi krzesłami z plastiku. Reacher zamówił dwa cheeseburgery, dwa ciastka z jabłkiem i dużą kawę.

- To jest lunch, nie śniadanie - zauważyła Sorenson.

- Sam nie wiem, co to jest - odparł Reacher. - Ostatni raz obudziłem się wczoraj rano.

- Ja też - westchnęła Sorenson, ale zamówiła coś z zestawu śniadaniowego: bułkę z wieprzowiną i jajkiem, a do tego kubek kawy. Usiedli naprzeciwko siebie przy mokrym stoliku z laminatu.

- Gdzie zamierzasz wziąć prysznic? - zainteresowała się Sorenson.

- W motelu.

- Chcesz zapłacić za nocleg tylko po to, żeby wziąć prysznic?

- Nie, chcę zapłacić za godzinę.

- Tu są same sieciowe motele, a nie domki z pokojami na godziny.

- Ale wszędzie pracują ludzie. Jest rano, więc są jeszcze pokojówki. Recepcjonista weźmie dwadzieścia dolców. Da pokojówce dziesięć, żeby potem jeszcze raz posprzątała, a drugą dychę schowa do kieszeni. Tak to zwykle wygląda.

- Już to przerabiałeś.

- Gdybym nie przerabiał, byłoby ze mną bardzo kiepsko.

- Ale to drogo wychodzi. Z ubraniami i tak dalej.

- A jaką ratę kredytu płacisz co miesiąc? Ile za ubezpieczenie, ogrzewanie, utrzymanie, naprawy, prace w ogrodzie, jaki podatek?

Sorenson się uśmiechnęła.

- Racja.

Reacher skończył jeść pierwszy i skierował się do toalety. Na ścianie przed wejściem wisiał automat telefoniczny. Nie zwrócił na niego uwagi. Nie było okna. Ani wyjścia przeciwpożarowego.

Skorzystał z toalety i umył ręce, a kiedy wrócił, zobaczył dwóch mężczyzn napierających z tyłu na Sorenson. Agentka wciąż siedziała na krześle, a oni stali po jej bokach. Ich masywne uda znajdowały się na wysokości jej ramion, ale chociaż jej nie dotykali, nie zostawili jej miejsca, by mogła wstać od stolika i wyjść. Po prostaku rozmawiali o niej nad jej głową, zastanawiając się głośno, dlaczego taka ładna damulka nie zaprasza ich, żeby się przysiedli. Prawdopodobnie kierowcy ciężarówek. Mogli ją wziąć za kobietę podróżującą w interesach, która znalazła się daleko od domu. Panią z dużej firmy. Czarny kostium, niebieska bluzka. Przypuszczali, że musi się tu czuć nieswojo. Chyba podo bały im się jej włosy.

Reacher zatrzymał się trzy metry od nich i patrzył. Zastanawiał się, co Sorenson najpierw wyciągnie, legitymację czy glocka. Przypuszczał, że legitymację, choć wolałby glocka. Tymczasem Sorenson nie wyciągnęła ani jednego, ani drugiego. Po prostu siedziała, spokojnie to znosząc. Była bardzo cierpliwa. A może wiązałoby się z tym za dużo papierkowej roboty? Reacher nie znał tak dobrze procedur FBI.

Nagle jeden z nich wyczuł chyba obecność Reachera. Umilkł, odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy. Kumpel również. Byli zwalisci, potężnie zbudowani, chociaż nie z samych mięśni ani z samego tłuszczu. Mieli małe mętne oczy, zarośnięte policzki, zepsute

zęby i włosy pozlepiane w strąki. Byli przypadkiem, który znajomy lekarz Reachera opisywał jako TSP. Skrót oznaczał diagnozę, znak, poufny medyczny kod używany dla wygody przez profesjonalistów.

Oznaczał trwale spieprzenie protoplazmy.

Czas na decyzję, chłopcy, pomyślał Reacher. Albo odwrócić wzrok i odejście, albo nie.

Nie odeszli. Wciąż się gapili. Nie tylko dlatego, że ich wzrok przykuwał jego rozbity nos.

Patrzyli wyzywająco. Jakby posłuszni jakiemuś bezrozumnemu nakazowi hormonów. Reacher poczuł, że w nim też odzywa się ten sam zew. Mimowolny, ale nieuchronny. Adrenalina z dodatkiem czegoś mrocznego, ciepłego i pierwotnego, dawnego, prehistorycznego i drapieżnego, czegoś, co zagłusza wszelkie lęki, pozostawiając tylko siłę, spokojną pewność siebie i niewzruszone przekonanie o zwycięstwie. Nie, jakby stanął do pojedynku na noże uzbrojony w pistolet, ale jakby stanął uzbrojony w bombę plutonową.

Dwaj goście patrzyli na niego. Reacher patrzył na nich. Facet po lewej zapytał:

- Na co się gapisz?

Co samo w sobie było wyzwaniem, bodźcem obliczonym na wywołanie reakcji. Z niewiadomych powodów większość osób w takich sytuacjach wycofuje się, zaczyna się bronić, tłumaczyć i przeproszać. Większość, ale nie Reacher. Zamiast doradzać odwrót, instynkt kazał mu pakować się w sam środek awantury.

- Patrzę na ścierwo - odrzekł.

Cisza.

- Ale ścierwo, które ma wybór - ciągnął. - Wyjście numer jeden: wracać do swojej ciężarówki i zjeść śniadanie osiemdziesiąt kilometrów stąd. Wyjście numer dwa: wsiąść do karetki i zjeść śniadanie przez plastikową rurkę.

Cisza.

- Propozycja jest ograniczona czasowo - dodał Reacher - więc lepiej się pospieszcie, bo wybiorę za was. I jeżeli mam być szczery, w tej chwili skłaniam się ku wyjściu z karetką i karmieniem przez rurkę.

Ich usta drgnęły, oczy nerwowo zerknęły na boki. Nie ruszyli się z miejsca. Tylko przez dwie sekundy, wystarczająco długo, by zachować twarz. Potem, zgodnie z przewidywaniem Reachera, wybrali wyjście numer jeden. Odwrócili się i poczępali w stronę drzwi, na tyle wolno, by sprawiać wrażenie obojętnych i trochę bezczelnych, ale się nie zatrzymywali. Otworzyli drzwi i zniknęli w głębi parkingu. Reacher wypuścił powietrze z płuc i usiadł przy

stoliku.

- Nie musisz się o mnie tak troszczyć - powiedziała Sorenson.

- Wiem. Wcale nie chodziło o ciebie. Rozmawiali ze mną. Chciałem się zatroszczyć o siebie.

- Co byś zrobił, gdyby nie wyszli?

- Pytanie czysto teoretyczne. Tacy goście zawsze wychodzą.

- Mówisz, jakbyś był rozczarowany.

- Jestem wiecznie rozczarowany. Świat mnie rozczarowuje. Na przykład dlaczego siedziałas i spokojnie to znosiłas?

- Za dużo papierów - wyjaśniła. - Przy aresztowaniu jest tyle zawracania dupy.

Wyjęła telefon i podświetliła ekran. Sprawdziła zasięg i stan baterii. Wyłączyła.

- Spodziewasz się telefonu? - spytał Reacher.

- Wiesz, że się spodziewam. Czekam, że odbiorą mi tę sprawę.

- Może nie odbiorą.

- Powinni odebrać już dwie godziny temu.

- Domyślasz się, co się mogło stać?

Nie zdążyła jednak odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ dokładnie w tym momencie jej komórka zaczęła dzwonić.

42

Telefon bzyczał i podskakiwał. Dzwonek był cichy i piskliwy. Zwykły elektroniczny sygnał.

Sorenson odebrała i zaczęła słuchać. Z jej twarzy Reacher wyczytał, że to nie jest telefon, którego się spodziewała. Nie wyłączają jej ze śledztwa. Na razie. Dostała jakieś informacje związane ze sprawą. Niekoniecznie złe, sądząc po minie, ale i niezbyt dobre. Prawdopodobnie ciekawe. Może nawet kłopotliwe.

Rozłączyła się, spojrzała na niego ponad mokrym blatem i powiedziała:

- Nasi patolodzy wreszcie zabrali się do wynoszenia denata ze starej pompowni.

- I co? - spytał Reacher.

- Szybko ujawnił się niezauważony dotąd uraz.

- Czyli?

- Zanim zakłuli go nożem, złamali mu rękę.

Sorenson powiedziała Reacherowi, że ekipa medyków położyła ciało na noszach na

kółkach, żeby przewieźć je do furgonetki. Bez worka na zwłoki, którego zwykle używa się w sytuacjach, kiedy ciało leżało w kałuży krzepnącej krwi.

Nie było sensu brudzić worka z obu stron. Zamierzali go zapiąć w plastikowym pokrowcu dopiero w samochodzie.

Ale po drodze kółko noszy trafiło na wybój i prawa ręka denata opadła, zgięta w łokciu pod niewłaściwym kątem. Prześwietlili ją na miejscu przenośnym rentgenem i zobaczyli, że staw jest strzaskany. Trudno uwierzyć, żeby to się stało wcześniej, ponieważ ból przy takim urazie jest niewyobrażalny. Nikt nie mógłby normalnie funkcjonować ze strzaskanym łokciem. Nawet przez minutę. Na pewno nikt nie mógłby w takim stanie sam przyjechać samochodem z Denver. Nie było to też obrażenie pośmiertne. Można było dostrzec niewielkie krwawienie widoczne przez skórę.

I nieznaczną opuchliznę. Po złamaniu krew przez pewien czas była pod ciśnieniem, ale krótko.

- Obrażenie obronne - stwierdził Reacher. - W pewnym sensie. To znaczy tuż przed atakiem.

Wyciągnął broń. Pistolet, może też nóż. W obronie własnej. Rozbroili go dość brutalnie.

Przypuszczam, że był praworęczny.

- Większość ludzi jest praworęczna - zauważyła Sorenson. - A później skaleczyli go w czoło i zakłuli nożem i szybko się wykrwawił.

- Świadek słyszał krzyk?

- Nic takiego nie mówił.

- Złamanie łokcia jest bardzo bolesne. Musiał coś słyszeć. Przynajmniej pojedynczy okrzyk.

Prawdopodobnie dość głośny.

- I tak nie możemy go teraz zapytać.

- Na miejscu nie znaleziono żadnej broni? Jego albo tych dwóch?

Sorenson pokręciła głową.

- Pewnie wrzucili wszystko do otwartej rury.

- Nadal myślisz, że to był zwykły attache handlowy? Daleko od domu, z nożem albo pistoletem w kieszeni?

Sorenson znów pokręciła głową.

- Nie mówiłam ci o tym, ale CIA węszyło wokół sprawy przez całą noc. Zadzwonili już po kilku minutach, zanim zjawili się ludzie z naszego wydziału do walki z terroryzmem. I

dużo wcześniej, zanim zjawił się ten facet z Departamentu Stanu.

- Czego chcieli?

- Żeby informować ich na bieżąco.

- No więc masz odpowiedź: denat był ich człowiekiem - podsumował Reacher.

- Dlaczego więc nadal prowadzę sprawę? Przecież powinno się już rozpętać szaleństwo. - Znów spojrzała na wyświetlacz komórki. Był zasięg, bateria naładowana, mimo to telefon uparcie milczał.

Potem skierowali się do centrum z outletem. W tanim i ponurym budynku mieli tanie rzeczy.

Mniej więcej jedna trzecia sklepów sprzedawała męską odzież. Reacher poznawał niektóre marki.

Przeceny nie robiły na nim wrażenia. Jego zdaniem duże obniżki sprawiły tylko, że ceny zbliżyły się do poziomu, na jakim powinny być od początku.

Jego wybór jak zawsze ograniczała dostępność rzeczy w dużych rozmiarach. Udało mu się jednak znaleźć w jednym sklepie zwyczajne niebieskie dżinsy, a w innym trzy warstwy górnej odzieży: podkoszulek, koszulę i bawełnianą bluzę, wszystkie w różnych odcieniach niebieskiego.

Poza tym niebieskie skarpetki i białą bieliznę w trzecim sklepie, a w czwartym krótką niebieską kurtkę. Uznał, że zostanie w butach, które już ma. Jeszcze przez kilka dni. Trzymają się całkiem nieźle.

- Lubisz niebieski? - spytała go Sorenson.

- Lubię, żeby wszystko do siebie pasowało - odrzekł.

- Dlaczego?

- Ktoś mi mówił, że tak właśnie powinno być.

Zakupy pochłonęły łącznie siedemdziesiąt siedem dolarów w gotówce, co mieściło się w limicie.

Ubranie na minimum trzy dni, maksimum cztery, czyli między dwadzieścia a dwadzieścia pięć dolarów na dzień. Wypadało taniej, niż gdyby miał gdzieś mieszkać, i łatwiej, niż gdyby miał prać, prasować, składać i pakować. To było więcej niż pewne.

- Skąd bierzesz pieniądze? - zainteresowała się Sorenson.

- Stąd i zowąd - odparł Reacher.

- Czyli skąd?

- Część z oszczędności.

- A resztę?
- Czasem pracuję.
- Co robisz?
- Zajmuję się dorywczo różnymi rzeczami. Robię, co trzeba.
- Jak często?
- Od czasu do czasu.
- Dużych pieniędzy z tego nie ma.
- Resztę biorę z alternatywnych źródeł.
- Co to znaczy?
- Zwykle z łupów wojennych.
- Z jakiej wojny?
- Okradam przestępców - wyjaśnił Reacher.
- I tak po prostu przyznajesz się do tego przede mną?
- Dajecie mi dobry przykład. Agencje federalne ciągle zajmują czyjeś mienie, zgadza się?

Znajdujecie kokę w schowku u jakiegoś gościa, przepada bmw. Tak samo z domami i łodziami.

- To co innego. Te rzeczy zmniejszają nasze wydatki. Oszczędza na tym podatnik.
- Ze mną jest podobnie. Inaczej musiałbym żyć z federalnych bonów żywnościowych.

Prysznic postanowił wziąć w Red Roof Inn. W recepcji siedział szef sieciowego motelu i jak wszyscy tacy biznesmeni ucieszył się z możliwości dodatkowego nieoficjalnego zarobku. Zgodnie z przypuszczeniami Reachera zgodził się na dwadzieścia dolarów, pół dla niego i pół dla pokojówki, którą darzył największymi względami. Reacher wziął do pokoju torbę z zakupami ze stacji benzynowej i cztery torby z nowymi ubraniami. Sorenson weszła razem z nim, żeby się rozejrzeć. Nic nie mówiła, ale widział, że nie jest zadowolona z okna w łazience. Nie było duże, ale mogło wystarczyć. Pokój był na parterze, a z tyłu biegła brukowa na alejka.

- Jeżeli chcesz, zostań - powiedział Reacher. - Zostawię odsuniętą zasłonę prysznic. Żeby cię uspokoić.

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. W każdym razie nie wprost.

- Jak długo to potrwa? - zapytała.
- Prysznic dwadzieścia dwie minuty - odparł. - Wytarcie trzy i jeszcze trzy, żeby się ubrać. Plus pięć minut na nieprzewidziane okoliczności. W sumie potrzebuję trzydziestu

trzech minut.

- Bardzo precyzyjnie.

- Dokładność jest cnotą.

Wyszła, a Reacher zaczął zdejmować stare ubranie. Było w dość kiepskim stanie. Nosił je przez parę dobrych dni, od Bolton w Dakocie Południowej. W kilku miejscach było zaschnięte błoto, w innych plamy krwi, jego i nie tylko jego. Zwinął zniszczone rzeczy w kulę i wepchnął do kosza na śmieci. Następnie bardzo starannie umył zęby i odkręcił wodę w prysznicu.

Umył włosy, namydlił się od stóp do głów, wyszorował i splukał. Osiem minut. Potem wyszedł spod prysznic i korzystając z myjki, umywalki napełnionej ciepłą wodą i lustra, zajął się twarzą.

Delikatnie usunął stwardniałe drobiny krwi i ostrożnie przemył otwarte rany. Namydlił górną wargę i mocno pociągał nosem, dopóki nie zaczął kichać. Wyleciały kawałki zakrzepłej krwi wielkości ziarenek grochu.

Wszedł pod prysznic i jeszcze raz umył się od stóp do głów. Wytrzeł się, ubrał i palcami przeczesał włosy. Do jednej kieszeni spodni wsunął stary paszport i kartę bankomatową, a do drugiej szczoteczkę do zębów. Do kieszeni kurtki schował klucz z motelu grubasa. Połknął aspiryny, popijając wodą z kranu. Następnie znalazł krem dezynfekujący i plastry i otworzył okno, żeby wypuścić parę i oczyścić lustro.

W alejce stała Julia Sorenson, obserwując okno.

Rozmawiała przez telefon. Nie była to dla niej miła rozmowa. Kłóciła się, ale uprzejmie.

Reacher domyślił się, że chyba z szefem. Stąd ta powściągliwość. Nie słyszał, co mówiła Sorenson ani jej rozmówca, ale uznał, że naczelnik w końcu odsuwa ją od sprawy, a ona stara się go nakłonić, żeby ją zostawił. Używała wszystkich dostępnych argumentów. Wolną ręką młóciła powietrze, odsuwając na bok zastrzeżenia i stawiając na pierwszym planie najbardziej przekonujące powody. Używała gestów, aby nadać głosowi wyraz. Zdaniem Reachera telefon to marny środek łączności. Nie pozwala wykorzystać mowy ciała i jej niuansów.

Znów spojrzął w lustro i osuszył skaleczenia papierem toaletowym. Następnie wycisnął na nie cieniutkie wałeczki kremu antyseptycznego. Starł nadmiar i osuszył nienaruszone fragmenty skóry. Na największą ranę nalepił plaster. Drugi na drugiej co do wielkości. Wrzucił śmieci do kosza, zamknął okno w łazience i poszedł do sypialni. Spojrzął na swoje odbicie w lustrze wiszącym obok szafy. Nowe ubranie leżało całkiem nieźle. Włosy

też wyglądały dobrze. Za to twarz okropnie. Na pewno nie jak z obrazka. Chociaż nigdy taka nie była, ale z pewnością wyglądała o wiele lepiej niż przed godziną. O niebo lepiej. Prawie przypominała ludzką.

Wyszedł na parking. Samochód Sorenson stał tuż przed wyjściem. Agentka opierała się o przedni błotnik. Reacher przypuszczał, że opuściła alejkę, gdy tylko zamknął okno w łazience.

I sprintem pobiegła przed motel. Nie po to, by go powitać, ale żeby mieć pewność, że nie ucieknie.

- Nieźle doprowadziłeś się do porządku - zauważyła. To było w jej twarzy. W jej głosie. Nie poczucie krzywdy.

Nie złość. Nawet nie rozczarowanie. Raczej zaskoczenie i konsternacja.

- Co? - spytał Reacher.

- Miałam telefon.

- Widziałem.

- Dzwonił naczelnik.

- Domyśliłem się. Odebrał ci sprawę?

Pokręciła głową. Po czym pokiwała.

- Zgadza się, nie prowadzę już tej sprawy. Ale nie dlatego, że mnie odsunął.

- No to dlaczego?

- Bo nie ma sprawy. Już nie ma.

- Co to znaczy?

- Że od dwudziestu minut nie toczy się żadne śledztwo. Co jest zresztą logiczne, bo z danych Federalnego Biura Śledczego wynika, że dziś w nocy w Nebrasce nic się nie stało. Zupełnie nic.

43

- Zrobili odwrotnie - mówiła Sorenson. - Nie rozpętali szaleństwa, tylko nabrali wody w usta.

Zamiast wielkiego wybuchu jest czarna dziura. Wymazują to z historii. Prawdopodobnie na żądanie CIA. Albo Departamentu Stanu. Coś podejrzanego. Jakiś pic, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe. - Zanim Reacher zdążył odpowiedzieć, znów zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz i zapytała: - Skąd jest kierunkowy czterysta pięć?

- Z południowozachodniej Oklahomy - odrzekł Reacher. - Pewnie Lawton. Wojsko.

Odebrała, słuchała przez chwilę i podziękowała rozmówcy. Potem się rozłączyła i

zwróciła do Reachera:

- Matka Sill potwierdza, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku mieli w czynnej służbie niejakiego Petera Jamesa Kinga. Był dwokiem, czyli zupełnie nie wiem kim.

- DWO5, drużyna wsparcia ogniowego - wyjaśnił Reacher. - Jednak nie zmar. Nie doceniłem go.

Pewnie wysunięty obserwator. To w większości sprytni chłopaki.

Specjalność trzynastego, co oznacza, że zamiast z samymi królami wojny działał z prostą piechotą albo skromną dywizją pancerną. Potwierdzili, że ma brata Alana?

- Nie, ale też nie zaprzeczyli. Chcą jednak papierów.

- Co się stało z Peterem?

- Odszedł do cywila jako sierżant sztabowy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

- W tym roku co ja. Gdzie teraz mieszka?

- Matka Sill dokładnie nie wie. Według ostatnich informacji pracował w firmie ochroniarskiej w Denver w Kolorado. Tak się składa, że tam właśnie przyjechał denat.

- Zbieg okoliczności - uznał Reacher. - Alan King mówił, że ze sobą nie rozmawiają.

- Uwierzyłeś mu?

- Najwyraźniej powiedział prawdę o Peterze i jego służbie wojskowej. Dlaczego miałby kłamać, że ze sobą nie rozmawiają?

- Ilu mieszkańców ma Denver? - spytała Sorenson.

- Około sześciuset tysięcy - odrzekł Reacher. - Obszar metropolitalny między dwa i pół a trzy miliony, w zależności od tego, jak się mierzy. Za małe i za duże, żeby pasowało do półtora miliona, o którym wspominał King.

- Skąd wiesz takie rzeczy? Ludność i numery kierunkowe?

- Lubię informacje. Fakty. Denver zostało nazwane na cześć Jamesa W. Denvera, który był wtedy gubernatorem Terytorium Kansas. Niejaki Larimer spekulujący ziemią chciał mu się podlizać. Liczył na to, że się wzbogaci, kiedy gubernator przeniesie tam siedzibę okręgu. Nie wiedział tylko, że gubernator ustąpił ze stanowiska. Poczta dochodziła wtedy wolno. A potem powstało nowe miasto i tak włączono je do Kolorado, nie do Kansas. Kierunkowy trzysta trzy.

- Wsiadaj do samochodu - poleciła Sorenson.

- Mam prowadzić przez resztę drogi?

- Nie. Nie możesz siedzieć za kierownicą mojego wozu.

W ogóle nie powinnam pozwalać ci siedzieć z przodu.

- Z tyłu nie pojedę.

Sorenson nie odpowiedziała. Zająli swoje poprzednie miejsca. Sorenson wyjechała z parkingu przed motelem i ruszyła w kierunku autostrady. Skręciła we wjazd i przyspieszyła. Na wschodzie zebrały się deszczowe chmury. Brzydka pogoda gonila ich przez całą drogę. Sorenson, nie patrząc, włożyła komórkę do stacji na desce rozdzielczej. Aparat wydał krótki sygnał na znak, że zaczął się ładować, ale natychmiast znów zaczął dzwonić, już nie słabo i piskliwie, ale potężnie i donośnie przez głośniki. Sorenson odebrała, a Reacher usłyszał głos mężczyzny informującego ją, że zgodnie z poleceniem jest w drodze do wskazanego miejsca na południowy wschód od Des Moines.

Sorenson rozłączyła się i powiedziała:

- Mój zespół kryminalistów jedzie do Delfuenso.

- Właśnie o niej powinniśmy porozmawiać - odparł Reacher. - Jak FBI może zamknąć sprawę, skoro zginęła niewinna osoba?

- Takie rzeczy już się zdarzały.

- Przecież fakty nie znikają.

- Nie kwestionujemy, że Delfuenso zmarła. Co dzień umiera mnóstwo ludzi.

- Jak zmarła?

- Nikt nie wie. Pojechała swoim samochodem do sąsiedniego stanu. Samochód się zapalił. Może samobójstwo. Może wzięła jakieś tabletki i wypaliła ostatniego papierosa.

I rzuciła niedopałek. Nigdy się nie dowiemy, bo dowody zostały zniszczone w pożarze. Fiolka po tabletkach i tak dalej.

- Tak wygląda scenariusz twojego szefa?

- Teraz to sprawa lokalna. Zajmie się nią szeryf Goodman. A właściwie się nie zajmie, bo jego też na pewno przywołają do porządku.

- A zaginiony świadek? Też zostanie usunięty?

Sorenson wzruszyła ramionami.

- Nic nieznaczący robotnik rolny, który ostro pije, mieszka w wynajętym domu i z nikim nie łączy go trwałe związki? Tacy ludzie ciągle znikają. Niektórzy wracają, niektórzy nie.

- To wszystko też jest w scenariuszu?

- Wszystko da się w miarę przekonująco wyjaśnić. Niezbyt ogólnie, ale i niezbyt szczegółowo.

- Jeżeli sprawę zamknięto dwadzieścia minut temu, to dlaczego nadal do ciebie

dzwonią? - zastanawiał się Reacher. - Najpierw z Matki Sill, a teraz twój technik?

Sorenson milczała przez chwilę, po czym odrzekła:

- Bo mają numer mojej komórki. Dzwonią bezpośrednio do mnie. Nie przez biuro terenowe.

Jeszcze nie dostali notatki.

- A kiedy dostaną?

- Mam nadzieję, że nieprędko. Zwłaszcza moi technicy. Muszę wiedzieć, jak King i McQueen zatrzymali Delfuenso na tylnym siedzeniu. Siedziałbyś spokojnie w takiej sytuacji? Podpalają samochód, a ty siedzisz jak gdyby nigdy nic? Dlaczego? Dlaczego się nie bronisz?

- Najpierw ją zastrzelili. To jasne. Już nie żyła.

- Taką mam nadzieję.

- Być może nigdy nie uda im się niczego udowodnić.

- Wystarczy mi tylko wskazówka. Większe prawdopodobieństwo. A to mogę dostać.

Moi ludzie to dość dobrzy fachowcy.

- Twój szef na pewno ich odwoła.

- Nie wie, że tam pojechali. A ja nie zamierzam go informować.

- Nie zameldują się?

- Tylko mnie. Jestem dla nich główną osobą kontaktową. Szybko pokonała następny kilometr.

Reacher siedział obok niej w milczeniu. Wciąż mieli słońce za plecami. Rzuciło cienie. Deszczowe chmury wisiały nisko, ale się zbliżały. Horyzont po drugiej stronie był czy sty.

- Jeżeli sprawy już nie ma - odezwał się Reacher - to biuro terenowe w Omaha nie musi już pokazywać, co udało się zrobić w ciągu nocy. Bo w nocy nikt nic nie robił. Bo w Nebrasce nic się nie wydarzyło.

Sorenson milczała.

- I jeżeli sprawy już nie ma - ciągnął Reacher - komu jest potrzebny podejrzany albo ważny świadek? Nikt nic nie zrobił i nikt niczego nie widział. Przecież nic się nie wydarzyło.

Cisza.

- A jeżeli nie toczy się już śledztwo, to nie będziesz miała dla mnie żadnych nowych informacji.

Sorenson milczała.

- No więc co ja jeszcze robię w tym samochodzie?

Sorenson milczała.

- Dla mnie też jest miejsce w tym scenariuszu? - zapytał Reacher. - Dla nic nieznaczącego bezrobotnego i bezdomnego weterana? Którego z nikim nie łączą trwale związki? I nie ma nawet wynajętego domu? Tacy jak ja ciągle znikają, zgadza się? Co dla wszystkich zainteresowanych byłoby bardzo wygodne. Bo jestem ostatnim żywym człowiekiem, który może powiedzieć, że to bzdura. Wiem, co się stało. Widziałem Kinga i McQueena. Widziałem z nimi Delfuenso. Wiem, że nie pojechała sama do sąsiedniego stanu. Wiem, że nie wzięła żadnych tabletek. I co, mnie też wymażą?

Sorenson milczała.

- Julio, rozmawiałś o mnie ze swoim szefem, kiedy brałem prysznic? - drążył Reacher.

- Tak - odrzekła Sorenson.

- I jakie dostałaś rozkazy?

- Mam cię przywieźć.

- Po co? Jaki jest plan?

- Nie wiem. Muszę cię przywieźć na parking. Tylko tyle mi powiedział.

44

Reacher przez długą minutę analizował inny wariant poprzedniego problemu: próba zaatakowania kierowcy z fotela pasażera, gdy samochód jechał z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę publiczną drogą, pod względem technicznym stanowiła niezwykle trudne zadanie. Bardziej niż trudne - prawie na pewno niemożliwe, mimo pasów bezpieczeństwa i poduszek powietrznych. Za duże ryzyko. Wokół nich jest za dużo niewinnych postronnych osób.

Ludzi jadących do pracy, starszków odwiedzających krewnych.

- Przykro mi - powiedziała Sorenson.

- Mama zawsze mi powtarzała, że nie powinienem nigdy stawiać siebie na pierwszym miejscu.

Tym razem niestety muszę to zrobić. Jakie będziesz miała kłopoty, jeżeli mnie nie przywieziesz?

- Ogromne.

Nie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

- W takim razie chcę, żebyś mi coś przysięgła. Podnieś prawą rękę.

Spełniła jego prośbę. Oderwała rękę od kierownicy i uniosła ją mniej więcej na wysokość barku, ani wolno, ani szybko - gestem dobrze wyćwiczonym przez funkcjonariusza

służby publicznej.

Reacher odwrócił się w jej stronę i lewą ręką chwycił za przegub, raz, potem przechylił się, sięgając prawą ręką pod jej żakiet i wyciągając glocka z kabury na biodrze, dwa. Następnie wyprostował się, trzymając broń w luce między swoją nogą a drzwiami.

Trzy.

- To podstęp - zaprotestowała Sorenson.

- Przepraszam. Ciebie i moją mamę.

- I przestępstwo.

- Prawdopodobnie.

- Zamierzasz do mnie strzelić?

- Prawdopodobnie nie.

- Jak więc to rozegramy?

- Wysadzisz mnie skrzyżowanie przed swoim biurem, ale powiesz im, że zgubiłem się trzydzieści kilometrów wcześniej, żeby zaczęli mnie szukać nie tam, gdzie trzeba. Może za trzymaliśmy się na stacji benzynowej. Może poszedłem do toalety i dałem nogę.

- Dostanę z powrotem broń?

- Tak - uspokoił ją Reacher. - Skrzyżowanie przed swoim biurem.

Sorenson jechała w milczeniu. Reacher także się nie odzywał, myśląc o dotyku skóry na jej nadgarstku i ciepłe jej brzucha i biodra, które musnął wierzchem dłoni, sięgając do kabury.

Bawełniana bluzka, a pod nią ciało, trochę twarde, trochę miękkie.

Przejechali międzystanową przez południową część Council Bluffs w Iowa, przeprawili się mostem przez Missouri i znaleźli w stanie Nebraska, w samym Omaha. Autostrada przecinała środek miasta, mijając tablice wskazujące zoo i park, biegnąc obok leżących na północy dzielnic mieszkaniowych oraz leżącego na południu nierównego i gęsto zabudowanego pasa budynków handlowych i przemysłowych. Wreszcie autostrada skręcała łukiem w lewo, a Sorenson pojechała dalej prosto, ulicą biegnącą ze wschodu na zachód przez centrum części przemysłowej. Tu charakter zabudowy się zmienił. Bardziej przypominał park handlowy. A raczej park biurowy. Były tu rozległe trawniki, skwery i ogrody. Niewysokie białe budynki stały w odległości kilkuset metrów od siebie, a oddzielały je ogromne płaskie parkingi. Reacher spodziewał się bardziej śródmiejskiego krajobrazu. Wyobrażał sobie wąskie ulice, ceglane mury i zaułki, alejki i bramy.

Spodziewał się normalnego labiryntu centrum miasta.

- Gdzie dokładnie jest ten budynek? - zapytał.

Sorenson wskazała punkt za następnymi światłami, na zachód i trochę na północ od nich.

- Tam - powiedziała.

Z odległości dwustu metrów Reacher zobaczył tył długiego białego gmachu, nowego, cztero - lub pięciopiętrowego. Za nim, a także po prawej i po lewej rozciągały się szerokie trawiaste pasy zieleni. Dalej znajdował się gigantyczny parking następnej firmy. Wszędzie było płasko i pusto. Nie było dokąd uciec ani gdzie się ukryć.

- Jedź dalej - polecił. - Tu nie jest dobrze.

Sorenson już zwolniła.

- Mówiłeś, że skrzyżowanie przed.

- Ale między ulicami nie ma normalnych kwartałów, tylko boiska futbolowe.

Przejechała przez światła. Tuż za białym budynkiem Reacher zobaczył mały parking z ustawionymi w równych rzędkach samochodami służbowymi i nieoznakowanymi wozami. Kilka metrów dalej stał samotny ford crown victoria zaparkowany ukośnie, a obok czarna furgonetka.

Między tymi dwoma pojazdami kręcili się czterej mężczyźni, przytupując i kuląc się w kurtkach, popijając kawę i zabijając czas pogawędką. Czekali.

Niewykluczone, że na niego.

- Znasz ich? - spytał.

- Dwóch - powiedziała Sorenson. - To ci z wydziału do walki z terroryzmem, którzy w nocy przyjechali z Kansas City. Nazywają się Dawson i Mitchell.

- A tamtych dwóch?

- Nigdy ich nie widziałam.

- Jedź dalej.

- Nie mógłbyś przynajmniej z nimi pogadać?

- To zły pomysł.

- Przecież niczego ci nie mogą zrobić.

- Czytałaś Patriot Act6?

- Nie - przyznała Sorenson.

- A twój szef?

- Wątpię.

- No więc mogą mi zrobić, co im się tylko spodoba. Bo kto im powie, że nie mogą?

Sorenson zwolniła jeszcze bardziej.

- Nie skręcaj, Julio - upierał się Reacher. - Jedź dalej.

- Podał im orientacyjną godzinę przyjazdu. Niedługo zaczną mnie szukać.

- Zadzwoń do nich i powiedz, że masz awarię i stoisz gdzieś na poboczu. Złapałeś gumę.

Powiedz im, że jesteście jeszcze w Iowa. Albo że pomyliliście jazdy i skręciliście do Wisconsin.

- Namierzają moją komórkę. Może już namierzyli.

- Jedź dalej - powtórzył Reacher.

Sorenson łagodnie przyspieszyła. Minęli bok białego budynku w odległości około stu metrów. Od frontu biegł szeroki kręty podjazd. Fasada wyglądała nowoczesnie i robiła wrażenie.

Dużo szkła. Wydawało się, jakby nikt tam nie pracował. Panował spokój. Reacher odwrócił głowę i patrzył, jak budynek za nimi znika.

- Dziękuję - powiedział.

- Dokąd chcesz teraz jechać? - spytała Sorenson.

- Wystarczy jakiś kilometr stąd.

- I co potem?

- Potem się pożegnamy.

Ale nie oddalili się o kilometr ani nie pożegnali. Ponieważ zadzwonił telefon Sorenson. Agentka odebrała, a Reacher usłyszał męski głos, rozgorączkowany i z wyraźną nutą paniki.

- Pani Sorenson? Mówi szeryf Victor Goodman. Zniknęła córka Karen Delfuenso. Zabrali ją jacyś ludzie.

45

Sorenson mocno wcisnęła hamulec, szarpnęła kierownicą, błyskawicznie zawróciła i pomknęła z powrotem w kierunku autostrady, mijając budynek FBI, front, potem bok, parking z tyłu i pędząc dalej drogą, którą przyjechali przed kilkoma minutami. Głos w telefonie opowiedział szczegółowo całą historię. Szeryf Victor Goodman, jak się domyślił Reacher, to miejscowy stróż prawa, który w nocy jako pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia sto trzydzieści kilometrów stąd. Sprawiał wrażenie dobrego fachowca, ale był wyraźnie zmęczony, zestresowany i zagubiony.

- Z samego rana powiedziałem małej, że jej mama zaginęła - zaczął. - Uznałem, że lepiej będzie zrobić to łagodniej. Rozumie pani, w dwóch etapach. Powiedziałem sąsiadce, że

nie powinna dzisiaj puszczać dziewczynek do szkoły. Poprosiłem, żeby też została z nimi w domu. Ale wyszła.

Bała się o pracę. Zostawiła je same. Pomyślała, że nic złego się nie stanie. Ale się stało. Zajrzałem tam jeszcze raz, żeby sprawdzić, co się dzieje, i w domu była tylko córka sąsiadki. Sama.

Powiedziała mi, że przyszli jacyś ludzie i zabrali córkę Delfuenso.

- Kiedy? - spytała Sorenson.

- To dziesięcioletnie dziecko. Nie potrafi konkretnie odpowiedzieć. Przypuszczam, że jakąś godzinę temu.

- Ilu ludzi?

- Naprawdę nie wie.

- Jeden, dwóch? Kilkunastu?

- Na pewno więcej niż jeden. Powiedziała „ludzie”, nie „człowiek”.

- Rysopisy?

- Po prostu ludzie.

- Biali? Czarni? Młodzi? Starzy?

- Na pewno biali, inaczej by powiedziała. W końcu to Nebraska. Nie ma pojęcia, w jakim byli wieku. Dla dziesięciolatki wszyscy dorośli wyglądają staro.

- Ubranie?

- Nie pamięta.

- Samochód?

- Nie potrafi go opisać. Nie jestem pewny, czy w ogóle go widziała. Twierdzi, że tak, i mówi, że przyjechali samochodem, ale to mógł być pickup, terenowy, osobowy, wszystko.

- Kolor?

- Nie przypomina sobie. Jeżeli naprawdę go widziała. Mogła tylko przypuszczać.

Prawdopodobnie nigdy w życiu nie widziała pieszego. Na pewno nie tam.

- Pamięta, co mówili?

- Nie zwracała uwagi. Ktoś zadzwonił do drzwi i Lucy Delfuenso poszła otworzyć. Córka sąsiadki mówi, że zobaczyła w drzwiach ludzi, potem słyszała, że ktoś coś mówi, ale właściwie nie wychodziła z pokoju w głębi domu. Bawiła się. Była tym bardzo zajęta. Dopiero pięć minut później zorientowała się, że Lucy nie wróciła od drzwi.

- Dlaczego córka Delfuenso miałaby otwierać komuś drzwi w nie swoim domu?

- One widzą to inaczej. Obydwa domy traktują jak swój. Mieszkają w nich na zmianę.

- Przeszukał pan teren? Łącznie z domem Delfuenso?

- Wszyscy przy tym pracują. Nigdzie nie ma śladu Lucy.
- Rozmawiał pan z sąsiadem z przeciwka? Tym siwym?
- Nie było go. Wychodzi do pracy o szóstej rano. W czwartym domu niczego nie wi
dzieli.

- Dzwonił pan do stanowej?
- Oczywiście, ale nic im nie mogłem podać.
- Przy zgłoszeniu zaginięcia dzieci reakcja jest natychmiastowa, zgadza się?
- Ale co mogą zrobić? To mała komenda, a stan duży. Nie mogą wszystkich wszędzie
łapać.

- Dobra, spróbujemy to wyjaśnić - powiedziała Sorenson. - Już jadę. Tymczasem
powinien pan nadal szukać.

- Oczywiście. Ale mogą już być sto kilometrów stąd. Sorenson nie odpowiedziała.
Rozłączyła się, z rykiem silnika skręciła we wjazd i ruszyła na zachód z prędkością bliską stu
sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Po dziesięciu minutach szaleńczej jazdy Reacher oddał Sorenson glocka i zapytał:

- Twój szef zamierza zignorować również zaginięcie dziecka?

Sorenson wsunęła pistolet do kabury.

- Mój szef jest ambitnym człowiekiem. Marzy o większych rzeczach. Chce kiedyś
zostać zastępcą dyrektora. Dlatego robi to, co mu każą ci z Budynku Hoovera, wszystko
jedno, czy to będzie słuszne czy nie. A ci z Hoovera robią to, co każe CIA. Albo
Departament Stanu czy Bezpieczeństwa Krajowego, czy Gabinet Ovalny, czy kto w tej spra
wie pociąga za sznurki.

- To obłąd.

- Tak wyglądają współczesne organy ścigania. Powinieneś się przyzwyczaić.

- Jaką swobodę działania dostaniesz?

- Żadnej, kiedy tylko się zorientują, gdzie jestem.

- To nie odbieraj telefonów.

- Nie zamierzam. W każdym razie kilku pierwszych.

- A potem?

- Będą nagrywali wiadomości. Przysyłać SMSy i emaile. Nie mogę sobie pozwolić na
samowolę.

Nie mogę lekceważyć rozkazów.

Reacher nie odpowiedział.

- A ty byś to zrobił? - zapytała Sorenson. - Robiłeś kiedyś coś takiego?

- Czasami.

- A teraz jesteś bezdomnym i bezrobotnym weteranem, którego z nikim nie łączą trwale związki.

- Otóż to. Taki krok nigdy nie jest łatwy. Ale możesz zacząć. Możesz coś zrobić, zanim cię zablokują.

- Jak?

- Motyw - rzekł krótko Reacher. - Nad tym trzeba się zastanowić. Kto mógłby porwać dziecko nieżyjącej kobiety? I po co? Zwłaszcza dziecko, które nie wie, co się stało z jego mamą?

- Przecież to nie mógł być zbieg okoliczności. Musiał być jakiś związek. To nie ojciec przyszedł porwać córkę po jakiejś kłótni o opiekę nad dzieckiem. To nie żaden grasujący w okolicy pedofil.

- Może szukali córki sąsiadki? I pomylili dziewczynki. Zapukali przecież do domu sąsiadki. Ona też jest rozwiedziona?

- Reacher, to nie jest zbieg okoliczności.

- No więc co?

- Nie wiem.

- Ja też nie. Bo nie ma w tym żadnego sensu.

Szeryf Goodman nie spał od trzydziestu godzin. Był półprzytomny i ledwie trzymał się na nogach. Pracował jednak dalej. Nie było powodu przypuszczać, że porywacze zostali w pobliżu, mimo to kazał swoim ludziom przetrząsnąć wszystkie puste budynki, stodoły, baraki, wiaty i opuszczone domy. Sam zaglądał do miejsc, do których oni nie dotarli. Niczego nie znaleziono.

W radiu odzywały się zmęczone głosy informujące, że poszukiwania nie przyniosły rezultatów.

Na koniec wrócił przed dom sąsiadki Delfuenso. Zaparkował i siedział w samochodzie, walcząc z sennością. Próbując zmusić się do myślenia. Przypominał sobie, jak rano mała zachowywała się na werandzie. Milczała, nic nie rozumiejąc, grzecznie kiwała głową, wierciła się. Jest wiejską dziewczynką. Ma dziesięć lat. Trudno ją uznać za cudowne dziecko. Uwierzyłaby każdemu, kto uchodził za dorosłego. Przekonałby ją każdy, kto powołałby się na swoją wiedzę i autorytet.

Dałaby się nabrać na każdą obietnicę. „Chodź z nami, dziewczynko. Znaleźliśmy

twoją mamusię.

Zaprowadzimy cię do niej”.

Ale kto to był?

Kto w ogóle wiedział, że Delfuenso zaginęła? Oczywiście wszyscy jego ludzie, sąsiedzi i przypuszczalnie część mieszkańców. I sprawcy. Ale po co najpierw zabili jej matkę, a potem wrócili po córkę?

Po co?

Wysiadł z samochodu, żeby w chłodzie odzyskać jasność myśli. Przez minutę przechadzał się ciężkim krokiem, po czym oparł się o przedni błotnik po stronie pasażera. Ogrzewał się ciepłem bijącym od komory silnika. Na wschodzie padało. Widział tam chmury. Pędziły w jego stronę.

Następnie spojrzął na dwa domy, Delfuenso i jej sąsiadki, szukając inspiracji.

Niczego takiego nie znalazł. Popatrzył na błotnistą nawierzchnię. Błoto przecinały krzyżujące się ślady opon jego samochodu. Jak spisana gumą, ziemią i błotem kronika jego niepowodzeń. W ciągu kilku godzin parkował na tej ulicy cztery razy. Pierwszy raz, gdy błyskawicznie przyjechał tu w środku nocy spod domu Missy Smith. Z Sorenson. Potem wczesnym rankiem, sam, żeby przekazać wiadomość małej. Trzeci raz, żeby sprawdzić, co się dzieje, jak dobry opiekun swoich obywateli, kiedy odkrył, że Lucy zaginęła. I wreszcie teraz, po nieudanym i bezowocnym przeszukaniu okolicy. Jak na cztery wizyty śladów było bardzo dużo. Proste i biegnące łukiem, w przód, w tył, w prawo i w lewo. W dwóch miejscach nawierzchnia była w tak złym stanie, że błoto zebrało się w kałuże szerokości prawie dwóch metrów. Jak asfaltowe jeziora. Było widać, że przejechał przez obydwa.

Ale nikt inny poza nim.

Dla pewności sprawdził jeszcze raz, tym razem ostrożnie obchodząc ślady, żeby nie zdeptać dowodów. Albo ich braku. O ile się nie mylił, w błocie odcisnęły się tylko jego opony. Przed domem Delfuenso ani przed domem jej sąsiadki nie zauważył śladów innych kół. Tylko znajomy i mało ciekawy bieżnik michelinów jego fordą crown victorii. Samochodowy odpowiednik generycznej aspiryny. Dobrze znał te opony. Odpowiadał za budżet biura szeryfa. Zamówił je przez internet w hurtowni zaopatrzenia policji w Michigan. Niska cena, bez podatku, pełna gwarancja.

Dostarczono je pocztą i pojechał założyć je w serwisie ogumienia Phila Abelsona w sąsiednim okręgu. Phil zawarł z nim układ, dając mu niską cenę w zamian za stałą umowę. Był sprytnym gościem.

Goodman wszedł do samochodu, odjechał kawałek i zaparkował na wzniesieniu

pośrodku drogi, gdzie asfalt był suchy i czysty. Wysiadł i bez przeszkód sprawdził jeszcze raz.

Był już pewny.

Nie było żadnych innych śladów z wyjątkiem tych pozostawionych przez jego stare tanie micheliny P225/60R/16, po dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów za sztukę, plus pięć za za montowanie i wyważenie kół.

Córka sąsiadki nie widziała żadnego samochodu, bo żadnego samochodu tu nie było.

Lucy Delfuenso została uprowadzona przez pieszych porywaczy.

Tylko jaki to ma sens na pustkowiach Nebraski?

46

Sorenson zjechała z autostrady międzystanowej dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed mniej więcej dwunastoma godzinami Reacher wsiadł do samochodu. Zobaczył wjazd, gdzie stał w ciemności i chłodzie. Przypomnił sobie helikopter i chevroleta impalę, hamującego dziesięć metrów przed nim, Alana Kinga i Dona McQueena, którzy odwrócili się do tyłu, aby przestrzec Karen Delfuenso. Przypomnił sobie, jak Alan King zapytał go, dokąd się wybiera. „Jadę na wschód”, odpowiedział. „Aż do Wirginii”.

Niezupełnie.

Misja nie zakończyła się pomyślnie.

Sorenson jechała na południe, w głąb rejonu, którego Reacher dotąd nie widział, lokalną drogą prostą jak wszystkie drogi w Iowa. Ale krajobraz po lewej i prawej wyglądał nieco inaczej.

Wydawał się trochę bardziej surowy i nieprzyjazny. Nie taki sielski. Trzydzieści kilo metrów od nich po lewej ze wschodu nadciągały chmury. Horyzont pod nimi przysłaniała mętna mgiełka zacinającego deszczu. Tego samego deszczu, który padał w Iowa na spalonego chevroleta impalę i na motel grubasa. Deszcz ścigał ich powoli, lecz uparcie, jak posłaniec ze złą wiadomością, której nie można zignorować.

Sorenson najwyraźniej też zobaczyła wjazd na wschodnią nitkę autostrady i wyciągnęła oczywisty wniosek.

- To tutaj cię zabrali, zgadza się?

Reacher skinął głową.

- Stałem trochę ponad półtorej godziny. Minęło mnie pięćdziesiąt sześć samochodów. Ich był pięćdziesiąty siódmy.

- A gdyby cię tam wtedy nie było? Gdyby nie było nikogo? Nie mieliby zasłony dym

nej.

- Delfuenso była zasłoną dymną.

- Ale gdybym szybciej na to wpadła? I od początku w komunikacie byłaby mowa o poszukiwaniu trzech osób? Może z numerem rejestracyjnym w roli wisienki na torcie.

- Byli uzbrojeni - przypomniał Reacher. - Mogliby przejechać przez blokady. Albo przystawić Delfuenso pistolet do głowy. To by mogło zadziałać. Nie przypuszczam, żeby Nebraska czy Iowa organizowały swojej policji takie szkolenia.

- Duże ryzyko.

- Do czego zmierzasz?

- Wyruszyli z miejsca na południe od międzystanowej i dotarli do punktu na południe od międzystanowej. Nie mogli mieć pewności, że spotkają autostopowicza. Zwłaszcza w środku zimy.

I wiedzieli, gdzie będą blokady, gdyby w ogóle były. Dlaczego więc nie pojechali prosto na wschód bocznymi drogami? Po co w ogóle ryzykowali jazdę autostradą?

- W pewnym momencie powiedzieli, że jadą do Chicago.

- Ilu mieszkańców ma Chicago?

- Miasto około trzech milionów, obszar metropolitalny osiem milionów. Numery kierunkowe trzysta dwanaście i siedemset siedemdziesiąt trzy.

- Uwierzyłeś, że jadą do Chicago?

- Nie bardzo. Po namyśle nie. Zbyt ambitny cel. Za daleko, żeby dotrzeć w ciągu nocy.

- No więc dlaczego wybrali międzystanową?

Deszczowe chmury były coraz bliżej. Nadciągały niczym czarna ściana. Słońce zniknęło.

Reacher poczuł wściekłe uderzenia wiatru o samochód. Mieli przed sobą prostą i równą drogę, porządną, dwupasmową, ale nie wąską. Rzadko zdarzały się zakręty w lewo i w prawo, a drogi biegnące ze wschodu na zachód były czymś niewiele lepszym od wybetonowanych ścieżek między polami. Wyglądały jak wymarłe, jakby prowadziły donikąd.

- Masz jakąś mapę? - zapytał Reacher.

- Tylko elektroniczną.

Włączyła GPS i Reacher zobaczył, jak urządzenie szuka satelity. Na małym ekranie pojawił się nowy rysunek i samochód zmienił się w pulsującą strzałkę sunącą po grubej szarej linii. Cieńsze szare linie oznaczały drogi po lewej i prawej.

- Jeżeli chcesz, możesz powiększyć albo pomniejszyć - poinformowała go Sorenson.

Reacher znalazł odpowiednie przyciski i powiększył mapę. Strzałka pozostała w takim samym rozmiarze, ale linie się zmniejszyły. Droga z północy na południe, którą jechali, była główną arterią, ale nie miała żadnego odpowiednika prowadzącego z zachodu na wschód aż do skrzyżowania pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, w którym teraz byli.

- Tam jedziemy - powiedziała Sorenson. - Dokładnie tam jest stara pompownia.

W przeciwnym kierunku najbliższa główna droga ze wschodu na zachód przebiegała dość daleko na północ od autostrady.

- Pewnie zależało im na szybkości - uznał Reacher. - Jeżeli musieli się gdzieś dostać przed świtem, być może nie mieli wyboru, jak tylko pojechać międzystanową. Ale zgadzam się, że się narażali. I nie jestem pewny, jak bardzo zależało im na czasie. Ktoś ich przecież zabrał. Mogli się umówić znacznie bliżej. W sumie wydawałoby się bardziej logiczne, gdyby od skrzyżowania pojechali prosto na wschód, zamiast na północ. Tamta droga wygląda na równie wygodną jak ta. Na pewno prowadzi aż do Iowa.

Na przednią szybę spadły pierwsze ciężkie krople. Sorenson włączyła światła i wycieraczki.

Półtora kilometra na wschód od nich już lał rzęśisty deszcz.

Szeryf Goodman zobaczył chmury. Jego samochód nadal stał zaparkowany na środku drogi.

Szeryf znów stał oparty o błotnik. Uznał, że porwanie dziecka to niedorzeczność. Gdyby ktoś maszerował cały dzień, w Nebrasce nigdzie by nie doszedł. Dlatego zastanawiał się, czy porywacze mogli zaparkować w miejscu, gdzie stoi teraz jego wóz, daleko od błota. Może byli skrupulatni?

A może zobaczyli błoto i przewidując kłopoty, postanowili uniknąć ryzyka pozostawienia śladów?

Może obawiali się świadków i w związku z tym zaparkowali w niewidocznym miejscu, kilkaset metrów dalej? Wtedy jednak i tak byliby widoczni przez kilka dobrych minut. Dwóch lub więcej pieszych musiałyby nadejść nie wiadomo skąd, a potem wrócić z dzieckiem, które prawdopodobnie trochę się opierało.

Nagle spadły pierwsze grube krople. Goodman patrzył, jak rozpryskują się na błocie. Spojrzał w niebo. Doszedł do wniosku, że zapowiada się krótka gwałtowna ulewa. Nic nadzwyczajnego.

Ogromne zasoby podziemnych wód w stanie muszą skądś pochodzić. Ostatni raz przyjrzał się zabłoconej jezdni. Niebawem błoto przejdzie w stan płynny, a potem przykryje

je cienka warstewka mułu naniesionego przez wodę z pól, drobnego jak talk. Nie przejmował się tym.

Śledztwo nie ucierpi. Nie straci dowodów, ponieważ nie ma tu dowodów do stracenia.

Deszcz nieco przybrał na sile i szeryf oderwał się od błotnika. W każdym razie próbował. Poczul nagły, ostry ból w barkach. I w ramionach. A potem potworny, tępy ból pośrodku klatki piersiowej.

Jak zgaga. Ale to nie była zgaga.

Goodman nic nie jadł.

Nie mógł oddychać. Nie mógł się poruszyć. Ucisk w piersi przypominał ciasną kłamrę. Ugięły się pod nim kolana. Zsunął się po śliskim lakierze błotnika. Przez chwilę siedział na piętach. Czuł, jak w plecy wrzyna mu się krawędź wnęki koła. Czuł zapach opony. Czuł zapach deszczu. Nie mógł poruszyć rękami.

Przewrócił się na bok i opadł na plecy. Zobaczył nad sobą czarne chmury. Poczul na twarzy deszcz. Niewidzialna siła miażdżyła mu pierś. Jakby upuszczono na nią ogromny ciężar. Tak jak dawno temu na siłowni, kiedy odsunął się jego asekurator i nagle szyję przygniotła mu dziewięćdziesięciokilogramowa sztanga. Nie mógł nawet krzyknąć. Tak jak teraz. Brakowało mu powietrza w płucach. Nie był w stanie się poruszyć. Walczył przez chwilę, ale zaraz dał za wygraną, bo nagle ogarnęła go dziwna pewność, że nie poruszy się już nigdy.

Uspokoił się.

Stracił czucie w rękach i nogach. Jakby ich w ogóle nie miał. To go zaciekało. Śmierć zaczyna się od kończyn. Jego ciało błyskawicznie sprawdzało długą listę, wykreślając z niej po kolei zbędne elementy. Zwierzęcy organizm stojący na zawrotnie wysokim stopniu ewolucji, zaprogramowany w taki sposób, aby jak najdłużej podtrzymać swoją podstawową funkcję. Zaprogramowany tak, aby móc bezlitośnie przedefiniować tę funkcję z sekundy na sekundę. Nogi? Po co komu nogi? Ręce?

Po co ręce? Liczy się tylko mózg. Mózg umrze na samym końcu.

Cztery minuty, pomyślał. Taka liczba przyszła mu do głowy. Pamiętał ze szkolenia. Tonący w stawie człowiek, dziecko, które czymś się krztusi, mają cztery minuty, a potem serce przestaje bić. Czuł, jak jego życie maleje i przenosi się w górę, do głowy. Tylko tym teraz jest. Głową.

Mózgiem. Niczym więcej. I nigdy nie był niczym więcej. Żaden człowiek nie był niczym więcej.

Cogito ergo sum. „Myślę, więc jestem”. Nie było już bólu. Zmienił się w samodzielnie

funkcjonujący mózg. Jak bohater science fiction. Jak Marsjanin. Kosmita. Wciąż widział. Ale pole widzenia zaczęło ciemnieć na brzegach. Jak obraz w starym telewizorze. Tak to będzie wyglądało? Zrozumiał. Wreszcie. Znał odpowiedź na pytanie. Rozwiązanie zagadki. Wyłączy się jak stary czarnobiały telewizor, kurcząc się do rozmiarów maleńkiego punkciku żarzącego się pośrodku ekranu, który po chwili zniknie na zawsze.

47

Wycieraczki śmigają w górę i w dół, a krople deszczu bębnią o dach samochodu, odbijając się i lądując na poboczu. W półmroku Reacher zobaczył wysoko nad równiną jasno oświetlone logo firmy naftowej. Niecały kilometr stąd, pomyślał. Sorenson zerknęła na niego i powiedziała:

- Uwaga, zaraz zobaczysz. Miejscowi nazywają to Miastem Grzechu. Tu się wszystko zaczęło.

Zwolniła. Stacja benzynowa była po lewej. Sorenson skręciła jednak w prawo, na wysypany grubym żwirem parking za budynkiem z pustaków, bez szyldu. Z chrzęstem podjechała jeszcze kawałek i zatrzymała się za niskim beżowym budynkiem. Przy tylnym wyjściu stała zaparkowana czerwona mazda.

- Tu pracowała Delfuenso - wyjaśniła Sorenson. - To nocny bar. Tym czerwonym samochodem przyjechali od skrzyżowania King i McQueen.

Ruszyła dalej przez deszcz, podskakując na wybojach i rozpryskując kałuże. Zatrzymała się za kolejnym niskim budynkiem.

- Sklep - powiedziała. - Tutaj kupili koszule i wodę.

Następnie skierowała się na drogę, ale przed samym skrzyżowaniem przystanąła.

- Stąd pojechali na północ, a co się działo dalej, już wiesz.

Sorenson skręciła jednak w drugą stronę i ruszyła na południe. Reacher zobaczył puste pola soi z wodą stojącą w koleinach między skibami, dalej mokre i żalosne stare maszyny rolnicze na sprzedaż stojące na odcinku trzystu metrów przy drodze, a potem znów pola. Później wyłoniły się niskie budynki, z których rynien spływały strugi deszczówki, i małe skupiska wymarłych sklepików.

Dotarli do zabudowań miasteczka. Strzałka GPSu zbliżała się do skrzyżowania. Oś północ-południe miała się niebawem przeciąć z osią wschód-zachód. Mapa była dość dokładna. Jeśli ktoś chciał się dostać gdzieś dalej niż do miejscowego sklepiku, nie miał wyboru i musiał skorzystać z którejś z tych dwóch dróg.

Na skrzyżowaniu Sorenson skręciła na zachód i sto metrów dalej zatrzymała się przed

niskim betonowym bunkrem długości około sześciu metrów, szerokości czterech i pół i wysokości trzech metrów. Pozbawiony okien miał płaski betonowy dach i stare metalowe drzwi. Mokry od deszczu wydawał się teraz gładki i miał jasnobrązowy kolor.

- To jest ta stara pompownia? - spytał Reacher.

Sorenson skinęła głową.

- Denat leżał na posadzce. Świadek widział, jak King i McQueen odjeżdżali stąd czerwona mazdą.

Reacher spojrział przed siebie, do tyłu, w lewo i w prawo. Manipulując przyciskami GPSu, pomniejszył skalę mapy, która pokazywała teraz teren w promieniu trzydziestu kilometrów. Na ekranie nie było widać nic poza drogą północno-południową i wschodnio-zachodnią. Pozostałe, mało istotne szlaki zniknęły.

- Wydaje mi się, że King i McQueen byli nietutejsi - orzekł. - Prawdopodobnie przyjechali tu pierwszy raz. Być może zjechali z międzystanowej, tak samo jak my. Zobaczyli bary i bistra. Nie chcieli jechać czerwonym samochodem, więc wrócili tą samą drogą do jedynego miejsca, które widzieli i gdzie, jak sądzili, mogli zmienić wóz.

- No dobrze, ale dlaczego nie wrócili na to skrzyżowanie i nie skręcili na wschód?

- Z dwóch powodów. Nie są stąd, więc nie mogli wiedzieć, dokąd prowadzi ta droga.

Przypuszczam, że Delfuenso nie miała w samochodzie GPSu ani map w schowku. Co ważniejsze, przyjęli założenie, że na skrzyżowaniu od początku będą blokady. Cztery pieczenie na jednym ogniu. Jeżeli ktoś wybierał się na północ, południe, wschód czy zachód, musiał przejechać przez to skrzyżowanie. Szeryf postawił tu blokady?

- Nie - powiedziała Sorenson. - Chyba nie.

- Powinien. Popełnił błąd. Ale nic złego się nie stało, bo i tak uciekli w przeciwną stronę.

Pojechali na północ i nie znaleźli żadnej drogi na wschód, dopóki nie dotarli do autostrady. W nocy, w ciemności, te boczne drogi musiały wyglądać beznadziejnie. Dlatego pojechali międzystanową.

Nie mieli wyboru.

- Zgoda - przytaknęła Sorenson. - Mogę to kupić.

- Ważniejsze pytanie, jak się tu w ogóle dostali. Jeżeli nie przyjechali z ofiarą z Denver i jeżeli nie mieli swojego samochodu, to musiał ich przywieźć ktoś inny. Inaczej mówiąc, ktoś ich tu wysadził. Tak samo jak potem ktoś ich zabrał. Niewykluczone, że to ta sama osoba albo osoby.

W takim razie dlaczego po prostu na nich nie zaczekali? Dlaczego zostawili ich na tak

długo i narazili na niebezpieczeństwo? Wynika z tego, że to, co się stało w pompowni, nie było zaplanowane. Może King i McQueen mieli odjechać z tym człowiekiem? Ale go zabili.

Z nieznanego powodu. Dlatego musieli improwizować na całego.

Nagle w głośnikach przeraźliwie zadźwięczał dzwonek telefonu Sorenson. Agentka spojrziała na wyświetlacz.

- Omaha - mruknęła. - Biuro terenowe.

- Nie odbieraj - poradził jej Reacher.

Posłuchała go. Telefon dzwonił bardzo długo, lecz w końcu umilkł.

- Powinniśmy obejrzeć dom Delfuenso - stwierdził Reacher. - A w każdym razie dom jej sąsiadki. Powinniśmy sami sprawdzić. I porozmawiać z córką sąsiadki. Może coś sobie przypomniała o tych ludziach. Pewnie to ta sama grupa, przez którą zniknął świadek. Ta sama, która przywiozła tu Kinga i McQueena.

- Nie pamiętam, gdzie jest dom Delfuenso. Był środek nocy.

Komórka wydała pojedynczy sygnał. Wiadomość w poczcie głosowej.

- Nie odsłuchuj - ostrzegł Reacher.

Nie odsłuchiwała. Przewinęła listę kontaktów i odnalazła numer komórki szeryfa Goodmana.

Wcisnęła przycisk ZADZWONÍ i aparat automatycznie wybrał cyfry. Reacher usłyszał w głośnikach niski sygnał, który rozbrzmiewał powoli, cierpliwie i spokojnie.

Brzmiał bardzo długo, bez końca.

Nikt nie odbierał.

- Dziwne - powiedziała Sorenson.

Wycofała samochód spod starej pompowni, zawróciła i ruszyła z powrotem na skrzyżowanie.

Zanim tam dotarła, skręciła w boczną ulicę. Reacher wiedział, co agentka robi. Komenda szeryfa na pewno nie stoi przy głównej drodze. Jest gdzieś w głębi, gdzie ziemia była tańsza i duża działka nie obciążała kieszeni podatnika. Sorenson zaglądała w przecznice i mijała przeróżne budynki, ale żaden z nich nie był posterunkiem policji. Wróciła na drogę na południe od skrzyżowania i wjechała w kolejny kwartał.

- Tam - powiedział Reacher. Na dachu niskiego brązowego budynku zauważył antenę krótkofalową. Przy budynku znajdował się ogrodzony parking, który mógł pomieścić kilka radiowozów. Był pusty, jeśli nie liczyć kałuż w miejscach, gdzie w starym asfalcie zrobiły się dziury. Budynek i plac były nadgryzione zębem czasu, ale utrzymane w takim stanie, by

spełniały przeciętne standardy paramilitarne. Komenda nie wyglądała na obiekt wojskowy, ale i nie na cywilny.

Sorenson zaparkowała przed posterunkiem, przebiegła przez deszcz i wbiegła do środka, gdzie w holu za biurkiem zobaczyła kobietę pełniącą obowiązki recepcjonistki i dyspozytorki. Sorenson pokazała jej legitymację i zapytała, gdzie jest szeryf Goodman. Kobieta próbowała połączyć się z nim przez radio, ale bez rezultatu. Próbowała się dodzwonić z telefonu stacjonarnego na numer jego komórki, ale też bez rezultatu.

- Może pojechał do domu się przespać. To starszy człowiek i już bardzo długo jest na nogach.

- Musimy znać adres Karen Delfuenso - powiedziała Sorenson. - Proszę nam opisać, jak tam dojechać.

Kobieta za biurkiem spełniła obie prośby. Dom stał na północny wschód od skrzyżowania, na pustej farmie, jakieś dwanaście kilometrów od posterunku. Aby tam dojechać, trzeba skręcić w lewo i w prawo, a potem znowu w lewo i w prawo w pierwszą prostopadłą drogę. Znow szachownica. Jechali powoli. Horyzont na wschodzie był już bezchmurny. Deszcz odchodził, ale wolniej, niż nadciągnął. Reacher był zmęczony. Czuł się jak wydrażony. Każda komórka jego ciała drżała z wyczerpania. Nie spał od prawie dwóch dni. Nie był to najdłuższy czas, przez jaki zdarzyło mu się czuwać, ale blisko. Przypuszczał, że Sorenson czuje się tak samo paskudnie. Była bardzo blada i miała sińce pod oczami.

Po ostatnim skręcie w prawo Reacher zobaczył szereg stojących na pustkowiu małych parterowych domów. Na środku drogi parkował radiowóz.

- Jednak tu jest - powiedziała Sorenson. - To samochód szeryfa Goodmana. A to dom Karen Delfuenso, drugi od prawej. Zatrzymała się pięć metrów przed budynkiem i wysiedli.

48

Znaleźli Goodmana tam, gdzie upadł, leżąc na wznak i wspartego o przednie koło samochodu. Jego oczy były pełne deszczu. Do maleńkich sadzawek wpadały nowe krople i spływały po policzkach niczym łzy. Wpadająca przez otwarte usta woda zebrała się w gardle. Ubranie było przemoczone. Wyglądał, jakby utonął. Jego skóra już była lodowato zimna. Nie dało się wyczuć pulsu. Leżał bezwładnie, nieruchomo i martwo, jak mogą leżeć tylko zmarli. Zniknęło napięcie tysięcy żywych mięśni.

„To starszy człowiek i już bardzo długo jest na nogach”.

Już nie, pomyślał Reacher.

- Ile miał lat? - zapytał.

- Blisko siedemdziesiąt - odrzekła Sorenson. - Może nawet więcej. W każdym razie i tak za mało, żeby umierać. Był sympatycznym człowiekiem. Dobrym, tak jak się nazywał. To zawał?

- Prawdopodobnie. Stres, zmęczenie i zmartwienia. Coś w tym rodzaju. Niedobre połączenie.

Policjantom powinno się więcej płacić.

- Nie będę zaprzeczała.

- Powiedział nam to, co chcieliśmy wiedzieć?

- Chyba nie wiedział tego, co chcieliśmy wiedzieć.

- Myślę, że powinniśmy to zgłosić.

Wrócili więc do samochodu Sorenson, która zadzwoniła ze swojej komórki na numer centrali komendy szeryfa i przekazała wiadomość kobiecie za biurkiem. A kobieta się rozplakała. Sorenson się rozłączyła i czekali, mokrzy, zziębnięci i zmęczeni, patrząc przez szybę samochodu, niewiele widząc i nic nie mówiąc.

Wkrótce pojawił się postawny trzydziestopięcioletni mężczyzna w radiowozie zastępcy szeryfa.

Potęźnie zbudowany, o jasnych włosach i czerwonej twarzy. Na mundur narzucił nylonową watowaną kurtkę. Na rękawie były naszyte paski sierżanta. Mężczyzna podszedł do okna Sorenson i się pochylił. Poły kurtki rozsunęły się i Reacher zobaczył nad jedną kieszenią czarną plaketkę z nazwiskiem Puller, a nad drugą gwiazdę komendy szeryfa. Na gwieździe widział napis Zastępca komendanta. Facet zapukał w szybę grubymi czerwonymi palcami. Sorenson nie otworzyła okna. Pokazała mu tylko samochód na środku drogi. Policjant podszedł nerwowym krokiem do radiowozu szeryfa, jakby podchodził pod umocnioną pozycję wroga. Jakby się obawiał, że uzbrojony nieprzyjaciel otworzy ogień. Okrążył samochód i zatrzymał się po stronie pasażera.

Popatrzył na ziemię. Potem chwiejnym krokiem odszedł na pobocze, zgiął się wpół i wymiotował w błoto.

Reacher zauważył, że przestało padać.

Po długiej chwili policjant o nazwisku Puller wyprostował się i spojrzał na otwartą przestrzeń, zielony na twarzy. Nie był to żal za starym człowiekiem, ale reakcja na widok zwłok. Reacher wysiadł z samochodu. Drogą wciąż płynęła woda, ale powietrze nagle zrobiło się suche i świeże.

Sorenson także wysiadła. Policjant o nazwisku Puller ruszył w ich stronę i spotkali się

w trójkę między samochodami.

- Pan jest zastępcą szeryfa? - zapytała Sorenson.

- Chyba tak - bąknął Puller.

- To się pan myli. Od tej chwili jest pan szeryfem. W każdym razie pełniącym obowiązki. I ma pan parę rzeczy do zrobienia. Na przykład musi pan nas zapoznać z sytuacją.

- W jakiej sprawie?

- Zaginięcia dziecka.

- Właściwie nie jestem w temacie.

- Dlaczego?

- Pracuję głównie w kontroli ruchu. Na drogach dojazdowych do międzystanowej. Za Miastem Grzechu. Stoję z radarem.

- Został pan powiadomiony o tym, co się stało w nocy?

- Wszyscy zostaliśmy zawiadomieni.

- Ale nie jest pan w temacie?

- Pracuję głównie w kontroli ruchu.

- Przecież szeryf zdjął was z codziennych zadań.

- Zdjął wszystkich.

- Więc dlaczego nie wie pan, co się dzieje?

- Nie powiedział mi konkretnie, co mam robić.

- Czy w dzieciństwie nie upadł pan na głowę? - wtrącił się Reacher.

Policjant o nazwisku Puller nie odpowiedział.

- Niech pan zadzwoni do dyspozytorki i powie jej, żeby wezwała karetkę po ciało.

- Dobrze.

- A potem proszę zadzwonić do rodziny szeryfa Goodmana.

- Dobrze.

- A potem do zakładu pogrzebowego.

- Skąd?

- Z telefonu. Z jakiegokolwiek telefonu. Byle daleko ode mnie.

Policjant o nazwisku Puller ruszył do swojego radiowozu, a Reacher i Sorenson poszli do domu sąsiadki Delfuenso.

Sąsiadka Delfuenso miała niewiele więcej niż trzydzieści lat. Jej córka była dziesięcioletnią wersją matki, jeszcze wyprostowaną, szczupłą i o gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy.

Miała na imię Paula. Siedziała zadekowana w pokoju w głębi domu. Nie widziała stamtąd drogi. Nie widziała niczego z wyjątkiem błota. Miała jakąś elektroniczną skrzynkę podłączoną do telewizora.

Na ekranie działo się mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim dużo eksplozji. Rysunkowe postacie nagle ulatniały się w kłębach dymu mniejszych od piłek golfowych.

- Musiałam iść do pracy - wyjaśniła sąsiadka. - Przykro mi.

- Rozumiem - odrzekła Sorenson poważnie. Reacher też dobrze to rozumiał, czytał gazety.

Słyszał, o czym ludzie rozmawiają. Wiedział, że pracę łatwo stracić i ciężko odzyskać.

- Mówiłam im, żeby nikomu nie otwierały drzwi - dodała sąsiadka.

Sorenson spojrzała na dziewczynkę i zapytała:

- Paulo, dlaczego otworzyłaś?

- Nie otworzyłam.

- Dlaczego Lucy poszła otworzyć?

- Bo ten pan zawołał ją po imieniu.

- Zawołał Lucy po imieniu?

- Tak. Powiedział: „Lucy, Lucy”.

- Co jeszcze mówił?

- Nie słyszałam.

- Na pewno? Coś musiałaś usłyszeć.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

Sorenson czekała.

- Mam kłopoty? - spytała wreszcie Paula.

Sorenson wahała się przez chwilę.

- Tak, dziecko, masz - odezwał się Reacher. - Szczerze mówiąc, wielkie kłopoty. Ale możesz się ich wszystkich pozbyć, jeżeli powiesz nam, co słyszałaś i widziałaś dzisiaj rano. Zrobisz to, a będziesz wolna i niewinna.

Oferta zmniejszenia kary. Zachęta. Kij i marchewka. System uświęcony tradycją. W dawnych czasach Reacher wiele razy z niego korzystał. Dziesięć lat skrócone do pięciu z możliwością wyjścia po trzech, dozór zamiast odsiadki, wycofanie zarzutów w zamian za informacje. System dobrze się sprawdzał z dwudziestolatkami i trzydziestolatkami. A nawet doskonale. Reacher nie widział powodów, dla których nie miałby się sprawdzić w przypadku dziesięciolatki.

Dziecko milczało.

- Dam ci jeszcze dolara na cukierki, a moja koleżanka pocałuje cię w czoło - dodał.

Przekupstwo też się sprawdzało.

- Ten pan powiedział, że wie, gdzie jest mama Lucy - powiedziała dziewczynka.

- Tak?

Paula z zapalem pokiwała głową.

- Powiedział, że zaprowadzi Lucy do mamy.

- Jak ten pan wyglądał?

Dziewczynka zaciskała palce, jakby chciała wykręcić odpowiedź z rąk.

- Nie wiem - wybąkała w końcu.

- Ale udało ci się trochę zerknąć, prawda?

Dziewczynka pokiwała głową.

- Ilu mężczyzn widziałas w drzwiach? - spytał Reacher.

- Dwóch.

- Jak wyglądali?

- Jak w telewizji.

- Widziałas ich samochód?

- Był duży i niski.

- Osobowy? Nie pickup albo terenowy?

- Osobowy.

- Był zabłocony?

- Nie, błyszczący.

- Jakiego koloru?

Dziewczynka znów zaczęła wykręcać ręce.

- Nie wiem.

Zadzwoił telefon Sorenson. Agentka zerknęła na wyświetlacz i powiedziała bezgłośnie:

- Omaha.

Reacher pokręcił głową. Sorenson prawie niedostrzegalnym ruchem głowy przytaknęła, ale nie wyglądała na zadowoloną. Komórka nadal dzwoniła, aż w końcu umilkła, a Reacher znów spojrzał na dziewczynkę i powiedział:

- Dziękuję, Paulo. Doskonale się spisałaś. Nie będziesz już miała kłopotów. Jesteś wolna i niewinna. - Sięgnął do kieszeni, ze zwitka banknotów wysupłał dolara i podał go dziecku. Telefon Sorenson wydał pojedynczy sygnał. Poczta głosowa. - A teraz ta ładna pani pocałuje cię w czoło - dodał.

Dziewczynka zachichotała. Sorenson sprawiała wrażenie, jakby trochę się tego wstydziła, ale pochyliła się i dokonała zapowiedzianego aktu. Dziecko wróciło do wybuchów na ekranie. Reacher popatrzył na mamę Pauli i powiedział:

- Musimy pożyczyć klucz do domu Karen.

Kobieta wyjęła go z szuflady w korytarzu. Był to zwykły klucz do domu z kryształowym breloczkiem. Takim samym jak kluczyk do samochodu. Reacher zastanawiał się, w jakiej temperaturze topi się kryształ. Prawdopodobnie niższej niż szkło. Z powodu dodatku, który nadaje mu połysk. Tak więc breloczek w samochodzie zniknął na zawsze. Zmienił się w jedną z wielu plam na wypalonej podłodze chevroleta impali albo w maleńki obłoczek oparów, który wiatr poniósł w stronę Oregonu.

Wziął klucz, podziękował, a potem razem z Sorenson wyszli z domu. Samochód Goodmana wciąż stał na drodze, ale karetka już zdążyła zabrać ciało. Radiowozu Pullera nie było. Nie było też chmur. Wysoko ukazało się blade zimowe słońce.

Sorenson przystanęła na podjeździe i sprawdziła listę wiadomości w poczcie głosowej.

- Nie ma potrzeby tego odsłuchiwać - rzekł Reacher. - Przecież wiesz, co to jest.

- Będę musiała tam zadzwonić. Sytuacja się zmieniła. Zaginęło dziecko, a nie ma już lokalnej policji. W każdym razie nie ma kompetentnej policji. Już nie.

- Zadzwonisz później. Nie teraz. - Obszedł mokry trawniki i ruszył podjazdem do drzwi domu Delfuenso z kluczem w ręku.

- Co spodziewasz się tam znaleźć? - zapytała Sorenson.

- Łóżka. Albo przynajmniej kanapy. Musimy się zdrzemnąć. W tym momencie do niczego się nie nadajemy. I chyba nie chcemy skończyć jak Goodman.

49

Dom Delfuenso niemal pod każdym względem wyglądał identycznie jak dom jej sąsiadki.

Dokładnie taki sam układ, taka sama kuchnia, takie same okna, podłogi i drzwi. Takie same klamki, gałki, takie same łazienki. Szablonowy projekt. W domu były trzy małe sypialnie. Jedna na pewno należała do Delfuenso, druga na pewno do jej córki, a trzecia na pewno była pokojem gościnnym.

- Wybieraj, łóżko w gościnnym albo kanapa w salonie - powiedział Reacher.

- To szaleństwo - zaprotestowała Sorenson. - Właśnie nie odebrałam dwóch telefonów ze swojego biura terenowego. Pewnie dzwonił mój szef. W praktyce jestem teraz dezenterem, a tobie się wydaje, że powinnam spać?

- Chodzi o sprawność. Sama mówiłaś, zaginęło dziecko. Twoi ludzie nic w tej sprawie nie zrobią.

Miejscowi są teraz beużyteczni, więc my musimy się tym zająć. A nie możemy tego zrobić, jeżeli będziemy się ślaniać ze zmęczenia.

- Będą mnie szukali. Jeżeli zasnę, dostaną mnie jak na talerzu.

- Mają dwie godziny drogi. Dwugodzinna drzemka to lepsze niż nic.

- I tak nie możemy się tym zająć. Nie mamy pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mamy żadnego zaplecza.

- Wiem, już to od ciebie słyszałem. Żadnych kontaktów, żadnego wsparcia, pomocy, środków, zaplecza, laboratorium, komputerów. Nic. Ale co zamierzasz zrobić? Ludzie, którzy to wszystko mają, nie chcą nawet kiwnąć palcem. Będziemy musieli poradzić sobie bez tego.

- Jak? Od czego zacząć?

- Od sekcji Karen Delfuenso. Od wstępnych wyników. Kiedy je poznamy, będziemy wiedzieli więcej.

- Jak to nam pomoże?

- Trzeba się uzbroić w cierpliwość. Mogłabyś ich trochę popędzić, jeżeli masz ochotę.

- Nie trzeba. Znam tych ludzi. Wiedzą, że muszą się spieszyć.

- Gdzie pracują?

- Prawdopodobnie w Des Moines. W najbliższym porządnym prosektorium. Pewnie weszli i je zajęli. Tak zwykle pracujemy.

- Kiedy dadzą nam znać?

- Ty coś wiesz, prawda?

- Idź się przespać - poradził Reacher. - Jeżeli zadzwonią twoi technicy, odbierz, a jeżeli ktoś inny, nie odbieraj.

Reacherowi przypadła kanapa w salonie. Trzyosobowa, z niskim oparciem, obita żółtą tkaniną w kwiaty. Gorsza niż łóżko, ale lepsza od podłogi. Rozciągnął się na wznak, znalazł wygodną pozycję dla głowy i podciągnął kolana, żeby się zmieścić. Ustawił zegar na dwie godziny, zrobił głęboki wdech, głęboki wydech, a potem niemal natychmiast zapadł w sen.

I niemal natychmiast obudził go telefon. Nie komórka Sorenson, ale telefon w domu, który dzwonił w kuchni.

Stacjonarny numer Delfuenso. Miał tradycyjny metalowy dzwonek, który zadzwieczał sześć razy powoli i spokojnie, nieświadomie i cierpliwie, a potem włączyła się automatyczna sekretarka.

Reacher usłyszał radosny i ożywiony głos Delfuenso:

„Cześć, tu Karen i Lucy. Nie możemy podejść do telefonu, ale po sygnale proszę zostawić wiadomość”.

Rozległ się sygnał, a potem odezwał się inny kobiecy głos. W imieniu swojego dziecka pytał, czy Lucy mogłaby przyjść się pobawić. Głos w telefonie umilkł, a Reacher wrócił na kanapę i zasnął.

Drugi raz obudził się równo po dwóch godzinach. Zdrętwiały mu kolana i miał wrażenie, jakby ktoś obił mu plecy młotkami. Usiadł, obrócił się i postawił stopy na podłodze. Nie słyszał ani jednego dźwięku. Panowała cisza. Dom stał na uboczu, był środek zimy.

Wstał i przeciągnął się, opierając dłonie o sufit. Potem znalazł łazienkę, gdzie opłukał twarz i umył zęby pastą z dinozaurem, która zapewne należała do Lucy. Następnie zajrzał do pokoju gościnnego.

Sorenson spała głęboko twarzą zwrócona w jego stronę. Jedno oko zakrywał kosmyk włosów, w taki sam sposób jak wcześniej, kiedy celowała do niego z broni. Jedną rękę trzymała nad głową, a drugą obronnym gestem położyła na brzuchu. Poczucie bezpieczeństwa pół na pół z poczuciem zagrożenia. Aktywna podświadomość. Stan ducha pełen sprzeczności. Zastanawiał się, jak najlepiej ją obudzić, kiedy wyręczył go jej telefon. Zadzwoił, wydając oskarżycielsko słaby elektroniczny sygnał. Zadzwoił raz. Dwa razy. Sorenson drgnęła, szeroko otworzyła oczy i wyprostowana usiadła błyskawicznie na łóżku. Zdrętwiałymi od snu rękami sięgnęła po omacku po telefon i spojrzała na ekran.

- Omaha - mruknęła.

Trzeci dzwonek.

- Nie mogę ich dłużej ignorować - powiedziała.

Czwarty dzwonek.

- Właśnie żegnam się z karierą - dodała.

Piąty dzwonek.

Reacher podszedł do łóżka i zabrał jej telefon. Nacisnął zielony przycisk. Przyłożył telefon do ucha.

- Kto mówi? - zapytał.

- Kim pan jest? - rozległ się w jego uchu męski głos.

- Zapytałem pierwszy.

- Skąd ma pan ten telefon?

- Niech się pan domyśli.
- Gdzie jest agentka specjalna Sorenson?
- A kto pyta?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Może facet podłączał urządzenie nagrywające albo ustawiał jakiś lokalizator GPS. A może po prostu się zastanawiał. Wreszcie powiedział:

- Nazywam się Perry. Jestem agentem specjalnym FBI i naczelnikiem biura terenowego w Omaha w Nebrasce. Inaczej mówiąc, jestem wysokim oficerem służby federalnej, a także szefem agentki Sorenson. Kim pan jest?

- Człowiekiem, który prowadził samochód w Iowa - odrzekł Reacher. - W tym momencie agentka Sorenson jest moim jeńcem. Jest zakładniczką, panie Perry.

50

Sorenson miotła się na łóżku, nie odzywając się ani słowem. Facet w słuchawce ciężko dyszał Reacherowi w ucho.

- Mam bardzo skromne żądania, panie Perry - ciągnął Reacher. - Jeżeli chce pan odzyskać zdrową i całą agentkę Sorenson, nie musi pan robić dokładnie nic. Proszę do mnie nie dzwonić, nie próbować mnie namierzać, proszę mnie nie szukać, nie zawracać mi głowy ani w żaden sposób mi nie przeszkadzać.

- Niech pan powie, czego pan chce - odrzekł agent.
- Właśnie powiedziałem.
- Mogę pomóc. Możemy razem nad tym pracować.
- Przeszedł pan kurs negocjacji z porywaczami? - zapytał Reacher.
- Tak.
- To widać. Nie słucha mnie pan. Niech pan się po prostu trzyma ode mnie z daleka.
- Co zamierza pan zrobić?
- Zamierzam wykonać pańską robotę.
- Moją robotę?

- Są ofiary śmiertelne i zaginione dziecko. Powinien pan kazać CIA i Departamentowi Stanu siedzieć cicho, ale pan tego nie zrobił. Ugiął się pan. Więc niech mi pan nie wchodzi w drogę, kiedy będę próbował naprawiać pańskie błędy.

- Kim pan jest, do cholery?

Reacher nie odpowiedział. Rozłączył się i rzucił telefon na łóżko.

- Jesteś stuknięty - oświadczyła Sorenson.
- Niekoniecznie. Dzięki temu Perry jest niewinny, ty jesteś niewinna, a mimo to

robota zostanie wykonana. Wszyscy na tym skorzystają.

- Ale on cię nie posłucha. Znam go, Reacher. Nie będzie przyjmował tego spokojnie. Nie pozwoli, żebyś narobił mu wstydu przed CIA. Zacznie cię szukać. Zorganizuje regularną obławę.

- Niech wygra lepszy. Już mnie szukano. Wiele razy. I nikomu nigdy nie udało się mnie znaleźć.

- Nie rozumiesz. To będzie łatwe. Namierzy mój telefon.

- Zostawimy go tu, na tym łóżku. Kupimy nowy.

- Na litość boską, namierzy mój samochód.

- Nie będziemy z niego korzystali.

- Co, będziemy poruszali się pieszo?

- Nie, skorzystamy z samochodu szeryfa Goodmana. Stoi przed domem. A szeryf już go nie potrzebuje, prawda?

Samochód Goodmana wciąż stał na środku drogi. Kluczyk nadal tkwił w stacyjce, tak jak Reacher się spodziewał. Policjanci w mieście zwykle zabierali ze sobą kluczyki. Policjanci na wsi niekoniecznie. Nie było większego wstydu niż sytuacja, w której jakiś gówniarz kradł radiowóz podczas ulicznej burdy, ale na prowincji takie zagrożenia należały do rzadkości, dlatego panowały tu inne zwyczaje.

Czekała ich jeszcze miła niespodzianka. Nie musieli kupować nowego telefonu. W samochodzie była komórka Goodmana i ładowała się w najlepsze w takiej samej stacji dokującej, jaką miała Sorenson w służbowym wozie. Ekran wyświetlał informację o dwóch nieodebranych połączeniach.

Od Sorenson i dyspozytorki z posterunku.

Pośmiertne telefony.

Reacher odsunął fotel kierowcy i uruchomił silnik. Był to policyjny ford crown victoria, pod blachą dokładnie taki sam jak nieco dyskretniejsza wersja samochodu Sorenson. Auto było jednak starsze i bardziej zaniedbane w środku. Siedzenie dopasowało się do kształtu ciała Goodmana podczas wielu godzin, które szeryf spędził za kierownicą. Reacher czuł się, jakby wkładał ubranie nieboszczyka.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Sorenson.

- Tam gdzie komórka będzie miała zasięg. Musimy poczekać na wiadomość od twoich techników. W sprawie wyników sekcji. Musisz do nich zadzwonić i podać im nowy numer.

- Wiesz, że w zasadzie kradniemy ten samochód?

- A kto zrobi coś w tej sprawie? Ten idiota Puller?

Reacher zawrócił na pustym podjeździe przed domem Delfuenso i ruszył na południowy zachód w kierunku skrzyżowania. Zanim zdążył przejechać pół kilometra, rozdzwonił się telefon Goodmana. Rozległ się natarczywy elektroniczny skrzek. Nic oryginalnego.

Wyświetlacz pokazał numer kierunkowy czterysta dwa.

- Omaha - powiedział Reacher.

Sorenson wyciągnęła szyję, żeby przeczytać resztę numeru.

- Cholera - zaklęła. - Prywatna linia naczelnika.

- Dzwoni do Goodmana? Po co?

- Przecież mnie porwałś. Zawiadamia wszystkie lokalne posterunki policji we wschodniej Nebrasce. W Iowa prawdopodobnie też.

- Nie wie, że Goodman nie żyje?

- Wątpię. Skąd miałby się dowiedzieć? Jeszcze nie wie.

- Skąd ma jego numer?

- Z bazy danych. Mamy dużo numerów.

- Rozmawiał już wcześniej z Goodmanem?

- Nie, nie sądzę. W nocy agent dyżurny odebrał od niego telefon. To wszystko. Tak to się zaczęło.

- Jak się obsługuje ten telefon?

- Chyba nie zamierzasz z nim rozmawiać?

- Wszyscy nie mogą go ignorować. To zepsuje mu samopoczucie.

- Ale zna twój głos. Przed chwilą rozmawialiście.

- A jaki głos miał Goodman?

- Głos siedemdziesięciolatka z Nebraski.

- Jak się obsługuje ten telefon?

- Jesteś pewny, że chcesz to zrobić?

- Szybko, zanim włączy się poczta głosowa.

- W słupku przy przedniej szybie jest mikrofon. Wystarczy wcisnąć zielony guzik.

Reacher wcisnął zielony guzik. Głośniki wypełniły dźwięki telefonu, nienaturalnie mocne, wyraźne i dokładne. Słysząc było każdy syk i każdy trzask. Rozległ się głos naczelnika Perry'ego.

Ożywiony i trochę spięty.

- Szeryf Goodman?

Reacher oderwał od kierownicy prawą rękę i wsunął mały palec do kącika ust. Jak narzędzie dentystyczne podczas zabiegu.

- Tak - odrzekł.

- Szeryfie, mówi Anthony Perry. Naczelnik biura terenowego FBI w Omaha. Biuro śledcze jest zainteresowane sytuacją, jaka prawdopodobnie zaistniała w pańskich stronach.

- Co to za sytuacja, panie naczelniku?

- Przypuszczam, że poznał pan agentkę Sorenson z mojego biura.

- Miałem tę przyjemność zeszłej nocy. Bardzo ładna młoda dama. Pewnie jest pan dumny, że u pana pracuje, naczelniku.

Sorenson oparła się o zagłówek i przymknęła oczy.

- Owszem, jestem, ale w tym momencie to nie ma nic do rzeczy. Dostaliśmy wiadomość z policji stanowej w Nebrasce o zaginięciu dziecka dziś rano.

- Smutne, ale prawdziwe, naczelniku.

- Przypuszczam, że w związku z tym agentka Sorenson mogła się skierować bezpośrednio do pana.

- To dobrze. Chętnie skorzystam z każdej pomocy.

Przełknął ślinę z palcem w ustach.

- Dobrze się pan czuje, szeryfie? - zapytał Perry.

- Jestem zmęczony - powiedział Reacher. - Stary już ze mnie człowiek i dość długo nie spałem.

- Nie widział pan dzisiaj agentki Sorenson?

- Jeszcze nie, ale na pewno będę na nią czekał.

- To nie takie proste, szeryfie. Przypuszczam, że mogła do pana pojechać okrężną drogą, żeby spotkać się z pewnym podejrzanym. Przypuszczam, że w jakiś sposób została obezwładniona przez tego podejrzanego i obecnie jest jego zakładniczką.

- Jasne, naczelniku, rozumiem, dlaczego jest pan zainteresowany tą sytuacją. Bez dwóch zdań.

Ale nie potrzebuje pan mojego pozwolenia, żeby jej szukać. Chyba ma pan prawo dbać o swoich ludzi. Zawsze będzie pan u nas mile widziany.

- Nie, nie mam tylu ludzi. Nie możemy być wszędzie naraz. Chciałem prosić, żeby pan i pańscy chłopcy byli moimi oczami i uszami. Może to pan dla mnie zrobić?

- Co właściwie?

- Dać mi znać, jeżeli zobaczy pan agentkę Sorenson albo jej samochód. I w miarę

możliwości aresztować jej towarzysza.

- Poda mi pan jego rysopis?

- Wysoki mężczyzna ze złamanym nosem.

- Groźny?

- Niech go pan traktuje jak wyjątkowo groźnego osobnika. I proszę nie ryzykować bez potrzeby.

- A więc najpierw strzelać, a potem zadawać pytania?

- W tych okolicznościach myślę, że będzie bardzo rozsądnie przyjąć taką taktykę.

- W porządku, panie Perry, zrobi się. Może pan odfajkować mój okręg na liście. Jeżeli ten człowiek się tu pojawi, zajmiemy się nim.

- Dziękuję, szeryfie. Jestem bardzo wdzięczny za gotowość do współpracy.

- Jesteśmy po to, żeby służyć, panie naczelniku. - Reacher wyjął palec z ust i nacisnął czerwony przycisk na telefonie.

Sorenson milczała.

- Co? - spytał Reacher. - Wszystko dobrze się ułożyło. Mamy dla siebie cały okręg. Możemy robić, co chcemy.

- A jeżeli będziemy musieli wyjechać z okręgu? Nie rozumiesz? Jesteś poszukiwany. Perry wydał na ciebie wyrok.

- Niektórzy już tego próbowali. Ciągle chodzę po ziemi, a oni nie.

Półtora kilometra dalej Sorenson zadzwoniła do swojego zespołu techników, żeby im podać nowy numer komórki. Technicy nie odebrali, musiała więc zostawić wiadomość, a Reacher uznał to za dobry znak, przypuszczając, że właśnie ciężko pracują, pochyleni nad stalowym stołem w prosektorium. Nie zazdrościł im. Jak wszyscy gliniarze uczestniczył w sekcjach zwłok. Był to rytuał inicjacji, próba charakteru, czasem wymagała tego procedura dowodowa. Najgorsze były rozkładające się zwłoki topielców, ale drugie miejsce zajmowały bardzo poparzone ciała.

Przypominało to trochę krojenie wołowiny z rusztu.

Zatrzymał się trzy kilometry przed skrzyżowaniem. Nie chciał, żeby miejscowi, zwłaszcza Puller i inni zastępcy szeryfa, widzieli go za kierownicą samochodu zmarłego Goodmana. Nie chciał wywoływać kontrowersji ani dyskusji przez radio. Nie w tym momencie. W tym momencie zależało mu na anonimowości. Znalazł wjazd na pole, tyłem wjechał w koleiny pozostawione przez traktor i zatrzymał się, nie wyłączając silnika, żeby działało ogrzewanie. Miał pół baku paliwa. Patrzył przez przednią szybę na płaski szmat

brązowej ziemi, ciągnący się aż po horyzont. Pół roku później samochód byłby ukryty w zieleni, bezpiecznie zasłonięty tysiącami albo dziesiątkami tysięcy ton roślinnego DNA wyrosłego dzięki deszczowi i składnikom mineralnym w ziemi.

- I co myślisz? - odezwała się Sorenson.

- Teraz?

- Nie, o sekcji Delfuenso.

- Dowiemy się, tak czy nie. Albo jedno, albo drugie.

- Zechcesz to rozwinąć?

- Nie. Mógłbym się ośmieszyć.

- Łatwo się peszysz?

- Może mi się zrobić trochę głupio, jeżeli wygłoszę jakąś przemądrzałą opinię, która potem okaże się fałszywa.

- Często się to zdarza?

- Częściej, niżbym sobie życzył. Masz dzieci?

Sorenson pokręciła głową.

- Jakoś mnie to ominęło.

- A chciałaś?

- Sama nie wiem. A ty?

- Na obydwie pytania: nie. Łatwo się peszysz? - chciał wiedzieć Reacher.

- Niełatwo. W każdym razie nie w pracy. Czasem w sytuacjach, które dotyczą mnie osobiście. Na przykład teraz chciałabym wziąć prysznic i się przebrać. Odkąd wstałam wczoraj rano, mam na sobie tę bluzkę.

- Ja noszę swoje rzeczy minimum trzy dni. A teraz mam rozbity nos, więc i tak niczego nie czuję.

Uśmiechnęła się.

- Mogłabyś iść na zakupy - ciągnął. - I wziąć prysznic w domu Delfuenso. Mamy dla siebie cały okrąg.

- Czulałabym się dziwnie, biorąc prysznic w domu Delfuenso. W łazience nieżyjącej kobiety?

- Jeździmy samochodem nieżyjącego człowieka.

- Dokąd miałabym iść na zakupy?

- W miasteczku musi być jakiś sklep. Mogłabyś kupić sobie ogrodniczki.

- Przecież nie chcesz jechać do miasteczka. Gdybyś chciał, nie zatrzymywałbyś się tutaj.

- Moglibyśmy pojechać do Miasta Grzechu. Wiemy, że mają tam przynajmniej koszule.

W sklepie całodobowym.

- Niezbyt ładne.

- Tobie byłoby do twarzy we wszystkim.

- Wolę na to nie reagować. Zgoda, jedźmy do Miasta Grzechu - dodała po chwili. - Zrobię to samo co ty: kupię sobie koszulę, a potem załatwisz mi godzinę w motelu.

- Po południu to się nie uda. Pokojówki już poszły do domu. Będziesz musiała zapłacić za całą noc.

- Nie ma sprawy. Uważam, że warto.

- Jesteś bardzo wybredna.

- Jak większość.

- Moglibyśmy też zjeść lunch.

W tym momencie znów zadzwonił telefon Goodmana. W głośnikach rozległ się ten sam natarczywy elektroniczny skrzek.

Na ekranie pojawił się numer kierunkowy osiemset szesnaście.

- Kansas City - powiedział Reacher.

- Nie odbieraj - rozkazała Sorenson.

Telefon nadal dzwonił, sześć, siedem, osiem razy, aż wreszcie umilkł. W samochodzie znów zapadła cisza. Słysać było tylko stłumiony warkot silnika i szum ogrzewania.

- Z Kansas City są ci twoi goście z wydziału do walki z terroryzmem, zgadza się?

- Nie moim.

- Dawson i Mitchell, tak?

- Tak.

- Kto jeszcze mógłby dzwonić do Goodmana z Kansas City?

- Każdy. Brat, siostra, córka, syn. Dawny znajomy z college'u. Kumpel z wypadów na ryby.

- W godzinach pracy? - zdziwił się Reacher.

- Dlaczego nie?

- Goodman w ogóle uczył się w college'u?

- Nie mam pojęcia.

- Jego zastępca raczej nie.

Telefon pisnął. Poczta głosowa. Sorenson pochyliła się i zaczęła majstrować przy komórce szeryfa. Jej włosy musnęły rękę Reachera. W głośnikach rozległ się głuchy znie

kształcony dźwięk.

- Komórka - powiedziała Sorenson. - Słaby sygnał. Prawdopodobnie ktoś dzwoni z wnętrza. Albo z jadącego samochodu.

Po chwili na tle szmerów odezwał się głos:

- „Szeryfie Goodman, mówi agent Dawson z wydziału do walki z terroryzmem z Kansas City.

Poznaliśmy się w nocy. Niech pan do mnie jak najszybciej zadzwoni. Najpierw jednak muszę pana ostrzec przed mężczyzną towarzyszącym agentce Sorenson z naszego biura terenowego w Omaha. To niebezpieczny zbieg i należy go natychmiast zatrzymać. Mój partner i ja już do pana jedziemy. Zajmiemy się sytuacją, ale do tego czasu proszę uważać. Będziemy za około pół godziny albo mniej. Zgłosimy się na posterunek i mam nadzieję, że spotkamy się tam z panem”.

Potem znów dały się słyszeć głuche, zniekształcone odgłosy w tle, po czym zapadła cisza.

Tylko warkot silnika i szum ogrzewania.

- A więc jednak nie mamy okręgu dla siebie - podsumowała Sorenson.

51

Reacher zostawił samochód w tym samym miejscu. Było całkiem dobre.

- Najwyraźniej Omaha nie rozmawia z Kansas City - stwierdził. - Gdyby twój szef wiedział, że Dawson i Mitchell tu jadą, nie prosiłby Goodmana, żeby był jego oczami i uszami.

- Jest chyba odwrotnie - sprostowała Sorenson. - To Kansas City nie rozmawia z Omaha.

Działają samodzielnie. Co jest zresztą typowe dla ważniaków z wydziałów do walki z terroryzmem.

- Uważają mnie za terrorystę?

- Wiedzą, że siedziałeś za kierownicą samochodu, którym jechali King i McQueen. A oni zabili człowieka, który, jak się domyślasz, pracował dla CIA. Czyli kwalifikujesz się do wspomnianej kategorii, nie sądzisz?

- Kiedy stałem przy wjeździe na autostradę, tuż przed tym, gdy nadjechali King i McQueen, prawie zatrzymał się jakiś pickup z czarnym za kierownicą. Ucieszyłem się. Było mi zimno, a tamten miał chyba zepsute ogrzewanie. Teraz żałuję, że mnie nie zabrał. Mógłbym już być w Wirginii.

- Być może z zapaleniem płuc.
- Jedźmy kupić ci koszulę. I zorganizować prysznic.
- Ale mamy tylko pół godziny. Może nawet mniej.
- Do czego? Nikt nic do ciebie nie ma. A mnie nikt nawet nie zobaczy.
- Myślą, że zostałam porwana. Będą chcieli mnie ratować. Skutek będzie taki sam, jakby mnie uwięzili.

- Twój szef z nimi nie rozmawiał. Nie wiedzą o rzekomym porwaniu. Powiedzieli, że ci towarzyszę, a nie że jesteś moją zakładniczką. Przywitacie się, zapytają cię o faceta ze złamanym nosem, powiesz, że nie masz pojęcia, gdzie on jest. Jeżeli w ogóle cię znajdą. A nie znajdą. Nie będą szukali pokoju w motelu, a gdyby nawet, to recepcjonista nie ulokuje ich w tym samym pokoju co ciebie. Tak na ogół działają motele.

- Dobra - zgodziła się Sorenson. - Jedźmy.

Samochód Goodmana nie miał GPSu na desce rozdzielczej ani mapy w schowku. Nie było takiej potrzeby. Goodman przypuszczalnie znał swój okręg jak własną kieszeń. Prawdopodobnie wychował się tu i mieszkał przez całe życie. Reacher kierował się więc pamięcią, rozsądkiem i domysłami. Był jakieś trzy kilometry na północny wschód od skrzyżowania, a musiał się dostać sześć kilometrów na północ od skrzyżowania. Ruszył więc na zachód, klucząc przez szachownicę pól, aż w końcu wyjechał na główną drogę naprzeciwko smutnego szeregu starych maszyn na sprzedaż. Tam się zatrzymał i spojrzał w obie strony, ale nie zauważył żadnych powodów do niepokoju. Nie widział samochodów FBI, oddziałów antyterrorystycznych, opancerzonych wozów.

Nie widział funkcjonariuszy miejscowej policji, blokad drogowych, helikopterów. Skręcił więc na północ, przejechał ostatni kilometr i zatrzymał się za sklepem całodobowym.

Sorenson odłączyła telefon Goodmana od stacji dokującej i włożyła go do torebki. Weszła do sklepu, a po pięciu minutach wróciła z taką samą koszulą w takim samym rozmiarze, jaką dostała Delfuenso, oraz z mniejszą paczuszką, w której, jak domyślał się Reacher, była bielizna i skarpetki za dolara. Najlepszy na oko motel znajdował się po drugiej stronie drogi, więc Reacher podjechał tam, lecz zaparkował w pewnej odległości od budynku. Uznał, że będzie lepiej, jeśli Sorenson podejdzie tam pieszo. Wiedział z doświadczenia, że właściciele moteli to notoryczni plotkarze, nie chciał więc, aby w całym okręgu rozeszła się wieść o nieznanym poruszającym się samochodem szeryfa. Patrzył, jak Sorenson wchodzi do biura, a pięć minut później wychodzi z kluczem w rękę. Przyglądał się, jak idzie wzdłuż szeregu pokoi i skręca do jednego z nich.

Doszedł do wniosku, że wymagającej kobiecie, która ostatni raz brała prysznic ponad trzydzieści godzin temu, wystarczy trzydzieści minut. Albo czterdzieści, jeżeli ma zwyczaj suszyć włosy suszarką.

Przestawił samochód za bar, który w ciągu dnia był zamknięty. W całym Mieście Grzechu panowała cisza. Na wszystkich lokalach wisały tabliczki z napisem: Ostatnia szansa na posiłek przed autostradą międzystanową, a na stacjach benzynowych: Ostatnia okazja na zatankowanie przed autostradą międzystanową. Pomyślał, że Izba Handlowa mogłaby postawić jedną wielką tablicę: Ostatnia szansa na wszystko przed autostradą międzystanową i nie byłoby w tym ani słowa kłamstwa. Ale niewielu kierowców chciało skorzystać z ostatnich okazji.

Wysiadł z samochodu, zamknął go. Przeciął drogę i okrążył nocny bar, w którym pracowała Delfuenco. Wciąż stała tu czerwona mazda. Pięcioro drzwi, cztery miejsca. Zamki zostały wyłamane - prawdopodobnie przez techników Sorenson. Wnętrze było nijakie i czyste. Fotel kierowcy ustawiony dla osoby przeciętnego wzrostu. Wóz z wypożyczalni, typowy pod każdym względem.

Reacher stosował zasadę „W razie wątpliwości napij się kawy”, więc wrócił na drugą stronę drogi do knajpki znajdującej się najbliżej motelu Sorenson. Usiadł na kanapie z wysokim oparciem przy narożnym stoliku i postawił na nim duży i ciężki kubek wypełniony po brzegi. Kiepskie naczynie, ale całkiem porządna i mocna kawa. I niezła pozycja taktyczna. Widział stąd salę i ulicę.

Korytarz prowadzący do toalety był metr od jego lewego ramienia, a na końcu znajdowało się wyjście ewakuacyjne. Patrząc przez okno, Reacher widział przejeżdżające drogą samochody.

Minęła go osiemnastokołowa ciężarówka jadąca na północ i podobny pojazd zmierzający na południe. Potem poobijany pickup, oblepiony błotem kanciasty wóz terenowy i przeżarty rdzą samochód dostawczy.

A później granatowy ford crown victoria jadący na północ.

Ta sama marka, model i kolor co samochód Sorenson.

Antena na klapie bagażnika identyczna jak na klapie forda Sorenson.

FBI.

W samochodzie siedzieli dwaj mężczyźni.

Jechali wolno. Zbyt wolno. Znacznie wolniej, niż nakazywałyby zwykła ostrożność. Samochód sunął z prędkością, która sugerowała, że prowadzi poszukiwania. Kierowca lustrował lewą stronę drogi, a pasażer prawą. Reacher patrzył, jak ford mija bar. Wydawało

mu się, że to dwaj z czterech, których widział na parkingu za budynkiem FBI w Omaha. Być może. Dawson i Mitchell. Niewykluczone.

Popijał kawę, obliczając w myślach czas, prędkość i odległość. Jak na komendę znów pojawił się granatowy ford, teraz kierując się na południe i nadal jadąc wolno, a dwie pary oczu wciąż lustrowały pobocza, budynki, ludzi, samochody, zatrzymując się tu i ówdzie, a potem przeskakując dalej.

Po chwili samochód zwolnił jeszcze bardziej.

I skręcił.

Przejechał przez pęknięty krawężnik i zatrzymał się na żwirowym parkingu przed barem, z maską metr od okna, za którym pił kawę Reacher. Mężczyźni w środku siedzieli spokojnie. Nie mieli powodu do pośpiechu. Przerwa na kawę po długich i bezowocnych poszukiwaniach. To wszystko. Reacher był prawie pewny, że ich poznaje. Był prawie pewny, że to Dawson i Mitchell.

Mrugali, ziewali i poruszali zdrętwiałymi szyjami. Mieli na sobie granatowe garnitury, białe koszule i granatowe krawaty. Robili wrażenie trochę wymiętych. Trochę zmęczonych. Jeden był odrobinę wyższy i szczuplejszy, lecz poza tym wyglądali bardzo podobnie. Obaj mieli jasne włosy i rumiane twarze. Obaj mieli niewiele ponad czterdziestkę.

Uważają mnie za terrorystę?

„Wiedzą, że siedziałeś za kierownicą samochodu, którym jechali King i McQueen”.

Agenci jednocześnie wysiedli z samochodu i przez chwilę stali na zimnie. Kierowca przeciągnął się, prostując ręce i trzymając dłonie nisko, a pasażer przeciągnął się, unosząc wysoko łokcie i pięściami prawie dotykając uszu. Reacher domyślił się, że mają glocki w kaburach na ramionach i kajdanki przy paskach. A za sobą przepisy Patriot Act, nieograniczoną władzę i całe mnóstwo bzdurnych zasad bezpieczeństwa narodowego.

Spojrzeli w lewo, spojrzeli w prawo i dostrzegli wejście do baru.

Reacher wypił ostatni łyk kawy i wsunął pod kubek dwa jednodolarowe banknoty. Następnie wstał od stolika i wszedł w korytarz prowadzący do toalet. Usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe, a potem usłyszał skrzypienie dwóch par butów na płytkach podłogi. Usłyszał, jak kelnerka bierze z półki dwa menu. Ruszył korytarzem, otworzył drzwi i wyszedł na parking z tyłu.

Przeszedł przez lukę między budynkami, znalazł się za motelem i przemknął wzdłuż tylnej ściany. Zatrzymał się przed jedynym oknem łazienki, na którym była para. Zapukał w szybę i czekał. Okno uchyliło się i rozległ się trzask wyłączanej suszarki do włosów.

- Reacher? - odezwała się Sorenson.

- Jesteś ubrana? - zapytał.

- Tyle o ile.

Podszedł i zajął przez szparę. Była owinięta ręcznikiem. Górny brzeg sięgał ramion, a dolny kończył się wysoko nad kolanami. Włosy po jednej stronie przedziałka były mokre, a po drugiej suche. Skóra była jasnoróżowa od pary.

Sorenson wyglądała całkiem nieźle.

- W barze są twoi kumple z Kansas City - powiedział.

- To nie są moi kumple.

- Dzwonili już twoi technicy?

- Nie.

- Dlaczego to trwa tak długo?

- Prawdopodobnie procedura jest skomplikowana.

- Mam nadzieję, że będą potrafili.

- Co będą potrafili?

- Powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

- To chyba zależy od tego, co chcesz wiedzieć, prawda?

- Zaczekam w samochodzie. Stoi za barem, dwa budynki dalej.

- Dobrze.

Okno się zamknęło i Reacher usłyszał trzask zasuwki, a potem szum suszarki. Ruszył na północ przez parking z tyłu, mijając pojemniki na śmieci, stertę wyrzuconych materaców, pusty i gnijący karton, który zgodnie z wydrukowanym na nim napisem mieścił kiedyś dwa tysiące styropianowych kubków. Przeciął pustą ziemię niczyją i wślizgnął się za następny budynek, który wyglądał na jeszcze jeden nocny bar. Przeszedł nad pustą butelką po szampa nie bez nazwy.

I stanął jak wryty.

Na wprost przed nim, w odległości trzydziestu metrów, zobaczył samochód Goodmana, dokładnie w miejscu, w którym go zostawił. Ale tuż za nim pod kątem prostym zatrzymał się drugi samochód, zwrócony przodem w drugą stronę. Piaskowy ford crown victoria. Na pewno rządowy samochód, ale nie FBI. Różnił się od wozu Sorenson i forda Dawsona i Mitchella. Miał federalne tablice rejestracyjne, a na tylnej klapie inną antenę. Silnik forda pracował. Z rur wydechowych unosiły się białe obłoczki spalin.

Ford zablokował samochód Goodmana.

Reacher nie wiedział, czy celowo, czy nie.

Siedział w nim tylko kierowca. Reacher widział tył jego głowy. Miał rudoblonde

włosy, dokładnie w takim samym kolorze jak lakier samochodu. Był ubrany w sweter. Rozmawiał przez telefon.

Sweter oznaczał, że facet nie nosi pod pachą kabury. Brak kabury oznaczał brak broni. Jeśli facet nie ma broni, to nie jest funkcjonariuszem w cywilu ani agentem żadnej służby federalnej. Ani z Departamentu Sprawiedliwości, ani z DEA, ani z ATF, ani z DIA 7, ani z żadnej z wielu trzyliterowych instytucji.

Krótko mówiąc, sweter oznacza, że facet nie stanowi żadnego zagrożenia.

Prawdopodobnie był jakimś biurokratą.

Szata zdobi człowieka.

Reacher podszedł bliżej, stanął tuż przy oknie samochodu i zapukał w szybę. Facet drgnął i uniósł bladoniebieskie oczy. Namacał przycisk. Okno się otworzyło.

- Niech pan przestawi wóz - rzekł Reacher. - Zastawił mnie pan.

Facet odsunął telefon od ucha i zapytał:

- Kim pan jest?

- Szeryfem - odparł Reacher.

- Nie. Poznałem szeryfa wczoraj w nocy. Zresztą szeryf nie żyje. Umarł dzisiaj rano.

Tak mówią.

- Jestem nowym szeryfem. Dostałem awans.

- Jak się pan nazywa?

- A pan?

Facet przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, jakby nagle uświadomił sobie, że dopuścił się poważnego naruszenia etykiety.

- Jestem Lester Lester z Departamentu Stanu.

- Pańscy rodzice byli bardzo oszczędni, co? - mruknął Reacher.

- To tradycja rodzinna.

- Tak czy inaczej, Lester, muszę już jechać.

Facet się nie ruszył.

- Ma pan dwa wyjścia, Lester - ciągnął Reacher. - Podjechać do przodu albo do tyłu.

Facet nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Jego mina świadczyła o tym, że się zastanawia.

Proces myślowy przebiegał dość wolno. W końcu jednak się zakończył. Facet wbił wzrok w Reachera. Wysoki mężczyzna. Złamany nos.

- Pan jest człowiekiem, którego szukamy, zgadza się? - powiedział bardzo głośno.

- Nie ma sensu mnie pytać. Nie wiem, kogo szukacie.

- Niech pan wsiada do samochodu.
 - Dlaczego?
 - Muszę pana zatrzymać.
 - Żartuje pan?
 - Myśli pan, że nasze bezpieczeństwo narodowe to żarty?
 - Myślę, że żartem jest zatrudnianie do jego ochrony takich ludzi jak pan.
- Bardzo głośno.

Nagle Reacher zwrócił uwagę na telefon, który facet wciąż trzymał w ręce.

Z kim rozmawiał?

Z ludźmi w barze?

Może jednak nie jest aż tak głupi.

52

Reacher jednym szarpnięciem otworzył drzwi samochodu, wyrwał facetowi telefon i rzucił wysoko w górę, ponad dachem baru. Potem złapał faceta za sweter na plecach, wyciągnął zza kierownicy i na wpół go wlokąc, na wpół popędzając, zaprowadził w stronę, z której przed chwilą przyszedł. Po kilku metrach obrócił go jak dyskobol i rzucił nim o mur nocnego baru. Potem pobiegł sprintem do jego samochodu, wskoczył za kierownicę, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Spod kół prysnął żwir, wóz wystrzelił do przodu, a Reacher wdepnął hamulec, wysiadł i jednym skokiem okrążył samochód Goodmana, przypadając do drzwi po stronie kierowcy. Wdusił przycisk na pilocie, szarpnął drzwi, odpalił silnik, wycofał spod ściany budynku i ostro skręcił kierownicę.

Piaskowy ford crown victoria wciąż toczył się naprzód. Reacher zostawił go na biegu.

Wyprzedził go i skręcił tuż przed jego maską, ale wóz lekko zahaczył przodem o tylny błotnik.

Samochodem zarzuciło, ale Reacher wyprowadził go z poślizgu i przemknął przez lukę między barem a sąsiednim budynkiem. Zerknął w lewo i zobaczył utykającego blondyna, który rozpaczliwie próbował gonić albo samochód Goodmana, albo swój. Odwrócił wzrok od kulejącego faceta, żeby spojrzeć przed siebie. Przeciął parking od frontu, podskoczył na krawędzi jezdni i przecisnął się między murami na parkingi z tyłu budynków po drugiej stronie drogi.

Tam zwolnił, odetchnął, wyprostował się i ruszył na południe, ostrożnie podjeżdżając do następnej luki, przez którą miał widok na motel i na bar, w którym siedzieli agenci.

Ani śladu Sorenson.

Żadnego ruchu w barze.

Granatowy ford crown victoria wciąż stał zaparkowany przed wejściem. Panował spokój. Nikt nie biegł w stronę samochodu. Drzwi baru pozostawały zamknięte. Przez okna nie można było dostrzec żadnego zamieszania.

Reacher obserwował przez całą minutę, aż zyskał pewność.

Facet z Departamentu Stanu nie rozmawiał z barem.

Reacher zaczął więc obserwować motel i trzy minuty później otworzyły się drzwi pokoju, z którego wyszła Sorenson. Miała na sobie ten sam kostium i nową koszulę. Brudną zwinęła i włożyła do opakowania po nowej. Zabierała pranie do domu. Traktowała to inaczej. Bo miała dom.

Przez sekundę stała na chodniku przed drzwiami pokoju, patrząc w prawo i w lewo, jakby szukała taksówki na ulicy w ruchliwym mieście. Po chwili ruszyła na północ w kierunku baru, gdzie jak wiedziała, czeka samochód Goodmana. Reacher skręcił kierownicę, ostrożnie pokonał korytarz między murami, przejechał z chrzęstem przez żwirowy parking od frontu, przeciął drogę, zrobił szeroki łuk i zahamował tuż obok Sorenson. Przechylił się i otworzył drzwi, a ona wślizgnęła się na fotel pasażera, jakby ćwiczili ten manewr codziennie przez całe życie.

- Musiałem odjechać. Miałem małe kłopoty z twoim panem Lesterem z Departamentu Stanu - wyjaśnił Reacher.

- To nie jest mój pan Lester - odcięła się.

Nagle zorientował się, że ma większe kłopoty, niż przypuszczał. W lusterku wstecznym zobaczył Dawsona i Mitchella, którzy wypadli z baru i wbiegli na parking z łopotem rozpiętych marynarek. Obaj trzymali przy uchu telefony. Każdy z nich gwałtownie wymachiwał wolną ręką.

A więc Lester rzeczywiście zadzwonił do baru. Ale nie celowo. Nie bezpośrednio. Zrobił to bardzo okrężną drogą. Prawdopodobnie rozmawiał ze swoimi ludźmi z Foggy Bottom w Waszyngtonie i jego krzyk: „Pan jest człowiekiem, którego szukamy” oraz nagłe zakończenie rozmowy dały do myślenia jakiemuś bystremu facetowi, który natychmiast zadzwonił do Budynku Hoovera, Hoover zadzwonił do Kansas City, a Kansas City zawiadomiło Dawsona i Mitchella, którzy prawdopodobnie w tej chwili słuchali komunikatu: „Facet, którego szukacie, właśnie tłucze Lestera Lestera jakieś dwadzieścia metrów od was”.

Zobaczyli go. Albo zobaczyli Sorenson. Znieruchomieli, po czym rzucili się do swojego samochodu.

Reacher wduśił gaz i nagłe przyspieszenie wcisnęło Sorenson w fotel. Ford zatańczył

na żwirze.

Reacher przez moment walczył z kierownicą, a potem pod ostrym kątem zjechał z krawężnika i pomknął na północ. Wyciągając szyję, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, jak granatowy samochód agentów wycofuje, skręca i rzuca się w pościg za nimi.

- Trzymaj się - rzucił. - Marny ze mnie kierowca.

- Co ty powiesz? - Sorenson zapięła pas i mocno go zaciągnęła. Reacher nie zdejmował nogi z gazu. Policyjny model z dużym silnikiem V-8, duża moc i moment obrotowy. Całkiem niezłe, tyle że Dawson i Mitchell mieli dokładnie taki sam wóz. Z takim samym silnikiem V-8, o takich samych parametrach, tej samej mocy i z tym samym momentem obrotowym. I być może ważył mniej bez belki z kogutami na dachu i bez osłon zderzaków z przodu i z tyłu. Na pewno miał lepszą aerodynamikę.

Reacher wiedział, że do międzystanowej mają osiemdziesiąt kilometrów, wiedział też, że droga jest mało urozmaicona.

Było kilka bocznych dróg po lewej i prawej, tu i ówdzie rosły kępy drzew, gdzieś stały stare drewniane budynki gospodarcze, gnijące i opuszczone, z niewiadomych powodów wzniesione pośrodku pola. Poza tym wszędzie rozciągał się pusty zimowy krajobraz, a teren był bardzo płaski.

Żadnych pochyłości czy dolin. Żadnych pagórków i wzniesień.

Dobry teren do ucieczki.

Żadnej kryjówki.

Nawierzchnia była w złym stanie, a droga została pofałdowana przez wiele lat zimowych mrozów i letnich susz. Przy normalnej prędkości byłoby to do przyjęcia, ale przy szybkiej jeździe stawało się niebezpieczne. Radiowóz Goodmana sunął naprzód niczym jacht na wzburzonym oceanie. Silnik wył, kierownica wiła się jak żywa w rękach Reachera. Dawson i Mitchell byli około czterystu metrów za nimi, ale zmniejszali dystans. Reacher jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu. Do dechy. Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Dobry teren do ucieczki.

Żadnej kryjówki.

Puller, pomyślał.

- Umiesz obsługiwać to radio? - zapytał.

- Mogę spróbować - odparła Sorenson.

- Sprawdź, gdzie jest Puller ze swoim radarem. Powiedz mu, że na północ jedzie pirat.

Granatowy sedan.

Reacher właściwie nie musiał kierować, bo droga biegła prosto jak strzelił. Samochód

przeskakiwał nad dziurami i spadkami drogi jak w stanie nieważkości. Ani razu nie uniósł się w powietrze, ale był blisko. Sorenson zdjęła mikrofon z uchwytu i przez chwilę manipulowała przyciskami. Odchrząknęła i powiedziała:

- Zastępco szeryfa Puller, proszę podać swoje położenie.

Przez szum w radiu dał się słyszeć głos Pullera:

- Kto mówi?

- Agentka Sorenson z FBI. Gdzie pan teraz jest?

- Półtora kilometra od granicy okręgu.

- Północnej, południowej, wschodniej czy zachodniej?

- Północnej.

- Dobrze, zrozumiałam. W tę stronę jedzie pirat drogowy. Granatowy ford crown victoria.

Proszę zatrzymać kierowcę i udzielić mu pouczenia za lekkomyślne i niebezpieczne zachowanie na drodze.

- Zrobi się.

- Bez odbioru - zakończyła Sorenson i odłożyła mikrofon. - Jak można zatrzymać samochód pędzący sto sześćdziesiąt na godzinę? - zwróciła się do Reachera. - Chyba skazujemy Pullera na śmierć.

- W ten sposób poprawiamy pulę genów.

Reacher pędził, a Dawson i Mitchell byli już trzysta metrów za nimi. Około sześciu sekund przy prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nadal zmniejszali dystans. Reacher spojrzał daleko przed siebie. Prosta droga, płaska ziemia, niski horyzont. Ani śladu Pullera.

- Dzwonili twoi technicy? - zapytał.

- Jeszcze nie - odrzekła Sorenson. - Co ci chodzi po głowie?

- Motyw. Kto porywa dziecko nieżyjącej kobiety? Szczególnie dziecko, które niczego nie widziało i niczego nie wie?

- Jak sekcja może odpowiedzieć na to pytanie?

- Może nie odpowiedzieć. To właśnie chodzi mi po głowie.

Nadal wciskał pedał gazu w podłogę. Miażdżył go stopą.

Ale samochód osiągnął kres możliwości. Nie mógł jechać szybciej. Sto pięćdziesiąt to wszystko, na co go stać. Minęli skręt w lewo. Po chwili następny, w prawo. Drogi były utwardzone, ale prowadziły w pole.

- Jest - rzuciła nagle Sorenson.

Reacher dostrzegł kropkę na horyzoncie. Małą czarnobiałozłotą plamkę na tle brązowego krajobrazu.

Radiowóz Pullera na poboczu. Może kilometr od nich. Trzydzieści sześć sekund. Przed samochodem zastępcy szeryfa nie było już żadnych bocznych drózek. Daleko po prawej rósł niewielki zagajnik. Daleko po lewej stała stodoła z zapadniętym dachem, szara ze starości.

Trzydzieści sekund.

Dwadzieścia.

- Trzymaj się - poradził Reacher.

Piętnaście sekund.

Zacisnął mocno dłonie na kierownicy, po czym zdjął nogę z gazu i wdepnął hamulec. Przód samochodu gwałtownie zanurkował, potężna siła cisnęła ich do przodu, a Reacher usiłował nie wpaść w poślizg. Dawson i Mitchell nie zwolnili. Pędzili naprzód. Do radiowozu Pullera zostało sto metrów. Po chwili pięćdziesiąt. Trzydzieści. Nagle Reacher mocno skręcił kierownicę i zjechał z drogi w prawo na wertepy, a Dawson i Mitchell śmignęli przed nim jak wystrzeleni z procy.

Reacher zakreślił ciasne koło na polu, widząc, jak Dawson i Mitchell mijają Pullera z prędkością około stu dziesięciu kilometrów na godzinę, a Puller włącza koguty i syrenę i rusza za nimi.

Tymczasem Reacher kontynuował skręt, dopóki nie znalazł się z powrotem na drodze. Skierował się na południe, ruszając szybko w przeciwną stronę aż do bocznej dróżki, którą widział po lewej, a którą teraz mieli po prawej. Ostro zahamował, skręcił i pokonał wyboisty odcinek, po czym wjechał w zryty koleinami szlak i zatrzymał się za starą zapadniętą stodołą. Wysiadł, pobiegł za róg rozpadającego się budynku i wyjrzał na północ.

W oddali nie zobaczył niczego. Ani śladu Dawsona i Mitchella. Na razie. Wciąż byli niewidoczni, oddaliwszy się o ponad kilometr. Obliczył w myślach czas i odległość. Pewnie już zwalniają, zatrzymują się, zawracają, kłócą się z Pullerem, pokazują legitymacje, krzyczą, zlorzeczą i tracą nad sobą panowanie.

Tracą czas.

Potem prawdopodobnie jak najszybciej wrócą na południe. Musieli widzieć, jak skręcił na wertepy, i będą zamierzali gonić go aż do miasteczka.

Z obliczeń wyszły mu trzy minuty.

A może trzy minuty i dziesięć sekund.

Czekał.

I dokładnie po upływie tego czasu zobaczył w oddali ich samochód, pędzący drogą z lewej na prawą, z północy na południe, znów z prędkością ponad sto. Widok robił wrażenie. Duży dostojny sedan naprawdę gnał co koń wyskoczy. Lakier migotał w bladym słońcu. Samochód pewnie trzymał się drogi, z tyłem nisko nad asfaltem sunął okrakiem po osi jezdni. Reacher przebiegł obok radiowozu Goodmana i wyjrzał zza drugiego rogu stodoły. Zobaczył tył granatowego forda prującego na południe. Po dziesięciu sekundach samochód zmienił się w małą kropkę. A po dwudziestu zniknął.

Reacher odetchnął i wrócił do radiowozu. Wsiadł i zamknął drzwi. Opadł ciężko na siedzenie, kładąc ręce na kolanach.

Cisza. Słysząc było tylko warkot wiernego silnika, stukot i tykanie zmęczonych, powoli stygnących elementów.

- Wcale nie jesteś takim kiepskim kierowcą - stwierdziła Sorenson.

- Dziękuję.

- Co teraz?

- Czekamy.

- Gdzie?

- To chyba dobre miejsce.

Sorenson otworzyła czarną skórzaną torebkę i wyjęła z niej telefon Goodmana. Podłączyła go do stacji na desce rozdzielczej. Aparat wydał krótki pisk, informując, że się łąduje.

A potem zaczął dzwonić.

Sorenson pochyliła się i spojrzała na wyświetlacz.

- Moi technicy - powiedziała.

53

Sorenson wcisnęła zielony przycisk i Reacher znów usłyszał w głośnikach dźwięk telefonu, tak samo dziwnie wyraźny i dokładny jak przedtem.

- Macie coś dla mnie? - spytała Sorenson.

- Tak, mamy wstępne wyniki - odrzekł męski głos.

Był zmęczony i trochę zdyszany. Reacher przypuszczał, że facet idzie i jednocześnie rozmawia.

Pewnie postanowił wyskoczyć na słońce i świeże powietrze po długich nieprzyjemnych godzinach spędzonych w wyłożonej białymi płytkami piwnicy. Oddychał głęboko, mrugał, przeciągał się i ziewał. Reacher wyobrażał sobie scenierię: proste

dwuskrzydłowe drzwi, kilka betonowych schodków, parking. Może jakieś klomby i ławeczki. Dawniej facet zrobiłby krótką przerwę, żeby zapalić upragnionego papierosa.

- Mów - ponagliła go Sorenson.

- Mam być szczery? - zapytał technik.

- Zwykle jesteś.

- No więc nie mogę przysiąc, że ta osoba nie żyła, kiedy zaczęła się palić. Może tak, może nie.

Niewykluczone, że doszło do jakiegoś uszkodzenia w miejscu, gdzie być może były żebra. Jeśli przyjrzeć się bliżej, widać coś jakby ranę postrzałową klatki piersiowej. To mogłoby wystarczyć.

Jest w okolicy serca. Ale nie potwierdziłbym tego w sądzie. Druga strona na pewno by mnie wyśmiała. Ogień spowodował za dużo uszkodzeń, żeby wyciągać jakieś wnioski o obrażeniach zewnętrznych.

- Przeczucie?

- W tym momencie przecucie mi podpowiada, że chciałbym się przekwalifikować na fryzjera.

Chyba w życiu nie widziałem niczego gorszego.

Sorenson milczała przez długą chwilę.

- Coś jeszcze? - spytała w końcu.

- Zacząłem od początku, od obręczy miedniczej. To jedyny sposób, żeby w takim przypadku ustalić płeć. I wszystko było jasne: kości miednicy dość dobrze ochroniła gruba warstwa tłuszczu.

Zaskoczony Reacher podniósł wzrok. Delfuenso nie była gruba. Była szczupła.

- No i? - zapytała Sorenson.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to zwłoki mężczyzny.

Sorenson wypytała technika o szczegóły. Przypominało to przyspieszony kurs antropologii sądowej. Reacher przypominał sobie niektóre terminy i zasady z zajęć, na które uczęszczał. Uczył się kiedyś takich rzeczy, częściowo z zawodowego obowiązku, a częściowo dlatego, że go to interesowało. Przy miednicy należało zwrócić uwagę na cztery elementy. Pierwszy to rozpiętość kości biodrowych. To duże kości w kształcie motyli skrzydeł, u kobiet rozstawione szerzej i tworzące kształt przypominający kołyskę albo złączone dłonie, z bardziej oddalonymi od siebie przednimi kolcami biodrowymi, natomiast u mężczyzny kości biodrowe są węższe, położone bliżej siebie i znacznie bardziej pionowe,

przywodzące na myśl faceta pokazującego półmetrowego pstrąga na brzegu rzeki.

Po drugie, otwór zasłonowy przy kości kulszowej u kobiet jest mniejszy i trójkątny, a u mężczyzn większy i okrągły. Po trzecie, łuk łonowy u kobiet zawsze ma więcej niż dziewięćdziesiąt stopni i jest okrągły, a u mężczyzn ostry i zawsze ma mniej niż dziewięćdziesiąt stopni.

Czwarty element jest oczywiście rozstrzygający: przestrzeń między kośćmi kulszowymi jest u kobiet na tyle duża, by pomieścić główkę noworodka. U mężczyzn wygląda to inaczej.

Zdecydowanie.

Miednice nie kłamią. Nie można pomylić jednej z drugą. Nawet miednica pochodząca sprzed miliona lat, wykopana z ziemi w kawałkach, jest jednoznacznie męska lub żeńska. Jeśli miednica nie została starta na proch, przesądza o płci, bez dwóch zdań, bez cienia wątpliwości, koniec i kropka, dziękujemy bardzo, dobranoc. Tego nauczył się Reacher na swoich zajęciach i to potwierdził głos w telefonie.

- A więc to nie była Delfuenso - podsumowała Sorenson.

- Zgadza się - przytaknął głos. - I cieszę się razem z tobą. Ale więcej nic pewnego nie potrafię już powiedzieć. To był mężczyzna. Reszta to domysły.

Sorenson rozłączyła się, spojrzała na Reachera i powiedziała:

- Wiedziałeś, prawda?

- Podejrzewałem - przyznał się Reacher.

- Dlaczego?

- Po porwaniu Lucy nic innego nie miałoby sensu. Doszedłem do wniosku, że nadal mogą gdzieś przetrzymywać Delfuenso, może panikuje albo nie chce współpracować i jedyny sposób, żeby się zamknęła, to uprowadzić jej dziecko.

- Żeby ją uspokoić?

- Albo zastraszyć.

- No to teraz obie są w niebezpieczeństwie.

- Może nie - odparł Reacher. - Może są bezpieczne, ponieważ płyną stąd inne ewentualne wnioski. Ale mogą być fałszywe. Mogą się okazać żenująco przemądrzałe.

- Który z nich zginął? King czy McQueen? A może ktoś, o kim jeszcze nie słyszeliśmy?

- Wydaje mi się, że to King. Był grubawy, zwłaszcza w okolicy pasa. Poza tym pasowałby do teorii.

- Jakiej?

- Pamiętam, co powiedział McQueen, kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady na stację benzynową.

- Już mówiłeś. Powiedział, że powinieneś mu zaufać.

- Wcześniej. Miałem wątpliwości, czy warto tam zjechać, a on trochę się zniecierpliwił i powiedział, że to on tu dowodzi.

- Może dowodził? Na pewno jeden albo drugi. Wątpię, żeby panowała u nich demokracja.

- Ale to konkretne słowo ma określony wydźwięk, nie sądzisz? Dowodził? Są dowódcy jednostek, sił lądowych, pododdziałów. Dowództwo się przyjmuje, dostaje od kogoś. To rodzaj władzy przekazywanej w dół hierarchii służbowej.

- Wydaje mi się, że to bardzo subiektywne.

- Myślę, że zwykły bandyta powiedziałby: „Ja tu jestem szefem”. Coś w tym rodzaju.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że McQueen jest byłym żołnierzem? Albo byłym policjantem?

Reacher nie odpowiedział.

- A potem poradził mi, żebym mu zaufał - ciągnął. - Jakby był godny zaufania. Jakby był po właściwej stronie. Potem strzelił do mnie i spudłował.

- A więc prawdopodobnie ani były żołnierz, ani policjant. Kiepski strzelec.

- Może był doskonałym strzelcem.

- Przecież był z tobą w holu. Stał jakieś dwa, dwa i pół metra od ciebie. Jak doskonały strzelec mógłby spudłować z dwóch i pół metra?

- Może spudłował celowo?

Sorenson milczała.

- Wtedy prawie się nad tym nie zastanawiałem - mówił dalej Reacher. - Cieszyłem się tylko, że żyję. Ale facet strzelił zdecydowanie za wysoko. Trzydzieści, może czterdzieści centymetrów nad moją głową. Pamiętam, powiedziałem, że pocisk nie trafiłby właściciela motelu, nawet gdyby stanął sobie na ramionach. Trochę przesadziłem. Strzał padł pod kątem około dziesięciu stopni w stosunku do linii poziomej. Ściślej mówiąc, ponad jedenastu stopni.

- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

- Mówię poważnie. Pamiętam coś jeszcze: McQueen zmienił pozycję, żeby zasłonić mi widok na samochód.

- Co z tego?

- W ten sposób zasłonił im też widok na mnie. Jakby chciał, żeby myśleli, że robi jedno, a w rzeczywistości robił co innego.

- Spudłował i tyle. To się czasem zdarza.
- Myślę, że zrobił to celowo.
- Reacher, przecież on zabił człowieka w pompowni. Najwyraźniej zabił też swojego partnera.

Spalił go żywcem. Dlaczego miałby celowo spudłować? Co takiego cię wyróżnia?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - odparł Reacher.

- Jaki?

- Podaj mi numer swojego telefonu.

- Po co?

- Będzie mi potrzebny.

- Zostawiłam telefon w domu Delfuenso, pamiętasz?

- Niedługo go odzyskasz. I swój samochód. I reputację. Wkrótce zostaniesz bohaterką.

54

Reacher i Sorenson zamienili się miejscami w radiowozie Goodmana i Sorenson pojechała do miasteczka spokojnie, nie przekraczając osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Minęli Miasto Grzechu, minęli puste pola soi, potem czterysta metrów starych maszyn, znów pola, a na skrzyżowaniu skręcili w prawo, pokonali jeszcze sto metrów i zaparkowali przy starej pompowni.

Sorenson wcisnęła kilka klawiszy w telefonie Goodmana i wyświetliła listę ostatnich połączeń i wiadomości w poczcie głosowej. Znalazła numer komórki Dawsona. Zadzwoiła i agent odebrał prawie natychmiast.

- Szeryf Goodman? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Sorenson. - Mówi Sorenson z Omaha. Z telefonem szeryfa to długa historia, ale mam człowieka, którego szukacie. Zatrzymałam go. Możecie go odebrać w każdej chwili.

- Gdzie jesteś?

- Przy starej pompowni.

- Będziemy za dwie minuty.

Dziewięćdziesiąt sekund później Reacher otworzył drzwi i oznajmił:

- Dobra, jestem gotowy na zbliżenie mojej twarzy.

Wysiadł, przeszedł przez chodnik, stanął przed betonową ścianą starej pompowni i oparł końce palców o szorstką powierzchnię. Rozstawił stopy na szerokość metra, pochylił się

i przeniósł ciężar ciała na rękę. Przyjąć pozycję. Sorenson stanęła dwa metry za nim, wyciągnęła z kabury pistolet i trzymając go oburącz, wycelowała w środek jego pleców.

- Wyglądasz nieźle - przyznała.

- Ale czuję się gorzej - odparł Reacher.

- Powodzenia. Fajnie z tobą było.

- To jeszcze nie koniec. Mam nadzieję, że jeszcze cię zobaczę.

Trwali bez ruchu. Beton był zimny. W końcu Reacher usłyszał chrzęst opon. Usłyszał, jak zatrzymuje się samochód i otwierają się drzwi. Odwrócił głowę. Granatowy ford crown victoria.

Dawson i Mitchell. Wskoczyli z wozu, powiewając połami marynarek, z bronią w ręku i uśmiechem triumfu. Zamienili kilka słów z Sorenson. Gratulacje, wdzięczność, podziękowania.

Zapewnili, że zajmą się resztą. Reacher odwrócił się w stronę muru. Usłyszał kroki oddalającej się Sorenson. Usłyszał, jak uruchamia silnik radiowozu Goodmana. A potem odjeżdża.

Zapadła cisza. Słyszał tylko oddech za swoimi plecami i szum zimnego wiatru.

A potem Dawson albo Mitchell powiedział:

- Odwrócić się.

Reacher chętnie wykonał polecenie. Zdrętwiały mu palce i zaczęły boleć ramiona. Odepchnął się od ściany, wyprostował i odwrócił. Obaj agenci mierzyli do niego z broni. Wyglądali tak samo jak wtedy, gdy widział ich przez szybę w barze: niewiele ponad czterdzieści lat, granatowe garnitury, białe koszule, granatowe krawaty, wciąż wymięci, wciąż zmęczeni, wciąż czerwoni na twarzach. Po niedawnych przejściach może trochę bardziej zmęczeni i czerwoni niż poprzednio. Najgorszym z nich była prawdopodobnie przeprawa z Pullerem. Przekroczenie prędkości to głupstwo.

Wymiana zdań z kretyńcem - przeciwnie. Jak brzmiało to porównanie? „Gadać jak dziad do obrazu?”

Wyższy i szczuplejszy z nich powiedział:

- Nazywam się Dawson, a mój partner Mitchell. Chcielibyśmy, żeby wsiadł pan z nami do samochodu.

- Zdają sobie panowie sprawę, że wczoraj w nocy spotkałem Kinga i McQueena po raz pierwszy w życiu? - spytał Reacher.

- Owszem. Podróżował pan autostopem. Przyjmujemy to do wiadomości. Nie mamy też panu za złe próby ucieczki kradzionym samochodem policyjnym. A pan Lester gotów jest

zapomnieć o swoich obrażeniach.

- Jakich obrażeniach?

- Ma uraz nogi - wyjaśnił Mitchell. - Prawdopodobnie uraził pan też jego ambicję.

- A więc między nami wszystko w porządku?

- W największym.

- To dlaczego chcecie mnie aresztować?

- Nie aresztujemy pana - odrzekł Dawson. - Formalnie rzecz biorąc nie.

- Czyli aresztujecie mnie nieformalnie?

- Ostatnio przyjęte przepisy dają nam różne uprawnienia. Jesteśmy upoważnieni do skorzystania ze wszystkich.

- Nie mówiąc mi, jakie to uprawnienia?

- Ma pan obowiązek współpracować z nami w kwestiach związanych z bezpieczeństwem narodowym. A my mamy obowiązek zatroszczyć się przede wszystkim o pańskie bezpieczeństwo.

- Co mi grozi?

- Wplątał się pan w sprawy, których pan nie rozumie.

- Więc robicie to dla mnie?

- Otóż to. Robimy to dla pana - potwierdził Dawson.

Reacher wsiadł do ich samochodu. Na tylne siedzenie. Bez kajdanek, niczym nieskrępowany, jeśli nie liczyć pasa bezpieczeństwa, który kazali mu zapiąć. Oznajmili, że FBI skrupulatnie przestrzega zasad bezpieczeństwa kierowców i pasażerów. Był przekonany, że tylnych drzwi nie da się otworzyć od środka, ale się tym nie przejmował. Nie zamierzał wy skakiwać.

Mitchell usiadł za kierownicą i ruszył na wschód do skrzyżowania, a potem na południe, oddalając się od miasteczka. Dawson siedział obok niego w milczeniu. Reacher patrzył przez okno.

Chciał śledzić trasę, którą jechali. Lokalna jednopasmówka prowadząca na południe wyglądała prawie tak samo jak odcinek północny. Nie było tu odpowiednika Miasta Grzechu, ale poza tym teren wyglądał znajomo. Zimowe ugory, od czasu do czasu drzewa, kilka starych stodół, czasem jakiś sklepik spożywczy, zaniedbane podwórko ze stertą używanych opon do traktora na sprzedaż. Przy drodze była nawet taka sama wystawa maszyn rolniczych z czwartej ręki, w równie opłakanym stanie i równie zardzewiałych. Rynek używanych maszyn był najwyraźniej zalany towarem.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Reacher, ponieważ uznał, że dla zachowania pozorów prędzej czy później powinien o to spytać.

Dawson otrząsnął się z otępienia i rzekł:

- Zobacz pan.

Reacher zobaczył resztę Nebraski i sporą część Kansas. Przejechali prawie pięćset kilometrów, pierwszą połowę drogi, od punktu tuż za autostradą międzystanową przecinającą Nebraskę, prosto na południe, aż do międzystanówki biegnącej z zachodu na wschód przez Kansas. Zatrzymali się na bardzo późny lunch w McDonalddie tuż za granicą stanu. Dawson nalegał, żeby skorzystali z okienka dla zmotoryzowanych. To samo proponowała Sorenson w Iowa. Reacher domyślał się, że FBI ma w tej sprawie oficjalne zasady. Pewnie zalecenie jakiejś komisji. Nie pozwolić zatrzymanemu umrzeć z głodu, ale nie pozwolić mu też wysiadać z samochodu. Zamówił to samo co ostatnim razem: dwa cheeseburgery, dwa ciastka z jabłkiem i dużą kawę. Jeśli chodziło o McDonalda, był niewolnikiem swoich przyzwyczajzeń. Jedzenie trafiło do samochodu przez okno po stronie Mitchella i zostało mu podane ponad ramieniem Mitchella. Reacher całkiem wygodnie zjadł na tylnym siedzeniu. Był tam nawet uchwyt na kubek. Wozy policyjne od jego czasów znacznie się ucywilizowały. Na pewno.

Przez resztę drogi jednopasmówką podrzemywał. Nazywał tym słowem stan półprzytomności między snem a czuwaniem, który bardzo lubił. Gdyby nawet nie lubił, trudno byłoby się oprzeć senności. Był zmęczony, w samochodzie było ciepło, siedzenie wygodne, a jazda spokojna. Poza tym ani Dawson, ani Mitchell się nie odzywali. Nie toczyły się żadne ożywione trójstronne rozmowy.

Zresztą Reacher wcale nie miał na nie ochoty. Jego zdaniem milczenie było złotem.

Potem skręcili w międzystanową na wschód, w kierunku Kansas City w stanie Missouri. Reacher odrobił lekcję historii. Amerykanie osiedlili się w Kansas City w 1831 roku. W 1853 roku miasto włączono do Unii. Nazywano je Miastem Fontann albo Paryżem Wielkich Równin. Miało porządny klub baseballowy. Mistrzowie w 1985. George Brett, Frank White, Bret Saberhagen.

Numer kierunkowy: osiemset szesnaście.

Ludność liczone w różny sposób. Lokalni patrioci lubili zawyżać jej liczbę, włączając dalekie przedmieścia.

Większość jednak zgodnie twierdziła, że obszar metropolitalny zamieszkuje około półtora miliona ludzi.

Układ, wygląd i ogólne zasady organizacji autostrady międzystanowej były takie same jak w przypadku jej równoległej siostry bliźniaczki dwieście czterdzieści kilometrów na północ. Była równie prosta, szeroka i płaska. Zjazdy pojawiały się równie rzadko. Poprzedzały je takie same niebieskie tablice, będące połączeniem informacji z przynętą. Niektóre zjazdy były autentyczne, inne lewe. Granatowy ford crown victoria sunął naprzód. Dawson i Mitchell wciąż nie odzywali się ani słowem. Reacher siedział prosto i wygodnie, unieruchomiony pasem bezpieczeństwa.

Obserwował pobocze i drogę przed nimi. Na wschodzie robiło się ciemno. Dzień chylił się ku końcowi. Słońce, które wychyło zza chmur nad spalonym chevroletem impalą, teraz zniknęło daleko za jego plecami.

Nagle poczuł, że samochód nieznacznie zwalnia przed znakiem informującym o zjeździe z nazwą, której nie rozpoznał. Niebieskie tablice zapraszały na stację benzynową i do baru, ale motelu nie było. Brakowało go jednak od niedawna. Tablica z informacją o noclegu była pusta, ale została świeżo zamalowana. Dawał się zauważyć równiutki prostokąt nowej niebieskiej farby, w nieco innym odcieniu niż tło. Być może bankructwo albo restrukturyzacja firmy, albo śmierć jednego lub obojga współwłaścicieli rodzinnego moteliku.

A może coś bardziej skomplikowanego.

Sam zjazd nie wyglądał ani na obiecujący, ani na lewy. Dawał pewną nadzieję, ale nie zapowiadał fajerwerków. Z daleka nie było widać neonu stacji benzynowej. Ani barwnej łuny świateł fast foodów. Jednak układ terenu w zapadającym zmierzchu sugerował, że za następnym wzniesieniem albo zakrętem może być coś interesującego.

Mitchell spojrział w lusterko wsteczne, włączył kierunkowskaz i jeszcze trochę zwolnił. „Zasady bezpieczeństwa kierowców i pasażerów”. Zdjął nogę z gazu i trzymając się białej linii, łagodnie i płynnie skręcił na zjazd. Nie wyłączając kierunkowskazu, zatrzymał się na końcu zjazdu, ustąpił komuś pierwszeństwa, po czym skręcił w prawo w jednopasmową drogę lokalną. Znów jechali na południe, może sto sześćdziesiąt kilometrów przed Paryżem Wielkich Równin, w kierunku otwartej przestrzeni.

Półtora kilometra dalej minęli stację benzynową, a po następnym kilometrze restaurację bez nazwy. Potem na poboczu pojawiła się ostatnia samotna niebieska tablica, zupełnie pusta, jeśli nie liczyć poziomego i pionowego pasa świeżej niebieskiej farby. Krótka nazwa motelu i strzałka wskazująca na wprost zostały niedawno ukryte.

Po obu stronach drogi rozciągały się puste zimowe pola. Tak jak w Iowa. Pszenica,

sorgo i słoneczniki. W tym momencie nic się nie działo, ale za pół roku, na jednej z najlepszych gleb preriowych na świecie, wszystko powinno wybujać jak pułk żołnierzy. W odległości wielu kilometrów nie można było dostrzec żadnych domostw. Jeśli były tu jeszcze jakieś budynki gospodarcze, musiały stać za linią ciemniejącego horyzontu.

Mitchell jechał przez odludzie ponad trzydzieści kilometrów, po czym znów zwolnił. Reacher wbił wzrok w szarówkę, szukając świateł. Żadnych nie widział. Po chwili droga odbijała w prawo i w lewo, okrążając kępę nagich drzew, a potem znikła w szerokiej i płytkiej dolinie. Dogasający blask na zachodzie ukazał motel w odległości ponad kilometra, przypominający makietę ustawioną na stole.

Był to całkiem spory kompleks. Składał się z głównego budynku, gdzie być może znajdowało się biuro i restauracja, oraz z kilku otaczających go pawilonów, z których każdy mieścił pięć czy sześć pokoi. Budynki były niskie, lecz długie, ze spadzistymi dachami krytymi dachówką i jasno otynkowane. Widać było pusty basen, betonowe ścieżki i parkingi oraz klomby bez kwiatów. Cały kompleks otaczał niski dekoracyjny mur wykończony takim samym jasnym tynkiem. Z oddali wyglądał jak nadmorski motelik. Niekoniecznie w Miami, niekoniecznie w Kalifornii, niekoniecznie na Long Island, ale jak śródlądowa mieszanka wszystkich trzech typów, stworzona przez czyjąś rozgorączkowaną wyobraźnię.

Mimo zamalowanych tablic wyglądało na to, że motel jest czynny.

W głównym budynku paliły się światła, podobnie jak w czterech oknach pawilonów. Widać było parę wydobywającą się prawdopodobnie z kuchennego otworu wentylacyjnego. Na odległych od siebie parkingach stały dwa samochody. Obydwa sedany, długie, niskie i ciemne. Fordy, pomyślał Reacher. Przypuszczalnie crown victoria.

Dokładnie takie same jak wóz, którym jechał.

- Tam jedziemy? - zapytał.

Mitchell prowadził w milczeniu, Dawson też nie odpowiedział.

W miarę jak się zbliżali, Reacher liczył na to, że zobaczy coś więcej. Więcej szczegółów. Ale nie zobaczył. Nie mógł. Szczegóły się nie ujawniły. Coś przesłaniało mu widok. Nie tylko zapadający zmrok. Patrząc z odległości ośmiuset metrów, odnosiło się wrażenie, jakby kompleks zasnuwała nisko ścieląca się mgła. Jak otaczające go pole siłowe.

Gdy znaleźli się czterysta metrów przed motelem, zobaczył, co to jest.

Ogrodzenie wysokości około trzech metrów, zrobione z gęstej metalowej siatki pomalowanej na czarno, ze zwojami drutu kolczastego nachylonymi do wewnątrz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Opasywał szczelnie niski mur, podążając za każdym załomem i biegnąc wokół całego kompleksu, ale stał trzy metry dalej niczym ponury kuzyn tego

niewinnego kaprysu architektonicznego.

Drut wieńczący ogrodzenie był nachylony do wewnątrz.

Miał zatrzymać ludzi w środku, a nie odstraszać intruzów.

Dawson zadzwonił z komórki i zanim Mitchell dotarł do ogrodzenia, automatyczna brama już się otwierała. Wjechał na teren motelu, a Reacher odwrócił się i patrzył, jak brama zamyka się za nimi.

Mitchell jechał po zniszczonej betonowej nawierzchni, zatoczył koło i zatrzymał się przed biurem.

Nie wyprostował się, nie westchnął ani się nie przeciągnął, jak można by oczekiwać po zakończeniu podróży. Nie zgasił silnika. Czekał z wciśniętym hamulcem. Reacher odpiął pas i pociągnął za klamkę. Miał rację. Drzwi nie dało się otworzyć od środka.

Dawson wysiadł i otworzył mu od zewnątrz. Nie odezwał się ani słowem. Wskazał tylko brodą drzwi recepcji. Reacher wysunął się z forda i wyprostował w wieczornym chłodzie. Dawson wsiadł i zatrzasnął drzwi, a samochód ruszył. Oddalił się cicho od stojącego bokiem Reachera, znów zatoczył koło i zniszczonym betonowym podjazdem ruszył w kierunku bramy. Zanim tam dotarł, brama już się otwierała, więc przejechali, nie zatrzymując się. Zwolnili na moment, a potem skręcili w prawo w jednopasmową drogę i skierowali się na północ drogą, którą przyjechali.

Brama zamknęła się za nimi, nie za szybko, nie za wolno, ale bezgłośnie.

Reacher wszedł do biura motelu. Wyglądało jak setki innych, które dotąd widział. Było bardzo podobne do recepcji motelu grubasa, gdzie był tego dnia rano. Łada recepcji, meble do siedzenia i stół z miejscem na kawę i śniadaniowe babeczki. Na podłodze leżała winylowa wykładzina, na ścianach wisiały obrazki, a lampy wybrano chyba bardziej ze względu na niskie rachunki za prąd niż na odpowiednie oświetlenie.

Za ladą siedziała pulchna kobieta w macierzyńskim typie. Uśmiechała się ciepło i uprzejmie.

- Pan Reacher? - spytała.

- Tak - odparł Reacher.

- Spodziewaliśmy się pana.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Mamy pokoje z podwójnymi, królewskimi i pojedynczymi łózkami - powiedziała. -

Ale już pana ulokowałam w pokoju z podwójnym łóżkiem.

- Naprawdę? - powtórzył Reacher.

Kobieta znów skinęła głową.

- Moim zdaniem pokoje z podwójnymi łóżkami są najładniejsze. Wydają się trochę przestronniejsze, z fotelami i tak dalej. Podobają się większości naszych gości.

- Większości? Ilu ich tu przyjmujecie?

- Och, drzwi się nie zamykają.

- Chętnie wezmę podwójne łóżko. Jestem sam.

- Tak. Wiem.

Zapisała coś w książce i zdjęła klucz z haczyka.

- Pokój numer dwadzieścia - powiedziała. - Łatwo znaleźć. Proszę się kierować tabliczkami. Po zmroku wszystkie są podświetlone. Kolacja zacznie się za godzinę.

Reacher włożył klucz do kieszeni i wyszedł z recepcji. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

Zgodnie z obietnicą recepcjonistki zobaczył tabliczki ze strzałkami na niewysokich słupkach, oświetlone przez reflektory umieszczone na wbitych w ziemię prętach. Poszedł we wskazanym kierunku do pawilonu z pokojami od numeru szesnastego do dwudziestego. Ścieżka ze szcztokowanego betonu wiła się wśród pustych klombów i wychodziła na długi niski budynek mieszczący pięć pokoiów. Dwudziestka była ostatnia. Niedaleko znajdował się pusty basen, a za nim ozdobny tynkowany murek, za którym ciągnęło się ogrodzenie. Z bliska było wysokie, czarne i kanciaste. Siatka składała się z zespawanych płaskich pasków stali, między którymi powstały otwory mniejsze od znaczka pocztowego. Za małe, by włożyć w nie palec. I o wiele za małe, by wsunąć stopę. Z góry zwisały zwoje drutu kolczastego. Było to bardzo skuteczne ogrodzenie.

Reacher otworzył drzwi pokoju i wszedł do środka. Zgodnie z obietnicą zobaczył podwójne łóżko i fotele. Na łóżku leżały ubrania ułożone w dwie równiutkie kupki. Dwa identyczne zestawy.

Niebieskie dżinsy, niebieskie koszule, niebieskie bawełniane swetry, białe podkoszulki, biała bielizna, niebieskie skarpetki. Każda część garderoby była chyba w dobrym rozmiarze. Niełatwo znaleźć takie rzeczy w krótkim czasie.

„Spodziewaliśmy się pana”.

Na poduszce leżała piżama. W łazience czekały przybory toaletowe: mydło, szampon, odżywka, krem do golenia. Jakiś balsam do ciała. Dezodorant. Jednorazowe maszynki do golenia. Pasta do zębów i nowa duża szczoteczka w celofanowym opakowaniu. Szczotka do

włosów i grzebień, też nowe i opakowane w celofan. Na haczyku wisiał szlafrok. Na wieszakach mnóstwo ręczników i dywanik na podłodze.

Co najmniej jak w Four Seasons.

Tylko że w pokoju nie było telewizora ani telefonu.

Reacher zamknął drzwi na klucz i poszedł spenetrować teren.

Cały kompleks miał kształt prostokąta, dla urozmaicenia wciętego tu i ówdzie. Oplatała go skomplikowana sieć betonowych ścieżek prowadzących do wszystkich miejsc wartych zobaczenia, między innymi pięciu pawilonów z pokojami, głównego budynku, basenu i pola do minigolfa w jednym z rogów. Wszędzie były klomby obramowane niższymi wersjami otynkowanego muru.

Miejsca pomiędzy budynkami, murami i klombami wysypano tłuczonym kamieniem. Nieco prostsza sieć betonowych nawierzchni łączyła bramę z małym rondem przed recepcją oraz pięcioma oddzielnymi parkingami z pięcioma stanowiskami przed każdym z pawilonów, a także z rampą dla samochodów dostawczych za głównym budynkiem.

W czterech pokojach paliło się światło. Przed dwoma z nich nie było żadnych aut, a w pobliżu dwóch innych stały zaparkowane samochody, policyjne fordys crown victoria z antenami na tylnych klapach. Reacher zajrzał przez szyby do ich ciemnego wnętrza i zobaczył puste stacje po komórkach, takie same jak w wozie Sorenson.

Przez minutę stał w ciemnościach i nasłuchiwał. Niczego nie usłyszał. Panowała cisza. Żadnych samochodów w oddali. Żadnych samolotów. Tylko głucha wieczorna pustka. Według jego obliczeń i logicznych wniosków był w Kansas, gdzieś na osi między Topeką a Wichitą, prawdopodobnie w połowie drogi między nimi, a może trochę bliżej Topeki, w pobliżu rezerwatu Tallgrass Prairie.

Ale jeśli chodziło o dowody fizyczne, równie dobrze mógł być na ciemnej stronie Księżycy. Niebo wydawało się ciężkie i zasnuwane chmurami, a za gęstym ogrodzeniem z siatki nie było nic.

Zawrócił i przeszedł z powrotem tę samą drogę, mijając jedno z oświetlonych okien, a potem o mało nie zderzył się z mężczyzną wychodzącym z pokoju numer czternaście. Był to szczupły, zabiedzony facet średniego wzrostu, nie najmłodszy, ale jeszcze nie wiekowy, o twarzy poranej bruzdami, jak gdyby całe życie spędził na powietrzu, niezależnie od pogody.

„Robotnik rolny, około pięćdziesiątki”.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby łączyła ich wspólna tajemnica.

- Dzień dobry.

- Pan był świadkiem - powiedział Reacher.

- Kim? - zdziwił się facet.

„Nie jest zabójczo inteligentny”.

- Widział pan czerwony samochód - wyjaśnił Reacher.

- Może widziałem, może nie widziałem. Ale i tak nie wolno nam o tym rozmawiać.

Nawet ze sobą. Nie mówili panu?

Facet miał na sobie nowe dżinsy, nową niebieską koszulę i nowy bawełniany sweter. Dokładnie takie same rzeczy, jakie leżały na łóżku Reachera, choć w mniejszym rozmiarze. Miał czyste i starannie uczesane włosy. Był świeżo ogolony. Wyglądał jak urlopowicz.

- Kiedy pan tu przyjechał? - spytał go Reacher.

- Dzisiaj wcześnie rano - odrzekł mężczyzna.

- Z Dawsonem i Mitchellem czy z kimś innym?

- Nie przedstawili mi się. Poza tym i tak nie wolno nam o tym rozmawiać. Nie mówili panu?

- Kto miał mi o tym powiedzieć?

- Nikt pana nie odwiedził?

- Jeszcze nie.

- Kiedy pan przyjechał?

- Przed chwilą. Parę minut temu.

- No to niedługo przyjdą. Wejdą do pokoju i powiedzą o zasadach. - Facet przestępował z nogi na nogę, jakby czymś się niecierpliwił. Jakby chciał być teraz gdzie indziej.

- Dokąd pan idzie? - chciał wiedzieć Reacher.

- Do restauracji - odparł facet. - Gdzież by indziej? Dają tam piwo. Całe mnóstwo różnych marek. W wysokich butelkach, dobre i zimne. Człowiek cały dzień nie pracuje i dostaje darmowe jedzenie i piwo. Może być coś lepszego?

Reacher milczał.

- Idzie pan? - spytał facet.

- Może później.

- Nie ma pośpiechu - odrzekł mężczyzna. - Zamierzam parę łyknąć, ale mają naprawdę dużo.

Jeszcze długo się nie skończy. Może mi pan wierzyć. - I szybkim krokiem ruszył krętą ścieżką, z początku oświetlony od pasa w dół reflektorami przy tabliczkach informacyjnych, a po chwili znikając mu z oczu.

Reacher został tam, gdzie stał. Pod pokojem numer czternaście. Jednym z dwóch oświetlonych pokoi, przed którymi nie parkowały samochody FBI. Drugim był pokój numer pięć. Zrobił w tył zwrot i cofnął się, mijając pokoje od sześć do dziesięć, okrążając klomb i kierując się do pierwszych drzwi w następnym pawilonie. Pokój numer pięć. Zamierzał zapukać, ale nie musiał.

Gdy był dwa metry od celu, drzwi otworzyły się z impetem i wypadła z nich dziewczynka - wulkan energii o długich nogach i rękach. Chuda, ciemnowłosa i blada, może dziesięcioletnia, kipiąca radością i szeroko uśmiechnięta. Nagle zauważyła w mroku zwalistą sylwetkę Reachera, stanęła jak wryta, a jej uśmiech zmienił się w wyraz zaskoczenia. Zasłoniła usta dłońmi, więc Reacher widział tylko dwoje ogromnych oczu.

- Witaj, Lucy - powiedział.

56

Zaraz potem z pokoju wyszła Delfuenso. Musiała usłyszeć jego głos. Stanęła na ścieżce oświetlona ciepłym blaskiem padającym zza jej pleców przez otwarte drzwi. Wyglądało na to, że jest w doskonałej formie. Była wypoczęta, zadowolona, spokojna i odprężona. Miała na sobie damską wersję obowiązującego w motelu stroju. Nowe niebieskie dzinsy, nową niebieską bluzkę i niebieski sweter w nieco innym fasonie, jaśniejszy, krótszy i bardziej obcisły niż męski. Jej włosy były umyte i ułożone, a twarz promieniała świeżością. Najwyraźniej znalazła ubrania na łóżku i kosmetyki w łazience.

„Spodziewaliśmy się pana”.

- Lucy, to jest pan Reacher - powiedziała. - Był ze mną przez jakiś czas.

- Dzień dobry, panie Reacher - przywitała go dziewczynka.

- Dzień dobry, Lucy - powiedział znowu Reacher.

- Złamał pan nos - zauważyła.

- Dokładniej mówiąc, ktoś mi go złamał.

- Boli?

- Już nie tak bardzo.

- Lucy szła właśnie zagrać w minigolfa - wyjaśniła Delfuenso.

- Jest za ciemno - zauważył Reacher. - Właśnie tam byłem.

Dziewczynka zamyśliła się nad nową informacją. Na jej twarzy odmalowała się powaga i głęboka zaduma.

- To mogę iść poszukać czegoś innego? - spytała. - Chyba nie widziałam jeszcze wszystkiego.

- Oczywiście - zgodziła się jej matka. - Idź czegoś poszukać.

Dziewczynka pobiegła ścieżką, a Delfuenso spojrzała na Reachera i powiedziała:

- Ogrodzenie jest tak wysokie, że chyba może bezpiecznie biegać tu sama. A w basenie nie ma wody.

- Możemy porozmawiać? - zapytał Reacher.

- O czym?

- O wczorajszej nocy. I o dziś.

- Nie wolno nam o tym rozmawiać.

- Zawsze robisz to, co ci każą?

- Nie, nie zawsze. Ale w przypadku takich rzeczy chyba tak.

- Jakich rzeczy?

- Bezpieczeństwa narodowego. Nie możemy nikomu nic mówić.

- Przecież byłem tam z tobą.

- Trochę. Nie przez cały czas.

- Odpowiesz mi na kilka pytań? To co innego, niż gdybyś mi opowiedziała.

- Oni cię tu przywieźli. I oni powiedzą ci, o co chodzi.

- Nie wydaje mi się, żeby wiedzieli, o co chodzi - rzekł Reacher.

Do kolacji zostało pół godziny, a Delfuenso bała się mówić, więc skorzystali z najbliższego ustronnego miejsca, jakie mogli znaleźć, czyli z pokoju Delfuenso. Wyglądał identycznie jak pokój Reachera, tyle że zamiast podwójnego łóżka stały tu dwa pojedyncze, a z dwoma dużymi fotelami pokój sprawiał wrażenie zagraconego. Reacher usiadł na jednym fotelu, Delfuenso zdjęła z drugiego swoją torebkę. Torebkę, w której miała aspirynę. Wyglądała na ciężką. Może nadal tkwiła w niej butelka wody.

- Jak myślisz, co się stało wtedy w motelu? - spytał.

Rzuciła torebkę na łóżko, która odbiła się i znieruchomiała.

Delfuenso usiadła w fotelu.

- Nie wolno nam o tym rozmawiać - powtórzyła.

- Kto tak powiedział?

- Dali to wyraźnie do zrozumienia. Jesteśmy tu dla własnego bezpieczeństwa.

Rozmowa o tym może być ryzykowna.

- Dlaczego?

- Dokładnie nie powiedzieli. Tylko że zostaliśmy wplątani w sprawy, których nie rozumiemy, i jesteśmy tu, bo chcą nas chronić. Jesteśmy odizolowani jak ława przysięgłych.

To ma jakiś związek z Patriot Act.

- Odizolowani? Bzdura. Jesteś zamknięta. Nie możesz stąd wyjść.

- Nie chcę wychodzić. Tu jest nawet przyjemnie. Od lat nie miałam wakacji.

- A twoja praca?

- Powiedzieli, że załatwią to z szefem. I ze szkołą Lucy. Powiedzieli, że nie będzie z tym żadnego problemu. I że wszyscy muszą współpracować.

- Mówili, jak długo musisz tu zostać?

- Dopóki to się nie skończy. Pewnie nie za długo. Ale mam nadzieję, że co najmniej ty dzień.

Reacher milczał.

- Twój nos wygląda trochę lepiej - zauważyła Delfuenso.

- Tak? - mruknął Reacher, choć nie chciał tego mówić.

Nie chciał rozmawiać o swoim nosie. Uznał jednak, że mała zmiana tematu nie zaszkodzi. „To opóźniało sprawę i wywoływało frustrację, ale było szybsze, niż gdyby doszło do krzyków czy szarpaniny”.

- Przedtem wyglądał naprawdę okropnie - ciągnęła Delfuenso. - Przez parę godzin patrzyłam na niego w samochodzie. Doprowadziłeś go do porządku.

Skinął głową.

- Właściwie cały doprowadziłeś się do porządku - dodała. - Wziąłeś prysznic, prawda?

- To wcale nie zdarza się tak rzadko.

- Tylko się zdziwiłam.

- Kupiłem też nowe ubranie.

- Nie musiałeś. Tu dają ubranie. Powiedzieli, że możemy je sobie zatrzymać. Nawet obydwaj komplety. I kosmetyki.

- Co się stało, kiedy odjechaliście z tamtego motelu w Iowa? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Przecież wiesz, co się stało - naciskał. - Oni też wiedzą. Przecież to nic złego, jeżeli ja też będę wiedział, co się stało. Jestem tu razem z tobą. Nigdzie nie mogę sobie pójść. Nie mogę rozmawiać z nikim innym.

Delfuenso myślała przez długą chwilę. Na jej twarzy odmalowała się taka sama powaga i zaduma jak u jej córki. Wreszcie wzruszyła ramionami.

- To akurat było dość straszne. Kiedy tam poszedłeś z McQueenem. Niewiele widziałam.

McQueen zasłaniał widok. Ale zobaczyłam błysk i usłyszałam strzał. Potem wybiegł,

a ciebie już nie zobaczyłam. Przypuszczałam, że nie żyjesz. A potem potwierdził to McQueen.

- Naprawdę?

Delfuenso skinęła głową.

- King zapytał go, czy cię trafił, a McQueen powiedział, że tak, prosto między oczy. Potem zaczęli się śmiać. Byłam przerażona. Przypuszczałam, że ze mną zrobią to samo. Bo niby dlaczego nie? Nie byliśmy już im do niczego potrzebni. Zaczęłam krzyczeć. King kazał mi się zamknąć.

Posłuchałam go. To było żalosne. Pomyślałam, że mnie nie zastrzeli, jeżeli zrobię to, co mi każe.

Naprawdę czegoś się wtedy dowiedziałam. Ludzie zrobią wszystko, żeby pozostać przy życiu, nawet jeśli zyskają tylko dziesięć sekund.

- Co się stało potem?

- Jeszcze trochę jeździliśmy po polach. Jakbyśmy robili jakieś ósemki. Z jakiegoś powodu nie chcieli się oddalać. Prowadził King. Zatrzymał się jakieś szesnaście kilometrów na zachód.

Przypuszczałam, że to już. Przypuszczałam, że przyszedł czas na mnie. Ale powiedział, że najpierw chce się trochę zabawić. Kazał mi zdjąć koszulę. Tę niebieską, którą mi kupili. Chciałam to zrobić. Mówiłam, że ludzie są gotowi zrobić wszystko, żeby przeżyć. King wysiadł z samochodu i przesiadł się do mnie do tyłu. Próbował się do mnie dobrać. Wtedy wysiadł McQueen, otworzył drzwi z mojej strony i mnie wyciągnął. King chciał mnie gonić, a McQueen go zastrzelił. Tak po prostu. Wyciągnął pistolet i strzelił do niego.

- W pierś?

Delfuenso pokiwała głową.

- Prosto w serce.

- A potem?

- McQueen mnie uspokoił i powiedział, że jest agentem FBI i pracuje pod przykryciem wśród przestępców. Udaje jednego z nich.

- W porządku - rzekł Reacher. - On zamiast mnie. Niebezpieczna robota.

- Wiem.

- Wiesz?

- No, widziałam w filmach.

- I co potem?

- McQueen powiedział mi, że strzelił ci nad głowę, że żyjesz i nic ci się nie stało.

Przeprosił mnie za to, że musiałam oglądać to, co zrobił z Kingiem, ale w tym momencie tylko tak mógł mnie uratować. Powiedział, że do pewnego stopnia musiał udawać, ale nie mógł pozwolić, żeby sprawy zaszły za daleko.

- A potem?

- Zadzwoił z komórki do paru osób i przypiął Kinga pasem tam, gdzie był, gdzie wcześniej siedziałam, a potem odjechaliśmy. Siedziałam z przodu. Zaparkowaliśmy jakieś dziesięć kilometrów na wschód i przyjechali dwaj nowi i zabrali nas do swojego samochodu. Mój podpalili.

Powiedzieli, że muszą to zrobić, bo przestępcy będą się spodziewali, że McQueen zatrze ślady, i mogą sprawdzić, czy rzeczywiście to zrobił. Powiedzieli, że dadzą mi nowy wóz. To była wspaniała wiadomość, bo w starym psuła się skrzynia biegów.

- Ci dwaj nowi też byli z FBI?

- Tak. Z Kansas City. Pokazali mi legitymacje. McQueen nie miał żadnej, bo pracował pod przykryciem.

- I przywieźli cię prosto tutaj?

Znów skinęła głową.

- Powiedziałam, że bez Lucy tu nie zostanę, więc po nią pojechali.

- Co się stało z McQueenem?

- Przyjechał tu ze mną, ale zaraz wyjechał. Mówił, że musi wracać i zająć swoje miejsce. I że ma parę rzeczy do wyjaśnienia. Chyba zamierzał im powiedzieć, że to ty zabiłaś Kinga.

- Ja?

- Tak wynikało z rozmowy. Zabrali nieznajomego, żeby w samochodzie było więcej osób, ale nieznajomy próbował ich okraść. Zamierzał chyba powiedzieć, że zabiłaś Kinga i uciekłaś.

- Mówili, co to za przestępcy?

Delfuenso pokręciła głową.

- Nie - odrzekła. - Ale miałam wrażenie, że bardzo się nimi przejmują.

Nadeszła pora kolacji i był to bardzo dziwny posiłek. Weszli do głównego budynku jak mała rodzina. Reacher i Delfuenso obok siebie, a między nimi podskakująca Lucy. Restauracja była dużym kwadratowym pomieszczeniem, w którym stało dwadzieścia stolików i osiemdziesiąt krzeseł, praktycznych sosnowych mebli, grubo polakierowanych na wysoki połysk. Sala przypominała większość motelowych restauracji, które Reacher widział,

ale była zupełnie pusta, nie licząc świadka siedzącego samotnie przy narożnym stoliku, za miniaturowym płotem z trzech pustych butelek po piwie z różnymi etykietami. Na powitanie z entuzjazmem uniósł czwartą, którą właśnie opróżniał. Szczęśliwy człowiek. Może on też od lat nie miał wakacji. Albo nigdy.

Pulchna recepcjonistka w macierzyńskim typie przyniosła menu. Reacher zastanawiał się, czy też jest agentką FBI, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tak. Tak się składało, że jej troje gości było całkiem zadowolonych, przynajmniej na razie, wyobrażał sobie jednak, że dla innych taka sytuacja mogłaby być bardziej stresująca i dokuczliwa, a wówczas musiałyby wesprzeć swoją wrodzoną cierpliwość powagą federalnego urzędu.

W karcie figurowały tylko dwa dania, cheeseburger i kurczak, które przypuszczalnie prosto z zamrażarki trafiały do mikrofalówki. Agenci FBI na ogół przychodzili do służby po studiach prawniczych albo z innych organów ścigania, ale nie z kuchni w znanych restauracjach. Reacher zamówił piątego tego dnia cheeseburgera, Delfuenso i jej córka to samo.

Zanim podano jedzenie, do sali weszło jeszcze dwóch ludzi: mężczyźni w granatowych garniturach, białych koszulach i granatowych krawatach. Najwyraźniej właściciele zaparkowanych fordów crown victoria. Motelowi agenci. Opiekunowie. Wyglądali na czujnych, solidnych i kompetentnych.

- To oni mnie tu przywieźli - powiedziała Delfuenso.

- To oni mnie tu przywieźli - odezwała się Lucy. - Od Pauli.

Mężczyźni rozejrzeli się po sali, po czym skierowali prosto do Reachera. Stojący po prawej powiedział:

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan dziś zjeść kolację przy naszym stoliku.

- Dlaczego? - spytał Reacher.

- Chcemy się przedstawić.

- I?

- Chcemy poinformować pana o zasadach.

57

Agenci w garniturach zaprowadzili Reachera do czteroosobowego stolika w rogu przeciwległym do miejsca zajmowanego przez naocznego świadka. Reacher wybrał krzesło w rogu, siadając plecami do ściany, żeby mieć widok na całą salę. Z przyzwyczajenia. Właściwie nie miał powodu do obaw. Nic mu tutaj nie groziło. Restauracja była prawdopodobnie najbezpieczniejszym miejscem w całym Kansas.

Agenci usiedli, jeden po jego lewej ręce, drugi po prawej. Pochylili się w skupieniu, opierając łokcie o blat. Byli chyba trochę młodszy od McQueena i Sorenson. Tuż przed czterdziestką albo równo czterdzieści lat. Już nie żółtodzioby, ale i nie weterani. Obaj mieli ciemną karnację, byli szczupli, ale muskularni. Jeden z nich łysiał szybciej niż partner. Przedstawili się jako Bale i Trapattoni. Powiedzieli, że są bliskimi kolegami Dawsona i Mitchella. To samo biuro terenowe, te same zadania. Powiedzieli, że czytali akta Reachera z wojska. Że wiedzą o nim wszystko.

Reacher tego nie skomentował.

Bale, który łysiał, zapytał:

- Dobrze się pan tu czuje?

- Dlaczego miałbym się dobrze czuć? - zapytał Reacher.

- A dlaczego nie?

- Składałem przysięgę, że będę bronił konstytucji. I chyba broniłem.

- I co?

- Zostałem pozbawiony wolności bez właściwego przewodu sądowego. To naruszenie piątej poprawki. Doszło do niego z waszym udziałem.

- Przecież to nie jest więzienie.

- Chyba ten, kto stawiał płot, akurat tej notatki nie dostał.

- A więc nie czuje się pan dobrze?

- Właściwie czuję się świetnie. Podobacie mi się. FBI mi się podoba. Podoba mi się wasz sposób rozumowania. Nic na to nie poradzę. Robicie coś złego, ale robicie to dobrze. Trzymacie tu wszystkich razem, więc każdy jest świadkiem tego, co się tu dzieje. Mogliście nas pozamykać gdzieś osobno i zrobić z nami wszystko, na co mielibyście ochotę. Ale nie mogliście tego zrobić, bo w głębi serca jesteście po dobrej stronie. Tego nie mogę wam odmówić. Zostawiliście nawet pole do minigolfa. Kiedy kupiliście motel?

- Trzy lata temu - odpowiedział Trapattoni.

- Z inicjatywy Kansas City?

- Tak. Wydziału do walki z terroryzmem, region centralny.

- Po co?

- Pojawiała się taka potrzeba.

- Potrzeba czego?

- Miejsca, w którym można bezpiecznie przechować ludzi.

- Myślę, że ten motel służy waszemu bezpieczeństwu.

- Jak to?

- Myślę, że zabieracie świadków lokalnym organom ścigania, kiedy jakaś wasza tajna operacja się nie uda. Żeby nie było odpowiedzi na żadne pytania.

- Nie sądzi pan, że warto zapewnić bezpieczeństwo agentom pod przykryciem?

- Sądzę, że warto im zapewnić każdą pomoc.

- Czyli?

- Zastanawiam się, ile tajnych operacji prowadzicie. Motel może pomieścić pięćdziesiąt osób. To dużo świadków.

- Nie mogę zdradzać liczby naszych tajnych operacji.

- Czy motel kiedykolwiek miał komplet?

- Nie.

- A był kiedyś zupełnie pusty?

- Nie.

- W ciągu trzech lat? Całkiem sporo operacji.

- To poważna praca.

- Proszę mi więc powiedzieć, co to za zasady - rzekł Reacher.

- Są dwie - odrzekł Bale.

- Litości. Naprawdę potrafię do tyłu zliczyć.

- Będzie pan naszym gościem, dopóki nie zakończymy operacji. Ta zasada nie podlega dyskusji.

I nie będzie pan rozmawiał z innymi gośćmi o tym, co pan widział podczas tej operacji. Ani z nikim innym. Nie będzie pan wspominał nawet o najdrobniejszej rzeczy. Ani teraz, ani nigdy w przyszłości. Ten warunek też nie podlega dyskusji.

- To wszystko?

- Dla pańskiego dobra. Pana też widzieli. Tylko jeden z dwóch ludzi w chevrolecie impala był po dobrej stronie.

- King nie żyje.

- Ale wcześniej zdążył kilka razy skorzystać z telefonu. Przypuszczamy, że dzwonił ze stacji benzynowych. Godzina połączenia zbiega się z godziną użycia karty kredytowej.

- Mieliście na podsłuchu jego telefon?

- Praca agenta pod przykryciem daje dużo korzyści.

- Co King o mnie mówił?

- Znają pańskie nazwisko i rysopis. Proszę o tym pamiętać, kiedy będzie pan źle myślał o tym, kto postawił ogrodzenie.

- Kim są ci ludzie?

Cisza.

- McQueenowi nic się nie stanie?

- Proszę się o niego nie martwić.

- Nic na to nie poradzę.

- Pracowaliśmy na to przez siedem miesięcy. Teraz się nie wycofa.

- Nie chodzi mi o to, czy się wycofa. Chodzi mi o to, czy ktoś inny nie podejmie za niego tej decyzji. Jest nam winny parę słów wyjaśnienia.

- Nie możemy o tym rozmawiać - uciął Bale. - Niech pan pamięta o zasadach.

I tyle. Bale się wyprostował. Trapattoni też. Rozmowa została zakończona. Dokładnie w tym momencie przyniesiono jedzenie. Reacher doszedł do wniosku, że pulchna kobieta obserwowała ich przez judasz. Albo słuchała przez słuchawki.

Kiedy Reacher wychodził z restauracji, Delfuenso z córką dawno już nie było, a świadek kończył siódmą butelkę piwa. Reacher poszedł oświetloną ścieżką w kierunku swojego tymczasowego lokum i zatrzymał się, aby spojrzeć w niebo. Nie było na nim gwiazd ani księżyca.

Idealne warunki na jakąś małą potajemną akcję, tyle że na zewnątrz można stąd było wyjść tylko przez bramę, której nikt nie mógł otworzyć, poza tym nie było telefonów.

Po chwili z restauracji wyszedł chwiejnym krokiem świadek i ruszył ścieżką. Światła, umieszczone na wysokości kolan, dawały Reacherowi dobry widok na jego nogi, które funkcjonowały nie całkiem tak, jak należy. Był trochę bardziej niż lekko wstawiony, ale mimo to trzymał pion. Sunął naprzód uważnie i powoli, małymi krokami, stawiając stopy płasko na ziemi i patrząc pod nogi w ogromnym skupieniu. Reacher cofnął się w jego stronę, dopóki jego łydki nie znalazły się w plamie światła. Pełna jawność. Nie chciał przyprawić faceta o zawał serca.

Świadek kroczył wolno, lewa stopa, prawa stopa, a po chwili zobaczył nogi Reachera i stanął.

Żadnego szoku. Żadnego wielkiego zaskoczenia.

Wyszczrzył zęby w przyjaznym uśmiechu.

- Był pan tak samo pijany, kiedy zobaczył pan tamten czerwony samochód? - zapytał go Reacher.

Facet po chwili zastanowienia odparł:

- Mniej więcej.

- Z kim pan o tym rozmawiał?

- Z szeryfem i tą blondynką z FBI.

- Co im pan powiedział?

- Wszystko.

- Nieprawda. Żaden świadek nigdy nie mówi wszystkiego. Parę rzeczy zachował pan dla siebie.

Nie mówił pan o tym, czego nie był pan pewny, o tym, co się mogło wydawać głupie, albo o tym, co pan robił, a czego robić nie powinien.

- Szukałem mojego wozu.

- Gdzie był?

- Nie mogłem sobie przypomnieć. Dlatego go szukałem.

- Mówił im pan o tym?

- Nie pytali.

- I chciał pan wracać samochodem do domu w takim stanie?

- To niedaleko. Znam każdy zakręt.

- I co?

- I mnie przypiliło. Stałem, żeby się wysikać.

- Gdzie?

- Za starą pompownią. Tego też im nie powiedziałem.

Reacher skinął głową. „Nie mówiłeś o tym, co robiłeś, a czego robić nie powinienes?”.
Publiczne oddawanie moczu i jazda po pijanemu. Nielegalne w każdej miejscowości w Ameryce.

- A więc tak naprawdę wcale ich pan nie widział. Jeżeli był pan wtedy za budynkiem.

- Nie, widziałem ich z bliska - zaprotestował. - Już zdążyłem skończyć. Pozapinałem się i wychodziłem.

- Widzieli pana?

- Chyba nie. Było dość ciemno. Byłem zasłonięty.

- W jakiej odległości od nich pan był?

- Może trzech metrów.

- Co pan zauważył?

- Mówiłem już szeryfowi. I tej blondynce.

- Odpowiedział pan na ich pytania. To nie to samo.

- Nie pamiętam.

- Niech się pan skupi.

Facet zamknął oczy. Zakołysał się na obcasach w przód i w tył. Uniósł rękę z otwartą

dłonią, jakby opierał się o stary betonowy budynek. Pobudzał pamięć fizycznymi bodźcami. Próbował wrócić myślą do tamtej chwili.

- Pierwszy z nich się spieszył - zaczął. - Chciał wejść pierwszy. Rozpinał kurtkę.

- Czy wcześniej stanowili grupę? Szli razem?

- Trudno powiedzieć. Ale chyba tak. Takie odniosłem wrażenie. Potem nagle pierwszy zaczął biec, a tamci dwaj musieli się spieszyć, żeby go dogonić.

- Dwaj w garniturach, tak?

- Nie mieli żadnych kurtek.

- Trzymali coś w rękach?

- Nic.

- Co pan zrobił, kiedy wszyscy trzej byli w środku?

- Przeszedłem na drugą stronę drogi.

- Po co?

- Musiałem znaleźć samochód. I nie chciałem się tam kręcić.

- Dlaczego?

- Miałem złe przeczucie.

- Z powodu facetów w garniturach?

- Raczej z powodu tego pierwszego. W zielonej kurtce.

Nie podobał mi się.

- Słyszał pan coś? - dopytywał się Reacher.

- Jakieś wrzaski i krzyki. Jakby się bili.

- Gdzie pan był, kiedy faceci w garniturach wyszli?

- Na chodniku po drugiej stronie.

- Pamięta pan coś jeszcze?

- Nie powinienem o tym rozmawiać - zreflektował się świadek. - Zabronili mi.

Uważnie i powoli wyminął Reachera i ruszył ścieżką. Reacher zaczął za nim iść, ale przystanął, bo usłyszał warkot samochodu jadącego drogą, znajdującego się być może w odległości czterystu metrów. Odwrócił się i zobaczył poruszające się w oddali niewyraźne snopy światła przebijających się przez mgłę.

Po chwili zaczęła się otwierać brama, nie za szybko, nie za wolno, ale bezgłośnie.

58

Julia Sorenson najwyraźniej nie odzyskała swojego telefonu. Ani samochodu. Ani reputacji. Nie została bohaterką. Reacher zobaczył lśniącego czarnego forda crown victoria

skręcającego z jednopasmówki i wjeżdżającego przez bramę, która nie otworzyła się jeszcze do końca.

Reflektory zakreśliły szeroki łuk, a opony z szelestem pokonały betonowy podjazd, objechały wysepkę i zatrzymały się przed wejściem do motelowego biura. Z auta wysiadł człowiek, którego Reacher wcześniej nie widział, i otworzył tylne drzwi po stronie pasażera. Chyba nic nie powiedział. Wskazał tylko ruchem brody recepcję. Tak jak wcześniej Dawson.

Julia Sorenson wysiadła i stanęła nieruchomo przy samochodzie. W słabym świetle wyglądała na zmęczoną i przygnębioną. Lekko się garbiła. Wieczorny wiatr rozchylił poły jej marynarki. Nadal miała na sobie nową koszulę. Ale kabura była pusta. Oddała broń.

Mężczyzna zamknął drzwi i wszedł do samochodu, który odjechał, zostawiając ją samą. Brama znów zaczęła się otwierać. Ford przejechał przez nią, przystanął na moment, skręcił w prawo i ruszył w stronę, z której przyjechał.

Brama się za nim zamknęła. Reacher patrzył na samochód, aż zniknęły jego światła i umilkł warkot silnika. Potem odwrócił się, by spojrzeć na Sorenson.

Stała jeszcze przez chwilę, po czym weszła do recepcji. Reacher odliczał w myślach czas: najpierw powitanie przez pulchną recepcjonistkę, uśmiech, potem pytanie o wielkość łóżka, wzmianka o fotelach, przestrzeni i upodobaniach większości gości. Wszystkie formułki.

Spodziewaliśmy się pani. Ocecił, że potrwa to cztery minuty. Może krócej, bo będzie to rozmowa dwóch agentek. Albo dłużej niż cztery minuty, jeśli Sorenson zacznie się stawiać i zadawać oburzone pytania.

Wszystko trwało dokładnie cztery minuty. Sorenson wyszła z kluczem w rękę. Wyglądała na zrezygnowaną. Spojrzała na numery na tabliczkach i ruszyła w stronę Reachera. Potem zerknęła na następną tabliczkę i na rozwidleniu skręciła w inną ścieżkę.

- Julia! - zawołał cicho Reacher.

Zatrzymała się.

- Reacher?

- Tutaj.

Zboczyła ze ścieżki i podeszła do niego, idąc po tłuczonych kamieniach.

- Co się stało? - spytał.

- Nie wolno nam się komunikować.

- Bo co? Zamkną nas za to? - prychnął Reacher.

- Tu w każdym razie nie możemy rozmawiać. Dokąd pójdziemy?

Poszli do pokoju Reachera. Sorenson rozejrzała się uważnie i stwierdziła:

- To niedorzeczne. Przecież to wygląda jak zwykły motel.

- Bo to jest zwykły motel - odrzekł Reacher. - A raczej był. Trzy lata temu kupiło go biuro terenowe z Kansas City.

Tak mi powiedzieli. Nie słyszałaś o tym?

- Ani słowa. Reszta też tu jest?

Reacher przytaknął skinieniem głowy.

- Delfuenso i jej córka, i naoczny świadek. Cali i zdrowi. Zresztą doskonale się tu czują.

- Mimo że są zamknięci?

- Powiedzieli im, że są odizolowani. Jak ława przysięgłych. Dla ich własnego dobra. To nie to samo co zamknięcie. Wszyscy traktują to jak wakacje. Minigolf i darmowe piwo.

- To legalne?

- Nie wiem. Nie jestem prawnikiem. Ale prawdopodobnie legalne. Chociaż raczej nie powinno być. Wiesz, jak wyglądają takie rzeczy.

- Kto ich tu przywiózł? - chciała wiedzieć Sorenson. - Kto spłonął w samochodzie?

- W samochodzie spłonął Alan King - odrzekł Reacher. - Ale najpierw dostał kulę w serce. Od McQueena. McQueen to jeden z waszych, pod przykryciem. Z Kansas City. To dlatego Dawson i Mitchell od razu przyjechali do starej pompowni, żeby cię pilnować. Chcieli ograniczyć straty.

McQueen spalił samochód i razem z Delfuenso zabrali ich ludzie z jego zespołu wsparcia z FBI.

Służbowym wozem Biura, jak wskazywały ślady opon, też z Kansas City. McQueen przyjechał tu z nimi, ale zaraz wyjechał. Mówił podobno, że musi wracać i zająć swoje miejsce.

- Biedak. Będzie teraz pod ogromną presją. Jak wyjaśni śmierć Kinga?

- Pewnie będzie mu bardzo trudno.

- Ale miałaś rację. Spudłował celowo. Strzelił ci nad głowę.

- Nie mógł tylko niczego wymyślić, kiedy przyszła pora sprzątnąć Delfuenso. Zamiast niej kropnął Kinga.

- Dobry gość. Mam nadzieję, że nic mu się nie przydarzyło.

- A co się działo z tobą? - spytał Reacher.

Sorenson usiadła na łóżku.

- Ze mną? Zaczęło się całkiem dobrze. Właściwie wspaniale. Pojechałam do domu

Delfuenso, odzyskałam telefon i samochód, a potem zadzwoniłam do mojego szefa z Kansas City.

Powiedziałam mu, że jakoś cię w końcu obezwładniłam i przekazałam chłopakom z Kansas City.

Naczelnik był pod dużym wrażeniem. Bardzo zadowolony. Nie mogłam jednak odpuścić i zadałam o kilka pytań za dużo. To mu się nie spodobało. Od razu się zorientowałam. W pewnym momencie się zmienił. Już nie był zadowolony. Ani trochę. Słyszałam to w jego głosie.

- W którym momencie?

- Kiedy zamykałam radiowóz Goodmana, zajrzałam do schowka. Z przyzwyczajenia. Nie chciałam zostawić żadnej niezabezpieczonej broni. Kto wie, co szeryf mógł w nim wozić. Niczego tam jednak nie znalazłam oprócz notesu i długopisu. Naturalnie przejrzałam notes. Okazuje się, że szeryf Goodman był bardzo skrupulatnym człowiekiem. W nocy zbierał informacje i robił notatki na temat Karen Delfuenso. Chyba uważał, że im więcej, tym lepiej. Myślał pewnie, że to pomoże, gdyby nie udało nam się szybko jej odbić, chociaż nie wiem, jak miałyby pomóc.

- I co?

- Było tam coś, co wydało mi się dziwne, więc spytałam o to naczelnika. A właściwie wcale nie spytałam, tylko o tym wspomniałam. Tak czy inaczej, właśnie wtedy zaczął mnie traktować zupełnie inaczej.

- Co było dziwne?

- Zakładałam, że Delfuenso mieszkała tam od dawna. Może niekoniecznie była dziewczyną z farmy w czwartym pokoleniu, ale miałam wrażenie, że spędziła w miasteczku sporo czasu.

Myślałam oczywiście, że Lucy urodziła się tam i wychowała.

- Ale tak nie było?

- Mieszkają tam dopiero od siedmiu miesięcy. Sąsiad z drugiej strony mówił, że wprowadziły się po rozwodzie. Czyli rozwód to świeższa sprawa, niż sądziłam.

- Wiemy na pewno, czy w ogóle była mężatką? - spytał Reacher.

- Ma dziecko.

- To nie jest potwierdzeniem małżeństwa.

- Dlaczego miałyby nie być mężatką?

- Radzi sobie sama - zauważył Reacher. - Naprawdę dobrze. Jakby zawsze była zdana na siebie. I jest inteligentna. Oszalałaby, gdyby musiała zajmować się jakimś facetem.

- Inteligentne kobiety nie powinny wychodzić za mąż?

- A ty jesteś mężatką?

Nie odpowiedziała.

- Wszystko mi jedno, czy to było weselisko na tysiąc osób na hawajskiej plaży, czy jedna noc w motelu w New Jersey - oznajmiła. - Nie chodzi o to, że jest samotną matką. Chodzi o to, że jest samotną matką, która sprowadziła się do miasteczka zaledwie siedem miesięcy temu.

- Chłopcy z Kansas City mówili mi, że ta operacja trwa od siedmiu miesięcy.

- Niemożliwe.

- Dlaczego mieliby kłamać?

- Nie, mówię, że Delfuenco nie może mieć z nią związku. No bo jak? To musi być zbieg okoliczności. Musi. Bo jeden zbieg okoliczności już mamy.

- No to teraz mamy dwa zbiegi okoliczności - stwierdził Reacher.

- O jeden za dużo.

- Jaki jest ten pierwszy?

- Pamiętasz brata Alana Kinga?

- Petera Kinga? Dwoka? - upewnił się Reacher.

- Zdaje się, że mój agent dyżurny zarządził przeszukanie baz danych zaraz po pierwszej rozmowie z Matką Sill. Chciał po prostu pomóc. Wydziały komunikacji, poczta, banki, wystawcy kart kredytowych. Operatorzy sieci komórkowych, gdyby się udało, a udaje się prawie zawsze.

Dzisiaj wieczorem przyszły wyniki.

- Jakie?

- Wygląda na to, że Peter King wyjechał z Denver i przeprowadził się do Kansas City.

- Kiedy?

- Siedem miesięcy temu.

59

Reacher poruszył się w fotelu, przejechał palcami po włosach i rzekł:

- Alan King mówił mi, że nie rozmawia z bratem.

- Alan King też mieszkał w Kansas City? - spytała Sorenson.

- Chyba tak.

- Może nie. A nawet gdyby mieszkał, może się nie spotykali. Kansas City to duże miasto.

- Wiem. Obszar metropolitalny ma półtora miliona mieszkańców.

- Naprawdę? - mruknęła Sorenson.

- Numer kierunkowy osiemset szesnaście.

- Jasne.

- No to mamy już trzy zbiegi okoliczności - podsumował Reacher. - Siedem miesięcy temu Delfuenso przeprowadziła się na odludzie do Nebraski, równocześnie Peter King przeprowadził się do Kansas City w Missouri, gdzie być może mieszkał albo nie mieszkał jego brat, który być może rozmawiał z nim albo nie rozmawiał, a równocześnie ludzie z wydziału do walki z terroryzmem z Kansas City w Missouri postanowili rozpocząć skomplikowaną tajną operację, która skupiła się w miejscu bardzo blisko nowego domu Delfuenso na odludziu w Nebrasce.

- Nie może być trzech zbiegów okoliczności. To za dużo - uznała Sorenson.

- Zgodziłbym się. Teoretycznie. Ale to nie są trzy zbiegi okoliczności. Dwa związki są udowodnione.

- Które?

Reacher pochylił się w fotelu i położył rękę na łóżku. Nacisnął je, sprawdzając miękkość i sprężystość.

- Pierwszy: Peter King na pewno był bratem Alana Kinga. A Alan King na pewno był przestępcą. Bo tajny agent FBI uznał, że należy strzelić mu w serce i spalić jego ciało. Taka definicja przestępcy jest chyba wystarczająca, nie sądzisz?

- A drugi związek?

- Twój naczelnik kazał cię tu przywieźć, bo dowiedziałaś się o przeprowadzce Delfuenso sprzed siedmiu miesięcy. Do tego motelu trafiają osoby, które natrafiły na dowody tajnych operacji. Więc przeprowadzka Delfuenso była częścią tajnej operacji.

- Jaką częścią?

- Chodźmy ją zapytać - zaproponował Reacher.

Reacher zatrzymał się przed drzwiami pokoju Delfuenso, a Sorenson podeszła i cicho zapukała.

Upłynęła długa minuta, po której usłyszeli chrobot łańcucha. Drzwi uchyliły się odrobinę i w szparze ukazało się przyćmione światło, a głos Delfuenso szepnął:

- Kto tam?

Reacher domyślił się, że mówi szeptem, bo jej córka właśnie zasnęła.

- Karen Delfuenso? - spytała Sorenson.

- Tak - odpowiedziała szeptem Delfuenso.

- Jestem Julia Sorenson z biura terenowego FBI w Omaha.

Wczoraj w nocy pracowałam nad pani odbiciem.

Delfuenso uciszyła ją zniecierpliwiona, tak jak Reacher się spodziewał. Ponieważ jej dziesięcioletnia córka właśnie położyła się spać. Delfuenso wyszła z pokoju i odsunęła Sorenson od drzwi, tak jak Reacher się spodziewał, prowadząc ją kilka metrów dalej, gdzie mogły spokojnie rozmawiać.

- Przepraszam - powiedziała Sorenson. - Nie chciałam sprawiać kłopotu. Chciałam się tylko przedstawić. I sprawdzić, czy u pani wszystko w porządku.

- Nic mi się nie stało - odrzekła Delfuenso, a kilka metrów za jej plecami Reacher nie postrzeżenie wsunął się do pokoju.

Już raz tu był, znał układ pokoju, więc mógł bezpiecznie poruszać się w ciemności, a było ciemno. Nie paliło się żadne światło z wyjątkiem pomarańczowej neonowej lampki we włączniku w łazience. W jej poświacie widać było Lucy śpiącą na łóżku, które stało dalej od drzwi.

Dziewczynka leżała na boku w pozycji embrionalnej, owinięta kocami. Prześcieradło miała podciągnięte pod brodę. Ciemne włosy leżały rozsypane na białej poduszce. Reacher znalazł torebkę Delfuenso na drugim łóżku. Bliżej drzwi, bliżej foteli. Widział wcześniej, jak zabrała ją z fotela i rzuciła na łóżko. Torebka wydawała się ciężka. A materace były miękkie i elastyczne. Nie przypominały trampoliny. Ani membrany bębna. Mimo to torebka odbiła się od łóżka. Jakby wciąż tkwiła w niej butelka wody.

Powoli i bezszelestnie przeszedł przez dywan i zaniósł torebkę do łazienki. Jedną ręką rozłożył ręcznik na półce przy umywalce, układając go tuż pod pomarańczową lampką włącznika. Wysypał na niego zawartość torebki. Chciał uniknąć hałasu, co do pewnego stopnia się udało, choć niezupełnie. Nie rozległ się głośny brzęk, ale stłumiony stukot.

Czekał, nasłuchując. Lucy spała, oddychając miarowo i cicho.

Rozgarnął przedmioty na ręczniku. W torebce było mnóstwo przeróżnych rzeczy. Kosmetyki do makijażu, szczotka do włosów, dwa plastikowe grzebienie. Wąska buteleczka perfum. Dwie paczki gumy do żucia, jedna do połowy opróżniona. Portfel, w którym nie było żadnej karty kredytowej, tylko trzy dolary i prawo jazdy wydane przed siedmioma miesiącami w Nebrasce. Wystawiono je na nazwisko Delfuenso i adres, pod którym był Reacher. Kobieta miała czterdzieści jeden lat. Poza tym znalazł pilniczek do paznokci i wykałaczkę z restauracji w papierowym opakowaniu, siedemdziesiąt jeden centów w monetach luzem,

długopis i klucz do domu z kryształowym breloczkiem.

Reacher zobaczył opakowanie aspiryny. Butelki wody nie było. Nie było niczego ciężkiego z wyjątkiem Biblii. Wersji króla Jakuba w twardej oprawie, mniejszej od encyklopedii i większej od powieści. Dość grubej. Ciemnoczerwona kartonowa okładka z przodu i z tyłu. Złote litery na grzbiecie, złote litery na okładce. Pismo Święte. Biblia wyglądała na mało używaną. Wyglądała, jakby nie otwierano jej zbyt często.

Co więcej, nie dało się jej otworzyć. Brzegi stron były zmarszczone i sklezione jakimś żółtawym płynem, który wysechł dawno temu. Pewnie w torebce coś wyciekło. Sok ananasowy albo pomarańczowy. Może grejpfrutowy. Coś w tym rodzaju. Coś z dodatkiem cukru. Z małego kartonika ze słomką albo z kubka dla dzieci, który przewrócił się w torebce do góry dnem.

Po co więc zostawiać Biblię? Czyżby istniał jakiś zakaz wyrzucania zniszczonych Biblii i zastępowania ich nowymi? Reacher nie miał pojęcia. Nie był teologiem.

Jak na książkę była bardzo ciężka.

Próbował paznokciami oddzielić okładkę od wyklejki. Niemożliwe. Sklejone na amen. Równo i jednolicie. Reacher wyobraził sobie sok wylewający się falami przez otwór na słomkę albo przez dziobek kubka i pokrywający Biblię równą i jednolitą warstwą.

Niemożliwe.

Po rozlanym soku pozostałaby nierówna plama, prawdopodobnie duża, ale na pewno nie pokryłaby dokładnie całej książki. Część pozostałaby nietknięta. Zmoczone strony musiałyby napuchnąć, a z resztą nic by się nie stało. Reacher widział już książki w podobnym stanie.

Zamarznięte rury, plamy krwi. Uszkodzenia nigdy nie były równomierne.

Wziął grzebień Delfuense i wcisnął jego koniec między strony. Przesuwał go w górę i w dół, do przodu i do tyłu, dopóki nie udało mu się zrobić zagłębienia na opuszki dwóch palców. Wtedy odwrócił Biblię grzbietem do dołu, pochylił się, wsunął paznokcie do zagłębienia i szarpnął na boki.

Papier się rozdarł i książka wreszcie się otworzyła.

Wszystkie strony od Księgi Wyjścia aż po List Judy zostały wydrążone brzytwą. Powstał schowek na miarę. Bardzo staranna robota. Miał kształt prostokąta wielkości mniej więcej osiemnaście na piętnaście centymetrów, głębokości około pięciu. Na górze i na dole oraz z boków zostało niewiele papieru. Dlatego użyto kleju. Zbudowano ścianki, cienkie, ale solidne. Biblia przypominała szkatułkę na biżuterię z zamkniętym na głucho wieczkiem.

Choć nie było w niej biżuterii.

Kształt i rozmiary schowka zostały dopasowane do jego zawartości, którą stanowiły automatyczny Glock dziewiętnastka, telefon komórkowy Apple'a z ładowarką oraz cienki portfel z legitymacją.

Glock był kompaktową wersją znanego Glocka siedemnastki. Z czterocalową lufą, mniejszą i lżejszą. Często uważano, że lepiej pasuje do kobiecej dłoni.

Zawsze uważano, że łatwiej go ukryć.

Był załadowany osiemnastoma dziewięciomilimetroowymi pociskami Parabellum, z siedemnastoma w magazynku i jednym w komorze, gotowy do strzału. Nie było ręcznego bez piecznika.

Wystarczyło wycelować i strzelić.

Telefon był wyłączony. Po jednej stronie był pusty ekran, po drugiej lśniąca czarna obudowa z logo ze srebrnym nadgryzionym jabłkiem. Reacher nie miał pojęcia, jak go włączyć. Pewnie gdzieś jest jakiś klawisz albo kombinacja klawiszy, które trzeba wcisnąć w określonej kolejności lub przytrzymać przez parę sekund. Ładowarka była zgrabną białą kostką, bardzo małą, zaopatrzoną w bolce do gniazdka i długi biały przewód zakończony skomplikowaną kanciastą wtyczką.

Portfel zrobiono z eleganckiej czarnej skóry. Reacher go otworzył. Wyglądał jak miniaturowa książeczka. Po lewej stronie widniał kolorowy grawerunek odznaki. Departament Sprawiedliwości.

Federalne Biuro Śledcze. Po prawej legitymacja ze zdjęciem przedstawiającym twarz Delfuenso.

Trochę bladą w błysku flesza, trochę zielonkawą od jarzeniówek na suficie. Ale na pewno ona. Na zdjęcie zachodziła urzędowa pieczęć. Znow Department Sprawiedliwości. Hologram. Przez całą szerokość legitymacji biegł napis: Fe de ral ne Biu ro Śled cze.

Agentka specjalna Karen Delfuenso.

Reacher włożył rzeczy do schowka i zamknął okładki, zasłaniając wyrządzone przez siebie szkody. Z książką w ręku powoli i cicho minął śpiącą dziewczynkę i wyszedł z pokoju, kierując się w stronę dwóch kobiet, które nadal stały obok siebie kilka metrów od drzwi. Sorenson mówiła jakieś głupstwa, żeby zyskać na czasie, a Delfuenso wyglądała na trochę zirytowaną i zniecierpliwioną. Obie usłyszały skrzypnięcie butów Reachera na betonowej ścieżce. Obie odwróciły się w jego stronę.

Reacher uniósł „Biblię” i rzekł:

- Pomódlmy się.

Zostawili śpiącą Lucy w pokoju. Delfuenso uznała, że nic jej nie grozi. W motelu było bezpiecznie, a dziewczynka nie miała zwyczaju budzić się w nocy zdezorientowana i przerażona.

Poszli do pokoju Sorenson, numer dziewięć. Był bliżej niż pokój Reachera. Sorenson jeszcze tam nie weszła. Nie zdążyła. Kiedy Reacher zawołał ją z ciemności, szła, żeby go otworzyć.

Przekręciła klucz i wszyscy troje weszli do środka. Reacher zobaczył identyczną wersję własnej kwatery. Dwa fotele, podwójne łóżko, ubrania złożone w kostkę w dwóch kupkach, ale w wydaniu damskim, takie same, jakie miała na sobie Delfuenso. Łazienka była z pewnością tak samo zaopatrzona w kremy, balsamy i ręczniki.

Delfuenso usiadła w fotelu i Reacher podał jej „Biblię”. Położyła ją sobie na kolanach, przytrzymując rękami, jakby to była torebka, a ona bała się złodziei. Sorenson usiadła na łóżku. Jej pokój, jej prawo. Reacher zajął drugi fotel.

- Oczywiście mam mnóstwo pytań - zaczął.

- Postawiłeś nas wszystkich w bardzo trudnej sytuacji - odparła Delfuenso. - Nie powinieneś grzebać w mojej torebce. To, co zrobiłeś, prawie na pewno jest nielegalne.

- Skończ z tą dziecinadą - poradził jej Reacher.

Sorenson spojrzała na Delfuenso i zapytała:

- Nie przeszukiwali cię tu? Ani w drodze do motelu?

- Nie - powiedziała Delfuenso.

- Mnie też nie - potwierdził Reacher. - W ogóle.

- W takim razie to poważne niedopatrzenie - uznała Sorenson. - Nie sądzisz?

Przypuszczałabym, że Kansas City zna się na rzeczy.

Delfuenso wzruszyła ramionami.

- Grałam bezradną przypadkową ofiarę, więc nic dziwnego, że mi darowali. Ale powinni przeszukać Reachera. Jego rola była niezbyt jasna.

- Kansas City nie wie, kim jesteś? - zdziwił się Reacher.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Delfuenso. - Inaczej nie znalazłabym się w ich cholernym obozie jenieckim.

- No więc kim jesteś?

- O tym nie mam ochoty rozmawiać.

- Czy King i McQueen pojechali na południe z międzystanowej? Do starej pompowni?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Bo to kluczowy fakt.

- Nie, pojechali na północ, z Kansas.

- Jak?

- Przywiózł ich współnik.

- Byli tam już wcześniej? Na tym skrzyżowaniu?

- A ktoś inny był?

- A więc nigdy nie widzieli Miasta Grzechu. Nic o nim nie wiedzieli. Nie wiedzieli, że mogą tam ukraść samochód. A mimo to pojechali. Dlaczego?

Delfuenso nie odpowiedziała.

- Bo byłaś awaryjnym kontaktem McQueena - rzekł Reacher. - Dlatego. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Ale to nie Kansas City cię tam ulokowało. Bo Kansas City nie wiedziało, kim jesteś.

No więc kto cię tam umieścił?

Delfuenso nie odpowiedziała.

- Oczywiście umieścił cię tam ktoś inny - ciągnął Reacher. - Pewnie ktoś z wyższego szczebla drabiny, skoro działał w tajemnicy przed Kansas. Przypuszczam, że ktoś z Budynku Hoovera.

Jakaś gruba ryba w garniturze przytłoczona masą problemów.

Delfuenso nadal milczała.

- Nasuwa się zatem pytanie, jakiej właściwie natury są te problemy? - dodał Reacher.

- Naprawdę byłeś żandarmem? - spytała Delfuenso.

Reacher nie odpowiedział.

- Owszem, był - odezwała się Sorenson. - Widziałam jego akta. Został sześć razy odznaczony.

Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda i Purpurowe Serce.

- Wszyscy dostawaliśmy medale - powiedział Reacher. - Nie doszukuj się w tym niczego szczególnego.

- Z Kansas City jest pewien problem - zaczęła Delfuenso.

- Jaki? - zapytał Reacher.

- Słabe wyniki.

- Jak słabe?

- Giną przez nich ludzie.

Delfuenso przedstawiła im sytuację. Mówiła dziesięć minut bez przerwy. Region centralny miał zawsze pełne ręce roboty. Na obszarze, za który był odpowiedzialny, znajdowało się wiele cennych obiektów. Ważne elementy infrastruktury cywilnej oraz instalacje wojskowe, w tym zakłady przemysłowe. Terroryci stale porozumiewali się przez internet, z kraju i z zagranicy, wskazując jako cele swoich ataków właśnie te elementy infrastruktury, instalacje i fabryki.

W większości były to fantazje albo czcze przechwałki, albo jałowe spekulacje skrzyżowane z mrzonkami. Część jednak stanowiła prawdziwe zagrożenie. W każdym razie na tyle prawdziwe, by dawać powody do niepokoju.

Tak więc chłopcy z Kansas City wzięli inicjatywę w swoje ręce i przygotowali cztery niezależne od siebie akcje infiltracji. Umieścili tajnych agentów w czterech podejrzanych grupach.

Z początku operacje przebiegały gładko jak w podręczniku. Potem jednak się posypały. Żadna nie przyniosła efektów w postaci informacji. Jedynym efektem była śmierć dwóch agentów pracujących pod przykryciem.

A jednak. Mimo wszystko. Region centralny miał zawsze pełne ręce roboty. Komunikacja internetowa nie ustawała. Pewnego dnia odezwał się nowy głos. Mówił o miarach objętości jakichś płynów. O litrach, setkach, tysiącach litrów. Stale wspominał o wodach podziemnych w Nebrasce.

Nikt nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Nikt nie potrafił rozszyfrować intencji. Ale komunikacja nasilała się z dnia na dzień. Tysiące litrów, setki tysięcy, miliony litrów, w końcu dziesiątki milionów.

Tak więc zaplanowano piątą operację. Z nowym głosem skontaktował się samotny dysydent, całkowicie wymyślony przez Kansas City. Dysydent zaproponował nowemu głosowi połączenie sił, oferując pomoc. Padły pytania o doświadczenia i przygotowanie, na które wymyślono odpowiedzi.

Ustalono wiarygodność obu stron. Nowy głos przezornie wstrzymywał się z decyzją przez dość długi czas, lecz w końcu zgodził się spotkać z dysydentem. I tak operacja powoli ruszyła.

Równocześnie jednak w Budynku Hoovera w ramach tej operacji zaplanowano inną operację: szpiegowania szpiegów. Pod pozorem rutynowej kontroli wyższego szczebla zasugerowano, aby Kansas City jako tajnego agenta wprowadziło do akcji osobę zupełnie nieznaną na Środkowym Zachodzie. Teoretycznie dla większego bezpieczeństwa. W

rzeczywistości ci z Hoovera chcieli mieć swojego zaufanego człowieka. Zaproponowano agenta specjalnego Donalda McQueena, ostatnio przydzielonego do biura terenowego w San Diego.

Jako dodatkowe zabezpieczenie i bezpośredniego obserwatora akcji wysłano na miejsce Karen Delfuenso z głównego wydziału do walki z terroryzmem w Waszyngtonie. Wysłano ją w tajemnicy.

Z pełnym kamuflażem, jak przy ochronie świadków. Wynajęła dom. Znalazła pracę. Zabrała ze sobą dziecko, które zapisała do szkoły.

- Poważna sprawa - mruknęła Sorenson. - Chętnie tam pojechałaś?

- Nie miałam nic przeciwko temu - odrzekła Delfuenso.

- Wiecie, jak to wygląda. Jedziemy tam, gdzie nam każą. Poza tym lubię się przeprowadzać.

Chcę, żeby Lucy zobaczyła kawałek świata.

- Wiedziała, dlaczego się przeprowadzacie?

- Dokładnie nie. Tylko ogólnie. Wie, że mam broń i odznakę. Ale nie zadaje pytań.

Jest przyzwyczajona.

- Przecież mogła cię zdemaskować. Mogła powiedzieć coś w szkole.

- Co? Że mamusia ma broń? Każda matka w Nebrasce ma broń. Mamusia jest tajnym agentem?

Wszystkie dzieci wymyślają takie historie. Nie ma w tym nic dziwnego. Zwłaszcza jeżeli mamusia jest kelnerką w barze i przez całą noc paraduje półnaga od pasa w górę.

Delfuenso opowiadała dalej. McQueen bardzo szybko nawiązał kontakt. Działał powoli i ostrożnie, budując zaufanie i wiarygodność. Nowym głosem okazała się średniej wielkości grupa białych Amerykanów w niepewnym sojuszu ze średniej wielkości grupą cudzoziemców z Bliskiego Wschodu. Grupa nosiła nazwę Wadiah. Na jej czele stał człowiek ukrywający się pod pseudonimem i jak dotąd McQueen nie uzyskał do niego dostępu. Przypuszczano, że cudzoziemcy z Bliskiego Wschodu są Syryjczykami.

- Jaki mają cel? - zapytał Reacher.

- Jeszcze nie wiemy - odparła Delfuenso.

- Dziwna mieszanka narodowa.

- Zgadzam się.

- McQueenowi nic nie grozi?

- To zależy, czy dla ciebie szklanka jest w połowie pełna, czy w połowie pusta. Jak dotąd stracili dwóch z czterech ludzi. Na pierwszy rzut oka wydaje się więc, że ma pięćdzie

siąt procent szans.

- Niedobrze.
- Właśnie dlatego jakaś gruba ryba w garniturze jest przytłoczona masą problemów.
- A teraz trzeba jeszcze wyjaśnić, co się stało z Kingiem.
- Mnie to mówisz? - prychnęła Delfuenso.

Sorenson znalazła w szafce czajnik elektryczny, nalała do niego wody w łazience i zrobiła herbatę. Przyniosła ją na tacy. Reacher podziękował, ale spojrzał na Delfuenso i zapytał:

- Po co było to całe mruganie w samochodzie?

Delfuenso wzięła herbatę i odpowiedziała pytaniem:

- Dałeś się nabrać?

- Tak. Myślałem, że jesteś przypadkową ofiarą. Odważną i inteligentną... to na pewno, ale zwykłą odważną i inteligentną osobą, nie agentką.

- Tak właśnie miałeś myśleć. McQueen oczywiście wiedział, kim jestem, ale King nie. Musiałam grać przed nim. Właściwie musiałam grać tę rolę przez całą noc, bo było jasne, że stanę oko w oko albo z Wadią, albo z FBI z Kansas City. Ani jedni, ani drudzy nie mogli wiedzieć, kim jestem.

- Rozumiem. Wiem, że musiałaś grać. Ale nie musiałaś mrugać.

- Zamierzałam się stamtąd jak najszybciej wydostać. Im szybciej, tym lepiej. W każdy możliwy sposób. Dlatego pomyślałam sobie, że gdybym cię zwerbowała, mogłabym szybciej uciec.

Wyglądałeś na kompetentnego faceta. Pomyślałam, że może wykorzystasz jakąś okazję i zorganizujesz coś po drodze. Ale tego nie zrobiłeś. I rzeczywiście stanęłam oko w oko z chłopakami z Kansas City, którzy mnie tu wsadzili, bo tak dobrze grałam swoją rolę, że nie uznali mnie za nikogo ważnego.

- Co tak naprawdę stało się wczoraj w nocy?

- Większość widziałeś.

- Ale nie wszystko. I niczego nie zrozumiałem. Ciekawi mnie rozmowa, którą przeprowadziłaś z McQueenem, kiedy strzelił Kingowi w serce. Zanim was zabrali, musiałaś z nim spędzić co najmniej pół godziny.

- Prawie czterdzieści minut. Ale to nie McQueen strzelił Kingowi w serce. Podał mi pistolet z przedniego siedzenia. Powiedziałam ci, że było inaczej, bo jeszcze grałam swoją rolę.

I wymyśliłam te wszystkie krzyki i łzy.

- No więc co się naprawdę stało wczoraj w nocy?

- Domyśl się.

Reacher wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale przypuszczam, że ani King, ani McQueen nie mieli przy sobie noża. Za duży, żeby zmieścić się w kieszeni garnitur. Nie mieli niczego w rękach. Może jeden z nich mógł go przywiązać do przedramienia, ale to mało prawdopodobne. Myślę, że to tamten miał nóż. I myślę, że od początku chciał go użyć. Kiedy wszedł do bunkra, rozpiął kurtkę.

- Rozmawiałeś ze świadkiem?

- Na pewno się do tego nie przyzna. Przestrzega zasad. Za darmowe piwo.

- W takich sprawach zawsze chodzi o współpracę - wyjaśniła Delfuenso. - King i McQueen pojechali spotkać się w imieniu Wadiah z kimś występującym w imieniu innej grupy. Być może zamierzali rozmawiać o finansowaniu albo innej formie współdziałania. Albo o logistyce czy zaopatrzeniu.

To miała być deklaracja przyjaźni. Według planu King i McQueen mieli tam pojechać, a tamten miał ich zabrać do swojej centrali. Coś w rodzaju rytualnego tańca. Ale od razu wszystko się spieprzyło. Tamten zaczął coś do nich krzyczeć, a potem wyciągnął nóż i próbował ich zabić.

McQueen go rozbroił.

- I złamał mu przy tym rękę.

- Naprawdę?

- Dowiedzieliśmy się od medyków - wtrąciła się Sorenson. - Dzisiaj w południe.

- I co potem? - zapytał Reacher.

- Potem McQueen go zabił - podjęła Delfuenso.

- W obronie własnej. To był odruch.

- Bzdura - uznał Reacher. - Zabił go, żeby się zamknął. Facet krzyczał. Kto wie, co mógł potem powiedzieć? Za duże ryzyko. Niewykluczone, że facet działał w San Diego i widział, jak McQueen wchodzi i wychodzi z budynku FBI. A McQueen nie chciał, żeby King to usłyszał.

- To było uzasadnione zabójstwo.

- Dobrze to zrobił?

- Takie masz kryterium oceny? Czy było uzasadnione?

- Punkty za styl mogą pomóc podjąć decyzję.

- Nie wiem, czy dobrze to zrobił.

- Ja wiem - powiedziała Sorenson. - Widziałam ciało. Zrobił to całkiem dobrze. Najpierw poprzeczne cięcie na czole, żeby go oślepić, a potem nóż pod żebra.

- Zadowolony? - spytała Delfuenso.

- Trochę staroświecki sposób - ocenił Reacher. - Nie sądzisz? Cięcie na czole uważało się kiedyś za niezłą sztuczkę. Nawet szpanerską. Ale zawsze było niepotrzebne. Równie dobrze można było od razu zadać drugi cios. Jeżeli wsadzisz komuś w brzuch dwudziestocentymetrowy nóż aż po rękojeść, czy przeszkadza ci, że ofiara ciągle ma sokoli wzrok?

- Wszystko jedno, to było uzasadnione.

- Zgadzam się. Nie zamierzam dyskutować. Ani za, ani przeciwko. Co się potem stało?

- Uciekli. Nie podobał się im czerwony samochód. Uznali, że będzie go szukać albo miejscowa policja, albo tamta druga grupa. Albo jedni i drudzy. McQueen wiedział, gdzie jestem. Zawsze znał moje miejsce pobytu. Pojechał więc do Miasta Grzechu, ale zachowywał się tak, jakby zupełnie nie wiedział, dokąd jedzie, i udał, że przypadkiem zauważył mojego chevroleta, a King od razu zgodził się, że dobrze będzie go ukraść.

- Ale nie ukradli go i nie odjechali.

- Nie mogli go otworzyć. To nowy model. Ma wszystkie możliwe zabezpieczenia. Włączył się alarm. Wyjrzałam przez okno damskiej toalety. Stali obok samochodu. Pomyślałam więc, że jeżeli wyjdę z tyłu, jakbym właśnie skończyła pracę, mogliby mi przystawić lufę do głowy i zabrać mi kluczyk. Tego się spodziewałam. McQueen też, jak mi później powiedział. W najgorszym razie by mnie ogłuszyli. Ale King miał inny pomysł. Nie chciał zostawiać świadka. Wybrał regularne porwanie. Zabrał na przejażdżkę kelnerkę z nocnego baru. I tak zaczęłam grać.

- McQueen znał tego człowieka z bunkra?

- Nie. Mówił mi, że nigdy go wcześniej nie widział.

- Więc ty też nie wiesz, kim był. Przez całą noc i cały dzień nie dostawałaś informacji na bieżąco. W przeciwieństwie do nas. Chłopcy z Kansas City nic ci nie powiedzieli, bo dla nich jesteś nikim.

- Czego nie powiedzieli?

- O ile nam wiadomo, denat był rezydentem CIA - rzekła Sorenson.

Delfuenso milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Muszę dostać jakieś wskazówki.

Otworzyła „Biblię” i wyciągnęła komórkę z ładowarką. Wszystko podłączyła.

Wcisnęła przycisk na długie dwie sekundy. Ekran się rozjaśnił. A na nim wyświetlił się SMS. Napisany dużymi literami.

- Alarm - oznajmiła. - McQueen zniknął z radarów.

61

Delfuenso zadzwoniła na tajny numer zapisany w pamięci telefonu i uzyskała najnowsze wiadomości. Zdanie „McQueen zniknął z radarów” było tylko figurą stylistyczną.

W rzeczywistości z ekranu komputera zniknęły sygnały nadawane przez jego GPS. McQueen miał dwa nadajniki, jeden w telefonie i drugi zaszyty w pasku spodni. Od siedmiu miesięcy meldowały o każdym jego ruchu. Godzinę temu wyłączyły się, zgasły, zniknęły i już się nie pojawiły. Obydwa.

W odstępnie kilku sekund. Prawdopodobieństwo, by niemal równocześnie się zepsuły, było tak niewielkie, że nikt nie brał go pod uwagę. McQueen miał kłopoty.

- Gdzie namierzono go ostatni raz? - chciał wiedzieć Reacher.

- W jego zwykłym miejscu pobytu - powiedziała Delfuenso.

- Czyli gdzie?

- W kryjówce Wadiah.

- Czyli gdzie?

- Blisko Kansas City.

- Twoi ludzie mają jakiś plan? - spytał Reacher.

- Nie zamierzamy włączać chłopców z Kansas City. O tym zadecydowano już dawno.

W tym momencie są wyłączeni, bo nie mogą nam pomóc rozwiązać takiego problemu. Ich dotychczasowe osiągnięcia wskazują, że prawdopodobnie sami go spowodowali.

- No więc jaki jest plan?

- Wysłać prosto z Quantico oddział antyterrorystyczny.

- Kiedy?

- To oddział szybkiego reagowania.

- Szybkiego, czyli...

- Będą w Kansas City za osiem godzin.

- To ma być szybko?

- Mieszkamy w dużym kraju. Jest sporo do zorganizowania.

- Osiem godzin to stanowczo za długo.

- Wiem.

- Ale my jesteśmy na miejscu. Nas troje. Do Kansas City mamy sto sześćdziesiąt

kilometrów.

Dwie godziny drogi. Nie osiem.

Nie było żadnej dyskusji. Zresztą Reacher żadnej się nie spodziewał. Tajny agent był w niebezpieczeństwie, a Reacher zakładał, że niepisany kodeks obowiązujący w FBI jest co najmniej w połowie tak bezwzględny, jak w wojsku. Tajne zadania należą do najtrudniejszych na świecie i żeby człowiek pracujący w terenie mógł je wytrzymać, musi wiedzieć, że jest obserwowany przez ludzi, którzy zareagują natychmiast, jeżeli będzie miał kłopoty.

Dali sobie trzy minuty na przygotowanie. Reacher ich nie potrzebował. Nie zdążył się rozpakować. Nadal miał w kieszeni szczoteczkę do zębów. Był gotowy do akcji. Delfuenso wykorzystała ten czas, żeby napisać list do Lucy. Sorenson wykorzystała ten czas, żeby zdjąć kostium i przebrać się w rzeczy czekające na łóżku. Przeczuwała, jak mówiła, że to będzie dzinsowa noc.

W ostatniej chwili ciszy przed burzą Delfuenso spojrzała Reacherowi w oczy i powie działa:

- Pamiętaj, Wadiah zna twoje nazwisko i rysopis.
- Wiem - odparł.
- A McQueen prawie na pewno powiedział im, że to ty zabiłeś Kinga. O tym też pamiętaj.
- Co ty, jesteś moją matką? Nie martw się o mnie.

W tym momencie mieli do dyspozycji tylko jedną sztukę broni, glocka dziewiętnastkę z „Biblii”

Delfuenso. Agentka niosła go w prawej ręce, w lewej trzymając otwarty portfel z odznaką i legitymacją. Telefon schowała do kieszeni spodni. Pierwszym przystankiem był pokój Trapattoniego, gdzie nadal paliło się światło. Kiedy Delfuenso zapukała, otworzył po kilku sekundach. Legitymacja wyraźnie zbiła go z tropu. Jakby nagle stracił grunt pod nogami. Nie była kelnerką z nocnego baru. Niewinną ofiarą. Już nie. I najwidoczniej jej legitymacja przebijała jego legitymację. Oznaczała wyższy szczebel na drabinie. Jak as atutowy. Może dlatego, że została wydana przez Budynek Hoovera, nie przez regionalne biuro terenowe. Reacher nie do końca rozumiał te niuanse. Facet jednak natychmiast posłuchał. Bez zbędnych pytań wziął marynarkę i razem z nimi pobiegł do kwatery Bale’a.

Bale stawiał większy opór. Najwidoczniej miał większe ego. Wizyta zaczęła się tak samo.

W oknie paliło się światło, gospodarz błyskawicznie otworzył drzwi, zdumiał się na widok legitymacji podsunętej mu pod nos. A potem zaczął dyskutować. Oznajmił, że nic o tym nie wie.

Nie został poinformowany. Nie otrzymał żadnych instrukcji. Delfuenso nie zajmuje żadnego miejsca w jego hierarchii służbowej. Jest agentką w takiej samej randze, i tyle. Wszystko jedno, czy z Hoovera czy nie. Nie ma prawa wydawać mu poleceń.

Facet był niewzruszony. Nadał się jak balon i o mało nie uniósł się pod sufit.

Delfuenso znalazła się w trudnej sytuacji. Nie mogła połączyć go z centralą. Wiedziała, że nie może liczyć na wsparcie z Hoovera. Nie w tym momencie. Byli na to zbyt ostrożni. Góra nie mogła wyrazić zgody na nocną partyzancką amatorszczyznę w wykonaniu dwóch agentek i cywila. Za duże ryzyko, za duża odpowiedzialność. Zbyt niekonwencjonalny pomysł. Pozostała tylko siła perswazji. Trzeba było pogadać szczerze jak agent z agentem. Ale ten sposób nie działał.

Dlatego Reacher uderzył opornego faceta. Niezbyt mocno. Lekki cios w spłot słoneczny lewą ręką. Nic wielkiego. Żeby tylko trochę go zgiąć. I bez trudu unieruchomić mu ręce za plecami, aby Sorenson mogła wyjąć pistolet z kabury na jego ramionach, zdjąć zapasowy magazynek z paska, a potem wyciągnąć komórkę z jednej kieszeni i kluczyki do samochodu z drugiej. Trapattoni dobrowolnie oddał te same cztery przedmioty. Skwapliwie i szybko.

Reacher posadził Bale'a na jednym fotelu, a drugi zajął Trapattoni.

- Macie tu zostać i nadal wypełniać swoje obowiązki - poinformowała ich Delfuenso. - Wciąż macie pod opieką dwie osoby, a jedną z nich jest moja córka. Liczę na to, że nic jej się nie stanie i będzie dobrze traktowana.

Odpowiedziała jej cisza.

- Oddaliście służbową broń - dodał Reacher. - Tam, skąd pochodzę, nie robi się tego pod żadnym pozorem. U was na pewno jest tak samo. Zrobicie to, co mówimy, a nikt się o tym nie dowie. Jeżeli zachowacie się nieodpowiednio, dopilnuję, żeby wszyscy się dowiedzieli. Staniecie się pośmiewiskiem. Daliście się obrabować dwóm kobietom? Będą o was opowiadali dowcipy. Nie znajdziecie roboty nawet u hycła.

Nie odpowiedzieli, ale Reacher wyczuł kapitulację.

Sprawdzili obydwie samochody i wybrali ten, który miał w baku więcej paliwa, a był to wóz Bale'a. Za kierownicą usiadła Delfuenso. Sorenson zajęła miejsce obok niej. Reacher rozsiadł się z tyłu. Sto metrów dalej pulchna kobieta w recepcji poszła za przykładem

Trapattoniego, nie Bale'a. Obiecała, że zaopiekuje się Lucy, i bez ociągania spełniła ich prośbę, wciskając przycisk otwierający bramę. Delfuenso, Sorenson i Reacher wsiedli do samochodu i ruszyli. Objechali wysepkę przed wejściem do biura, pokonali betonowy podjazd i wyjechali przez bramę.

Skręcili w prawo, na północ, w kierunku autostrady międzystanowej.

Brama zamknęła się za nimi.

Samochód, trzy telefony, Glock dziewiętnastka, dwa Glocki siedemnastki i osiemdziesiąt osiem sztuk dziewięćmilimetrowej amunicji.

Gotowi do akcji.

62

Trudno było pokonać z dużą szybkością trzydzieści kilka kilometrów ciemnej wiejskiej drogi, więc nie rozmawiali o niczym istotnym, dopóki nie dotarli do rozjazdu i ruszyli autostradą na wschód. Samochód Bale'a sunął prosto i równo, tak samo jak wóz Sorenson, tak samo jak chevrolet impala. Cicho, płynnie i miękko, nawet przy blisko stu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę. Imponujące, pomyślał Reacher.

- Co właściwie robi rezydent CIA? - zapytała Delfuenso.

- Jest odpowiedzialny za duży kawał terytorium za granicą - wyjaśnił Reacher. - Mieszka w pobliżu i pracuje w największej ambasadzie. Zajmuje się zdrajcami i prowadzi miejscowych agentów, którzy dla nas pracują. Albo jest odpowiedzialna - dodał po chwili.

- Czy szefami komórek CIA są jakieś kobiety? - zainteresowała się Delfuenso.

- Nie mam pojęcia. Byłem w wojsku.

- Służyłeś pod komendą kobiet?

- Ilekroć szczęście zechciało się do mnie uśmiechnąć.

- Miejscowi agenci, którzy dla nas pracują? Jacy?

- Tacy jak zwykle. Cudzoziemcy, którzy z powodu szantażu, przekupstwa czy ideologii zdradzają swoje kraje i przechodzą na naszą stronę. Rezydent CIA od czasu do czasu spotyka się z najważniejszymi.

- Jak to wygląda?

- Jak w filmach. Zaciszna kawiarnia, boczna uliczka, park, paczki na półce w budce telefonicznej - wyjaśnił Reacher.

- Po co się spotykają?

- Szantażowani muszą znów usłyszeć groźby, przekupywani muszą dostać swoje worki pieniędzy, a ideologów trzeba zachęcić. Z kolei rezydenci muszą uzyskać od nich infor

macje.

- Jak często się spotykają?

- Raz w tygodniu albo raz w miesiącu, w zależności od potrzeb konkretnego agenta.

- A na co dzień udaje attache handlowego? - upewniła się Delfuenso.

- Albo attache kulturalnego. Albo pełni jakąś inną funkcję, która na pierwszy rzut oka nie wymaga od niego wiele roboty - odrzekł Reacher.

- Tak jest w Rosji, na Bliskim Wschodzie, w Pakistanie i podobnych krajach, tak?

- Taką mam nadzieję.

- Po co więc taki człowiek próbowałby zabić agenta FBI w Nebrasce?

- Mówił po arabsku - wtrąciła się Sorenson. - Może więc jeden z Syryjczyków z Wadiah był kiedyś jego agentem w Syrii. A może nie powinien nim być. Może to miało coś wspólnego ze sprawą, która zaczęła się za granicą. Ale na spotkanie w bunkrze nie przyszedł żaden Syryjczyk, więc facet z CIA mógł nabrać podejrzeń. W końcu z jego punktu widzenia każdy z wyjątkiem jego człowieka jest podejrzany, zgadza się?

- Tyle że CIA nie wolno działać na terenie Stanów.

- Może to jakaś supertajna operacja? Może zamierzali go zlikwidować? Z powodu jakiegoś niedokończonego interesu na przykład. Przecież nam tego nie powiedzą.

- Ale tamten umiał chyba odróżnić McQueena od swojego najlepszego kumpla z Syrii, prawda? - powiedziała Delfuenso. - I co? Jeżeli nie mógł zlikwidować właściwego człowieka, uznał, że w takim razie zlikwiduje innego? Było coś takiego na stronie internetowej CIA, czy może nie zauważyłam?

- Nie zamierzali nikogo likwidować - sprostował Reacher. - Nie wysłaliby do tego rezydenta.

Mają swoich specjalistów. Wykonawców. Oni by się tym zajęli. Poza tym wykonawca nie przyniósłby harcerskiego noża. Przyniósłby zupełnie inny nóż. I zastosowałby zupełnie inną metodę. Do tej chwili nie potrafilibyśmy zidentyfikować denata. W każdym razie nie na podstawie odcisków palców, twarzy ani uzębienia.

- No dobrze, więc miało się odbyć zwykłe spotkanie - zgodziła się Sorenson. - Rezydenta CIA z jego agentem.

- Ale agent się nie pojawił. To dlaczego po prostu nie wcisnął jakiegoś kitu i nie wykręcił się z całej sytuacji? Po co wyciągał nóż?

- Może nie bardzo umie wciskać kit?

- Przecież to rezydent CIA. Kto lepiej niż on umie wciskać kit?

- Może znał skądś McQueena?

- McQueen go nie znał.

- To nie musi działać dwukierunkowo - zauważyła Sorenson. - Może facet wiedział, że McQueen jest z FBI, i nagle widzi go w organizacji terrorystycznej, a wtedy chyba więcej ludzi najpierw pomyśli „zdrajca”, zanim zdąży pomyśleć „tajny agent”.

- A więc to był niewinny wypadek? Pomyłka? - zastanawiał się Reacher.

- Niektóre rzeczy są prostsze, niż się wydaje.

Reacher pokiwał głową.

- Wiem - mruknął.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego rezydent CIA udawał członka grupy terrorystycznej - odezwała się Delfuenso.

- Nie zapominajcie, że King i McQueen mieli się spotkać z kimś takim.

- Może też działał pod przykryciem? - podsunęła Sorenson.

- CIA nie wolno działać na terenie Stanów.

- Żyjemy w nowych czasach, Karen.

- Dwie równoległe tajne operacje w tym samym miejscu i czasie? Jakże może być prawdopodobieństwo takiej sytuacji?

- Niewielkie - przyznał Reacher. - Ale niekoniecznie. Wystarczy tylko, że dwie osoby zainteresują się tą samą interesującą rzeczą.

- Wykorzystaliby rezydenta CIA do takiego zadania? - spytała Delfuenso.

- Możliwe. Nikt go tu nie znał. Miał odpowiednie umiejętności. Znał takie życie. Znał język.

Z papierów mogłoby wynikać, że jest przed przeniesieniem do nowej placówki.

- Gdyby zabili mojego człowieka, spaliłabym im dom - oświadczyła Delfuenso. - Dlaczego się do nas nie odzywają?

- Pewnie już się odezwali - powiedział Reacher. - Ale nie osobiście. W tym momencie prawdopodobnie toczy się rozmowa w cztery oczy, w zaciszu jakiegoś pokoiku w Waszyngtonie.

Dwaj starzy biali faceci w garniturach. Z cygarami.

Zegar w głowie Reachera i tablice podające odległość od Kansas City pokazywały, że zmieszczą się w założonych dwóch godzinach z dużym zapasem. Podróż zapowiadała się na godzinę i czterdzieści, najwyżej czterdzieści pięć minut. Niewykluczone jednak, że pod koniec czeka ich jeszcze kilka dodatkowych kilometrów. Przestępcy raczej nie ukrywają się w miejscu, które zarządcy autostrady wyznaczyli jako dokładne centrum miasta. Reacher nie

spodziewał się, że odbywają spotkania w hotelowym holu w śródmieściu.

- To podmiejski dom - powiedziała Delfuenso, jakby słyszała jego myśli. - Na południe od miasta i kawałek na wschód.

- Daleko?

- Może dwadzieścia kilometrów.

Godzina pięćdziesiąt trzy minuty, pomyślał. Cała droga.

- Co to za dzielnica? - zapytał.

- Porządna. I tłoczna.

- Niedogodne miejsce.

- Potencjalnie tak.

- Ale przypuszczam, że dobrze wybrane.

Delfuenso pokiwała głową nad kierownicą.

- Wadiah jest sprytniejsza, niż można przypuszczać, patrząc na to, co robi.

Co czterdzieści sekund mieli o kilometr bliżej do Paryża Wielkich Równin.

- Co wiesz o Peterze Kingu? - zwróciła się Sorenson do Delfuenso.

- Gdzie słyszeliście to nazwisko? - zdziwiła się agentka.

- Reacher słyszał, jak mówił o nim Alan King.

Delfuenso zerknęła na odbicie Reachera w lusterku wstecznym i skinęła głową.

- Rzeczywiście - powiedziała. - Pamiętam. A potem się wygadał, że w jego mieście mieszka półtora miliona ludzi. Chwilę wcześniej twierdził, że jest z Nebraski. A jeszcze chwilę wcześniej twierdził, że jedzie już od trzech godzin, chociaż miał pełny bak i butelki z zimną wodą.

- Wiemy, że siedem miesięcy temu Peter King przeprowadził się z Denver do Kansas City - dodała Sorenson.

- Wiecie więcej, niż powinniście.

- Jego przeprowadzka to zbieg okoliczności?

- Nie ma zbiegów okoliczności. Przynajmniej dla organów ścigania. Dobrze o tym wiecie.

- Jest policjantem albo agentem?

- Dlaczego pytasz?

- Staram się po prostu rozstrzygnąć wątpliwości na jego korzyść. Służył swojemu krajowi.

- No więc niestety nie. Peter King nie jest policjantem ani agentem.

- Ma związki z Wadiah?

- Tak przypuszczamy.

- Bliskie?

- Przypuszczamy, że może być przywódcą.

- Rozumiem.

- Bo jeżeli chodzi o schemat organizacyjny, mamy tylko dwie funkcje, do których nie możemy dopasować nazwisk, i dwa nazwiska, którym nie możemy przypisać funkcji. Jedną z tych funkcji jest przywódca, a jednym z nazwisk Peter King. Dlatego całkiem logicznym wnioskiem jest ich połączenie.

- A jego brat, z którym nie rozmawia, jest szeregowym członkiem organizacji?

- Nie rozmawia z żadnym szeregowym członkiem. Jeżeli jest przywódcą. Tak działają te komórki. Przywódca rozmawia tylko ze swoimi zaufanymi zastępcami, których zwykle jest dwóch, najwyżej trzech. Niżej jest hierarchia z rygorystycznie oddzielonymi stopniami podległości, ze względów bezpieczeństwa.

- Mimo wszystko to dziwne.

Delfuenso skinęła głową.

- McQueen dość dobrze poznał Alana Kinga. Coś zagadkowego działo się w relacjach tego rodzeństwa. Alan jest młodszym bratem. Powinnam raczej powiedzieć, że był. Bardzo niepewny siebie. Zawsze potrzebował akceptacji brata. Miał obsesję na jego punkcie. Chyba dlatego wspominał o nim w nocy. Bo nie miał innego powodu. Zdaje się, że ponad dwadzieścia lat temu coś między nimi zaszło. Peter obarczył Alana winą za coś, jakiś błąd, skandal czy zdradę. Alan zawsze starał się pokazać, na co go stać. A McQueen odnosił wrażenie, że Peter chciał, żeby Alan pokazał, na co go stać. W ramach odkupienia. Trudna miłość, ale jednak miłość. Wiecie, jak to jest z rodziną. Krew z krwi, kość z kości i tak dalej. Z tego, co wiemy o Peterze, można przypuszczać, że będzie cholernie wkurzony śmiercią Alana.

- Pewnie właśnie dlatego McQueen ma kłopoty. Akurat dzisiaj.

Delfuenso znów pokiwała głową.

- Otóż to. Miejmy nadzieję, że próbuje go przekonać, że zabił go Reacher, a on nie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać.

Równa i prosta autostrada międzystanowa z zachodu na wschód, która tak spokojnie przecinała całe Kansas, około osiemdziesięciu kilometrów przed granicą stanu rozrywała się na mnóstwo obwodnic i dróg ekspresowych. Delfuenso skręciła na południe, wciąż na terenie

Kansas, a potem znów ruszyła na wschód drogą federalną o nowym numerze. Wjechali do Missouri lewym pasem z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując się drogowskazem w stronę miejscowości o nazwie Lees Summit. Zanim jednak tam dotarli, dużo wcześniej skręcili na północ w kierunku nowej miejscowości o nazwie Raytown, ale tam też nie dotarli. Zjechali z drogi, zanim miasto ukazało się na horyzoncie, ruszając na północny zachód i wjeżdżając w rozległe wielohektarowe przedmieścia, za którymi, o ile Reacher się zorientował, rozciągał się chyba duży park. Za dnia mogło tu być bardzo ładnie. Nocą wyglądało to po prostu jak duża czarna dziura.

Delfuenso jechała wolno i ostrożnie, cicho pokonując nieznanne zakręty, przystając z wahaniem, przemykając szybko przez plamy światła i znów zwalniając w ciemności, jakby nie była pewna celu drogi albo się go bała.

- Byłaś tu już kiedyś? - zapytał ją Reacher.

- Nikt z nas nie był, z wyjątkiem McQueena - odrzekła. - Jeszcze za wcześnie. W tej fazie operacji należy się trzymać z tyłu i obserwować. Ale pokazano mi dokumenty sprawy. Znam adres.

Widziałam ten dom na mapach Google. Tak więc znam ogólne położenie.

„Ogólne położenie” oznaczało po prostu usytuowanie na typowym amerykańskim przedmieściu.

Co do tego nie było wątpliwości. Po lewej i prawej biegły chodniki, pokryte mchem betonowe płyty, wyrzuszone tu i ówdzie przez korzenie drzew, ze stojącymi tu i ówdzie hydrantami przeciwpożarowymi. Reacher zobaczył domy wybudowane w regularnych odstępach pośrodku działek, na ogół skromne, niektóre mniejsze, kilka dużych, lecz wszystkie ciemne i pogrążone we śnie. Większość miała ściany obłożone białym sidingiem. Niektóre pomalowano na bardziej żywe kolory. Większość stanowiły budynki parterowe, znacznie szersze niż wyższe. Część z nich miała dodatkowe pokoje na poddaszu, o czym świadczyły wole oka nad okapami. Każdy dom miał skrzynkę na listy, rośliny posadzone wokół fundamentów, trawnik i podjazd. Przed większością z nich stały zaparkowane samochody, co najmniej jeden lub dwa, czasem trzy. Przed niektórymi leżały pokryte rosą dziecięce rowerki, ustawiono bramki do piłki nożnej albo hokeja, albo obręcze do koszykówki. Przy części z nich stały maszty z flagami narodowymi, które wisiały szare i smętne w nieruchomym powie trzu.

- Spodziewałem się czegoś innego - przyznał Reacher.

- Mówiłam - odparła Delfuenso. - Porządna i tłoczna dzielnica.

- Syryjczycy nie rzucają się tu w oczy?

- Ci jaśniejsi podają się za Włochów. Ci z ciemniejszą skórą mówią ludziom, że są Hindusami.

Większość ludzi nie umie ich odróżnić. Twierdzą, że pracują jako technicy w mieście.

- Zwolniła i zatrzymała się przy krawężniku. - Dobra, wydaje mi się, że to dwa skrzyżowania stąd. Jak chcesz to zrobić?

Reacher uczestniczył w szturmach na domy. Więcej niż raz, prawdopodobnie mniej niż dwadzieścia razy. Ale zwykle w towarzystwie gromady żandarmów podzielonych na grupy, z których część zajmowała pozycje z tyłu, część z przodu, część trzymano w odwodzie w opancerzonych wozach z ciężką bronią, a wszyscy mogli się komunikować przez radio. Poza tym takie akcje odbywały się w otoczonych kordonem miejscach, z których ewakuowano wszystkich cywilów. A w pogotowiu zwykle czekał oddział medyczny. Tu czuł się wyjątkowo słabo wyposażony i bezbronny.

- Moglibyśmy podpalić dom - zasugerował. - To zwykle się sprawdza. Prędzej czy później wszyscy uciekną. Chyba że McQueen jest związany albo zamknięty, albo unieszkodliwiony w inny sposób. Dlatego lepiej będzie postawić jedną osobę przy drzwiach piwnicy, jeżeli są, jedna wejście od frontu i jedna tylnym wejściem. Jak wasze umiejętności strzeleckie?

- Całkiem dobre - odrzekła Delfuenso.

- Nieźle - powiedziała Sorenson.

- W porządku, będziecie trzymały broń przed sobą. Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza, chyba że będę to ja albo McQueen. Dla pewności celujcie w głowy. W sam środek twarzy.

Oszczędzajcie amunicję. Żadnych poprawek. Będziemy mieli przewagę przez mniej więcej cztery sekundy. Nie możemy dopuścić, żeby zrobiło się z tego oblężenie.

- Nie chcesz spróbować zarzucić przynęty? - spytała Delfuenso. - Mogłabym zapukać do drzwi i udawać, na przykład, że się zgubiłam.

- Nie - odparł Reacher. - Bo kiedy strzelą ci w głowę, będziemy to musieli załatwić sami z Sorenson.

- Robiłeś kiedyś coś takiego?

- A ty nie?

- Nie, to wyłącznie zadanie antyterrorystów.

- Zwykle jest pięćdziesiąt procent szans na szczęśliwe zakończenie. Tak wynika z moich doświadczeń.

- Może jednak powinniśmy poczekać na oddział z Quantico?

- Chodźmy się przynajmniej rozejrzeć.

Cicho i ostrożnie wysiedli z samochodu, trzymając broń w pogotowiu. Oprócz nich w okolicy nic się nie poruszało. Ich ciemne ubrania były prawie niewidzialne w świetle księżycy. Szli chodnikiem jedno za drugim, instynktownie o dwa, dwa i pół metra od siebie. Dotarli do pierwszego skrzyżowania i nie zatrzymując się, przeszli przez ulicę - w takim miejscu i o tej porze szybciej zaraziliby się jakąś rzadką chorobą, niż zostali potrąceni przez samochód. Doszli do drugiego skrzyżowania, ale pod koniec zwolnili kroku i zbili się w grupkę, ponieważ konieczna mogła być narada. Delfuenso mówiła, że widziała dom z góry, w dwóch wymiarach na ekranie komputera, i że miała nadzieję, iż go pozna, kiedy zobaczy go w trzech wymiarach. Wszystko zależało od tego, jak budynek będzie wyglądał z boku. Wi dziany ludzkim okiem, nie obiektywem kamery z satelity.

Przystanęli na rogu i Delfuenso spojrzała w głąb ulicy w prawo. Ulica wznosiła się łagodnie, a dalej opadała. Widać było kilka pierwszych domów. Reszta kryła się za zboczem.

- To tutaj - oznajmiła Delfuenso.

- Który dom?

- Drugi za wzgórzem po lewej.

- Na pewno? Stąd go nawet nie widać.

- Pamiętam ze zdjęć satelitarnych. Przyjrzałam się budynkom obok. Po jednej i po drugiej stronie. Na rogach też. To na pewno ta ulica. Nie ma hydrantu. Na wszystkich innych rogach stoją.

Tu nie. W jak woda, W jak Wadiah. Tak chciałam to zapamiętać.

Reacher się rozejrzył. Rzeczywiście hydrantu nie było.

- Dobra robota - pochwalił.

Sorenson zaproponowała, że wejdzie przez drzwi piwnicy. Jeżeli są. Jeżeli nie, znajdzie boczne okno. Reacher zaakceptował ten plan. Trzeci punkt mógł się przydać, ale nie był decydujący.

Niewątpliwie najbardziej niebezpiecznym miejscem będą frontowe drzwi, a najbardziej skuteczny atak może nastąpić z tyłu. Mają tylko dwa wyjścia: ryzyko i sukces.

- Wejść od tyłu - powiedział.

- W takim razie ja od frontu - odrzekła Delfuenso.

- Ale nie mów, że się zgubiłaś. Od razu strzelaj w twarz. Zanim zdążą się przywitać.

- Powinniśmy poczekać na Sorenson. Jeżeli są drzwi do piwnicy. Tamtędy wolniej się wchodzi.

- Poczekamy, kiedy będziemy na miejscu - postanowił Reacher.

Ruszyli razem szybkim krokiem, skręcając w ulicę po prawej.

63

Zeszli z chodnika na jezdnię. Nie było sensu kryć się za skąpą zasłoną drzew. Reacher kazał im się zatrzymać, kiedy się zorientował, że są dwa metry poniżej szczytu wzniesienia. Stąd razem z Sorenson mieli się dostać przez podwórka za domy, a Delfuenso zamierzała odczekać dłuższą chwilę. Ruszała później od nich, ponieważ Reacher i Sorenson mieli przed sobą okrężną i trudniejszą drogę. Ogrodzenia, żywopłoty, psy. Może nawet drut kolczasty. W końcu byli w Missouri. Firma Southern Wire Company z St Louis była niegdyś największym światowym producentem nielegalnego drutu na ogrodzenia dla bydła. Trzy centy za pół kilo. Wystarczyło, żeby stał się popularny.

Ale Delfuenso i tak czekało najtrudniejsze zadanie. Strażników zawsze wystawiano od frontu.

Natomiast nie zawsze umieszczano ich przy tylnym wyjściu. Jeśli w ogóle zauważą ich nadejście, to na pewno zobaczą Delfuenso. Reszta zależy od stopnia ich paranoi. Który w tym momencie może być wysoki. Uznają ją za niewinnego przechodnia, czy już wszystko uważają za zagrożenie?

Nie zobaczyli drutu kolczastego. Ani psów. Zwierzaki na przedmieściach są za bardzo rozpieszczone, żeby spędzać noc na dworze, podwórka na przedmieściach zbyt eleganckie, żeby psuć ich widok drutem kolczastym. Natrafili jednak na żywopłoty i ogrodzenia. Niektóre ogrodzenia były wysokie, a niektóre żywopłoty miały kolce. Ale udało im się przedrzeć. Sorenson wykazała się sporą zręcznością przy pokonywaniu ogrodzeń. Większą niż Reacher. Przez kolczaste żywopłoty można przejść tyłem. Tani dzins jest bardzo wytrzymały.

Trudno było powiedzieć, kiedy dokładnie dotrą na szczyt wzgórza, ponieważ znajdowali się na rozległych trawnikach w tarasowych ogrodach podzielonych poziomymi płaszczyznami. Na niebie jaśniał jednak blady księżyc i między domami Reacher dostrzegł linie elektroenergetyczne, które na jednym ze słupów tworzyły niewyraźny kształt odwróconej litery V. Wywnioskował z tego, że słupek stoi na szczycie wzniesienia.

„Drugi dom za wzgórzem po lewej”.

Sorenson zrozumiała. Pokazała na palcach „jeden”, „dwa”, a przy „dwa” wskazała przed siebie, jakby mówiła: „To nasz cel”. Reacher skinął głową i ruszyli przez ogród. Pokonali parkan z desek zabezpieczony drucianą siatką i dostali się do następnego ogrodu

należącego do domu sąsiadującego z ich celem. Był strasznie zagracony. Stał tam gazowy grill, krzeselka ogrodowe i mnóstwo przeróżnych pojazdów, na których dzieci siadają okrakiem i pedałużają albo odpychają się nogami. Jeden z nich miał kształt tenisówki. Reacher przystanął i spojrział na dom.

Prawdopodobnie trzy sypialnie. Dwie pełne dzieci. Cienkie ściany. Siding i płyty gipsowe. Lepiej strzelać w inną stronę. Chyba że w budynku sąsiadującym z drugiej strony jest sierociniec.

Ruszyli dalej, do ostatniego ogrodzenia. Popatrzyli zza niego na cel.

Ich celem był piętrowy dom.

O połowę węższy od swoich sąsiadów i dwa razy wyższy. Z czerwonym sidingiem. Wyglądało na to, że z tyłu znajduje się kuchnia zajmująca całą szerokość domu. Za nią chyba główny korytarz z pokojami po obu stronach. I schody. Na piętrze prawdopodobnie cztery pokoje. W sumie dom miał taką samą powierzchnię, jak pozostałe domy w dzielnicy, ale był przecięty na połowy, które ustawiono jedną na drugiej.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Piętrowe domy są około ośmiu razy trudniejsze od parterowych.

Tak wynikało z doświadczeń Reachera.

Sorenson spojrzała na niego pytająco.

Mrugnął do niej. Lewym okiem.

Wspięli się na ogrodzenie. Zeskoczyli do ogrodu. Poświęcano mu bardzo niewiele uwagi. Wysoka trawa, żadnych rabatek. Żadnych drzew. Żadnych roślin ozdobnych. Ani krzesełek, ani zabawek, ani grillów.

Były za to drzwi do piwnicy.

Szeroko otwarte.

Tradycyjnego typu, z tłoczonego metalu, długości około półtora metra i szerokości metra dwudziestu, przedzielone na dwa skrzydła i wbudowane pod łagodnym kątem w ziemię. Górna krawędź, wparta w fundamenty domu, była około pół metra wyżej od dolnej. Drzwi prowadziły na krótkie i krzywe drewniane schodki.

W piwnicy nie było światła. Reacher przeszedł w lewo i w prawo, ale nigdzie w domu nie dostrzegł światła, z wyjątkiem małego okienka z ornamentową szybą na parterze po lewej stronie.

Przypuszczalnie toaleta. Być może zajęta. W najgorszym razie każdy z pokoiów zajmuje czterech fanatyków, a jeden z nich nie śpi i siedzi w toalecie.

Jadalnia, salon, może cztery pokoje na górze.

W najgorszym razie dwadzieścia cztery osoby.

Wrócił do Sorenson, która skierowała dwa rozstawione palce na swoje oczy, a potem złączyła je i pokazała na drzwi piwnicy: „Chcę tam zajrzeć”. Reacher skinął głową. Ostrożnie i powoli schodziła po drewnianych stopniach, starając się stawiać nogi z brzegu, gdzie było mniejsze prawdopodobieństwo, że schody skrzywną. Stała na betonowej posadzce, schyliła głowę i zniknęła.

Reacher czekał. Czterdzieści sekund. Całą minutę.

Sorenson wróciła. Znowu pojawiła się u stóp schodów i wyjrzała. W blasku księżyca wyglądała na trochę zdyszana. Ale skinęła głową. „W porządku, czysto”. Reacher pokazał na nią, postukał palcami w lewy nadgarstek, a potem dotknął swojego ucha. „Zaczekaj, aż usłyszysz nas przy drzwiach”.

Sorenson znowu zniknęła.

Reacher cofał się wzdłuż bocznej ściany, aż zobaczył ulicę. Czekala tam Delfuenso. W cieniu.

Stała oparta o drzewo na chodniku. Niemal wtopiła się w tło. Pomachał do niej. Oderwała się od drzewa i pokazała na migi: „Co się dzieje?”. Dłoń ułożona w miseczkę na wysokości barku, łokieć blisko ciała. Wzruszył ramionami. Przesadnym, nienaturalnym gestem: „Sam nie wiem”.

Wyciągnęła dłoń z kciukiem skierowanym w bok: „Tak czy nie?”.

Pokazał jej uniesiony kciuk.

„Tak”.

Skinęła głową. Nabrała powietrza. Wyciągnęła do niego obie ręce, wciąż trzymając pistolet, i szeroko rozstawiła wszystkie palce: „Za dziesięć sekund”.

Zgięła jeden palec: „Za dziewięć”.

Następny palec: „Za osiem”.

Po chwili znikła mu z oczu, ruszając do drzwi wejściowych, a Reacher poszedł do drzwi z tyłu domu.

Siedem. Sześć. Pięć. Cztery.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Delfuenso liczyła szybciej niż on. Gdy miał jeszcze uniesioną stopę, usłyszał łomotanie do drzwi.

Brzmiało, jakby rękojeść glocka bębniła o stalową płytę. Stalowe drzwi. Wzmocnione.

Dla bezpieczeństwa. Zastanawiał się, jaki opór stawiają drzwi z tyłu.

Okazało się, że niewielki.

Wziął zamach i z impetem uderzył obcasem tuż nad klamką, wkładając całą siłę w ostatnią fazę ciosu. Drzwi wpadły do środka, a Reacher znalazł się w kuchni, nie tracąc rozpędu, ale po drodze nie spotkała go żadna przykra niespodzianka, z wyjątkiem jakiejś niewielkiej przeszkody, którą zdołał przestąpić. Łomotanie do frontowych drzwi nie ustawało. W kuchni było zimno i pusto.

Niedawno z niej korzystano, ale w tym momencie nie było nikogo. Reacher wyszedł na korytarz, spodziewając się, że zobaczy kogoś, kto idzie otworzyć. Gotów strzelić temu komuś w plecy.

Korytarz był pusty.

Łomotanie nie ustawało. Było tak głośnie, że mogło obudzić umarłego. Reacher zaczął krążyć po korytarzu, trzymając pistolet w wyprostowanych rękach, gwałtownie obracając tułów, jak w szalonym tańcu disco. Szturmowy swing. Po lewej była jadalnia. Pełna przedmiotów i pełna mebli. Ale bez ludzi.

Po prawej znajdował się salon.

Pełen przedmiotów. Pełen mebli.

Bez ludzi.

W korytarzu było jeszcze dwoje drzwi. Nad jednymi jaśniał pas światła. Ornamentowa szyba.

Toaleta. Prawdopodobnie zajęta. Reacher zrobił duży krok, uniósł nogę i grzmotnął obcasem w zamek, który okazał się równie słaby jak ten przy drzwiach kuchennych. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Reacher odsunął się, zaciskając palec na spuście.

Toaleta była pusta.

Paliło się światło, ale nikogo nie było.

Przez ostatnie drzwi weszła Sorenson, trzymając przed sobą glocka.

- Nie strzelaj - powiedział Reacher. - To ja.

Zobaczył za nią schody do piwnicy. Pusto. Nikogo.

Parter czysty.

- Wpuść Delfuenso - polecił. - Idę sprawdzić na górze.

Ruszył po schodach. To była jego najmniej ulubiona sytuacja.

Nie znosił schodów. Każdy ich nie znosił. Wszystko działało przeciwko tobie, nawet siła grawitacji. Nieprzyjaciel miał przewagę i lepszą widoczność. I nieograniczone możliwości ukrycia się. I ogromną satysfakcję, gdy mógł zobaczyć twoją wynurzającą się z

dołu głowę.

Niedobrze, ale Reacher dość spokojnie wchodził schodami, ponieważ był pewny, że dom jest pusty. Nieraz robił naloty na domy. Wyczuwało się, że coś jest nie tak. Nie było serca. Dom wydawał się cichy i spokojny. Opuszczony.

I rzeczywiście.

Na górze były cztery sypialnie z czterema szafami oraz dwie łazienki. Reacher sprawdził wszystkie, znów robiąc gwałtowne zwroty w prawo i w lewo, kręcąc piruety jak jakaś paramilitarna baletnica. W tle powinna jeszcze brzmieć muzyka przetykana nagłymi kulminacyjnymi akordami.

Wszystkie sypialnie, szafy i łazienki były puste.

Były tam rupiecie, łóżka, ubrania, meble.

Ale nie było ludzi.

Parter czysty.

Piętro czyste.

W domu nie było nikogo.

Każdy w głębi duszy przyjąłby tę wiadomość z zadowoleniem. Taka jest ludzka natura. Ulga.

Zawód. Pokój z honorem. Ale Reacher, Sorenson i Delfuenso, stojąc w korytarzu na dole, byli tylko rozczarowani. Jeśli McQueena tu nie ma, to musi być w innym miejscu, rów nie złym, jeżeli nie gorszym. Ewakuowano go w pośpiechu.

- Muszą mieć gdzieś większą kryjówkę - stwierdził Reacher. - Na pewno. To mają być dwie działające razem grupy średniej wielkości. Dom przede wszystkim jest dla nich za mały. To tylko coś w rodzaju piedaterre albo kwatery oficerów, albo kwatery gościnnej. Coś w tym stylu.

Dodatkowy obiekt.

- Może adres korespondencyjny? - podsunęła Sorenson.

- McQueen tu mieszkał - powiedziała Delfuenso. - Wiemy to na pewno. Tak nam mówił, poza tym mamy zapis GPS z siedmiu miesięcy.

Reacher chodził po korytarzu, włączając światła. Zapalił światła w jadalni i w salonie. Zapalił światło w kuchni.

- Zaczniemy szukać - zaproponował. - Jeżeli regularnie krążą między dwiema kryjówkami, musieli zostawić jakieś ślady. Choćby nie wiem jak starannie sprząтали.

Posprząтали dość starannie. Nie było wątpliwości. Wykonali porządną robotę. Ale nie

w tradycyjnym rozumieniu. W domu panował spory bałagan. W zlewie stały brudne naczynia.

Łóżka były niepościelone. Nie poprawiono spłaszczonych poduszek na kanapie, nie sprzątnięto starych gazet, nie wyniesiono śmieci. Nie umyto kubków, nie opróżniono popielniczek, nie złożono i nie schowano ubrań. Lokatorzy szybko opuścili dom.

Mieli jednak swoje priorytety. Zabrali ze sobą mnóstwo rzeczy. Na tym właśnie polegało staranne sprzątanie. Poczta, dokumenty, rachunki, pisma, papiery. Nie było ani śladu takich rzeczy. Żadnych nazwisk. Żadnej kartki dużej czy małej. Ani kawałeczka. Żadnych notatek, gryzmołów, wiadomości. Oczywiście Reacher nie spodziewał się znaleźć mapy z narysowaną jaskrawoczerwoną strzałką i napisem NASZA KWATERA. Ale ludzie na ogół coś zostawiają.

Jakiś zapomniany drobiazg. Paragon z autostrady, zapalki, bilet do kina. W śmieciach, wciśnięty w jakiś ką, pod poduszką na kanapie. Ci niczego takiego nie zostawili. Byli dobrzy. Uważni, skrupulatni, czujni i świadomi. Bardzo metodyczni. Nie było wątpliwości. Metodyczni na co dzień.

Nie tylko od święta. Dbali o bezpieczeństwo. Dalszy postęp był uzależniony od jakiegoś przypadkowego błędu.

Nagle Sorenson zawołała ich z kuchni.

Znalazła przypadkowy błąd.

64

Sorenson ustawiła na kuchennym blacie siedem dużych papierowych toreb z McDonalda.

Opakowania po jedzeniu na wynos. Torebki były poplamione i zmięte. Sorenson wszystkie opróżniła. Były w nich kubki po napojach i koktajlach, pudełka po hamburgerach, opakowania po ciastkach z jabłkiem. Papiery po cheeseburgerach i paragony. Zbrązowiwały listek sałaty, kawałek oślizgłej cebuli i zeskorupiałe paczuszki po keczupie.

- Lubię McDonalda - stwierdziła Sorenson.

- To jeszcze nie zbrodnia - odrzekł Reacher. - Też lubię McDonalda.

- Niezły plan B - powiedziała Delfuenso. - Moglibyśmy dać im spokój, a za pięć lat i tak umarliby na zawał serca.

- Lubię McDonalda - powtórzyła Sorenson. - Podejrzewam, że prawie codziennie wysyłają jakiegoś chłopaka do najbliższego baru po parę toreb. Założę się, że nie więcej niż pięć minut drogi stąd jest McDonald dla zmotoryzowanych.

- Jesteśmy w końcu w Ameryce - dodała Delfuenso.

- I można w tym zasmakować. A kiedy stacjonujesz w drugim obozie, być może chcesz poszukać w pobliżu McDonalda. I raz na jakiś czas, kiedy musisz pokonać drogę od A do B, zatrzymujesz się w barze dla zmotoryzowanych blisko punktu A, żeby załadować małe coś nieco na drogę. A kiedy musisz wrócić z B do A, możesz się zatrzymać w barze niedaleko B i zrobić to samo.

- I mieszają się śmieci z dwóch miejsc - dodał Reacher.

Sorenson skinęła głową.

- Otóż to. Kupujesz hamburgera, frytki i napój, jesz po drodze w samochodzie, ale nie kończysz napoju, więc zabierasz go do domu i kończysz tutaj. W kuchni. A potem wyrzucasz torebkę do kosza. To zgodne z zasadami higieny, ale niestety właśnie połączyłeś dwa obszary geograficzne, które powinny pozostać niepołączone.

- Co wynika z tych paragonów? - spytał Reacher.

- Sześć pochodzi z jednego miejsca, siódmy jest inny.

- Skąd pochodzi?

- Nie wiem. Nie ma na nim żadnego adresu, tylko kod.

Sorenson nie mogła sprawdzić tego przez swoje biuro terenowe. Według wiedzy jej biura terenowego odbywała właśnie kwarantannę w motelu w Kansas, na pilną prośbę regionu centralnego. Za pomocą komórki Trapattoniego weszła więc na stronę internetową McDonalda i znalazła numer działu public relations. Nie robiła sobie dużych nadziei. Każdy idiota mógł zadzwonić z komórki i przedstawić się jako agent FBI. Spodziewała się długich i męczących uników.

- Jak zapisywane są dane GPS McQueena? - zwrócił się Reacher do Delfuenso.

- Robi się zrzuty ekranu - wyjaśniła. - Linie i punkty na mapie. Można wybierać dowolny okres.

Z tygodnia, dnia, godziny, jaki zechcesz.

- A z siedmiu miesięcy?

- Nie widzę przeszkód.

- Jak dostajesz te dane, kiedy są ci potrzebne?

- Email. Jeżeli to konieczne, na komórkę.

- Musimy je zobaczyć.

- Myślę, że siedzę zamknięta w motelu.

- To nie ma znaczenia. Nie musisz im mówić, że jest inaczej. Powiedz tylko, że wariujesz z nudy i chcesz jakoś pomóc. Powiedz, że masz teorię i zamierzasz nad nią

popracować. Że równie dobrze możesz coś zrobić, zamiast beczynn timer siedzieć w motelu. I że odezwiesz się do nich, jeżeli teoria się potwierdzi.

- Jaka teoria?

- Nieważne. Nie wdawaj się w szczegóły. Powiedz im, że sama nie jesteś pewna i że po prostu potrzebujesz tych danych.

Delfuenco wcisnęła przycisk w telefonie, a Sorenson po raz drugi kazano czekać.

Od ich wyjazdu minęły już prawie dwie i pół godziny. Reacher domyślał się, że przygotowania w Quantico idą już pełną parą. Nie znał dokładnie zasad działania oddziałów antyterrorystycznych FBI. Może czekają na nich spakowane wozy bojowe, gotowe zawieźć ich do bazy Andrews. A może korzystają z helikopterów. Albo trzymają sprzęt w Andrews, gotowy do użycia w każdej chwili.

Potem czeka ich długi lot na zachód. Dobrze ponad tysiąc sześćset kilometrów. Pewnie boeingiem C-17. Wątpił, czy FBI ma własne ciężkie transportowce odrzutowe. Potem lądowanie na lotnisku w Kansas City, daleko na północnym zachodzie, albo w lotniczej bazie wojskowej Richards-Gebaur, jakieś trzydzieści kilometrów na południe. Jeżeli Richards-Gebaur jeszcze działa. Nie był pewny. Kiedy kończyła się jego kariera wojskowa, zamykano wiele obiektów. Z powodu problemów systemowych. W takiej sytuacji zostawała jedynie baza Whiteman, około stu kilometrów na wschód. Potem znów transport ciężarówkami albo helikopterami, drobiazgowo przygotowania taktyczne i wreszcie akcja.

„Osiem godzin. Mieszkamy w dużym kraju. Jest sporo do zorganizowania”.

Wybór lotniska zależy od tego, gdzie jest McQueen. Sorenson nadal usiłowała przedrzeć się przez korporacyjny labirynt telefoniczny. Delfuenco wpatrywała się w komórkę, próbując siłą woli sprowadzić email. Czas mijał. Reacher uznał, że być może nie będą mogli zrobić nic więcej niż naprowadzić oddział z Quantico na cel. Jak wysunięci obserwatorzy. Jak Peter King.

Lepsze to niż nic.

Pierwsza dostała informację Sorenson. Biuro McDonalda właściwie nie stawiało oporu. Nie chodziło o żadną tajemnicę, żadne mataczenie. Zderzyła się po prostu z chaosem, pewną dozą niekompetencji i wysłuchiwała mnóstwa melodyjek w słuchawce, czekając na przełączenie od Annasza do Kajfasza. W końcu udało jej się porozmawiać z pomocnikiem w kuchni z samego dołu listy płac, pracującym w restauracji, której szukała. Chłopakiem przerzucającym hamburgery.

Prawdopodobnie rozmawiał z telefonu na ścianie. Słyszała pogłos pomieszczenia wyłożonego płytkami i syk surowych frytek wrzucanych do gorącego oleju. Zapytała go o lokalizację.

- Jestem w kuchni - odparł chłopak.

- Pytam o to, gdzie jest wasza restauracja.

Chłopak milczał. Jakby nie wiedział. Sorenson wydawało się, że słyszy, jak przygryza wargę.

Pomyślała, że chce powiedzieć: „No, restauracja jest po drugiej stronie lady. Znaczący się za kuchnią”.

- Jaki jest adres? - zapytała.

- Mój? - zdziwił się.

- Nie, restauracji.

- Nie wiem. Nigdy nie wysyłałem do restauracji żadnego listu.

- Gdzie ona jest?

- Restauracja?

- Tak, restauracja.

- Zaraz za Lacey's. Nie da się nie zauważyć.

- Gdzie jest Lacey's?

- Zaraz za Texaco.

- Przy której drodze?

- Tutaj, przy sześćdziesiątce.

- Jak się nazywa miejscowość, w której jest restauracja?

- Chyba nie ma żadnej nazwy.

- Obszar niemunicypalny?

- Nie wiem, co to jest.

- No dobrze, jaka jest najbliższa miejscowość, która ma nazwę?

- Duża?

- Od tego moglibyśmy zacząć.

- To pewnie będzie Kansas City.

Nagle w tle rozległy się jakieś krzyki. Kierownik, pomyślała Sorenson. Głos mówił, że trzeba sprzątać.

- Muszę kończyć, proszę pani - powiedział chłopak i odłożył słuchawkę.

Sorenson położyła telefon na kuchennym blacie. Kiedy Reacher popatrzył na nią

pytając, powiedziała:

- Droga numer sześćdziesiąt pięć, niedaleko czegoś o nazwie Lacey's, które jest zaraz za stacją Texaco.

Reacher milczał.

Sorenson znów włączyła internet w telefonie i wyświetliła mapę. Bez końca manipulowała opuszkami palców na ekranie, powiększając, oddalając i przesuając obraz. Coraz bardziej rzedła jej mina.

- Fantastycznie - mruknęła wreszcie. - Droga numer sześćdziesiąt pięć biegnie przez cały stan, z północy na południe, z Iowa do Arkansas. Ma prawie pięćset kilometrów.

- Jakież informacje na temat Lacey's?

- To jest mapa, nie strony biznesowe. Lacey's to prawdopodobnie jakiś supermarket. A może sklep wędkarski. Albo bar. - Ale poszła tym tropem. Otworzyła stronę wyszukiwarki i wpisała

„Lacey's + Kansas City”. Nic. Potem „Lacey's + Missouri”.

- Mała sieć supermarketów spożywczych - oznajmiła. Dotknęła palcem okienka ekranu, uruchamiając link. Telefon działał dość wolno. W końcu otworzyła się strona i Sorenson znów zaczęła przesuwać, zaciskać i rozsuwać palce na wyświetlaczu.

- Przy tej drodze mają trzy lokale - powiedziała. - W odległości około trzydziestu kilometrów od siebie. Tworzą coś w rodzaju łuku. Wszystkie są około stu kilometrów od miasta.

Minęły dwie godziny i czterdzieści minut.

- Robimy postępy - stwierdził Reacher.

Wtedy rozległ się sygnał telefonu Delfuenso oznaczający nadejście emaila.

65

Zrzut ekranu z zapisem GPS z siedmiu miesięcy był nałożony na monochromatyczne zdjęcie satelitarne, przedstawiające pięć graniczących ze sobą środkowych stanów: Kansas, Nebraska, Iowa, Illinois i Missouri. Ponad milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych.

Ponad dwadzieścia sześć milionów ludzi.

Ruchy McQueena na tym obszarze i wśród tych ludzi zapisano za pomocą cienkich bursztynowych linii. Trasa niedawnej wyprawy z Kansas do Nebraska, a potem do Iowa i z powrotem do Kansas została pokazana jako nierówny trójkąt. Było jeszcze kilka innych długich pajęczych nitek, ale niewiele. Bardzo rzadko odbywał dalsze podróże. Na ogół poruszał się w pobliżu samego Kansas City. W tym miejscu mapy bursztynowe linie

nakładały się na siebie jak gryzmoły szaleńca. Tworzyły niemal jednolitą masę. Linie były jaśniejsze tam, gdzie kilkakrotnie się pokrywały. Niektóre punkty wyglądały jak dziury wypalone w ekranie.

- Możesz zrobić zbliżenie? - poprosił Reacher.

Delfuenso rozsunęła palce na ekranie, tak samo jak Sorenson. Powiększyła gryzmoły szaleńca.

Przeciągnęła je na środek ekranu. Jeszcze trochę powiększyła. I znów przeciągnęła na środek.

Gęsta masa zmieniła się w splątany gąszcz tras. Rozdzielając się, jasne linie bladły.

Ale nadal uparcie płonęły dwa punkty. Dwa miejsca, z których każde odwiedził chyba setki razy.

Mała przestrzeń między nimi wyglądała jak rzeka światła. Drogę tam i z powrotem musiał pokonać setki razy. Jeden punkt leżał na południowy zachód od drugiego. Jak siódma i druga na tarczy zegara.

- Punkt A i punkt B - powiedział Reacher. - Nie może być inaczej.

Sorenson znów wyświetliła mapę na ekranie. Przysunęła telefon do telefonu Delfuenso.

Powiększała mapę i przesuwiała, dopóki nie pojawiło się miejsce, gdzie prosta jak strzała granica między Kansas i Missouri nagle zbaczała z kursu, podążając wzdłuż brzegów rzeki Missouri.

- No dobrze - powiedziała. - Punkt A leży dokładnie tutaj, na tej ulicy. Najwyraźniej w tym domu. - Następnie przewinęła obraz na północny zachód na obu ekranach jednocześnie, poruszając obydwoma palcami wskazującymi w takim samym tempie, precyzyjnie i delikatnie. - A punkt B znajduje się bardzo blisko sklepu Lacey's wysuniętego najbardziej na północ.

Dziewięćdziesiąt sześć kilometrów. Przez labirynt ulic przedmieścia i ciemne drogi lokalne.

Minęły dwie godziny i pięćdziesiąt minut.

Jeszcze godzina.

Może więcej.

- Jedziemy - zarządził Reacher.

Samochód Bale'a miał GPS, który się przydał. Sorenson odczytała z telefonu adres najbardziej wysuniętego na północ sklepu Lacey's, a Delfuenso wpisała go do urządzenia.

Następnie włączyła koguty i ruszyła z kopyta, szybko i z hałasem. Nie trzeba już było zachowywać ostrożności.

W każdym razie nie w pobliżu punktu A. Punkt B to inna sprawa. Delfuenso powiedziała, że zajmie się tym, gdy dotrą na miejsce.

Te same satelity, które śledziły McQueena, wskazały im drogę z miasta i błyskawicznie wyprowadziły przez labirynt uliczek przedmieścia. Punkt dla techniki, pomyślał Reacher. Żelazna, chłodna logika elektronicznych układów kazała im wjechać w nijaką ulicę, która zdaniem Reachera musiała być ślepa. Ale po chwili skręcili w prawo w niewidoczną przecnicę, a łagodny łuk w lewo zaprowadził ich na wjazd na jedną z obwodnic. Dziesięć kilometrów dalej skręcili na wschód na autostradę I-70, biegnącą wzdłuż południowych krańców Independence w stanie Missouri.

Rodzinnego miasta prezydenta Harry'ego Trumana. Ulubionego prezydenta Reachera. Autostrada była prosta i pusta, bez trudu można więc było mknąć sto sześćdziesiąt na godzinę. Reacher był coraz większym optymistą. Mogą dotrzeć do punktu B w ciągu około pięćdziesięciu minut. To dobrze. Bo nawet jeśli oddział z Quantico jest już w powietrzu, a powinien, nadal ma przed sobą długi lot.

Zjechali z autostrady na wąską drogę w szczerym polu, ale Reacher już ufał satelitarnemu systemowi. Przyglądał się strzałce i szarym liniom. Zobaczył ostry zakręt drogi na północ od miejsca, w którym się znajdowali. Zbaczła na wschód w kierunku miasta o nazwie Marshall.

Prawdopodobnie z powodów historycznych. GPS prowadził ich skrótem. Wskazywał wjazd na sześćdziesiątkępiątkę zaraz za słynnym polem bitwy wojny secesyjnej. Reacher odrobił lekcję historii Ameryki. Pole było świadkiem dziewięciogodzinnego pojedynku artylerii. Królów wojny.

Z obserwatorami. Przy użyciu prymitywnych pocisków zapalających. Kanonierzy Konfederacji ogrzewali kule armatnie w ogniskach, licząc na to, że w ten sposób podpalą cel. Kanonierzy Unii mieli na spodniach czerwone lampasy.

Za oknem w świetle księżycy po obu stronach drogi widać było pola, zryte przez zwierzęta i ogrodzone drutem. Reacher widział bramy, poidła i gigantyczne sterty paszy przykryte brezentem, który obciążono starymi oponami.

- Znowu farmy - powiedziała Sorenson. - Tam właśnie jedziemy? Na farmę?

- Farma miałaby sens - uznał Reacher. - Odizolowane miejsce. Ze stodołami i tak dalej. Na magazyny. I na garaże dla samochodów. I może sale sypialne. Dużo sal sypialnych. Nie wiem, ilu ludzi jest w dwóch grupach średniej wielkości.

- Nie tak wielu - powiedziała Delfuenso. - Niekoniecznie. Sześciu to już średnia grupa. Do piętnastu czy dwudziestu. W sumie będzie od dwunastu do czterdziestu.

- Wystarczy. Nie sądzisz? - spytała Sorenson.

Reacher nie odpowiedział. Mieli osiemdziesiąt osiem sztuk amunicji. Z ostatniej statystyki, jaką widział w wojsku, wynikało, że przeciętny żołnierz piechoty likwiduje jednego żołnierza nieprzyjaciela na piętnaście tysięcy pocisków wystrzelonych w warunkach bojowych. Wobec tego na czterdziestu przeciwników potrzebowaliby sześciuset tysięcy sztuk amunicji. Nie osiemdziesięciu ośmiu. W przeciwnym razie będą musieli wykazać się znacznie większym sprytem niż przeciętny żołnierz piechoty.

Droga numer sześćdziesiąt pięć traktowała swój status dość nonszalancko. Miała prawie pięćset kilometrów i przecinała cały stan, na żywo wyglądała jak zwykła, lokalna, wiejska droga. Może była odrobinę szersza i miała nieco lepszą nawierzchnię, lecz poza tym nie było na niej nic wartego polecenia. Prawie natychmiast wjechali na żelazną estakadę łączącą brzegi potężnej Missouri. Ale był to jedyny punkt godny uwagi. Za mostem droga zanurzała się w ciemność i anonimowo biegła na północ, nie prowadząc po idealnej prostej, choć właściwie prawie w ogóle z niej nie zbaczając.

- No dobrze, jesteśmy jakieś szesnaście kilometrów na południe od celu - powiedziała w pewnej chwili Sorenson. - Nie wiem, o której stronie drogi mówił chłopak z McDonalda. Nie wiem, czy najpierw zobaczymy stację Texaco i sklep Lacey's, czy najpierw trafimy na McDonalda.

Delfuenso wyłączyła koguty. Po ośmiu kilometrach zaczęła zwalniać. Po następnych czterech wyłączyła światła. Świat wokół nich natychmiast się skurczył, przybierając mglisty granatowy odcień. Nie widzieli przed sobą tablicy Texaco. Ani łuny światła z witryny supermarketu. Nie było też czerwonego neonu ani żółtych łuków.

- Jedź dalej - powiedziała Sorenson.

Samochód posuwał się z prędkością może trzydziestu kilometrów na godzinę. Jazda nie była tak trudna, jak mogło się wydawać. Prowadziła ich żółta linia środkowa jezdni, którą widzieli jako szarą. Delfuenso miała pewną widoczność z przodu. Niewielką, ale wystarczającą przy takiej prędkości. Czasem ludzie potrafią biec szybciej.

Nadal nie było Texaco, Lacey's ani McDonalda. Albo McDonalda, Lacey's i Texaco, zależnie od tego, w jakiej kolejności się pojawią. Reacher rozglądał się w lewo i prawo, sięgając wzrokiem jak najdalej w głąb pól. Ciemne, płaskie i puste. Nic nie można było zobaczyć. Oczywiście Reacher nie spodziewał się raczej wielkiego neonowego napisu

Ostatnia kryjówka terrorystów przed autostradą międzystanową, ale obecność dwunastu czy czterdziestu osób zwykle zdradza jakiś widoczny znak. Blask światła zza wypaczonych drzwi ubikacji albo ognek papierosa strażnika, albo dioda włączonego alarmu samochodu migająca na desce rozdzielczej, albo błękitna poświata telewizora u kogoś cierpiącego na bezsenność, padająca zza źle zaciągniętej zasłony.

Ale nie widział nic.

- Musieliśmy zablądzić - stwierdziła Delfuenso.

- Nie, jesteśmy na dobrej drodze - nie zgodziła się z nią Sorenson. - Lacey's powinien być na wprost przed nami.

- Te internetowe mapy zawsze są dokładne?

- Rządowy GPS zawsze jest dokładny. Punkt B też jest na wprost przed nami.

- W takim razie zapamiętaj, gdybyś musiała rozmawiać z Quantico - poradził Reacher.

- Powiedz im, że najlepiej wylądować w bazie lotniczej Whiteman.

- Gdybym musiała rozmawiać z Quantico? Mówisz o sytuacji, gdyby nam nie wyszło i tylko ja bym przeżyła?

- Naturalnie jest kilka możliwych wyników.

- I to jest jeden z nich?

- To są dwa z nich. Może nam nie wyjść i nikt nie przeżyje.

66

Bar fast food, supermarket i stacja benzynowa są zwykle rzęsiście oświetlone, więc spodziewali się zobaczyć na niebie jasną lunę widoczną z odległości około półtora kilometra. Okazało się jednak, że zauważyli McDonalda dopiero wtedy, gdy go mijali. Restauracja była zamknięta na noc.

Podobnie jak supermarket Lacey's. I stacja benzynowa Texaco.

Reacher miał nadzieję, że nie informują o nich niebieskie tablice na autostradzie. Byłby to wówczas klasyczny lewy zjazd. Stacja benzynowa wyglądała jak statek widmo. Nie paliło się na niej ani jedno światło. Była po prostu kłębowiskiem wyrastających z ziemi dziwaczkich ciemnych kształtów. Supermarket stanowił posępną szarą masę, wielką jak wzgórze, tyle że kanciastą.

A McDonald bez czerwonożółtego neonu i włączonych jarzeniówek w środku był tylko niewielkim budynkiem w kształcie litery A, którego sylwetka rysowała się na tle ciemnego nieba. Mógł to być jakikolwiek kiepski lokal czynny za dnia, a teraz zamknięty na głucho.

- Przez telefon słyszałam w tle krzyki kierownika - przypomniała sobie Sorenson. - Wołał, że trzeba już sprzątać. Chyba robią to zwykle przed zamknięciem.

- No więc gdzie jest punkt B? - zapytał Reacher.

Sorenson powtórzyła manewr z dwoma telefonami. Odnalazła właściwy fragment mapy, orientując się według autostrady międzystanowej. Dopasowała obraz na obu ekranach, ustawiła w takiej samej skali. Odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Jeżeli strona supermarketu jest dokładna, to punkt B leży jakieś półtora kilometra na północny zachód od miejsca, w którym teraz jesteśmy.

- Czyli gdzieś na polach - stwierdził Reacher.

- To farma. Wiedziałam - mruknęła Delfuenso.

Zostawili samochód zaparkowany bokiem na trzech stanowiskach na parkingu przed budynkiem Lacey's. Okrążyli ciemną bryłę supermarketu i wyszli na jego tyły. W tym momencie był to tylko rekonesans. Tylko i wyłącznie. Wstępne rozpoznanie. Nie atakowali natychmiast, ponieważ nie mogli pokładać zbyt dużych nadziei w stronie internetowej supermarketu spożywczego. Przede wszystkim symbol, jakim na stronie oznaczono w skali ten punkt, w rzeczywistości musiałby odpowiadać obiektowi szerokości półtora kilometra.

Reacher widział na ekranie GPSu, że droga numer sześćdziesiąt pięć biegnie z północy na południe. Ustawił się więc zgodnie z jej kierunkiem, zwrócony plecami w stronę, z której przyjechali. Następnie obrócił się o czterdzieści pięć stopni w lewo i wyciągnął rękę.

- Tam jest północny zachód. Co widzicie?

Zgodnie przyznali, że niewiele. Rzeczywiście. Ale w każdym innym kierunku było widać jeszcze mniej. Z jakiegoś powodu na zachodzie i na północy ciemność wydawała się ciemniejsza. Jakby w kwadrancie północnozachodnim naprawdę coś było. Niewidzialnego, lecz prawdziwego.

Wyteżali wzrok, potem się rozluźniali, pozwalali odpocząć oczom, odwracali się, próbowali wykorzystać widzenie obwodowe. Nie zobaczyli zupełnie nic. Odnosili jednak wrażenie, że to bardzo pokaźne nic.

- Mogłabyś sprawdzić na mapach Google? - zapytał Reacher.

- Tu jest za słaby zasięg sieci - odparła Sorenson.

Wrócili więc do samochodu i Reacher zaczął manipulować GPSem. Robił coraz większe zbliżenie, dopóki nie był pewny, że widać wszystkie drogi. Potem przesunął ich obecną pozycję na prawą stronę ekranu.

Teren za supermarketem Lacey's po prawej graniczył z drogą numer sześćdziesiąt

pięć, po lewej z wąskim, biegnącym równolegle szlakiem, a górną i dolną granicę stanowiły dwie jednopasmówki prowadzące z zachodu na wschód. Pusta przestrzeń, mniej więcej kwadratowa, lecz niezupełnie. Ściśle rzecz biorąc, był to równoległobok, ponieważ drogi na górze i na dole biegły nieco ukośnie, lekko opadając z prawej strony na lewą. Nie była to szczególnie duża pusta przestrzeń. Ale i nie mała. Na ekranie GPSu trudno było określić dokładną skalę, ale w najgorszym razie czworokąt miał boki długości półtora kilometra. W najlepszym razie mógł mieć wymiary trzy kilometry na trzy.

- Teren ma między dwieście pięćdziesiąt a tysiąc hektarów - oznajmił Reacher. - Za dużo jak na jedną farmę?

- W całych Stanach Zjednoczonych są ponad dwa miliony indywidualnych farm, które zajmują prawie pół miliarda hektarów - odrzekła Sorenson. - Przeciętna farma ma wielkość dwustu hektarów. Statystyka. Uważamy, że często się przydaje.

- Ale przeciętny to przeciętny, zgadza się? Jeżeli jest sporo gospodarstw rodzinnych dwu - czy czterohektarowych, to są i tacy, którzy mają tysiąc.

- Może hodowcy zwierząt. Albo ci, którzy uprawiają kukurydzę przemysłową.

- Są tu zwierzęta. Widziałem ślady kopyt.

- Sądysz, że to wszystko jedna farma?

- Najwyżej pięć - rzekł Reacher. - Powinniśmy dość szybko wszystkie sprawdzić.

Zabrzączał telefon Delfuenso. Tajny telefon. Z „Biblii”. Był wyciszony, ale Reacher uznał, że sygnał bynajmniej nie brzmi cicho. Wizg silniczka wywołującego wibracje przypominał odgłos wiertła dentystycznego. Delfuenso odebrała i słuchała przez całą minutę. Następnie potwierdziła, że zrozumiała, i się rozłączyła.

- Mój szef - powiedziała. - Z nowym elementem do mojej teorii. Zastanawiał się, czy to może być istotne.

- Jakiej teorii? - zainteresował się Reacher.

- Wspomniałam, że pracuję nad pewną teorią, żeby dostać dane GPS. Miałam mieć wątpliwości i nie wdawać się w szczegóły.

- Co to za element?

- Teraz rzecznicy Departamentu Stanu zaprzeczają, że denat ze starej pompowni miał z nimi cokolwiek wspólnego. Twierdzą, że to po prostu zwykły człowiek. Na pewno nie żaden urzędnik konsularny ani w ogóle ktoś zatrudniony u nich. Podwójne stanowcze „nie”. Zatykają uszy i są szczęśliwi.

- Przecież zdjęto mu odciski palców. Jest już w systemie.

- Zrozumiały błąd. Ekipy kryminalistyczne w terenie zawsze się spieszą i nie grają czy

sto.

- Bzdura - zaprotestowała Sorenson. - Moi ludzie są świetni.

- Wiem.

- No i co?

- Może spin doktorzy Departamentu Stanu się spieszą i nie grają czysto?

Reacher skinął głową.

- Dlaczego nie zamieszczą jeszcze ogłoszenia w gazecie? W ten sposób właściwie sami potwierdzają, że facet był z CIA.

- My to tak rozumiemy. Ale i tak wiedzieliśmy wcześniej. W związku z tym reszta świata może spać spokojnie.

- Czy to w ogóle legalne? Właściwie zaprzeczają, że działali na terenie kraju.

- Wszyscy wiedzą, że działają na terenie kraju. Już dawno temu przestali się z tym kryć.

- W takim razie potwierdzają coś jeszcze. Facet nie tylko był z CIA, ale grał do drugiej bramki.

Nie był tajnym agentem. Był na gościnnych występach. Bo dlaczego mieliby się go wypierać?

- Myślisz, że rezydent CIA był podwójnym agentem?

- Do tyłu potrafia zliczyć. Gdyby chodziło o potrójnego agenta, mieliby trudniejsze zadanie.

- Nie podoba mi się, że kret z CIA rozmawiał z Wadią.

- Nie rozmawiał. Wasz człowiek załatwił go nożem, zanim zdążył coś powiedzieć - przypomniał Reacher.

- Wcześniej spędzili razem jakiś czas. Na pewno. Przynajmniej kilka minut. Myślę, że przyszedli do tego bunkra we trzech.

„Nagle ten pierwszy zaczął biec, a tamci dwaj musieli się spieszyć, żeby go dogonić”.

- Prawdopodobnie - zgodził się Reacher.

- Więc musieli ze sobą rozmawiać.

- Prawdopodobnie.

- Chcę wiedzieć o czym.

- Zapytamy McQueena. Kiedy go znajdziemy.

- Powiedz mi, jakie jest rozwiązanie w tamtej zabawie słownej? Kiedy trzeba mówić przez minutę, nie używając litery A.

- Tak chcesz mnie zapamiętać?

- Mogłabym wygrać kilka zakładów w barze.
- To miała być gra z Alanem Kingiem.
- Podśluchałam.
- Później. Kiedy znajdziemy McQueena. Też będzie chciał usłyszeć.
- Wtedy spał.
- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zasypiał.
- Ile to było hektarów?
- Hektary są nieważne. Ważny jest budynek. Kiedy go zobaczymy, na pewno

poznamy, że to tam.

Dokładnie dziesięć minut później, pokonawszy pieszo sześćset metrów, zobaczyli i poznali, że dotarli na miejsce.

67

Stanęli w szyku za supermarketem, gdzie byli wcześniej. Ustawili się wzdłuż drogi, aby mieć jakiś punkt odniesienia, po czym odwrócili się o czterdzieści pięć stopni jak poprzednio. Na północny zachód. Reacher ostatni raz rzucił okiem na trasy McQueena zapisane przez GPS.

W największym powiększeniu układały się w zakrzywioną linię przypominającą odwróconą literę J.

Najwyraźniej z górnej jednopasmówki biegnącej ze wschodu na zachód prowadził wjazd dla samochodów. McQueen jeździł na północ drogą numer sześćdziesiąt pięć, mijał McDonalda, mijał supermarket Lacey's, mijał stację Texaco, a potem skręcał w lewo i jeszcze raz w lewo, na podjazd. Robił to tyle razy, że na zdjęciu wypalił dowód, którego jasny koniec znajdował się dokładnie na przekątnej równoległoboku. Mniej więcej w połowie jej długości. Co w przełożeniu na kilometry oznaczało albo połowę pierwiastka kwadratowego z dwóch w wersji pesymistycznej, albo połowę pierwiastka kwadratowego z ośmiu w optymistycznej. Prawie tysiąc trzysta metrów albo prawie dwa i pół tysiąca metrów. Czyli od dwudziestu do czterdziestu minut marszu. Mieli nadejść ukosem od tyłu tajemniczego obiektu. Całkiem nie źle.

Na pewno lepiej niż od frontu i lepiej niż od tyłu na wprost. Najlepiej byłoby podejść z boku.

Jeżeli jakiś dom ma ślepy mur, to najczęściej właśnie z boku. Albo mur z atrapami okien, na przykład z matowymi szybami: z oknami toalet czy łazienek. Tak jak w domu na przedmieściach, sto kilometrów stąd.

Ustawili się w trzysobową tyralierę, jak najdalej od siebie. Delfuenso zajęła miejsce po lewej, Sorenson po prawej. Reacher pozostał w środku, mając je obie w zasięgu wzroku, ale ledwie je widząc. Agentki nie widziały się nawzajem. Delfuenso poszła pierwsza. Parę minut później w pole ruszyła Sorenson. Reacher ostatni. Trzy cele rozrzucone daleko od siebie wszerz i wzdłuż. Ciemne ubranie, ciemna noc. Może jeszcze nie wykazali się większym sprytem niż przeciętny żołnierz piechoty, ale na pewno nie mniejszym.

Pod butami mieli ciężkie i lepkie błoto, zryte i zbrylone, które nie dawało stopom pewnego oparcia. Miejscami było grząskie i śliskie. Reacher przypuszczał, że to zwierzęce łajno, chociaż nie czuł żadnego zapachu. Utkwił wzrok w wyimaginowanym punkcie horyzontu, żeby nie zbczyć z kursu. W opuszczonej prawej ręce trzymał pistolet Bale'a. Przed nim, daleko po lewej, rysowała się w mroku postać Delfuenso. Ledwie rozpoznawalna sylwetka. Ale posuwała się naprzód w całkiem niezłym tempie. Stawiała krótkie, energiczne kroki, ciężko pracując. Sorenson widział trochę wyraźniej. Nie była aż tak daleko z przodu. Jej blond włosy były minimalnie lepiej widoczne w ciemności niż ciemne włosy Delfuenso. Księżyc od czasu do czasu przebijał się przez chmury, ale wisiał nisko i nie dawał jasnego światła.

Dość bezpiecznie.

Na razie.

Błoto nie pozwalało im przyspieszyć kroku. Reacher skorygował swoje obliczenia. To nie będzie dwadzieścia minut ani czterdzieści. Muszą poświęcić prawie trzydzieści albo sześćdziesiąt minut.

Frustrująca sytuacja, ale jeszcze nie katastrofa. Oddział z Quantico nadal jest na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Prawdopodobnie gdzieś nad Wirginią Zachodnią. Mają przed sobą jeszcze parę godzin podróży. Reacher brnął naprzód, ślizgając się i starając nie stracić równowagi.

Po chwili zwolnił, ponieważ ciemność przed nim zaczęła nabierać konkretnego kształtu. To było tylko wrażenie. Miał przed sobą jakąś bryłę. Wciąż niewidoczną. Przypuszczalnie nie był to jednak mały, odległy dom na farmie. Coś znacznie masywniejszego. Może ogromna stodoła.

Z gładkiej albo falistej blachy. Pomalowana na czarno. Czarniejsza od nocy.

Delfuenso po jego lewej ręce także zwalniała. Wyczuła to samo. A Sorenson po prawej odrobinę zmieniła kierunek marszu. Zaczynała zbaczać, zbliżając się do kursu Reachera, Delfuenso też przesuwała się do środka. Coś stało im na drodze, a instynkt podpowiadał im, że lepiej nie podchodzić do tego samego.

Reacher szedł, patrząc prosto przed siebie. Nie widział nic. Miał całkiem dobry wzrok. Nigdy nie nosił okularów. Potrafił czytać przy słabym świetle. W nocnym mroku ludzkie oko umie podobno dostrzec płomyk świecy z odległości półtora kilometra. Może większej. Wstępne przystosowanie do ciemności trwa podobno najwyżej cztery sekundy. Tęczówka szeroko otwiera źrenicę.

Maksymalnie. A w ciągu następnych kilku minut uruchamiają się procesy chemiczne w siatkówce.

Przypomina to przekręcenie gałki głośności. Ale Reacher niczego przed sobą nie widział. Jakby stracił wzrok. Tylko że w tym przypadku nie widząc nic, odnosił wrażenie, że coś widzi. Coś stało mu na drodze.

Lekki powiew wiatru poruszył nogawkami jego spodni. Nagle poczuł w powietrzu chłód.

Sorenson czekała na niego z przodu po prawej. Delfuenso zbliżała się, by przeciąć mu drogę.

Rezygnowali z rozproszonego szyku. Stawali się dużym pojedynczym celem. Zła taktyka. Spotkali się minutę później i przegrupowali. Stanęli razem w szczerym polu, tak samo jak na początku przy rampie wyładowczej za supermarketem Lacey's.

- Dziwne - szepnęła Sorenson. - Przed nami jest jakiś wielki kształt.

- Jaki kształt? - zapytał Reacher. Może ma lepszy wzrok od niego.

- Jakby wielki kawał niczego. Dziura w powietrzu.

- Właśnie coś takiego widzę - przytaknął Reacher. - Wielki kawał niczego.

- Ale nisko położony - dodała Delfuenso. Znów dmuchnął wiatr i agentka zadrżała. - Popatrz wysoko. Potem schodź niżej. Zobaczysz krawędź. Miejsce, gdzie nic zmienia się w jakby trochę inne nic.

Reacher spojrział. Na północy i zachodzie to coś zasnuwała gęsta czarna chmura. Nie widział żadnego światła. Daleko za nimi na południowym wschodzie przebijał cienki pasek szarości. Przez wąską szczelinę przeziarał posępny księżyc. Ledwie widoczny. Ale wiał wiatr. Lżejsze chmury przesuwały się po niebie. Szczelina mogła się otworzyć szerzej. Albo zniknąć.

Reacher znów spojrział wysoko przed siebie i zaczął wędrować wzrokiem w dół. Szukał krawędzi, o której mówiła Delfuenso. Wpatrywał się uważnie. Ale nie widział. Nic nie zmieniało się w inne nic. Wyglądało tak samo.

- Jak nisko? - zapytał.

- Nad horyzontem, ale niewiele wyżej.

- Nie widzę nawet horyzontu.
- Przecież sobie tego nie wymyśliłam.
- Na pewno nie. Musimy podejść bliżej. Jesteście gotowe?
- Tak - odrzekła Delfuenso.

Sorenson skinęła głową, poruszając w ciemnościach jasnymi włosami.

Ruszyli dalej, trzymając się blisko siebie. Dziesięć metrów. Dwadzieścia.

Patrzyli przed siebie.

Niczego nie widzieli.

Trzydzieści metrów.

Dopiero teraz zobaczyli. Może dlatego, że spojrzeli z mniejszej odległości, a może dlatego, że wiatr przegnał chmurę i ziemi dosięgło kilka promieni księżyca. Albo jedno i drugie.

To nie była farma.

68

Wyglądało to jak odwrócony do góry dnem okręt liniowy. Jak wyrzucony na brzeg kadłub.

Czarny, potężny i dziwnie zaokrąglony w niektórych miejscach. Długi i niski. Szeroki. Wzdłuż i wszerz miał chyba sto kilkadziesiąt metrów. I ze dwanaście wysokości. Był wielkości supermarketu Lacey's, ale znacznie masywniejszy. Lacey's był tanią i ostentacyjnie komercyjną konstrukcją. Wyglądał, jakby mogła go zdmuchnąć burza. I wiele podobnych budowli rzeczywiście porwały burze.

Ale obiekt w szczerym polu wyglądał, jak gdyby mógł oprzeć się bombardowaniu. Coś w jego zgarbionej sylwetce sugerowało, że chroni go gruba betonowa skorupa. Krzywizny podpór stropu w miejscu, gdzie mury łączyły się z powierzchnią dachu, sugerowały ogromną siłę. Narożniki były zaokrąglone. Budowla nie miała okien ani drzwi. Wydawało się, że wokół krawędzi dachu biegnie wysoka do pasa balustrada ze stalowych rur.

Podeszli bliżej. Czterdzieści metrów dalej mieli lepszy widok. Reacher obejrzał się przez ramię.

Wiatr bawił się chmurami, powiększając szczelinę. Wyrzał przez nią księżyc. To dobrze i zarazem źle. Reacher chciał trochę więcej światła, ale nie za dużo. Za dużo światła mogłoby oznaczać kłopoty.

Znów spojrzął przed siebie i zaczął dostrzegać więcej szczegółów. Budynek nie był czarny. Nie całkiem. Widać było ciemnobrązowe i ciemnozielone plamy. Matowa,

antyrefleksyjna, grubo nałożona farba, którą namalowano nieregularne figury, zygzaki i zawi jasy.

Kamuflaż.

Wzór armii amerykańskiej, pochodzący, o ile Reacher pamiętał, z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

- Co to? - szepnęła Delfuenso.

- Nie wiem dokładnie - odrzekł Reacher. - Na pewno opuszczony obiekt wojskowy. Ogrodzenie zniknęło. Jakiś farmer dostał pięćdziesiąt dodatkowych hektarów. Nie wiem, co tu dawniej było.

Widać, że ma przeciwwybuchowe ściany. Możliwe, że to był skład rakiet przeciwlotniczych. Albo fabryka amunicji. W tym przypadku beton chronił to, co na zewnątrz, przed tym, co było w środku, nie odwrotnie. Żeby się przekonać, musiałbym zobaczyć wejście. W składach rakiet potrzebne są duże bramy dla transporterów. Fabryka amunicji miałaby mniejsze wejście.

- Kiedy został opuszczony?

- To bardzo stary wzór kamuflażu. Budynek nie malowano od pięćdziesięciu lat. Może przestali z niego korzystać po Wietnamie, więc bardziej prawdopodobna byłaby fabryka amunicji. Później nie potrzebowaliśmy już tylu pocisków i nabojów. Ale produkcję rakiet też ograniczyliśmy. Czyli albo jedno, albo drugie.

- Dlaczego ciągle tu stoi?

- Takich obiektów nie da się zburzyć. Bo jak? Zbudowano je po to, żeby wytrzymały o wiele więcej niż uderzenia kilkotonowej kuli.

- Jak się dostaje taki budynek?

- Można go kupić. Departament Obrony chętnie weźmie każdą sumę. Albo można zająć na dziko. Nikt już nie kontroluje takich miejsc. Jest za mało ludzi. I za dużo obiektów. Poszły na nie podatki waszych dziadków.

- Jest wielki.

- Zgadza się. Chcesz skorygować swoje wstępne szacunki? Można tu zmieścić więcej niż czterdziestu ludzi. Można zmieścić czterystu.

- A nawet cztery tysiące.

- McQueen nie podał ci żadnej liczby?

- Stan liczebny grupy terrorystycznej to ruchomy cel. Nigdy nie widział wszystkich naraz. Ale przypuszczam, że jest ich najwyżej dwudziestu czterech.

- To muszą się tam obijać o ściany.

- Jak to zrobimy?
- Bardzo ostrożnie.
- Od czego zaczniemy?

Reacher zerknął na nią. Potem na Sorenson. „Człowiek pracujący w terenie musi wiedzieć, że jest obserwowany przez ludzi, którzy zareagują natychmiast, jeżeli będzie miał kłopoty”. Ale

„natychmiast” to duże słowo. Niebawem miała upłynąć czwarta godzina misji, której się podjęli, ponieważ osiem godzin wydawało się im absurdalnie długim czasem. Czy cztery godziny to natychmiastowa reakcja? Zdecydowanie nie.

Czy zatem osiem godzin to rzeczywiście dużo więcej?

- Zdrowy rozsądek nakazywałby przeprowadzić dokładną obserwację. Trzeba obejrzeć budynek z czterech stron.

- To potrwa parę godzin - stwierdziła Delfuenso.
- Niech potrwa.
- Powinniśmy poczekać na Quantico?
- Bierzemy pod uwagę takie rozwiązanie.
- Ale jest źle - odparła Delfuenso. - Zwłaszcza dla Dona McQueena.
- Zgadzam się.

- A więc nierozsądnym wyjściem byłby atak bez odpowiedniego przygotowania. Taka jest druga możliwość?

- Nazwijmy to marnym przygotowaniem.
- Jeżeli mam być szczerą, to czy w ogóle jesteśmy przygotowani choć w minimalnym stopniu?
- Jesteśmy uzbrojeni - przypomniał Reacher. - Nie śpimy, a oni być może śpią.
- Jeżeli natychmiast czegoś nie zrobimy, nie będzie sensu niczego robić - włączyła się Sorenson.

- Tak wygląda nasza sytuacja, zgadza się? I mamy problem natury wojskowej, tak? Szkolili cię do takich rzeczy?

- Szkolili mnie do wszystkich rzeczy. Zaczynało się od małej lekcji historii. W dawnych czasach Rosjanie mieli dość duże rakiety. To coś przed nami zbudowano po to, żeby wytrzymało ich atak.

My mamy trzy pistolety.

- A gdybyś to ty był kretem?
- Jestem całym sercem za tym, żeby pomóc McQueenowi.

- Tylko nie z nami? - spytała Delfuenso.

- Nigdy nie musiałem mówić swoim ludziom pewnych rzeczy, bo wynikały z zakresu obowiązków służbowych.

- Czego im nie mówiłeś?

- Że podczas takiego zadania mogą zginąć albo zostać trwale okaleczeni.

- Można jakoś zmniejszyć to ryzyko? Nie poświęcając na to kilku godzin?

- Można - odparł Reacher.

Na omówienie różnych ewentualności poświęcili siedem minut. Nie było sensu układać planu.

Żaden plan nie mógłby przetrwać pierwszej wymiany ognia. Żaden plan nigdy jej nie przetrwał.

Zresztą w tym przypadku i tak nie można było ułożyć planu. Bo nie mieli żadnych informacji.

Odwrócili się od budynku, usiedli rzędem na ziemi i zaczęli rozmawiać. Może się zdarzyć to, może się zdarzyć tamto. Uzgodnili kilka praktycznych zasad. Ustalili podstawowe procedury.

Reacher był raczej dobrej myśli, jeśli chodziło o bliskie podejście pod betonowy budynek. Ani hangar na rakiety, ani fabryka amunicji nie potrzebowały otworów strzelniczych w murze.

A swoich nie można wywiercić. Nawet rakieta. Obiekt na pewno nie jest najeżony lufami.

Podejście z dużej odległości powinno być więc w miarę bezpieczne. Potem mogą mieć dużo więcej powodów do niepokoju. Na dachu prawdopodobnie będą wartownicy. Za balustradą ze stalowych rur. Na pomoście. Albo raczej bieżni. Ale niewielu strażników. Sami niewypróbowani. Reacher dobrze znał historię. Z wartownikami czasem było więcej kłopotu niż pożytku.

Skończyły się tematy do omówienia. Zapadło niezręczne milczenie. W FBI na pewno mają swoje grepsy stosowne do okoliczności. Wojsko ma. Ale prywatne żarty są prywatne.

Nieprzetłumaczalne na język innej kultury. Tak więc nikt nie próbował silić się na dowcipy.

Wszyscy troje w milczeniu wstali, odwrócili się, odmierzyli krokami odpowiednią odległość i zajęli pozycje wyjściowe. Spojrzeli w ciemność, wybierając cel marszu.

- Ruszamy? - zapytał Reacher.

- Gotowa - powiedziała Sorenson.

- Tak - powiedziała Delfuenso.

- Pamiętajcie, szybkość i kierunek. Nie zwalniamy, nie zbaczamy. W drogę.
Zaczęli iść.

I wszystko szło dobrze, dopóki ktoś nie strzelił Sorenson w głowę.

69

Reacher usłyszał to w odwróconej kolejności. Z powodu prędkości dźwięku, z powodu odległości, jaka dzieliła go od Sorenson, oraz z powodu odległości, jaka dzieliła go od budynku. Usłyszał mokre plaśnięcie pocisku trafiającego w cel, ułamek sekundy później trzask pocisku nadlatującego z prędkością naddźwiękową, a kolejny ułamek sekundy później huk karabinu, z którego go wystrzelono czterysta metrów dalej. W tym momencie leżał już w błocie. Rzucił się na ziemię przy pierwszym dźwięku, a zanim wyładował, miał pierwsze wnioski, które nie tyle były wynikiem rozumowania, ile same przemknęły mu przez głowę: wiedział, że to karabin snajperski, być może M14 albo jego odpowiednik, prawdopodobnie kaliber trzysta osiem. Wiedział, że nie jest wyposażony w celownik noktowizyjny, bo wówczas, biorąc pod uwagę ludzką naturę, to on stałby się pierwszym celem. Wiedział także, że Sorenson została zauważona, ponieważ była po prostu lepiej widoczna w świetle księżyca, mając nieco jaśniejszą skórę i włosy niż on i Delfuenso.

Wiedział to wszystko od razu, instynktownie. Wiedział też, że Sorenson nie żyje. Nie miał żadnych wątpliwości. Tego dźwięku nie mógł pomylić z żadnym innym. Słyszał go wiele razy. To był strzał w głowę, kula przebiła cel na wylot. Dziesięć gramów pędzących z prędkością prawie ośmiuset metrów na sekundę i atakujących cel z energią ponad trzech i pół tysiąca dżuli, opadających o ponad sześćdziesiąt sześć centymetrów po pokonaniu prawie czterystu metrów, jak podkręcona piłka baseballowa, gdy nadlatuje do pałkarza.

Żadnych szans na przeżycie.

Najmniejszych.

Czekał.

Drugiego strzału nie było.

Poruszył rękami. Nasmarował je błotem, z obu stron. Wziął trochę błota w dłonie i pomazał twarz.

Poruszył głowę.

Nie widział Delfuenso.

I dobrze. Leżała gdzieś twarzą na ziemi, niewidzialna. Spojrzał w drugą stronę.

Dostrzegł w błocie jaśniejszą plamę. Niewielką i bladą. Ręka Sorenson. Prawa albo lewa, w zależności od tego, jak upadła.

Wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi, mimo to szepnął:

- Julia?

Nikt nie odpowiedział. Szepnął więc:

- Delfuenso?

Cisza.

- Delfuenso? Karen? Jesteś tam?

Z ciemności dobiegł bezdźwięczny głos:

- Reacher? Dostałeś?

- Nie, Sorenson dostała.

- Źle z nią?

- Gorzej niż źle. - Zaczął się czołgać na kolanach i łokciach, trzymając nisko głowę.

Jeden głos w jego głowie mówił mu, że musi wyglądać jak robak na białym prześcieradle. Drugi przekonywał, że nie, że gdyby był widoczny, już by nie żył. Zaryzykował i spojrzął przed siebie jednym okiem, po czym minimalnie skorygował kurs. Zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od jaśniejszej plamy.

Sięgnął tam i odnalazł dłoń Sorenson. Wciąż była ciepła. Odnalazł nadgarstek. Położył na nim dwa palce.

„Możecie zginąć albo zostać trwale okaleczeni”.

„Nie musisz się o mnie tak troszczyć”.

Nie wyczuł pulsu. Tylko wiotką, lepką skórę. „Zniknęło napięcie tysięcy żywych mięśni”.

Podczołgał się o metr. Przesunął dłoń po jej ramieniu aż do barku i dotknął szyi.

Pulsu nie było.

Szyja była śliska od krwi i galaretowatej tkanki mózgowej z twardymi drobinkami kości.

Szczęka była na miejscu. Nos też. I oczy, kiedyś niebieskie, rozbawione i pytające. Ale nad oczami nie było nic. Pocisk trafił dokładnie w środek czoła, zrywając czubek głowy. Z włosami i resztą.

Skalp gdzieś wisiał, połączony cienką nitką skóry. Reacher widział już takie rzeczy.

Jeszcze raz dotknął szyi.

Pulsu nie było.

Wytarł rękę o ziemię i po omacku poszukał jej pistoletu. Nie mógł go znaleźć. Broń

mogła upaść gdziekolwiek. Czarny poliwęglan w środku nocy. Dał spokój. Znów odnalazł w ciemności jej bark, zsunął rękę po kręgosłupie i zdjął z jej pasa zapasowy magazynek. Biodro było jeszcze ciepłe.

Bawelniana bluzka, a pod nią ciało, trochę twarde, trochę miękkie. Położył się na brzuchu i wcisnął magazynek do kieszeni. Następnie odczołgał się na łokciach i kolanach, obrócił jak krab i podpełzł do miejsca, w którym leżała Delfuenso. To była długa droga. Trzydzieści czy czterdzieści metrów.

- Nie żyje? - spytała szeptem Delfuenso.

- Na miejscu.

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy.

- Cholera, naprawdę ją polubiłam - przerwała milczenie Delfuenso.

- Ja też - powiedział Reacher.

- Tacy ludzie jak ona to elita FBI.

W jej głosie brzmiała nuta wściekłości.

- Zdarza się. Weź się w garść.

- Tak na to reagujecie w wojsku?

- A jak reagujecie na to w FBI?

Nie odpowiedziała.

- Co teraz? - spytała po chwili.

- Powinnaś wracać do samochodu - odparł Reacher. - Przez całą drogę trzymaj się nisko.

Zadzwoń do Quantico i ich zawiadom. Pamiętaj, że najlepiej będzie, jeśli wylądują w bazie Whiteman. Może powinnaś też zadzwonić do Omaha. Naczelnik jej biura nazywa się Tony Perry.

Raz z nim rozmawiałem. Myślę też, że agent dyżurny był jej dobrym kolegą. Przekaż mu wiadomość delikatnie. I technikowi. Też powinien usłyszeć to osobiście.

- Nie idziesz ze mną?

- Nie. Chcę znaleźć tego snajpera.

- Nie możesz iść sam.

- A ty nie możesz iść ze mną. Masz dziecko.

- Nie pozwolę ci. Rozkazuję ci się wycofać.

- Nic z tego.

- Niech Quantico się tym zajmie.

- McQueen nie może tak długo czekać.

- Zginiesz. Mogą ich tam być setki.
- Mówiłaś, że dwudziestu czterech.
- Mimo wszystko. Nawet dwudziestu czterech. Są wyszkoleni do takich zadań.
- Niedługo się przekonamy, jak dobrze. Może byli dobrzy w szkole, ale zobaczymy, czy potrafią zagrać na poziomie Major League.
- Mogą być bezwzględni.
- Nie znają znaczenia tego słowa. Na razie.
- Nie mogę ci na to pozwolić. Nie przeżyjesz. Równie dobrze mogłabym od razu cię zastrzelić.
- Nie możesz mi zabronić. Jestem cywilem.
- W takim razie McQueen i Sorenson nic dla ciebie nie znaczą. Pozwól, że sami zajmujemy się swoimi ludźmi.
- Chętnie. Ale jakoś nie słyszę samolotów oddziałów specjalnych.
- Są już niedaleko.
- Nad Ohio. Może nad Indianą. To nie jest niedaleko.
- W czym to pomoże, jeżeli ciebie też zastrzelą?
- W niczym. Ale może nie zastrzelą.
- Jest kilka możliwych wyników, tak?
- Tak - zgodził się Reacher. - Kilka.
- I to na pewno jeden z nich.
- Tak. Jeden.
- No więc po co?
- Bo lubiłem Sorenson. Bardzo lubiłem. Traktowała mnie uczciwie i przyzwoicie.
- No więc przyjdź na nabożeństwo żałobne. Napisz do gazety. Zaczynaj zbierać na pomnik. Nie musisz dla niej ruszać do walki.
- Walka daje mi większe szanse.
- Na co?
- Dzięki niej mam okazję jakoś przeżyć noc.
- To mają być większe szanse? Jeżeli wrócisz ze mną, masz stuprocentową pewność, że przeżyjesz noc.
- Nie - odparł Reacher. - Jeżeli z tobą wrócę, mam stuprocentową pewność, że umrę ze wstydu.

Na tym rozmowa się zakończyła. Nie było już o czym dyskutować. Przeszli się

przekonywać.

Zapadło niezręczne milczenie. W FBI na pewno mają swoje grepsy stosowne do takich okoliczności. Wojsko ma. Ale prywatne żarty są prywatne. Dlatego nic więcej nie powiedzieli.

Delfuenso popatrzyła mu tylko w twarz. Właściwie nie wiedział po co. Całą twarz miał wysmarowaną. Prawdopodobnie krowim łajnem. Może i lepiej, że jego nos nie działa.

- Powodzenia - rzuciła Delfuenso.

A potem odczołgała się od niego, pokonała bokiem skręt i ruszyła drogą, którą przyszli, w kierunku supermarketu Lacey's. Reacher patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Odczekał jeszcze minutę, aby mieć pewność, że nie złamie słowa i nie zawróci. Wiedział, że chciała. Ale nie zawróciła. Pewnie z powodu Lucy. „Masz dziecko?”. Podczas ich długiej rozmowy nie zakwestionowała tylko tego jednego zdania.

Odczekał jeszcze jedną minutę, żeby upewnić się podwójnie, a potem odwrócił się i poczołgał w ciemność.

70

W West Point przez setki godzin mówiono o taktyce i strategii i Reacher słuchał uważnie, ale traktował to jako teorię. W praktyce wolał stosować własne metody, które opierały się na przeciwniku. Nie było sensu myśleć cały czas o sobie. Znał swoje mocne strony, których było niewiele, i swoje słabości, których miał mnóstwo. Liczyli się tylko przeciwnicy. Jakie mają mocne strony?

Na pewno dobrze strzelają. Przynajmniej jeden z nich. Nie ma wątpliwości. Strzał prosto w głowę z czterystu metrów w ciemności to bez dwóch zdań nadzwyczajny wyczyn, ale przede wszystkim świadczył o wielkich umiejętnościach.

Oprócz tego mają jednak niewiele. A ich słabości są znaczące. Wynikają głównie ze strachu. Tak przywykli do działania w tajemnicy, że paranoja na trwałe zmieniła ich postrzeganie. Na przykład:

Reacher był gotów się założyć, że właśnie w tej chwili podejmują dwie bardzo złe decyzje. Po pierwsze, za dużo myślą i sami wyprowadzili się w pole. Zakładają, że każdy, kto towarzyszy Sorenson, teraz albo zrezygnuje z ataku, albo zmieni kierunek o dziewięćdziesiąt lub więcej stopni i podejdzie z innej strony. Przez moment brali pod uwagę podwójny blef ze strony pozostałych napastników, ale paranoja woli potrójne blefy od podwójnych, więc skupili uwagę na trzech nowych stronach, lekceważąc poprzednią. Doszli do wniosku, że

południowy wschód jest już czysty. Na pewno mimo wszystko postawią tam człowieka albo dwóch, ale to nie będą ich najlepsi ludzie, zresztą będą przede wszystkim wyciągali szyje i spoglądali przez ramię tam, gdzie jak sądzą, toczy się prawdziwa akcja.

Po drugie, wynikało z tego, że przez ten czysty i bezpieczny korytarz wyślą ekipę, żeby ściągnęła z pola ciało Sorenson. Ponieważ niepokoją się, kto to jest. I ponieważ nie mogą jej tam zostawić. To nie ich ziemia. Bardzo dawno temu dziadek jakiegoś farmera oddał ją Departamentowi Obrony, a po wielu latach wnuk dziadka dostał ją z powrotem i pracował na niej, zaczynając co dzień wczesnym rankiem, jak wszyscy rolnicy. Dlatego aby tajemnica się nie wydała, ciało musi zniknąć. I to dość szybko. Paranoja nie znosi czekania. Reacher przypuszczał, że w grę wchodzi pięć do dziesięciu minut. Wyjadą przez większą bramę od północnej strony.

Prawdopodobnie dwóch. Jakimś pojazdem. I skierują się prosto w stronę ciała.

Zatrzymają się trzy metry od miejsca, w którym Reacher zagrzebał się w ziemi.

Minęło osiem minut i zrobili dokładnie to, czego spodziewał się Reacher. Pojawił się pickup, który wyjechał od północy i zrobił pętlę, poruszając się tą samą trasą w kształcie odwróconej litery J, którą zarejestrował GPS McQueena, choć skręcił pod nieco mniejszym kątem. Samochód był szary. Może pomalowany farbą gruntową. Trudno to było dostrzec w świetle księżyca. Ale był.

Nie czterodrzwiowy. Zwykły pickup. Podjechał prosto do niego, podskakując na nierównościach pola. Miał wyłączone światła. Tajemnica i paranoja. W kabinie panował mrok. Nie można było zobaczyć żadnych szczegółów. Ale siedziało w niej co najmniej dwóch ludzi. Maksimum trzech.

Raczej jednak dwóch.

Samochód zwolnił i dwaj ludzie wystawili głowy przez okna, szukając tego, po co przyjechali.

Włosy Sorenson pociemniały już od krzepnącej krwi, lecz fragmenty białej skóry nadal były na tyle widoczne, aby ich naprowadzić. Wciąż widać było jasne plamy w nikłym blasku księżyca.

Namierzili cel, pokonali ostatnie dwadzieścia metrów i podjechali tyłem do miejsca, w którym leżała. Wyszli razem i stali przez chwilę.

Dwóch. Nie trzech. Zobaczył to wyraźnie w świetle lampki w szoferce.

Nieuzbrojeni. Nie mieli nic w rękach, nie mieli niczego zawieszzonego na plecach.

Podeszli do niej.

Reacher nie był przesądny, nie przywiązywał też żadnej wagi do spraw duchowych ani do dawnych tabu. Ale zależało mu na tym, aby jej nie dotykali.

Chodzili dookoła i patrzyli na nią, jakby nie wiedzieli, co począć. Jak każdych dwóch szeregowców w każdym miejscu świata, którzy dostali jakieś zadanie. Reacher domyślał się, że to Syryjczycy. Ale o jaśniejszej skórze. Rzekomi Włosi. Wyglądali na fizycznie niedorozwiniętych.

Drobni, żyłaści.

O cienkich szyjach.

Ustawili się. Wbili mocno stopy w ziemię. Nic nie mówili. Nie musieli. Dobrze rozumieli, co mają zrobić. Strona techniczna była oczywista. Geometria taka, a nie inna. Ten po lewej wykonywał połowę pracy, drugą połowę ten po prawej. Mieli zebrać, co się da, a resztą zajmą się ptaki o świcie.

Ugięli nogi w kolanach.

Nagle ziemia za ich plecami otworzyła się jak w ludowej baśni i wynurzyła się z niej olbrzymia koszmarna postać, otrząsając się z błota i lepkiej mazi jak z wody, zrobiła jeden długi krok i grzmotnęła w kark mężczyznę po lewej potężnym, strasliwym ciosem z góry, jakby chciała wbić pięścią hak szynowy, a zaraz potem nastąpiło długie, eleganckie wykończenie uderzenia: pięść kontynuowała ruch, zatrzymując się poniżej kolana, i natychmiast poderwała się z powrotem, zataczając ten sam łuk, jak gdyby konwulsyjnie. Olbrzymia postać gwałtownie skręciła się w pasie i łokciem uderzyła mężczyznę po prawej prosto w krtań.

Po chwili Reacher ukląkł na piersi pierwszego, zacisnął mu palcami nos, drugą ręką zakrywając mu usta.

Nie szamotał się. Już nie żył.

Drugi się szamotał. Ale niedługo.

Reacher wytarł ręce w ziemię i ruszył w kierunku pickupa.

71

Broń zostawili w samochodzie na siedzeniach. Dwa pistolety maszynowe Colta z parcianymi pasami. W zasadzie podobne do karabinów M16, ale krótsze i ładowane dziewięćmilimetrową amunicją Parabellum. Produkcja amerykańska, dziewięćset strzałów na minutę, magazynek na dwadzieścia naboju, do wyboru strzelanie ogniem ciągłym, pojedynczym albo trójstrzałowymi seriami. Reacher nie przepadał za nimi. Ameryka właściwie nigdy nie weszła na rynek broni maszynowej. W każdym razie nie w przekonujący

sposób. Duży wybór lepszych marek miała Europa. Steyr czy Heckler & Koch. Wystarczy zapytać żołnierzy Delta Force. Czy choćby agentów z Quantico. Ludzie w samolocie nie byli uzbrojeni w maszynowe colty. To więcej niż pewne.

Mimo wszystko lepsze to niż nic. Reacher sprawdził broń. Obydwa pistolety były naładowane i chyba sprawne. Zamknął drzwi po stronie pasażera, okrążył pickupa i stanął przy drzwiach kierowcy. Odsunął siedzenie i wsiadł. Silnik ciągle pracował. To był ford. Nic szczególnego.

Otworzył obydwie okna, wsunął Glocka pod prawe udo, a colty położył na fotelu pasażera.

Gotowy do akcji.

Policzył do trzech, po czym wrzucił bieg i wolno ruszył. Zryta i zbrylona ziemia, która nie dawała stopom pewnego oparcia, okazała się równie trudna dla kół samochodu. Pickup dygotał, ślizgał się i podskakiwał na twardych resorach, przystosowanych do dźwigania ładunków. Reacher pojechał tą samą trasą, którą pokonali tamci dwaj w drodze na pole. W zasadzie w prostej linii aż do górnego rogu budynku. Jego wielka bryła pozostawała ciemna i niewyraźna. Jednak w miarę, jak się zbliżał, widział coraz więcej. Nagle wyrósł tuż obok niego, za otwartym oknem pickupa.

Reacher miał wrażenie, jakby mijał oceaniczny liniowiec stojący w suchym doku. Lany beton, z pewnością wzmocniony od środka grubymi stalowymi belkami i uformowany przez tymczasowy drewniany szalunek. Reacher dostrzegał tu i ówdzie na zawsze utrwalone słoje drewna.

Zaokrąglenia powstały przez schodkowe ułożenie płaskich desek wokół promienia krzywizny. To, co z odległości wyglądało na gładką powierzchnię, z bliska okazało się surowe i nieregularne.

W niektórych miejscach mokry beton został wciśnięty w szpary między deskami. Budynek wyglądał, jakby pokrywała go sieć niedokończonych szwów. Na grubo położonej farbie kamuflażowej rysowały się linie pozostawione przez pędzle. Nie była to staranna robota. Ale w końcu w dobrym kamuflażu chodziło o maskujący wzór widziany z oddali, nie o finezję malowania oglądaną z bliska.

Zwolnił, odetchnął głęboko, szarpnął kierownicę i skręcił za górny róg, gdzie po raz pierwszy zobaczył północną stronę budynku. Była to gładka ściana z trzema ogromnymi betonowymi wyrostkami. Przysadziste, proste, półokrągłe tunele, biegnące równoległe, długości około trzydziestu metrów. Jak wydłużone wejścia do igloo. Dla ochrony przeciwlotniczej. Obydwa końce tuneli na pewno były zamknięte drzwiami

przeciwwybuchowymi, których nigdy nie otwierało się jednocześnie. Pojazdy wjeżdżały przez pierwsze wrota, a potem zatrzymywały się w służbie, jakby odbywały kwarantannę.

Drzwi zamykały się za nimi i dopiero wtedy otwierały się przed nimi drugie. Pojazdy ruszały dalej. Wyjazd odbywał się według tej samej procedury, w odwróconej kolejności. Wnętrze budowli nigdy nie było narażone na zewnętrzne fale ciśnienia.

Skład rakiet, pomyślał Reacher. Zimna wojna. Jeżeli wojsko czegoś sobie życzyło, to to dostawało. Wszystko, wszędzie, zawsze. Właściwie wojsko dostawało wszystko bez względu na to, czy sobie tego życzyło, czy nie.

Pierwsze pytanie: z którego z trzech tuneli w tej chwili korzystano?

Odpowiedź była prosta. Światło księżyca dość wyraźnie ukazywało ślady kół. W miękkiej ziemi zostały wygniecione dwie koleiny prowadzące do środkowego tunelu. Powstała niemal autostrada.

Reacher powoli kontynuował szeroki skręt, a potem wpadł kołami w wyłobiony szlak, który miał go doprowadzić prosto do środkowej bramy. Jak do hangaru lotniczego. Drzwi otwierały się niczym kurtyna w teatrze: dwa skrzydła rozchylały się, sunąc na dużych żelaznych kółkach i prowadnicach.

Tylko jak się otwierały? W samochodzie nie było radia. Przy wjeździe nie widział kamery monitoringu. Żadnej wiązki światła, którą pojazd miałby przeciąć, żadnego przycisku, żadnego interkomu. Reacher jechał wolno i niepewnie, patrząc na drzwi, które wznosiły się przed nim jak wysoka stalowa ściana. Na dachu za balustradą dostrzegł strażników. Pięciu, z zawieszonymi na ramiona karabinami, patrzących w dal bez zbytniego entuzjazmu. Służba wartownicza jest uciążliwa i nudna. Nie należała do marzeń typowego poszukiwacza przygód. Zero adrenaliny.

Żaden zaszczyt.

Reacher zatrzymał samochód, którego maska znalazła się metr od bramy.

Drzwi zaczęły się otwierać.

Dwa skrzydła oderwały się od jakiejś uszczelki między nimi i ze zgrzytem zaczęły się przesuwac po szynach, napędzane motorami, które były jak silniki ciężarówek pod dużym obciążeniem. Cały zespół urządzeń musiał ważyć setki ton. Odporny na eksplozje. Cokolwiek wojsko sobie życzyło. Szczelina powoli się poszerzała. Pół metra. Metr. W tunelu paliły się przyćmione światła. Słabe żarówki w drucianych oprawkach, zawieszone wzdłuż sufitu. Reacher wyszarpnął glocka spod nogi. Trzymał go nisko, poza zasięgiem wzroku.

Skrzydła bramy zatrzymały się, gdy otwór miał około dwóch metrów szerokości. Wystarczający dla pojazdu osobowego. Reacher nabrał powietrza, policzył do trzech, położył

lewą rękę na kierownicy, lekko wcisnął gaz i wtoczył wóz do środka.

Zobaczył cztery rzeczy: mężczyznę stojącego tuż obok niego, obok dużego czerwonego przycisku przy pierwszej bramie, i faceta trzydzieści metrów dalej, tuż obok dużego czerwonego przy drugiej bramie.

Wcześniej radził Delfuenco: „Od razu strzelaj w twarz. Zanim się zdążą przywitać”.

Zastosował tę zasadę do pierwszego mężczyzny. Choć, ściśle rzecz biorąc, nie strzelił mu w twarz. Uniósł glocka trochę wyżej i zrobił mu dziurę pośrodku czoła, mniej więcej tam, gdzie została trafiona Sorenson.

Oszczędzać amunicję. Żadnych poprawek. Nie były potrzebne. Pierwszy strzał był skuteczny.

Facet miał na sobie jakiś luźny zielony mundur. Przy pasie nosił krótką broń w dużej, zwisającej nisko kaburze. Nie przypominało to żadnego wojskowego wyposażenia, jakie Reacher kiedykolwiek widział. Raczej wytwór sztuki ludowej.

Reacher podniósł wzrok. Drugi facet był za daleko. Trzydzieści metrów to za duży dystans dla pistoletu. Wysiadł więc z pickupa i wcisnął duży czerwony przycisk. Gigantyczne drzwi zaczęły się za nim zamykać. Czekał. Drugi facet też czekał. Nadal stał trzydzieści metrów od niego. Nadal za daleko na krótką broń. Reacher wszedł do samochodu i zapiął pas. Potem wcisnął gaz i przyspieszył. Jechał prosto na drugiego faceta, który znieruchomiał na zgoną dla siebie sekundę.

Który zaczął gorączkowo grzebać w obwisłej kaburze. Który dał sobie z tym spokój i uciekł.

Daleko od drzwi. Nie mógł ich szybko otworzyć. To nie było wyjście awaryjne. Mechanizm działał zbyt wolno. Facet zamierzał zaryzykować i szukać szansy ratunku w głębi tunelu. Głupi ruch. Gość nie myślał strategicznie. Nie próbował wczuć się w położenie przeciwnika i przejrzeć jego zamiarów. Chciał zrobić unik, uskoczyć i uciec, a potem przypaść do bocznej ściany. Zakładał, że żaden kierowca nie zaryzykuje zderzenia z betonem.

Reacher jechał, prowadząc lewą ręką.

I rzeczywiście facet zrobił zwód w jedną stronę, zwód w drugą, a potem przykleił się płasko do ściany niczym torreador, przypuszczając, że Reacher zbliży się do niego, ale gwałtownie skręci w bok, zanim zdąży go dotknąć.

Błąd.

Reacher uderzył prosto w niego z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, bez wahania roztrzaskując przód pickupa o beton, trafiając faceta między kolana a biodra i miażdżąc go. Mignął mu jeszcze szok na jego twarzy, a potem przednia kłapa złożyła

się od uderzenia w harmonijkę i już go nie widział. Reacher poczuł szarpnięcie pasa bezpieczeństwa, przednia szyba rozbiła się na kawałki. Pickup niemal stanął na przednich kołach, po czym z hukiem wylądował, a Reachera rzuciło o siedzenie. Uniosły się kłęby pary i dymu. Zderzeniu towarzyszył krótki, lecz ogłuszający huk, który odbił się głośnie echem od betonowych ścian. Odgłos miażdżonego i rozrywanego metalu, tłuczonego szkła, brzęk odpadających elementów. Pewnie zderzaki, pomyślał Reacher, oprawy reflektorów i kołpaki. Tego typu części.

W tunelu zapadła cisza. Reacher przez sekundę siedział bez ruchu. Uznał, że za drugą bramą słyhać bardzo niewiele. Jeżeli w ogóle cokolwiek. Drzwi skonstruowano po to, aby wytrzymały wybuch bomby atomowej o masie stu megaton.

Wystrzał dziewięciomilimetrowego pocisku i hałas uderzenia samochodu w mur znaczyły tyle co nic.

Siłą otworzył zniekształcone drzwi i wysiadł z wraku. Podszedł do tego, co zostało z maski.

Drugi facet był prawie przecięty na pół. Obficie krwawił z każdego otworu ciała. Miał ciemne włosy i ciemną karnację. Na pewno cudzoziemiec. Ale krew każdego z nas ma ten sam kolor. Nie było co do tego wątpliwości. Dowód na prawdziwość tego twierdzenia był widoczny jak na dłoni.

Reacher skrócił mu cierpienie. Jednym strzałem z bliska, za uchem. Niepotrzebnie stracił nabój, ale dobre maniery mają swoją cenę.

Pistolety maszynowe leżały w nieładzie na podłodze przed siedzeniem pasażera, gdzie spadły po uderzeniu w ścianę. Reacher rozplątał pasy i zawiesił broń na lewym i prawym ramieniu. Wymienił magazynek glocka bez dwóch naboji na nowy, który zdjął z pasa Sorenson. Dwa pociski mogą czasem wszystko zmienić.

Doszedł do końca tunelu i wcisnął duży czerwony przycisk.

72

Reacher usłyszał wizg jakby rozrusznika, kasznięcie, a potem dwa potężne silniki ożyły i druga brama zaczęła się otwierać. Oglądając ją z bliska, Reacher odniósł całkiem inne wrażenie. Silniki były wielkie i głośnie jak w dużych ciężarówkach. Drzwi były ogromne i grube i wyglądały jak budynki.

Kiedy patrzył z bliska, zdawało mu się, że otwierają się szybciej. A może to tylko złudzenie.

Zresztą całkiem zrozumiałe. Ponieważ szpara szerokości człowieka powstała między skrzydłami o wiele wcześniej niż szpara szerokości samochodu. Wszystko jest względne. Jeszcze dziesięć sekund i otwór będzie na tyle duży, żeby wyjść przez niego na scenę.

Potężne diesle pracowały z mozołem, powiększając szparę do pół metra.

Skrzydła drzwi uchyliły się jeszcze o ćwierć metra.

Reacher uniósł glocka.

Przeszedł na drugą stronę.

Nie było tam nikogo.

Reacher znalazł się w pustym garażu. Przestrzeń miała może dwanaście na dwanaście metrów.

W kącie stał smętny stary pickup, pomalowany szarym podkładem, bez powietrza w przednim kole, ale więcej pojazdów w garażu nie było. Tylko pusta przestrzeń i plamy oleju na betonowej posadzce. Aż do zrobionej ze sklejki ściany w głębi pomieszczenia, postawionej niedawno. Boczne ściany i sufit były z betonu, z którego odlano konstrukcję budynku. Właściwie boczne ściany i sufit były mniej więcej tym samym. Przypominały przedłużenie tunelu wjazdowego szerokości ponad dziesięciu metrów i długości chyba ponad stu, ale skróconego teraz nową przegrodą.

Z garażu prowadziły trzy wyjścia, nie licząc bramy, przez którą Reacher właśnie wszedł i która była czwartym wyjściem. W przegrodzie ze sklejki znajdowały się nowe drzwi, a w obu bocznych ścianach oryginalne. W każdym z tych dwóch oryginalnych wyjść łuk sklepienia tunelu został wyprostowany framugą, tak grubą i głęboką, że sama wyglądała jak tunel. Reacher wyobraził sobie skomplikowane szalowanie i niepokój kontrolujących budowę konstruktorów z Departamentu Obrony oraz olbrzymie naprężenie, jakiemu poddawano drewno, zanim masa betonu stężała.

Oryginalne drzwi po prawej zostały zaklejone.

Zasłonięto je grubą płachtą przezroczystej folii, którą przytwierdzono do krawędzi za pomocą chyba całej rolki taśmy izolacyjnej.

Nie wiadomo po co.

Ale Reacher zastosował zasadę „w razie wątpliwości skręć w lewo”, więc skierował się w przeciwną stronę. Do drugich oryginalnych drzwi w lewej ścianie. Były stare i mocne, wykończone jakimś wypłowiałym laminatem. Pięćdziesiąt lat temu musiał być czymś naprawdę nadzwyczajnym. Jakimś nowym cudownym materiałem. Klamka była ze zwykłej stali, ale gruba i solidna. Prawdopodobnie kosztowała z tysiąc dolarów.

Reacher nacisnął grubą stalową klamkę, pchnął drzwi i wkroczył do kwadratowego pomieszczenia zrobionego z dwóch starych ścian i dwóch nowych. Czegoś w rodzaju pokoju załogi.

Stały w nim niskie wygodne fotele. W jednym z nich siedział mężczyzna. Nie McQueen. Zaczął wstawać. Ale dość szybko opadł z powrotem. Strzał w korpus, nie w głowę. Bezpieczniej. I cel był większy. Natychmiastowa śmierć mózgu nie była konieczna. Nie w tej sytuacji. Facet nie trzymał palca na guziku odpalającym rakiety.

W pokoju załogi były drugie drzwi i Reacher mierzył do nich z glocka, aż upewnił się, że nikt nie biegnie na ratunek. Następnie przeszedł przez drugie drzwi do długiego i wąskiego wewnętrznego korytarza, który biegł w prawo od niego i miał długość ponad stu metrów. Reacher zaczynał orientować się w układzie budynku. Wewnątrz znajdowały się trzy równoległe komory, długie i wąskie, przypominające ułożone obok siebie cygara. Prowadziły do nich trzy wjazdy. Wszystkie komory w dawnych czasach były pełne rakiet. Potem opustoszały, zmieniając się w pełne pogłosu podziemia. Dziś zostały skolonizowane i przegrodzone sklejką. Długie środkowe korytarze, pokoje po lewej, pokoje po prawej - i taki układ powtarzał się trzy razy. Paradoks. Historia kołem się toczy. Współczesny Departament Obrony zaczynał w taki sam sposób. Szybki rozwój przemysłu wojennego na początku drugiej wojny światowej postawił go w trudnej sytuacji.

Zagrzebywał się w budynkach, które udało mu się znaleźć, choćby w ogóle się do tego nie nadawały.

Na nieszczęście powstało tu dużo nowych pomieszczeń. Możliwe, że czterdzieści w każdej komorze. W sumie sto dwadzieścia. Plus minus. Quantico przyjedzie, zanim zdąży przeszukać połowę z nich. A wtedy będzie problem. Wcześniej dostaną wiadomość od Delfuenso. Powie im, że powinni wylądować w Whiteman i stamtąd ruszyć na północ, zwarci i gotowi do akcji. Nie będzie miło dostać się w krzyżowy ogień.

Na domiar złego sklejka nie najlepiej tłumiała dźwięk. Co oznaczało, że ostatni strzał był dobrze słyszany w całej jednej trzeciej budynku. Dlatego Reacher wycofał się tą samą drogą przez pokój załogi, mijając martwego faceta leżącego na niskim fotelu, i wrócił do garażu. Wielkie automatyczne drzwi wciąż były otwarte jak rozsunięte zasłony. Za nimi widać było trzydziestometrowy tunel, gdzie nadal stał wrak pickupa i leżały zwłoki dwóch ludzi. Reacher znalazł wewnętrzny przycisk i go wcisnął. Zawył rozrusznik, ruszyły potężne diesle i drzwi zaczęły się zamykać. Hałas był ogłuszający. O to właśnie Reacherowi chodziło. Skoro miał wybór, wołał mieć zabezpieczone tyły i dać wyraźny sygnał ostrzegawczy, gdyby ktoś próbował go gonić.

Potem poszedł w głąb garażu i uchylił drzwi w przegrodzie ze sklejki. Prowadziły do takiego samego długiego i wąskiego środkowego korytarza. Pokoje po lewej, pokoje po prawej. Centralna komora była skolonizowana tak samo jak pierwsza. Na niektórych drzwiach były niebieskie kropki, naklejone kółka wycięte z folii. Na drugich drzwiach po lewej i drugich drzwiach po prawej było jedno kółko. Ten schemat powtarzał się co trzeci pokój, jak okiem sięgnąć.

Reacher sprawdził za sobą. Na drzwiach, którymi wszedł, widniały dwie niebieskie kropki.

Przez chwilę uważnie nasłuchiwał, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Nabrał głęboko powietrza, policzył do trzech i zaczął iść. Do drugich drzwi po prawej. Typowych i tanich, prosto ze sklepu.

Z wąską chromowaną klamką. I niebieską kropką na wysokości oczu.

Nacisnął chromowaną klamkę. Otworzył drzwi. Pokój, przyzwoitej wielkości. Pusty. Żadnych ludzi. Żadnych mebli. Nic, z wyjątkiem tego, co było tu od zawsze: jeszcze jednych oryginalnych drzwi w bocznej betonowej ścianie. Wyglądały identycznie jak pierwsze, które widział, z grubą framugą przypominającą tunel, wykończeniem z wypłowiałego laminatu i ciężką stalową klamką.

Najwyraźniej niebieska kropka oznaczała przejście z jednej strony na drugą. Skrót z komory do komory. Dla zapracowanych ludzi. Na drzwiach w garażu przyklejono dwie niebieskie kropki, ponieważ można się było stamtąd dostać do pomieszczeń po lewej i prawej. Prostopadłe przejścia usprawniały pracę. Dziś i najprawdopodobniej w dawnych czasach, gdy na ziemi istniały jeszcze rakiety. Gdyby technik musiał przejść przez całą długość budynku i wyjść na zewnątrz, aby wrócić innym tunelem, byłoby to zbyt czasochłonne. O wiele lepszym rozwiązaniem było stworzenie wewnętrznego systemu komunikacji. Łącznik co mniej więcej dwadzieścia metrów. Już dawno temu wpadł na to ktoś ślęczący nad projektem budynku. Architekci wzięli zatemperowane ołówki i zabrali się do pracy przy stołach kreślarskich, opracowując szczegóły na podstawie własnych przypuszczeń i współczynników obciążenia obliczanych za pomocą suwaków logarytmicznych.

Reacher był w pomieszczeniu po prawej stronie. I tak samo jak drzwi, które widział w garażu po prawej, te drzwi po prawej również były zasłonięte przezroczystą folią przyklejoną do framugi taśmą izolacyjną. Mnóstwem taśmy.

W niewiadomym celu.

Miał w kieszeni dwa klucze do pokoiw motelowych. Jeden z motelu grubasa w Iowa, drugi z kwarantanny FBI w Kansas. Klucz od grubasa nadawał się lepiej. Przy wycinaniu

krawędzie trzpienia na końcu pozostały ostre. Może klucz był dorobiony. Może jakiś gość pojechał do domu z oryginałem w kieszeni, a grubas z zasady korzystał z najtańszych usług.

Reacher przycisnął przezroczystą folię do starego wypłowiałego laminatu i podrapał ją czubkiem klucza. Klucz zahaczył o folię, pozostawiając postrzępioną rysę i pęcherze. Pęcherze spuchły, zrobiły się cieńsze i przy drugiej próbie klucz zrobił dziurę w jednym z nich. Reacher wsunął koniec klucza w otwór i zaczął piłować, przecinając plastik tam, gdzie się dało, a tam, gdzie się nie dało, rozciągał go i rozrywał.

Kiedy szpara miała już długość kilku centymetrów, schował klucz do kieszeni, wsunął w szczelinę palec i zaczął ją powiększać, ciągnąc w obie strony.

Folia nie poddawała się łatwo. Była bardzo wytrzymała. Nie przypominała cieniutkiej jak bibułka folii malarskiej, którą zabezpieczano meble podczas remontu. Raczej jak kurczliwy plastik do pakowania próżniowego. Reacher widział, jak ludzie zmagają się z takimi opakowaniami.

W supermarketach na półkach, tuż obok pakowanego salami, powinny leżeć sprężynowce. Kiedy udało mu się powiększyć szparę do trzydziestu centymetrów, plastik stracił odpowiednie napięcie. Reacher musiał znów zacząć rozcinać go kluczem. To doświadczenie czegoś go nauczyło. Zmienił technikę, zaczynając na zmianę ciąć i szarpać, w przerwach między kolejnymi cięciami przytrzymując klucz w ustach. W końcu udało mu się zrobić długą szczelinę mniej więcej od góry do dołu, krzywą i poszarpaną, ale na tyle dużą, by mógł się przez nią przycisnąć.

Wsunął rękę przez otwór, nacisnął stalową klamkę i czubkami palców pchnął drzwi. Za nimi była tylko ciemność. I chłód. I delikatny pogłos sugerujący dużą przestrzeń i twarde puste ściany.

Odwrócił się bokiem i przycisnął przez rozdartą folię, najpierw wysuwając rękę z glockiem, potem prawą stopę i prawe ramię, głowę, a na końcu lewą rękę i lewą stopę. Namacał kształt betonowej framugi po drugiej stronie, zamknął za sobą drzwi i zaczął szukać włącznika światła.

Wiedział, że go znajdzie. Dawni architekci z zatemperowanymi ołówkami i deskami kreślarskimi na pewno byli bardzo skrupulatni. Plany instalacji elektrycznej musiały zajmować osobny arkusz w projekcie.

Odnalazł na ścianie kabel elektryczny. W stalowej rurze pomalowanej grubą warstwą farby, zimnej w dotyku i pokrytej kurzem. Podążając jej tropem, natrafił na kwadratową metalową skrzynkę, mniej więcej dziesięć na dziesięć centymetrów, z wgłębieniem na przedniej ścianie, w którym tkwiła zimna mosiężna dźwigienka.

Zapalił światło.

73

Trzeciej komory nie podzielono przegrodami. Pozostała w oryginalnym stanie. To był tunel o prawie półokrągłym przekroju, szerokości około dwunastu metrów i długości około stu dwudziestu, wysokości rosnącego człowieka przy bocznych ścianach i może dziesięciu metrów w najwyższym punkcie łukowego sklepienia. Został uformowany z lanego betonu, tak jak zewnętrzne mury budynku, a na ścianach tu i ówdzie widać było odcisk słoików drewna, ułożonych w schodki desek, cienkie nierówne żebra i szwy w miejscach, gdzie szalunek był nieszczelny.

Betonu nie pomalowano, ale nie wyglądał surowo. Był wyblakły, pokryty kurzem i gładką, tłustą warstwą dziesięcioleci, które cierpliwie znosił. Przeciwnie koniec zamykała gładka ściana, a drugi przeciwwybuchowe drzwi wyposażone w dokładnie taki sam mechanizm, jakiego Reacher użył w środkowej komorze.

Tunel nie był pusty.

Na środku stał rząd olbrzymich niskopodwoziowych naczep. Bez ciągników. Same naczepy ustawione jedna za drugą, jakby utknęły w korku na autostradzie, każda blisko piętnaście metrów długości i ponad trzy i pół metra szerokości. Było ich osiem. Każda miała z tyłu cztery osie nośne, a z przodu dwa wspornikowe ramiona, które na początku wznosiły się pod dużym kątem, a potem opadały pod nieco łagodniejszym, gotowe do połączenia z siodłem ciągnika. Wyglądały jak czułki gigantycznego owada.

Wszystkie naczepy były pomalowane na piaskowy kolor. Grunt pustynnego kamuflażu. Reacher doskonale je znał. Były elementem wojskowego systemu transportu ciężkiego. Ta konkretna naczepa nazywała się M747. Używano jej z ciągnikiem M746. Obydwa pojazdy wyprodukowała Oshkosh Corporation w Wisconsin. Obydwa zostały wycofane z wyposażenia bojowego po wojnie w Zatoce w 1991 roku. Żaden nie okazał się wystarczająco wytrzymały. Ich zadaniem było transportowanie czołgów Abrams, zbudowanych z myślą o wykorzystywaniu ich w bitwach pancernych, a nie do przemieszczania się z punktu A do B po drogach publicznych. Rujnowały nawierzchnię dróg, ich gąsienice się zużywały, czas do kolejnego przeglądu technicznego skracał się o godziny zmarnowane na dojazdy. Dlatego korzystano z transporterów. Ale czołgi Abrams ważyły ponad sześćdziesiąt ton, przez co zużywały się w błyskawicznym tempie. Sprawa wróciła do punktu wyjścia, a sprzęt starej generacji zdegradowano i przeznaczono do lżejszych zadań.

W tym wypadku nie były jednak o wiele lżejsze.

Każdą z ośmiu naczep załadowano ustawionymi jedna za drugą dwiema kadziami czy pojemnikami. Na pewno do przechowywania jakiegoś płynu. Były naprawdę wielkie. O pojemności dziesiątków tysięcy litrów. Każdy pojemnik był wielkości czterech volkswagenów ustawionych jeden na drugim w dwóch rzędach, jak cegły. Rozmiar niewielkiego pokoju. Wykonane ze stali walcowanej, fałdowanej, hydroformowanej i spawanej, przypominały przysadziste pękate butle z ochronnymi obręczami, które były połączone z butlami tak ściśle, że nie dało się dostrzec, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. W sumie pojemniki wyglądały jak zaokrąglone sześciany długości trzech i pół metra, szerokości trzech i pół metra i wysokości trzech i pół metra, wzmocnione w niektórych miejscach, aby były bardziej trwałe i wytrzymałe. Stal sprawiała wrażenie grubej i solidnej. Może została powleczona dodatkową mineralną warstwą. Innowacja.

Ale nie był to nowy wynalazek. Bo nic w komorze nie było nowe. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Ogromne pojemniki, platformy naczep, betonową posadzkę. Szarego, nierealnego, nietkniętego kurzu. Z większości opon naczep uszło sporo powietrza. Z kilku całkowicie.

Gdzieś tam wisiały pajęczyny. Wyglądało to jak znalezisko archeologiczne. Jakby Reacher dostał się do grobowca faraona. I zobaczył go jako pierwszy człowiek od pięciu tysięcy lat.

A może od dwudziestu. Miał przed oczami namacalny dowód. Znał wiek tego sprzętu. Widział kurz. Sparciałą gumę. Nieruchome powietrze. Chłód. Całkiem możliwe, że naczepy wprowadzono do tunelu przed dwiema dekadami, odłączono od ciągników, aby ich nigdy więcej nie ruszać, a potem odgrodzono je murem, pozostawiono i wkrótce o nich zapomniano.

Osiem naczep. Szesnaście pojemników. Sześćdziesiąt cztery volkswageny. Stal pomalowano na jasnożółty kolor, który z czasem wyblakł i pokrył się kurzem. Na boku każdego pojemnika namalowano za pomocą szablonu znak - skromnych rozmiarów, wielkości mniej więcej piłki do koszykówki - który po raz pierwszy naszkicowała w 1946 roku grupa mądrali z Laboratorium Promieniowania Jonizującego na Uniwersytecie Kalifornijskim. Mądrale, mając dużo wolnego czasu, zaprojektowali symbol przedstawiający coś, co ich zdaniem mogło emitować atom.

Większość ludzi przypuszczała, że to trzy szerokie łopaty śmigła, czarne na żółtym tle. Odpady promieniotwórcze.

Reacher wyłączył światła i precyzyjnie przeszedł przez otwór wycięty w folii. Przemierzył puste pomieszczenie i wysunął się na korytarz. Zobaczył tam trzech ludzi. Samych mężczyzn. Szli, oddalając się od niego i rozmawiając ze sobą. Nieśli pliki segregatorów. W samych koszulach.

W ciemnych spodniach. Bez broni. Żaden z nich nie był McQueenem.

Reacher pozwolił im spokojnie przejść. Cena przewyższała zysk. Narobiłby za dużo hałasu właściwie bez powodu. Otworzyli drzwi z niebieską kropką po lewej, daleko w głębi korytarza.

Najwyraźniej zmięli w kierunku pierwszej komory. Minąć cztery kropki, drzwi po drugiej stronie, drzwi w głębi. Albo coś w tym rodzaju. Jak współrzędne geograficzne. Przypominało to trochę poruszanie się po Pentagonie.

Wyszli z pokoju znajdującego się naprzeciwko i po lewej od punktu, w którym stał Reacher.

Drzwi, które wcześniej były zamknięte, pozostawili otwarte. Reacher nabrał powietrza, policzył do trzech i pokonał dziesięć metrów. W pokoju o wymiarach sześć na pięć metrów, z jedną betonową ścianą i trzema ścianami ze sklejki, urządzone biuro. Wszystkie cztery ściany zajmowały regały.

Przestrzeń zastawiono biurkami. Na regałach i biurkach piętrzyły się papiery. Luźne, ułożone w pliki, spięte spinaczami, gumkami, wpięte w segregatory. Wszystkie były zapisane liczbami.

Sześć, siedem, ośmiocyfrowymi liczbami, niezbyt ciekawymi i intrygującymi - surowym materiałem, który należało dodać, odjąć i pomnożyć. Wszystkie te działania wykonano. Papiery wyglądały jak stroniczki ksiąg rachunkowych.

Żadnych komputerów.

Tylko papier.

W korytarzu znów rozległy się kroki.

Reacher wytrzymał słuch. Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Usłyszał, jak się zamykają. Niczego więcej nie usłyszał. Wycofał się na korytarz. Uznał, że jeżeli McQueen jest tu gdzieś uwięziony, to trzymają go głęboko we wnętrzu budynku. Niewykluczone, że sto dwadzieścia metrów stąd. Z dala od świata zewnętrznego. W jednej z dwóch komór. Oznaczało to skomplikowany plan przeszukania. A długie środkowe korytarze były śmiertelną pułapką. Nigdzie nie można uciec, nigdzie nie można się ukryć. Oprócz pokoi z niebieskimi kropkami na drzwiach. Było ich jednak niewiele. Poza tym trudno byłoby stale posuwać się naprzód, gdyby myśli ciągle były zajęte analizowaniem bocznych dróg ewakuacyjnych.

„Mamy problem natury wojskowej, tak? Szkolili cię do takich rzeczy?”

Niezupełnie. Nie w sytuacji, w której nie było ludzi, zaopatrzenia, helikopterów, radia i wsparcia ogniowego. A tego nie miał.

Zajrzał do pokoju naprzeciwko. Następne biuro, sześć na pięć metrów, regały, biurka, papiery, liczby. Mnóstwo liczb. Sześć, siedmio - i ośmiocyfrowych, dodanych i odejmowanych od siebie.

Wszystkie starannie zapisane i podliczone. Sprawdził pokój obok. Dokładnie to samo. Biurka, regały, papiery i liczby. Wrócił tą samą drogą i skierował się do pierwszego pokoju, z którego wyszedł. Pokoju z bocznymi drzwiami.

Znów usłyszał kroki w korytarzu. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

Wtedy usłyszał w korytarzu tupot wielu nóg.

Biegli nim ludzie.

Krzyczeli.

Trzymając glocka w wyciągniętej ręce, przeszedł przez rozcięcie w folii i zamknął za sobą drzwi.

Najkrótszą drogę między dwoma punktami stanowi linia prosta. Reacher pospiesznie pokonał całą długość trzeciej komory, sto dwadzieścia metrów, mijając porzucone naczepy i ogromne złowrogie butle. Spod jego butów wzbijały się tumany kurzu. Czuł się, jakby brnął przez sypek śnieg. Po raz pierwszy cieszył się, że ma rozbity nos. Dziurki miał zapchane strupami. Gdyby nie to, kichałby jak szalony.

Ostatnie oryginalne drzwi znajdowały się trzy metry od końca tunelu. W równej linii z ostatnią żółtą butlą. W równej linii z symbolem ostrzegającym o radioaktywności. Reacher otworzył je, wyciągnął z kieszeni klucz z motelu grubasa i zaczął torować sobie drogę przez plastikową powłokę. Ciął i rwał, ciął i rwał. W tę stronę poszło lepiej. Folia wydeła się w kierunku pomieszczenia i bez trudu mógł ją naprężyć. Przestrzeń za drzwiami była pusta. Zbudowano ją jak pokój, ale wykorzystywano jako przedsionek.

Nasłuchiwał pod drzwiami prowadzącymi na korytarz. Słyszał dźwięki, ale dobiegające z daleka.

To były odgłosy chaosu i dezorientacji. W pośpiechu rozpoczęli poszukiwania, przeczesując całą długość budynku i oddalając się od niego. Został za linią frontu. Głęboko na tyłach, daleko od świata zewnętrznego.

Otworzył drzwi. Wyrżał. Sto metrów w lewo od niego chyba pięciu mężczyzn sprawdzało pokój po pokoju. Otwierali drzwi, wpadali do środka i zaraz wybiegali. Oddalali

się.

Drzwi naprzeciwko oznaczono niebieską kropką. Za nimi na pewno było puste pomieszczenie.

Zbudowane jak pokój, wykorzystywane jako przedsionek. Reacher zaczął więc od wcześniejszych drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie było na nich kropki. Podkraść się do nich, wolno i bezgłośnie. Uchylił je. Biuro. Regały, biurka, papiery. Za jednym biurkiem siedział człowiek.

Reacher strzelił mu w głowę. Huk wystrzału rozdarł ciszę w komorze, prawie w ogóle niewytlumiony przez przegrody ze sklejki. Reacher podszedł do drzwi. Wyrżał. Sto metrów od niego poszukiwacze stanęli jak wryci, zatrzymując się w pół kroku, zwróceni w jedną stronę, patrząc w drugą. Reacher wsunął glocka do kieszeni i zdjął z ramienia jeden z coltów. Pistolet maszynowy. Przełączył na ogień ciągły, uniósł wysoko broń i wycelował. Nacisnął spust, starając się, aby odrzut nie poderwał lufy w górę. Dwadzieścia pocisków w tempie dziewięciuset na minutę.

Niecałe półtorej sekundy. Colt działał gładko i równo jak maszyna do szycia. Cała piątka padła na ziemię. Prawdopodobnie trzej nie żyli, jeden został ranny, jeden wpadł w panikę. Reacher oczywiście nie notował wyników. Znał je. Wygrywał. Na razie.

Odrzucił broń bez amunicji i zdjął z ramienia drugiego colta. Pomyślał: Pora odwiedzić pierwszą komorę. Pora potrzymać ich w niepewności. Przypadł do drzwi z niebieską kropką. Otworzył je.

Wszedł. Pomieszczenie zbudowane jak pokój, wykorzystywane jako przedsionek.

Ale nie puste.

Były tu schody.

Metalowe, przypominające drabinę, strome jak stopnie na pokładzie okrętu wojennego.

Prowadziły do pionowego tunelu wychodzącego na betonowy dach. Tunel kończył się u góry kwadratowym, masywnym, stalowym włazem, wyposażonym w sprężyny i rygle napędzane kołem na pokrywie, jak w łodzi podwodnej. Właz był zamknięty. Reacher domyślał się, że na zewnątrz jest kopuła, aby był szczelniejszy i odporniejszy na wahania ciśnienia fali podmuchowej.

Koło za pomocą skomplikowanej przekładni zębatej umieszczało zasuwę w uchwytach w obramowaniu włazu. W tym momencie znajdowało się w pozycji umożliwiającej otwarcie. Widać to było na pierwszy rzut oka. Żadna zasuwka nie tkwiła w uchwycie. Najwyraźniej strażnicy na dachu zamknęli za sobą właz, aby ukryć światło

padające z dołu. Żeby zachować zdolność widzenia w ciemnościach i zachować tajemnicę. Nie zasunęli jednak rygli, żeby móc wrócić z dachu. Zdrowy rozsądek.

Sprytnym posunięciem byłoby wspięcie się po drabinie i przekręcenia koła tak, aby ci, którzy byli na górze, zostali na górze. W ten sposób Reacher mógłby bez przeszkód kontynuować swoje działania w budynku.

Ale na dachu był snajper. Uzbrojony w M14 z magazynkiem, z którego uchył jeden pocisk, i prawdopodobnie triumfalnie uśmiechnięty.

Reacher wyłączył światło w przedsiönku. Zaczekał w ciemności cztery sekundy, aby tęczówki szeroko otworzyły źrenice. Potem jeszcze minutę, żeby uruchomiły się procesy chemiczne w siatkówce. Następnie po omacku odnalazł poręcz i zaczął wchodzić po szczeblach.

75

Po dotarciu na szczyt drabiny Reacher zaczął się orientować po omacku, przypominając sobie to, co widział wcześniej z dołu. Uznał, że klapa wjazdu waży z kilka dobrych ton. Może nawet więcej, jeśli jest jakimś skomplikowanym stalobetonowym przekładańcem. Czego nie można było wykluczyć, biorąc pod uwagę zagrożenie radioaktywne. Dawni architekci zostali dobrze wyszkoleni w tych sprawach. Być może nawet przez jajogłowych z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Nie ma sensu projektować wjazdu, który ma wytrzymać wybuch, jeżeli potem będzie przepuszczać promieniowanie gamma. Żaden człowiek nie potrafiłby jednak unieść kilku ton, stojąc na drabinie.

Co oznaczało, że większą część masy równowazyły sprężyny. Co z kolei oznaczało, że aby otworzyć wjazd, wystarczy mocno pchnąć.

Reacher pchnął.

Klapa uniosła się o pięć centymetrów. Towarzyszył temu zgrzyt i brzęk sprężyn.

Bardzo głośny.

Reacher czekał.

Z trzech stron obramowania wjazdu zobaczył grupę niezupełnie ciemnoskórych ludzi. Uznał, że strażnicy będą stali przy balustradzie na krawędzi dachu. Czyli że trzy czwarte z nich znajdzie się w dużej odległości od niego. Dach miał wymiary stadionu Yankees. Blisko niego stali tylko ci z południowej strony.

Pchnął jeszcze raz, trochę mocniej.

Klapa uniosła się o ćwierć metra.

Znów zgrzyty i brzęki.

Żadnej reakcji.

Pchnął jeszcze raz. Właz otworzył się na całą szerokość. O dziewięćdziesiąt stopni, jak drzwi.

Reacher spojrział w górę i ujrzał kwadrat ciemnego nieba nad Missouri. Zawiasy klapy zamontowano od północnej strony włazu. Drabina została przykręcona do strony wschodniej. Co oznaczało, że Reacher wyjdzie na dach, narażając na atak przód, tył i prawą stronę ciała.

Co oznaczało, że musi wyjść szybko. A to nie było łatwe. Na pewno nie mógł trzymać palca na spuście. To moment największego zagrożenia. W każdym zadaniu zdarza się taka chwila. Reacher nie znosił schodów. Nie cierpiał wychodzić głową naprzód.

Zacisnął colta w prawej ręce, między nasadą kciuka a pozostałymi palcami, lewą chwycił się kolejnych szczebli. Wyciągnął pistolet na zewnątrz i oparł się o dach prawą ręką, zginając palce jak małpa. Obrócił się w pasie i płasko położył na betonie lewą dłoń.

Nabrał powietrza, policzył do trzech i wyskoczył.

Stanął na ugiętych nogach, unosząc wysoko colta i gwałtownie obracając się na boki. Znów zaczął tańczyć szturmowego swinga.

Był blisko krawędzi dachu z południowej strony. Po lewej miał czysty południowoschodni korytarz. Nikogo tam nie było. Po prawej, od zachodu, daleko przy balustradzie stała ciemna, samotna postać, patrząc w zupełnie inną stronę. Odwrócił się na północ i zobaczył pięć osób wpatrzonych tam, gdzie GPS Bale'a pokazywał jednopasmową drogę. Wychodzili z założenia, że Sorenson, nadchodząc od strony pola, miała ich zmylić. Wychodzili z założenia, że główny atak nastąpi od strony drogi.

Za dużo myślenia i paranoja.

Przełączył drugiego colta na pojedynczy ogień i wsunął się za otwartą klapę włazu. Dawała mu osłonę w trzech czwartych od zachodu i północy. Oparł się o klapę łokciem prawej ręki. Wziął na cel faceta po zachodniej stronie, stojącego w odległości może sześćdziesięciu metrów. Łatwy strzał, jeżeli ma się karabin. Łatwy strzał, jeżeli ma się pistolet maszynowy Heckler & Koch, który na ogół dorównuje karabinom przy strzałach na krótką i średnią odległość. W przypadku colta była to niewiadoma. Ale i tak colt był lepszy od glocka. Krótka broń z sześćdziesięciu metrów okazywała się równie skuteczna, jak trzymanie kciuków i wypowiedzianie życzeń.

Reacher nieźle strzelał z dużej odległości. Nieraz wygrywał zawody. Ale nie w takich warunkach, w jakich miał właśnie oddać strzał. Musiał zobaczyć dwie rzeczy naraz: swój cel i reakcję na strzał pozostałych pięciu mężczyzn stojących prawie sto metrów i pod kątem

siedemdziesięciu stopni od niego. Musiał zobaczyć, jak ich rysujące się w mroku sylwetki odwracają się w stronę, z której dobiegł huk. Musiał rozpoznać kształt M14. Musiał wiedzieć, który z nich jest snajperem.

Bo następny miał być snajper.

Wziął na muszkę faceta po zachodniej stronie. Wypuścił powietrze. Spokój i opanowanie.

Spokój i opanowanie. Czuł bicie swojego serca, ale muszka ani drgnęła. Był gotowy do strzału.

Zaczął lekko zginać palec na spuście. Powoli. Ciągłym, płynnym, ledwie zauważalnym ruchem.

Ciało naciskało na metal, który naciskał na metal. Czuł, że kurek zaraz uderzy.

Padł strzał.

Błysk i huk.

Trafił w dziesiątkę.

Facet po zachodniej stronie lekko drgnął i runął głową w dół.

Pięciu od północnej strony błyskawicznie się odwróciło.

Snajper stał w środku. Trzeci od lewej, trzeci od prawej. Reacher zobaczył w jego rękach M14.

Zdjął karabin z ramienia, odwrócił się, trzymając go w rękach. Znajomy kształt. Tysiąc sto dwadzieścia dziewięć milimetrów długości, matowy błysk orzechowego drewna w blasku księżyca.

W odległości prawie stu dwudziestu metrów. Reacher wolno i spokojnie wyszedł zza uniesionej kłapy wjazdu, bez pośpiechu, wycelował - wdech i wydech, wdech i wydech - po czym znów strzelił.

Spudłował.

Ale to nie była katastrofa. Pocisk poszedł odrobinę w lewo i dołem, trafiając w krtań faceta stojącego obok.

Reacher przechylił się odrobinę w prawo, żeby wziąć poprawkę, i oddał drugi strzał. W tym momencie pozostała czwórka zdążyła już się poruszyć. Dziewięćmilimetrowy nabój Parabellum potrzebuje jednej trzeciej sekundy, aby pokonać sto dwadzieścia metrów, a jedna trzecia sekundy wystarczy, żeby człowiek zszedł z linii strzału.

Pudło.

Nikt nie dostał.

Jeden nabój w komorze, siedemnaście w magazynku. Reacher przełączył kciukiem na

ogień trójstrzałowymi seriami. Wolał to ustawienie w broni klasy B. Ilość była ważniejsza niż jakość.

Mały trójkąt jak atak stołkiem na trzech nogach. Wycelował bardziej w prawo i strze lił.

Padł facet po prawej.

Zostało trzech. Licząc od lewej, numer jeden, trzy i cztery. Wszyscy uklękli i odpowiedzieli ogniem. Sromotnie pudłowali, z wyjątkiem M14. Pociski kaliber trzysta osiem przeszły blisko. Ale nie wystarczająco blisko. To coś znaczyło. Snajper był niezły, gdy nie działał w stresie. Ale kiedy robiło się gorąco, nie był mistrzem świata. Reacherowi przyszło do głowy, że mogliby wyryć mu na nagrobku: Doskonały przeciwko bezbronnym kobietom w ciemności. W innych sytuacjach nie ko niecz nie.

Reacher znów strzelił - do numeru trzy i cztery, do snajpera i jego najbliższego sąsiada, traktując ich jak jeden cel. Serią trzech strzałów.

Numer cztery dostał.

Snajper nie.

Zostało dwóch.

Reacher miał jeden nabój w komorze i jedenaście w magazynku. Plus glocka i dwa zapasowe magazynki, jeden pełny, drugi bez dwóch nabołów. Gdyby musiał, mógł załadować colta amunicją glocka. Takie same dziewięciomilimetrowe parabellum. Urok standaryzacji. Nie miał pojęcia, ile amunicji zostało tym dwóm. M14 jest najprawdopodobniej wyposażony w magazynek o pojemności dwudziestu nabołi.

Kolega snajpera może być uzbrojony w cokolwiek.

Istnieje prawdopodobieństwo, że rozpęta się długi pojedynek. Z bliska, indywidualny, z przeciwnikiem na widoku. Ostry bój piechoty. Prawdziwych królów wojny. Ordynarna bijatyka, czyli rodzaj walki, który Reacher lubił najbardziej.

Numer jeden i numer trzy ciągle klęczeli. Nie blisko siebie. Reacher pchnął mocno klapę włazu i zamknął ją, a potem się za nią położył. Przełączył broń na pojedynczy ogień. Owinął się wokół kopuły włazu i znalazł wygodną pozycję. Snajper strzelił, tym razem celniej. Kula trafiła we wąż i odbiła się z brzękiem, a potężny rykoszet mógł dolecieć nawet do supermarketu Lacey's.

Reacher leżał wygodnie i nieruchomo, spokojny i opanowany.

Odpowiedział ogniem.

I trafił snajpera.

W lewy bok, bardzo nisko, pomyślał. Może w biodro. Rana powierzchowna. Nie

śmiertelna, lecz na pewno zdekoncentruje przeciwnika. Facet obrócił się na pięcie i upadł na brzuch. Mniejszy cel.

Drugi poszedł za jego przykładem. Rozciągnął się płasko na dachu i otworzył ciągły ogień.

Próbował osłaniać kolegę. Stwarzał zagrożenie tylko dla ludzi w sąsiednim okręgu, ale przynajmniej okazywał solidarność. Reacher wziął na muszkę płomień wylotowy i czekał.

Wycelował trochę wyżej i trochę w prawo, biorąc poprawkę na prawdopodobnie stałą derywację, i starał się posłać pocisk tak, aby odbił się od betonu i trafił przeciwnika w twarz. Ciemność nie pozwoliła mu zobaczyć, czy to się udało, ale ogień na pewno ustał. Może facet tylko przeładowywał. Albo się zdrzemnął. W każdym razie trwał nieruchomo. Nagle drogą w oddali przejechał jakiś samochód z lewej na prawo, w odległości może pięciuset metrów. Ruchoma bańka długich świateł we mgle na sekundę podświetliła całą scenę i Reacher doszedł do wniosku, że przeciwnik został trwale wyeliminowany. Leżał rozciągnięty na dachu w dziwnej pozycji.

Reacher odrobinę przesunął broń, biorąc na cel rannego snajpera. Jeden pocisk w komorze, dziewięć w magazynku. Dziesięć szans, statyczny cel, sto dwadzieścia metrów. Wziął tę samą poprawkę w płaszczyźnie pionowej i poziomej i znów oddał strzał. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Czuł, że trafia. Nie mógł jednak tego zobaczyć. Snajper nie odpowiadał ogniem. Po chwili ten sam samochód przejechał drogą w przeciwną stronę. Może kierowca się zgubił. Albo przestraszył strażaków. Prawdopodobnie nie policjant. Nie było widać niebieskich ani czerwonych świateł, poza tym żaden normalny gliniarz nie paradowałby tam i z powrotem na linii ognia. Bańka światła na sekundę wydobyła z mroku miejsce walki. Reacher zobaczył niewyraźne zarysy.

Snajper się nie ruszał.

Leżał skulony z opuszczoną głową, bezwładny.

Reacher znowu strzelił. I jeszcze raz.

Jeden w komorze, cztery w magazynku. Wiedział, że więcej informacji wizualnych już nie uzyska. Mógł strzelić jeszcze tysiąc razy, ale i tak nie zyskałby większej pewności. Wysunął się zza kopuły i zaczął czołgać w stronę północnej krawędzi dachu. Na łokciach i palcach stóp.

Pełzanie po betonie w tej pozycji było długie i bolesne. Nikt nie reagował. Nie nadlatywały żadne pociski. Reacher wstrzymał ogień. Nie było sensu zdradzać płomieniem wylotowym swojej pozycji.

Zatrzymał się w odległości czterdziestu metrów. Tylko na chwilę, żeby dokonać

oceny. Nadal nie dostrzegał żadnego ruchu, tylko niewyraźny zarys skulonych sylwetek. Nagle drogą przejechał ten sam samochód. Trzeci raz. Te same długie światła. Przesuwająca się jasna bańka. Reacher zaczął się trochę niepokoić, nie wiedział, kto to może być. Wścibscy sąsiedzi potrafią narobić kłopotów.

Dziewięćmilimetrowe pociski wystrzeliwane na odkrytym terenie nie są głośne, ale wymiana ognia musiała być słyszana z dość dużej odległości. Światła samochodu ukazały sytuację bez zmian.

Żadnego ruchu. Żadnego znaku życia. Niewykluczone, że to pułapka.

Poczłogał się dalej. Powoli i spokojnie. Gdyby ktoś jeszcze chciał się przyłączyć do zabawy, Reacher usłyszałby klapę wjazdu. Sprężyny działały dość głośno. Strażnicy też musieli je słyszeć, kiedy wszedł po drabinie, ale wtedy jeszcze nie wiedzieli, że w budynku jest nieprzyjaciel. Może myśleli, że przybyły posiłki. Albo że ktoś przyniósł im kawę i kanapki. Pod tym względem nie mieli aż takiej paranoi.

Reacher zatrzymał się piętnaście metrów od nich. Nikt się nie ruszał. Absolutnie nikt. Wstał i resztę drogi pokonał wyprostowany. I zobaczył pięć skulonych postaci, leżących w ciemnościach w mniej więcej równej linii. Pięciu mężczyzn. Czterech nie żyło. Snajper nadal oddychał. Musiał dostać trzy czy cztery razy. Żył. Miał szczęście.

Ale do czasu.

Reacher kopniakiem odsunął M14 i zarzucił colta na ramię. Chwycił snajpera za pasek i zaciągnął do balustrady. Uniósł go, trzymając za pasek i kołnierz kurtki, a potem rzucił. Snajper odbił się od betonowej krzywizny i spadł na ziemię z wysokości dwunastu metrów.

Zobaczymy, czy potrafią zagrać na poziomie Major League.

Trzecie nieudane odbicie, stary.

Reacher odwrócił się i truchtem pokonał sto dwadzieścia metrów dzielące go od kopuły wjazdu.

Uniósł ciężką klapę i stopą namacał górny szczebel drabiny.

76

Jeśli Delfuenso miała rację, mówiąc o nie więcej niż dwudziestu czterech przeciwnikach, to zostało ich dziewięciu, wśród których być może jeden jest ranny. Facet w korytarzu, jeden z pięciu, którzy przeszukiwali pomieszczenia. Upadł dość ciężko. Bardziej niż tylko pod wpływem siły grawitacji. Prawie na pewno został wyłączony z gry. Pozostało więc ośmiu zdolnych do walki.

Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Przyzwoity poziom osłabienia. Na razie.

Reacher otworzył drzwi z niebieską kropką i wyjrzał na korytarz.

Nikogo.

Wchodził do jednego pomieszczenia po drugim, zaczynając od tyłu budynku i posuwając się do przodu, i wszędzie widział to samo: biurka, regały i papiery. Żadnych ludzi. Sprawdzenie drugiej komory zabrało mu prawie dziesięć minut. Do pierwszej wszedł przez garaż. Znow zaczął zaglądać po kolei do pokoi, idąc w przeciwnym kierunku, od przodu do tyłu.

Biurka, regały, papiery.

Żadnych ludzi.

Ani w pierwszym pomieszczeniu, ani w drugim, ani w trzecim, ani w czwartym, ani w piątym.

Przypuszczał, że wszyscy musieli się zebrać w przeciwległym rogu z tyłu.

W grupie bezpieczniej. Lepsza pozycja do obrony. Chyba że wszyscy grają z nim w zaawansowaną wersję kotka i myszki, przechodząc z komory do komory. Co było mało prawdopodobne. Ale możliwe.

Trzecie pomieszczenie po lewej przerobiono na kuchnię. Kuchenka, lodówka, zlewozmywak.

Szuflady pełne noży, widelców i łyżek. Spizarnia. W pokoju naprzeciwko urządzono jadalnię. Stół na kozłach i ławy. Dalej znajdowały się sypialnie, jak w koszarach. Piętrowe łóżka, po osiem na pokój. W sumie trzy pomieszczenia. Plus jeszcze dwa, każde z jednym łóżkiem. Prywatność, ale bez luksusów. Proste metalowe łóżka polowe. Szorstkie prześcieradła, zgrzebne koce. Następne były łazienki i toalety. Dalej kolejne biura. Biurka, regały i papiery.

Delfuenso prawie się nie pomyliła. Mogło tu kwaterować maksymalnie dwadzieścia sześć osób.

Więcej niż dwadzieścia cztery, ale niewiele więcej. Jednym z nich przypuszczalnie jest McQueen.

Oznaczało to, że gdzieś w budynku czai się jeszcze dziewięciu przeciwników zdolnych do walki.

Po chwili już ośmiu, ponieważ w następnym pokoju siedział mężczyzna i gorączkowo pracował przy biurku. Reacher natychmiast strzelił mu prosto w serce z glocka, a zaraz potem było już siedmiu, bo huk strzału wywołał zamieszanie i Reacher przyłapał jeszcze jednego, który biegł korytarzem, próbując się ukryć. Strzelił mu w plecy.

Później znow zapadła cisza. Nie było słycać żadnego dźwięku, nawet biorąc pod

uwagę to, że po oddaniu tylu strzałów w zamkniętej przestrzeni Reacher lekko ogłuchł. Następny pokój był pusty.

Tak samo jak kolejny, który znajdował się w połowie długości komory. Zostało dwadzieścia pomieszczeń, po dziesięć z każdej strony. Było tu jeszcze troje drzwi z niebieskimi kropkami, wszystkie po prawej, wszystkie prowadziły do środkowej komory. Zbudowanej jak pokój, wykorzystywanej jako przedsionek. Do sprawdzenia pozostawało siedemnaście pomieszczeń.

Poszukiwania szły wolno. Oddział z Quantico był już prawdopodobnie w przestrzeni powietrznej Illinois. Może rozmawiał z wieżą kontrolną w St Louis, prosząc o pozwolenie na kontynuowanie lotu i biorąc kurs na bazę Whiteman.

Następny pokój po lewej był pusty.

Biurka, regały, papiery.

Żadnych ludzi.

W następnym pokoju po prawej Reacher znalazł McQueena.

Siedział przywiązany do krzesła. Miał podbite oko i rozcięcie na policzku, z którego sączyła się krew. Był ubrany w zgrzebny czarny dżins. Jak więzienny kombinezon. Nie miał paska. Nie miał nadajnika GPS.

Za krzesłem stał mężczyzna.

Mężczyzna za krzesłem trzymał pistolet przy głowie McQueena.

Mężczyzną za krzesłem był Alan King.

Cały i zdrowy.

Znów żywy.

77

Tyle że mężczyzna za krzesłem nie był Alanem Kingiem. Był nieco inną jego wersją. Trochę starszy, o trochę ostrzejszych rysach, może o centymetr wyższy, może lżejszy o kilogram czy pół.

Ale poza tym wyglądał identycznie.

- Peter King - powiedział Reacher.

- Ani kroku dalej - warknął King. - Bo zastrzelę twojego człowieka.

- To nie jest mój człowiek.

Peter King miał w ręku berettę M9. Przepisowy pistolet wojskowy. Zdaniem Reachera lepszy od glocka. Lufa pistoletu wbijała się w zagłębienie za prawym uchem McQueena. To nie było bezpieczne miejsce. Dlatego pierwszym zadaniem było: zmienić położenie beretty.

- Rzuć broń na podłogę - powiedział Peter King. - To rozkaz.

- Pewnie i tak, ale go nie wykonam - odrzekł Reacher.

- Zastrzelę twojego człowieka.

- Nie jest mój. Już mówiłem.

- Dla mnie to bez różnicy. I tak go zastrzelę.

Reacher uniósł glocka.

- Śmiało. Wtedy ja zastrzelę ciebie. Ty naciśniesz spust i ja nacisnę spust. Tylko jedno jest pewne: ja wyjdę z tego pokoju, a ty nie. Pytanie tylko, czy McQueen wyjdzie ze mną, czy zostanie z tobą. Rozumiesz to, prawda? Byłeś wysuniętym obserwatorem, tak?

King skinął głową.

- Więc na tyle długo obracałeś się wśród prawdziwych żołnierzy, że masz jakieś podstawowe rozeznanie w doraźnej taktyce.

- Nie poświęcisz tego gościa. Zadałeś sobie sporo trudu, żeby go znaleźć.

- Jasne, wolałbym zabrać go ze sobą, ale to nie jest niezbędny warunek.

- Kim jesteś?

- Zwykłym facetem, który podróżuje autostopem.

- McQueen twierdzi, że zabiłeś mojego brata.

Zadanie pierwsze: zmienić położenie beretty.

- To kobieta zabiła twojego brata - odrzekł Reacher. - Kelnerka z nocnego baru. Ale nawet to nie była uczciwa walka. Twój brat był beznadziejną górą tłuszczu, do niczego się nie nadawał.

King milczał.

- Założę się, że dobrze się palił - ciągnął Reacher. - Tyle tłuszczu! Założę się, że skwierczał jak jagnięcy kotlet na grillu.

King milczał.

- Z tobą byłoby pewnie tak samo - mówił Reacher. - Jesteś niewiele szczuplejszy. To genetyczne? Wasza mama była tak samo gruba i paskudna?

Żadnej reakcji.

Absolutnie żadnej.

- Co cię zresztą obchodzi brat? - zapytał Reacher. - Podobno w ogóle się do siebie nie odzywaliście. To akurat mogę zrozumieć. Musiał cię naprawdę rozczarować. Co takiego zrobił?

Ciągle moczył się w łóżku? Męczył waszego psa?

King nie odpowiedział.

- Jaki to był pies? - pytał Reacher. - Skomlał?

Beretta ani drgnęła.

Impas.

- Powiedz - nie ustępował Reacher. - Chciałbym zrozumieć. Chciałbym wiedzieć, co między wami zaszło. Chciałbym wiedzieć, dlaczego zerwaliście kontakty na dwadzieścia długich lat. Bo też miałem kiedyś brata. Niestety już nie żyje. Obaj zawsze byliśmy zajęci. Ale rozmawialiśmy, kiedy tylko mieliśmy okazję. Żyliśmy w zgodzie. Dobrze się ze sobą czuliśmy. Pomagaliśmy sobie, kiedy któryś tego potrzebował. Nigdy nie musiał się za mnie wstydzić, a ja za niego.

W pokoju zapadła cisza. Jedna ściana z betonu, trzy ze sklejki, dziwna głucha akustyka.

- To było więcej niż dwadzieścia lat - odezwał się King.

- Co?

- Alan był tchórzem.

- To znaczy?

- Sypnął kogoś.

- Ciebie?

- Swojego najlepszego przyjaciela.

- Co takiego zrobili? Skok na sklep monopolowy?

- Nieważne, co zrobili. Alan się wywinął, a jego najlepszy przyjaciel nie.

- Ty byś nigdy czegoś takiego nie zrobił, zgadza się?

- Nie, nigdy.

- Bo jesteś mężczyzną.

- Tu masz rację - zgodził się King.

- No to stań do walki jak mężczyzna. Wyciągnij pistolet z ucha McQueena, policz do trzech i strzelaj.

- Jak w pojedynku?

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Ale przestań się zasłaniać niewinnym człowiekiem. To numer dobry dla mięczaków.

- Nie jest niewinnym człowiekiem. To agent federalny.

- Jest przywiązany do krzesła. Później się nim zajmiesz.

- Myślisz, że przegrasz?

- Są dwa możliwe wyniki. Obydwa trzeba wziąć pod uwagę.

Nie odpowiedział.

- Mięczak - prychnął Reacher.

- Liczymy do trzech, tak?

- Jeżeli potrafisz.

- A potem strzelamy? - upewnił się King.

- Jeden z nas strzela.

- Najpierw opuść broń.

- Ty pierwszy.

- Na trzy - powiedział King. - Broń w dół. Obaj, ty i ja. Potem jeszcze raz liczymy do trzech.

Potem strzelamy.

Reacher obserwował jego oczy. Były w porządku.

- Może być - powiedział.

- Jeden - zaczął liczyć King.

Reacher czekał.

- Dwa...

Reacher czekał.

- Trzy...

Reacher opuścił broń, opierając ją lekko o udo.

King zrobił to samo.

McQueen odetchnął i odchylił się na krześle.

Reacher obserwował oczy Kinga.

King nabrał powietrza i powiedział:

- Dobra.

- Możemy zaczynać - rzekł Reacher.

- Na trzy, tak?

- Śmiało - rzucił Reacher.

- Jeden...

Strategia. Liczy się tylko przeciwnik. Reacher był w stu procentach przekonany, że King strzeli na dwa. To była niezachwiana pewność. Pierwsze odliczanie miało go zmylić i dać gwarancję.

Jeden, dwa, trzy, broń w dół. To ustawiło rytm i stworzyło precedens. Nadzieję. Budowało zaufanie. Nie bez powodu. King już wiedział, co zrobi. Miał plan. To było widać w jego oczach. Był sprytny.

Ale nie dość sprytny.

Nie myślał strategicznie. Nie próbował wczuć się w położenie przeciwnika i przejrzeć jego zamiarów.

Reacher uniósł glocka i strzelił mu w twarz, zanim King zdążył doliczyć do dwóch.

78

Potem nie było wcale łatwiej, tylko trudniej. Po pierwsze, Reacher nie mógł uwolnić McQueena.

Agent został bardzo mocno przywiązany do krzesła sznurem, którego supły były twarde jak kamienie. Po drugie, pozostali przy życiu przeciwnicy w głębi budynku w końcu zrozumieli. Musieli usłyszeć strzał w pobliżu i gdy z pokoju nie wyszedł triumfujący King, postanowili urządzić własną amatorską wersję ostatniego bastionu Custer nad Little Big Horn. Albo wszyscy zamierzali rzucić się do ucieczki. W każdym z tych przypadków na drodze stanęliby im żywi ludzie. Reacher słyszał, jak tłoczą się w korytarzu. Słyszał trzaski zamków. Sprawdzali i przeładowywali automatyczną broń. Słyszał gorączkowe narady prowadzone niedaleko drzwi przyciszonymi głosami, częściowo po angielsku, częściowo po arabsku.

- Co to właściwie znaczy Wadiah? - zapytał.

- Przechowywanie - wyjaśnił McQueen.

- Tak myślałem.

- Znasz arabski?

- Parę słów.

- Nie masz czasem noża?

- Mam szczoteczkę do zębów.

- To się nie przyda.

- Przydaje się do usuwania płytki nazębnej.

- Wyciągnij mnie z tego cholernego krzesła.

- Właśnie próbuję.

Sznur był za mocny, aby go rozerwać. Zrobiono go z jakiejś mieszanki, być może bawełny z nylonem, o gęstym splocie i średnicy około pół centymetra. Prawdopodobnie poddano go wszelkim możliwym testom na napinanie i obciążanie.

- Mam klucz - powiedział Reacher.

- A ja, na litość boską, nie mam kajdanków.

Reacher wyciągnął z kieszeni klucz z motelu grubasa. Ostrą krawędzią trzpienia naciął sznur tuż przy prawej dłoni McQueena. Klucz przeciął parę włókien. Może dwa czy trzy. Z

około dziesięciu tysięcy.

- Musisz go napiąć - poradził Reacher. - Najmocniej, jak się da. Jesteś agentem FBI, tak? Zrób to tak, jakbyś próbował podnieść sobie emeryturę.

Barki i bicepsy McQueen nabrzmiały, a sznur stał się twardy jak stal. Reacher zaczął go piłować. Ale nie tam i z powrotem. Musiał ciąć pojedynczymi pociągnięciami. Klucz działał tylko w jedną stronę. Ale włókna powoli ustępowały. Głosy za drzwiami przybrały na sile. Zarysowały się dwie frakcje. Po jednej stronie wątpliwości i pytania, po drugiej zdecydowanie i zachęta. Reacher trzymał kciuki za wąpiących. Jeszcze przez chwilę. McQueen napinał sznur, włókna rwały się i pękały, najpierw pojedyncze, potem kilka, coraz więcej, potem ćwierć centymetra, potem większość, aż zostało tylko parę i McQueen wreszcie wyswobodził prawą rękę.

Reacher podniósł z posadzki berettę Petera Kinga i włożył ją do ręki McQueenowi.

- Lepszy będzie ten colt, którego masz na ramieniu - stwierdził McQueen. - Korytarze są dość długie.

- W magazynku zostało tylko pięć nabojów - odrzekł Reacher. - Zamierzam go użyć jako maczugi. - Zaczął pracować nad lewym nadgarstkiem McQueena, tnąc i piłując naprężone włókna, które powoli ustępowały.

- Mógłbyś przeładować - powiedział McQueen.

- Nie ma czasu - odparł Reacher. - Lepiej nie dać się zaskoczyć.

- Ile masz w glocku?

- Trzynaście.

- Pechowa liczba.

- Racja. - Reacher przerwał piłowanie i wymienił magazynek na pełny, który zabrał Bale'owi w pokoju motelowym w Kansas chyba z milion lat temu. Trzask, trzask, z ręki do ręki, może nie tak błyskawicznie jak popisujący się umiejętnościami władania bronią, ale nie trwało to dłużej niż półtorej sekundy. Znow zaczął piłować. Z korytarza nadal dobiegał gwar głosów.

- Znasz dokładny stan osobowy? - spytał Reacher.

- Dzisiaj dwudziestu czterech, nie licząc mnie - odrzekł McQueen.

- No to zostało sześciu.

- Tylko? Jezu.

- Jestem tu od co najmniej dwudziestu minut.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Zwykłym facetem, który podróżuje autostopem.

- OK. Kimkolwiek jesteś, dobra robota.
- Miałeś tu osobny pokój?
- Nie, tamte dwa były Petera Kinga i głównego szefa.
- Myślałem, że to Peter King był głównym szefem.
- Nie, King był numerem dwa.
- No to kto jest głównym szefem?
- Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.
- Gdzie teraz jest?
- Nie mam pojęcia.

Otworzyły się drzwi. McQueen strzelił, siedząc na krześle. Ciemna postać runęła do tyłu.

Reacher przestąpił przez nią i kopniakiem zamknął drzwi.

- Zostało pięciu - powiedział.
- Jak byś to zrobił? - zapytał McQueen.
- Na ich miejscu? Otworzyłbym wszystkie drzwi w korytarzu i umieścił po jednym człowieku w pierwszych pięciu pokojach z niebieskimi kropkami. Zobaczyliby nas, zanim my zdążylibyśmy zobaczyć ich. Nie moglibyśmy się nigdzie ruszyć.

- Tego się właśnie obawiam.
- Są na tyle sprytni?
- Nie wiem. W niektórych sprawach są bardzo sprytni.
- Takie właśnie odniosłem wrażenie - mruknął Reacher.
- Dlaczego? Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?
- Chyba większości się domyśliłem - rzekł Reacher.
- Rozumiesz więc, że bezwzględnie musimy zająć budynek tak, żeby pozostał nienaruszony?

- Mów za siebie. Ja muszę się dostać do Wirginii.
- Co takiego jest w Wirginii?
- Dużo rzeczy. To ważny stan. Dwunasty pod względem ludności w całych Stanach. Trzynasty pod względem PKB.

Lewa ręka McQueen została uwolniona. Reacher dał mu colta, kucnął i zajął się wy-swo-bod-ze-niem jego kostek, pracując kluczem od tyłu.

Ze sznurami na kostkach poszło trochę wolniej. Twarde włókna dokonały tego, co powinien zrobić na szlifierce facet z punktu dorabiania kluczy. Klucz robił się coraz gładszy.

Niedobrze.

Dlatego Reacher dostosował technikę do sytuacji. Ostatnim zadziorem na trzpieniu zahaczył część supła, wbijając w węzeł koniec klucza z motelu FBI w Kansas i usiłując go rozluźnić. Inny sposób i wolniejszy, ale krok po kroku okazywał się skuteczny. Pięć minut później McQueen był w trzech czwartych wolny, a po kolejnych pięciu mógł już wstać z krzesła. Na przegubach zostały mu bransolety z postrzępionego sznura. W lewej ręce trzymał pistolet maszynowy Colta, a w prawej beretę Petera Kinga. Był gotowy do akcji. Od pierwszych automatycznie otwieranych wrót dzieliło ich około sześćdziesięciu metrów, a od drugich około stu. Sto metrów i poczują miły chłód nocy. Sto metrów i będą bezpieczni.

- Gotowy? - zapytał Reacher.

McQueen skinął głową.

Reacher otworzył drzwi na korytarz.

79

Sytuacja natychmiast przybrała zły obrót. Wszystko jedno, czy mieli do pokonania sto metrów, czy tysiąc kilometrów, pięciu ocalałych przeciwników wykonało sprytny ruch. Wszystkie drzwi do pomieszczeń stały otworem, po lewej i prawej. W którąkolwiek stronę skierowaliby się Reacher i McQueen, wystawiali się na ogień z wnętrza każdego pokoju. Albo nie. Nie sposób przewidzieć.

To była loteria. Pięciu przeciwników, trzydzieści dziewięć pomieszczeń, nie licząc tego, z którego wyszli. Zgodnie ze standardową taktyką piechoty, podchodząc do otwartych drzwi, powinni wrzucić do każdego pokoju granaty, pod kątem, albo za pomocą broni przeciwpancernej rozbijać ściany ze sklejki jedną po drugiej. Nie mieli jednak granatów ani broni przeciwpancernej, tylko dwie sztuki krótkiej broni i prawie pusty pistolet maszynowy.

Mieli problem.

- Trzeba odwrócić ich uwagę - powiedział Reacher.

- Jak? - spytał McQueen.

- Moglibyśmy podpalić budynek.

- Pod żadnym pozorem nie można tego zrobić. Trzeba ocalić papiery.

- Zresztą i tak nie mam zapalek. Musielibyśmy przedostać się do kuchni i użyć kuchenki.

A wtedy równie dobrze moglibyśmy spróbować wydostać się na zewnątrz.

- Powinniśmy skręcić w bok. Przez trzecią komorę droga jest wolna.

- Wybierz drzwi - polecił Reacher. Nie widział niebieskich kropek. Wszystkie drzwi

były otwarte do wewnątrz. Wiedział, że jest sześć pomieszczeń oznaczonych niebieskimi kropkami.

Zbudowane jak pokoje, wykorzystywane jako przedsionki. Przeciwników było pięciu, czyli jedno przejście było wolne. Szesnaście procent szans. Precyzyjnie mówiąc, szesnaście i sześć po przecinku powtarzające się w nieskończoność.

- Tyłem do siebie? - upewnił się McQueen.

- Kto prowadzi? - odpowiedział pytaniem Reacher.

- To naprawdę nie ma znaczenia.

- Może mieć. - Reacher nie wiązał zbyt wielkich nadziei z szesnastoprocentową szansą.

Prawdopodobnie wpadną na kogoś, bez względu na to, który z bocznych przedsionków wybiorą. Na jednego z pięciu. Strzelanina zaalarmuje pozostałych czterech. Gdyby ruszyli w pościg, to ten, który będzie zwrócony twarzą do tyłu, będzie miał najcięższą robotę. Gdyby jednak czterej pozostali wykazali się sprytem i pojedynczo przekradli się na drugą stronę, żeby ich oskrzydlić, wtedy największy ciężar walki musiałby wziąć na siebie ten zwrócony do przodu.

- Prowadź - rzucił Reacher.

McQueen wyszedł na korytarz, Reacher tuż za nim, idąc tyłem. Szli razem, wolno, cicho i ostrożnie, zwróceniem plecami do siebie, prawie się dotykając. Od tej chwili wszystko opierało się na wzajemnym zaufaniu. Reacher miał nieodpartą ochotę obejrzeć się przez ramię i wiedział, że McQueen też, ale żaden z nich tego nie zrobił. Każdy był odpowiedzialny za strefę zamkniętą w stu osiemdziesięciu stopniach, nie mniej i nie więcej. Pokonali sześć metrów do następnej pary przeciwnych drzwi, po lewej i prawej. McQueen zwolnił i nabrał powietrza. Drzwi po obu stronach były otwarte.

Nie miały niebieskich kropek.

Nikogo tam nie było.

Naprzód.

Następne sześć metrów. Następna para drzwi. Jedne po lewej, drugie po prawej.

Bardziej niż sprytne.

Nieprzyjaciół miał ludzi w obydwu pomieszczeniach.

Reacher i McQueen natychmiast obrócili się o dziewięćdziesiąt stopni. Reacher strzelił w prawo, McQueen w lewo; na jednym końcu korytarza z pokoju wyszedł trzeci napastnik, a na drugim końcu czwarty i Reacher i McQueen dosłownie znaleźli się w krzyżowym ogniu, bombardowani kulami z czterech stron świata. Reacher trafił człowieka w

pokoju, który miał przed sobą, facet padł na ziemię, a McQueen wpadł do pomieszczenia tuż za Reacherem i zatrzasnął drzwi. Stali zgarbieni, dysząc ciężko, mając między sobą trupa.

- Dostałeś? - zapytał Reacher.

- Nie - wysapał McQueen.

Dobra wiadomość. Jedyna, bo pozostałe były złe. Mieli przed sobą odporny na eksplozje betonowy mur grubości około trzech metrów. Z lewej, prawej i za nimi były przegrody ze sklejki grubości niewiele większej niż centymetr. A za cienkimi tanimi drzwiami bez zamka czaiło się czterech przeciwników, którzy dokładnie wiedzieli, gdzie są.

- Nie muszą nawet wchodzić - zauważył Reacher. - Mogą strzelać przez ściany. Albo przez drzwi.

- Wiem - mruknął McQueen.

I rzeczywiście, zaczęli natychmiast. Pierwszy pocisk przebił drzwi. Wyrwał paskudny strup drewna, który zawirował w powietrzu, mijając McQueena o włos. Drugi pocisk przebił ścianę.

Sklejka była bardziej odporna. Choć niewiele. Kula przeszła na wylot, ale roztrzaskała sklejkę i jeden odłamek drasnął Reachera w wierzch dłoni. Nic takiego i biorąc pod uwagę sytuację, nie miało to żadnego znaczenia, ale z rany popłynęła gruba strużka krwi. Reacher podszedł do poszarpanej dziury, przyłożył do niej lufę glocka i strzelił dwa razy, pod różnymi kątami.

McQueen zrobił to samo przy drzwiach. Reacher usłyszał odgłos oddalających się kroków.

Chwila wytchnienia, ale nie koniec impasu.

Reacher podszedł do bocznej ściany, uniósł wysoko nogę i kopnął jak strażak wyważający drzwi.

Ściana pękła i trochę się ugięła. Doszedł do wniosku, że ostatecznie mogliby sobie utorować drogę ucieczki kopniakami, ale nie było sensu próbować. Znaleźli się po drugiej stronie korytarza niż stare poprzeczne przejścia. Wszystkie niebieskie kropki były po przeciwnej stronie. Mozolne przedzieranie się z hałasem z jednej pułapki do następnej nic by im nie dało.

Niedobrze.

A potem sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Budynek wypełnił odległy warkot diesli. Otwierały się zewnętrzne wrota na końcu trzydziestometrowego tunelu wjazdowego. Reacher wyobraził sobie odrywającą się uszczelkę, dudnienie potężnych diesli, skrzydła drzwi sunące ze zgrzytem po prowadnicach,

szparę powiększającą się między nimi powoli, lecz niepowstrzymanie. O wiele za wcześnie na oddział z Quantico. Na pewno jeszcze są w powietrzu. O ile wszystko poszło dobrze, już nad Missouri, może nawet podchodzą do lądowania w Whiteman, może nawet w tym momencie wysunęli podwozie, ale baza Whiteman leżała prawie sto kilometrów stąd, a ich czekają jeszcze skomplikowane przygotowania i przejazd.

Więc to nie kawaleria.

Nowe siły nieprzyjaciela.

- Sprowadzają posiłki - powiedział.

McQueen bez słowa skinął głową.

- Jak myślisz, ilu? - zapytał Reacher.

- Kilkudziesięciu. Może nawet kilkuset. Mają swoją siatkę. Dzisiaj wszystko to koprodukcja.

- Jasne.

- Bardzo żałuję - rzekł McQueen. - Dzięki za wszystko, co próbowałeś zrobić.

Uścisnęli sobie ręce, milcząc niezręcznie w nędznym pokoiku ze sklejki. McQueen wciąż miał na przegubach strzępy sznura, zraniona dłoń Reachera była lepka od krwi.

W oddali znów rozległ się ryk silników. Zewnętrzne drzwi się zamykały, aby umożliwić otwarcie wewnętrznych. Stare układy zabezpieczeń nadal posłusznie działały.

- Przypuszczam, że przyprowadzą ich prosto tutaj - odezwał się McQueen.

Reacher skinął głową.

- No to przynajmniej na nich nie czekajmy. Pozwólmy im na to zapracować.

- Trzeba się przedostać do trzeciej komory. Tam będą strzelać mniej chętnie.

Reacher znów pokiwał głową. Naczepy, gigantyczne żółte pojemniki. Symbole z ostrzeżeniem o radioaktywności.

- Nie zatrzymuj się, żeby mi pomagać. Obojętnie, co by się działo. Lepiej, żeby wydostał się jeden z nas niż żaden.

- Tobie radzę to samo - odrzekł McQueen.

- Pójdę pierwszy. Skręcę w lewo i przejdę na drugą stronę. Ty pójdziesz w prawo.

- Oddać ci colta?

- Zatrzymaj go. Znosi w dół i na lewo. Pamiętaj. - Reacher przełożył naboje z napoczętych magazynków i wsunął pełny do rękojeści glocka. Jeden nabój w komorze, siedemnaście w magazynku. Kilka sztuk amunicji umazał krwią. Wydawało się to stosowne. Ktoś dawno temu powiedział, że sens życia polega na tym, że życie się kończy. Od tej prawdy nie ma ucieczki. Nikt nie żyje wiecznie. Na poziomie rozumu Reacher zawsze wiedział, że

umrze. Każdy człowiek umiera. Ale w głębi duszy nie potrafił sobie tego wyobrazić. Nie wyobrażał sobie konkretnego czasu, miejsca ani szczegółów.

Uśmiechnął się.

- Na trzy? - zapytał.

McQueen skinął głową.

- Jeden... - zaczął odliczać.

Diesle ryknęły głośniej. Otwierała się wewnętrzna brama.

- Dwa...

Reacher podszedł do wyszczerbionego progu.

- Trzy...

Reacher wypadł przez drzwi na korytarz, jakby pokonując ostateczną barierę psychiczną, obojętny, nie zważając na nic, myśląc, że już nie żyje, jak jego ojciec, matka i brat, nie spodziewając się niczego więcej niż okazji, żeby zabrać ze sobą jednego z nich, może dwóch czy trzech. Facet po lewej usłyszał hałas, wysunął się z pokoju, a Reacher strzelił do niego trzy razy, korpus, korpus, głowa, po czym runął przez wąską przestrzeń do pokoju z niebieską kropką. Facet tuż przed nim dostał tak samo, korpus, korpus, głowa. Potem Reacher wpadł przez drzwi do następnego pokoiku ze sklejki, pustego, słysząc za sobą strzały, wybiegł na korytarz środkowej komory, widząc jakąś postać pędzącą z prawej prosto na niego i strzelającą, skoczył do następnego pokoju z niebieską kropką, słysząc za sobą tupot nóg, i nagle wszystko się skończyło, ostatecznie, całkowicie i nieodwołalnie, bo zobaczył przed sobą zaklejone folią stare drzwi, a Glock się zaciął i już nie mógł strzelać.

Może sprężyna w magazynku odmówiła posłuszeństwa albo jego krew na łuskach już stała się lepka i wszystko się zatkało.

Zapadła głucha cisza.

Odwrócił się powoli i oparł plecami o płachtę plastiku. Celowało do niego dwóch mężczyzn.

Jeden o jasnej twarzy, drugi o ciemnej. Dziwna mieszanka etniczna. Stali ramię w ramię w drzwiach. Ostatni żywi z pierwotnego stanu. Obaj stanęli przed nim. W porządku. To oznaczało, że McQueen ma wolną drogę. Przynajmniej na razie.

Mieli pistolety Smith & Wesson 2213 ze stali nierdzewnej, dokładnie takie same jak broń, której użył McQueen w recepcji motelu grubasa. Widocznie standardowe wyposażenie Wadiah.

Może dostali rabat za hurtowy zakup. Trzycalowa lufa, w magazynku osiem pocisków

bocznego zapłonu Long Rifle kaliber dwadzieścia dwa. Ale tym razem lufy nie mierzyły wysoko. Bynajmniej.

Mierzyły prosto w jego serce.

Biały się uśmiechnął.

Arab się uśmiechnął.

Biały przymknął jedno oko i wycelował trzycalową lufę.

Arab przymknął jedno oko.

Oczy Reachera pozostały otwarte.

Palce na spustach zaczęły się zginać.

Nie było słyhać żadnego dźwięku. Reacher siłą woli starał się uratować McQueena. Idź do garażu. Schowaj się w starym pickupie. Przepuść posiłki. Wciśnij czerwony guzik i zamknij drzwi.

A potem pędź, ile sił w nogach.

Palce na spustach zacisnęły się jeszcze bardziej.

Zacisnęły się do końca.

Dwa strzały. Bardzo bliskie i bardzo głośne. Jak nierówna salwa. Jak krótka seria. Biały osunął się na kolana. Potem runął na twarz. Arab upadł na bok. Zamiast twarzy miał ziejącą ranę wylotową. Dostał w tył głowy.

A za nimi nagle ukazała się, wciąż stojąca na własnych nogach, niewysoka, szczupła postać z glockiem dziewiętnastką w ręku.

Karen Delfuenso.

80

Delfuenso wjechała do budynku fordem crown victoria należącym do Bale'a i zaparkowała w garażu. McQueen siedział już na miejscu pasażera. Delfuenso powiedziała, że to ją Reacher widział na drodze, gdy jeździła tam i z powrotem na długich światłach. Z początku miało to być tylko wsparcie moralne, ale później zorientowała się, że oświetlenie budynku może się przydać.

Stąd potrójny przejazd. Zobaczyła na dachu płomień wylotowy broni Reachera. Otworzyła okna i usłyszała strzały. Kiedy nie mogła już dłużej znieść ciszy, jaka potem zapadła, znalazła wjazd do budynku.

- Dziękuję - powiedział Reacher.

- Bardzo proszę - odrzekła.

Wyciągnęła z bagażnika apteczkę. Regulaminowe wyposażenie FBI. Powiedziała, że

musi je mieć każdy nieoznakowany wóz. Standardowa procedura. Kwestia zasad. Oczyszczyła ranę na jego ręce i zabandażowała. Potem wsiedli do samochodu. Delfuenso wycofała, zawróciła i wjechała do tunelu wjazdowego. Reacher wysiadł i nacisnął czerwony przycisk. Wewnętrzne drzwi zaczęły się zamykać, żeby mogły otworzyć się zewnętrzne. Stare układy zabezpieczeń nadal posłusznie działały. Później wyjechali z tunelu na miły chłód nocy, pokonali nierówności na polu, gdzie wnuk farmera przeorał dawną drogę dojazdową Departamentu Obrony. Dotarli do jednopasmówki, skręcili w prawo, potem jeszcze raz w prawo i zaparkowali bokiem na trzech stanowiskach na parkingu przed budynkiem Lacey's, dokładnie w miejscu, z którego wyruszyli.

- Wiesz już, kiedy przyjedzie oddział z Quantico? - spytał Reacher.

- Było jakieś opóźnienie - odpowiedziała Delfuenso. - Mają jeszcze około trzech godzin drogi.

- Odwiozłabyś mnie z powrotem do rozjazd?

- Kiedy?

- Teraz.

- Po co?

- Chcę się dostać do Wirginii.

- Quantico będzie chciało z tobą pogadać.

- Nie mam na to czasu.

- Będą chcieli wiedzieć, co wiesz.

- Nic nie wiem.

- Takie będzie twoje oficjalne stanowisko?

- Zawsze takie jest.

- A jakie jest nieoficjalne?

- Takie samo. Nic nie wiem.

- Bzdura - wtrącił się McQueen. - Mówił mi, że wszystko już rozgryzł.

- Nie wierzę - odparła Delfuenso. - Sama tego jeszcze nie rozgryzłam. W każdym razie nie wszystko. Oczywiście widziałam odpady promieniotwórcze. Przypuszczam, że planowali jakiś atak.

Może niedługo. Może na wody podziemne w Nebrasce.

- Niemożliwe - oświadczył Reacher. - Te naczepy nigdzie nie pojadą. Ani teraz, ani niedługo, ani w ogóle. Nikt ich nie ruszał od dwudziestu lat. Opony przegniły i założę się, że osie zardzewiały na kamień. Służby inżynieryjne potrzebowałyby roku, żeby wyciągnąć je z tunelu.

- Dlaczego tam w ogóle stoją? Przecież nie po to zbudowano ten obiekt, żeby przechowywać takie materiały.

- Musieli je gdzieś umieścić. Nikt nie chciałby trzymać tego w ogródku. To pewnie miało być tymczasowe rozwiązanie, ale nigdy nie opracowano ostatecznego. Przypuszczam, że po prostu zapomnieli o tych butlach. Co z oczu, to z serca.

- Ale po co Wadiah chce je mieć, skoro nie da się ich ruszyć? Jeżeli nie można ich ruszyć, to nie można ich użyć.

- Nigdy nie zamierzali ich użyć. To wyłącznie mydlenie oczu. Tylko na pokaz.

- Pokaz czego?

- Nie powiem już więcej ani słowa - oznajmił Reacher.

- Quantico orzeknie, że nie wolno mi nic wiedzieć. Uzna mnie za zagrożenie bezpieczeństwa.

Spróbuję wsadzić mnie na resztę życia do tego motelu w Kansas. Zwariowałbym tam.

I z tego powodu wszyscy mieliby kłopoty.

- No więc prywatnie - nie ustępowała Delfuenso. - Między nami.

Reacher milczał.

- Jesteś mi to winien - dodała Delfuenso.

- A potem podwieszysz mnie na rozjazd?

- Słowo.

- Zadziałało prawo niezamierzonych konsekwencji - zaczął Reacher.

- W jakim sensie?

- To jest bank.

- Wadiah to organizacja bankowa - wyjaśnił Reacher. - Stanom Zjednoczonym dość skutecznie udało się odciąć terrorystom dostęp do banków na całym świecie. Nigdzie nie mogą przelewać pieniędzy, nigdzie nie mogą przechowywać pieniędzy. Dlatego wymyślili alternatywę. Analogiczny system.

Przypuszczam, że grupa przedsiębiorców zwietryła okazję. Paru Amerykanów, paru Syryjczyków. Wadiah po arabsku oznacza „przechowywanie”. To też islamski rodzaj konta bankowego. Wpłacasz na nie pieniądze, a prowadzący rachunek je dla ciebie zabezpieczają.

- W tym budynku są pieniądze? - zdziwiła się Delfuenso. - Gdzie?

- Nie ma żadnych pieniędzy w żadnym banku. Ani w twoim, ani w moim. Może z wyjątkiem paru dolarów w jakiejś szufladzie. Większość pieniędzy ma wymiar czysto teoretyczny. Wszystko jest w komputerach i opiera się na zaufaniu. Czasem w skarbcu w

podziemiu trzymają złoto, żeby dodać sobie powagi. Chcą dać do zrozumienia, że mają rezerwy kapitałowe jak Fed w Nowym Jorku albo Fort Knox.

- Odpady promieniotwórcze? - spytała Delfuenso. - To są rezerwy kapitałowe?

- Właśnie tak - odrzekł Reacher. - Trzymają je tutaj jako zabezpieczenie swojej waluty, którą sami wymyślili. Nie prowadzą transakcji w dolarach ani w funtach, ani w euro czy w jenach.

Pamiętasz treść tych rozmów w internecie? Mówili o galonach. To jest właśnie ich jednostka monetarna. Kupują i sprzedają, płacąc galonami. Ta bomba kosztuje sto galonów, tamta bomba kosztuje pięćset galonów. Wadiah prowadzi rejestr wszystkich transakcji. Przyjmuje depozyty, realizuje płatności, potwierdza zmiany salda rachunków, pobiera opłaty za operacje. Jak każdy bank. Tyle że nie używa komputerów, bo do komputerów możemy się włamać. Wszystko zapisuje na papierze. Dlatego właśnie McQueen nie pozwolił mi spalić tego budynku. Bo potrzebujecie nazwisk i adresów. W tych papierach jest prawdziwa encyklopedia terrorystów.

Delfuenso spojrzała na McQueena i spytała:

- Reacher ma rację?

- Z wyjątkiem jednego punktu - odparł McQueen.

- Którego?

- Te zbiorniki są puste. Zupełnie nieszkodliwe. Zbudowano je, ale nigdy nie zostały wykorzystane. To nadwyżka produkcyjna. Dlatego je tam trzymają. Ponadplanowe wyposażenie w ponadplanowym budynku.

- Wadiah wiedziała, że są puste?

- Jasne - odparł McQueen. - Ale oczywiście nigdy nie przyznali się do tego przed swoimi klientami.

Przez twarz Delfuenso przemknął uśmiech.

- Spełniłam swoje marzenie - oznajmiła. - Właśnie zastrzeliłam dwóch bankowców kombinatorów.

Delfuenso wrzuciła bieg i wolno ruszyła na południe. Reacher rozciągnął się na tylnym siedzeniu.

Delfuenso i McQueen rozmawiali z przodu o sprawach zawodowych, jak agent z agentką, oceniając przebieg operacji i jej rezultaty. Omówili wszystkie szczegóły z wewnętrznego i zewnętrznego punktu widzenia. Delfuenso powiedziała mu o Sorenson. Zgodnie przyznali, że jej śmierć to jedyny punkt na liście strat. Poza tym zgodnie stwierdzili,

że efekty są bardziej niż zadowalające. Można śmiało mówić o spektakularnym sukcesie. Olbrzymim. Znalaziono skarbnicę informacji i zlikwidowano skomplikowany system. McQueen powiedział jej, że jedynym niewyjaśnionym szczegółem pozostaje tożsamość głównego szefa. Nie był nim Peter King, jak wcześniej przypuszczał. Delfuenso zrobiła zaskoczoną minę i zatrzymała samochód przy samotnym krawężniku w szczerym polu.

- Dostałam wiadomość z Quantico - powiedziała. - Kiedy zadzwoniłam w sprawie bazy Whiteman. Znowu odezwał się do nas Departament Stanu. Tym razem jednak nie ludzie z public relations. Wydaje mi się, że ta informacja jest prawdziwa.

- Co powiedzieli?

- Że nie pracuje u nich żaden Lester L. Lester junior.

Nigdy nie mieli takiego pracownika. Nigdy o nim nie słyszeli.

- A w CIA?

- Tak samo. Nigdy o nim nie słyszeli. Możemy im wierzyć. Bo teraz wyłożyli już na stół wszystkie karty. Liczą na to, że zachowamy dla siebie informacje o tamtym facecie ze starej pompowni.

- Kto to był?

- Pracował w Pakistanie i na całym Bliskim Wschodzie. Ale nie prowadził żadnych agentów. To jego prowadzili. Zasymilował się. Został kretem Wadiah w Langley.

Delfuenso wyjechała na drogę, znów ruszając na południe.

- Dlaczego nas zaatakował? - zastanawiał się McQueen.

- Zaatakował tylko ciebie. Znał twoje nazwisko. W Kansas City nie bardzo dbają o bezpieczeństwo i CIA podgląda nasze operacje. Dowiedzieli się, że mamy kreta w Wadiah.

Zameldował się ich kret. Główny szef kazał mu się tobą zająć. A ten zwabił cię na bezsensowne spotkanie w ustronnym miejscu. I tyle.

- Nieźle sobie poradziłeś - odezwał się z tylnego siedzenia Reacher. - Szybka reakcja. Realnie patrząc, należałoby raczej postawić na tamtego.

- Dziękuję - odrzekł McQueen.

- Ale ta sztuczka z czołem była trochę retro.

- Tak po prostu wyszło. Nic więcej. Zgiąłem mu rękę i złapałem nóż, ostrze znalazło się dość wysoko, więc pomyślałem sobie, czemu nie? Jak za starych dobrych czasów.

Zjechali z drogi numer sześćdziesiąt pięć w miejscu, gdzie skręcała na wschód, i znaleźli się na wąskiej wiejskiej drodze, aby dotrzeć skrótem do wjazdu na autostradę międzystanową. Minęli pole bitwy z czasów wojny secesyjnej, gdzie przez dziewięć długich

godzin Amerykanie strzelali z dział do Amerykanów. McQueen odwrócił się na przednim siedzeniu, spojrzął na Reachera i powiedział:

- Jeszcze ostatnia rzecz.

- Co? - spytał Reacher.

- Powiedz mi, jak można mówić przez minutę, nie używając żadnego słowa z literą A.

- Przecież wtedy spałeś - zauważyła Delfuenso.

- Nie śpię od siedmiu miesięcy - odparł McQueen.

- To proste - powiedział Reacher. - Chodzi o liczenie. Trzeba wymieniać liczby nieparzyste od trzydziestu jeden w górę. Trzydzieści jeden, trzydzieści trzy, trzydzieści pięć i tak dalej, aż do stu dziewięciu. Litera A pojawi się dopiero przy stu jedenastu. Kiedy liczysz w spokojnym tempie, powinieneś zmieścić się w minucie.

Delfuenso zatrzymała się przy nierównym trawiastym poboczu. Nikt się nie odzywał. W FBI na pewno mają swoje grepsy stosowne do takich okoliczności. Wojsko ma. Ale prywatne żarty są prywatne. Tak więc przez minutę siedzieli w milczeniu. A potem Reacher wysiadł i odszedł, nie oglądając się za siebie. Minął pierwszy zjazd na zachodnią nitkę w kierunku Independence i Kansas City i przeszedł wiaduktem na drugą stronę, do wjazdu na wschód. Jedną stopę postawił na poboczu, drugą na jezdni, wyciągnął rękę i uśmiechnął się, próbując nadać twarzy przyjazny wyraz.

1 Skrótownice używane w slangu żołnierskim: SNA FU - situation normal: all fucked up (sytuacja w normie: wszystko spieprzone); FU BAR - fucked up beyond all recognition/repair (spieprzone nie do poznania/w stopniu uniemożliwiającym naprawę).

2 Po angielsku: park, reserve, neutral, drive, low.

3 Stony (ang.) - kamienny.

4 Set the Controls for the Heart of the Sun - utwór Pink Floydów z 1968 r.

5 Ang.: fire support team.

6 Patriot Act - amerykańska ustawa uchwalona po zamachach z 11 września 2001 r. Na jej mocy wolno przetrzymywać przez czas nie określony i bez sądu obywateli nieamerykańskich, którzy zostaną uznani za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

7 DEA - Drug Enforcement Administration - agencja rządowa mająca za zadanie m.in. walkę z handlem narkotykami; ATF - Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives - Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych; DIA - Defense Intelligence Agency - Agencja Wywiadu Obronnego.